

KAREN KINGSBURY:

Jak puch z dmuchawca:

Tłumaczenie: Monika Wolak
Polskie Wydawnictwo Encyklopedyczne
Radom 2008.

Projekt okładki: Amadeusz Targoński
Redakcja i korekta: Monika Zaręba
Redakcja techniczna: Sławomir Korba

Jak puch z dmuchawca

Copyright 2006 by Karen Kingsbury.

Polska edycja 2008 by Polskie Wydawnictwo Encyklopedyczne

Wszelkie prawa zastrzeżone

Like DandelionDust, Polish

Copyright 2006 by Karen Kingsbury.

Polish edition 2008 by Polskie Wydawnictwo Encyklopedyczne
All rights reserved.

rights reserved.

Center Street

Hachette Book Group USA

237 Park Avenue, New York,

ISBN 978-83-7557-051-9

Polskie Wydawnictwo Encyklopedyczne
26-606 Radom, ul.

Wiejska 21 tel.

/fax (48) 366 56 23, 384 66 66

e-mail:

polwen@polwen.pl;

<http://www.polwen.pl>

Druk i oprawa:

OPOLGRAF S.A.

www.opolgraf.com.pl

Rozdział I

Molly Campbell zastanawiała się niekiedy, czy inni też to widzą. Być może ludzie mijający ją, Jacka i małego Joeya dostrzegali jakieś światło o złotym odcieniu, magiczny pył pobłyskujący na ich głowach lub otaczającą ich niezwykłą aurę, która oznajmiała całemu światu to, o czym oni troje byli całkowicie przekonani: że lepiej nie mogłoby się im w życiu ułożyć.

Czasami kiedy spacerował z czteroletnim Joeyem po centrum handlowym w West Palm Beach, mając w portfelu kilkadziesiąt dolarów w gotówce, parę kart kredytowych, w tym kartę Visa z pięciocyfrowym limitem dziennym, zdarzało się jej dostrzegać zaniedbanych mężczyzn o zmęczonych twarzach albo starsze kobiety w znoszonych butach, z pustym, nieobecnyim spojrzeniem.

Zastanawiała się wówczas:

Co ich spotkało?

Jak to się stało, że wylądowali na samotnych wyspach życia?

I jak udało się jej, Jackowi i Joeyowi odnaleźć właściwe miejsce, dobre miejsce?

O tym wszystkim rozmyślała Molly, siedząc na zebraniu rodziców w przedszkolu i słuchając zachwyty wychowawczynie Joey nad postępami chłopców w liczeniu i pisaniu.

Molly trzymała za rękę męża - człowieka inteligentnego, może nieco szorstkiego w obejściu - i uśmiechała się do Joeya.

"

- Miło nam to słyszeć, kochanie.

-Dzięki!

Joey odwzajemnił uśmiech.

Zabawnie odślonił przy tym dziąsła, także widać było jego pierwszy kiwający się ząb - lewą górną jedynkę - który wystawał pod jakimś nieprawdopodobnym kątem.

Chłopak dziarsko wymachiwał nogami pod stołem, błędząc jednocześnie spojrzeniem pościanach.

W pewnym momencie jego wzrok spoczął na wielkim plakacie z tyranozaurami.

Joey uwielbiał tyranozaurowy.

- Państwa synek jest czarującym dzieckiem - ciągnęła nauczycielka.

- Wszystkich zachwyca.

Pani Erickson była po sześćdziesiątce, miała siwe włosy i delikatną rękę do swoich wychowanków: ucząc alfabetu, wolała korzystać z pochwał i słodczy niż z surowego tonu nudnych ćwiczeń pamięciowych.

- Czyta jak dziecko w pierwszej klasie, a przecież niemajesz pięciu lat.

To niesamowite!

- Uniosła brwi.

- Liczyteż doskonale.

I świetnie dogaduje się z rówieśnikami.

I pani Erickson opowiedziała im pewne zdarzenie.

Kiedy tydzień temu Joey przyszedł na zajęcia kilkanaście minut wcześniej niż zwykle, w sali był już Mark Allen - dziecko mające spore problemy z nauką. Mark siedział, wpatrując się w swoją pustą śniadaniówkę, a po policzkach spływał mu strumień łez: jego mama zapomniała zapakować drugiego śniadania dla niego.

- Szukałam właśnie materiałów na zajęcia - wyjaśniła pani Erickson - i dopiero kiedy wróciłam do sali, zobaczyłam, co się dzieje.

Joey usiadł obok Marka Allena, wyciągnął z plecaka własną śniadaniówkę z Barmanem i wyłożył całą jej zawartość na stolik.

Wchodząc, wychowawczyni dostrzegła, jak Joey wręcza koledze ciasteczka z masłem orzechowym i banana, mówiąc:

- Nie płacz.

Weź moje śniadanie.

- Naprawdę - oczy pani Erickson błyszczały na samowspomnienie tamtej chwili - od dawna nieuczyłam tak miłego i zrównoważonego czterolatka jak Joey.

Molly płała się w komplementach nauczycielki.

Co chwilę powracała myślami do usłyszonej opowieści, a kiedy zebranie się skończyło i wyszli ze szkoły, szeroko się uśmiechnęła do męża.

- Ma to po mnie - wysoko uniosła podbródek, udając zarozumiałość - tę dobroć, która kazała mu podzielić się śniadaniem z kolegą.

- Jasne - Jack patrzył na nią roześmianymi oczyma.

- Dobroci umiejętności towarzyskie bez wątpienia mapo tobie.

- Bez wątpienia!

- ...

ale rozum - mówiąc to, popukał się w czoło, a w jego głosie zabrzmiał śmiech - to już moja zasługa!

- Zaraz, zaraz!

- Molly popchnęła go mocno, chociaż nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Przecież to ja w naszej rodzinie mam głowę na karku.

- Uciekamy, stary!

- Jack chwycił dłoń Joeya i obaj ruszyli biegiem ku zaparkowanemu nieopodal samochodowi.

Było piękne majowe popołudnie, nieco chłodniejsze niż zazwyczaj południowej Florydzie; słońce świeciło jasno, a na tle bezchmurnego nieba leniwie kołysały się palmy.

W taki dzień zapominało się o trudnych do wytrzymania.

nia temperaturach i wysokiej wilgotności, spodziewanych za kilka tygodni. Molly usłyszała, jak Jack i Joey przekomarzają się na temat wakacji oraz zasad gry w tetherball.

Podeszli do auta błękitnego SUV-a marki Acurai Jack po przyjacielsku szturchnął Joeya:

To jak, kolego?

Masz już dziewczynę?

- Coś ty!

- Joey potrząsnął głową.

- My, chłopaki, mamy swój klub: "Chłopaki to debeściaki" - oparł ręce na biodrach - i nie ma tam miejsca dla żadnych wstrętnych dziewczuch.

- Aha.

no, słusznie.

Chłopaki to debeściaki - Jack pokiwał głową w zadumie.

Otwierając drzwi od strony kierowcy, przytulił do siebie chłopca i delikatnie zwichrzył mu blond czuprynkę.

- Macie rację, chłopaki - mrugnął porozumiewawczo do żony dziewczyny faktycznie są wstrętne.

Joey również spojrzał na Molly i wyraz jego twarzy złagodniał.

- Z wyjątkiem mamy.

- Naprawdę?

- Wsiadli do samochodu; Jack objął Molly ramieniem i pocałował ją w policzek.

- No, cóż.

uśmiechnął się mama rzeczywiście nie jest najgorsza.

Pod warunkiem, że nie zbliża się do kuchni!

Hej!

roześmiała się Molly.

Już od miesiąca nie przypaliłam!

Jack uniósł wysoko brwi, patrząc na Joeya:

Dziś za to nadrobiłaś zaległości.

Płonące bułeczki cypraminowe przejdą do historii w rodzinnej księdze rekordów!

Bo na kuchenkach nie powinno się umieszczać napisu "opiekanie" tuż obok "pieczenie"!

Jack zachichotał:

Nie powinno się wpuszczać ciędo kuchni - w tym sęk!

No, dobra, dobra.

- Molly wcale nie przejmowała się złą sławą osoby, której podczas gotowania zawsze przydarzają się jakieś wpadki. Przyrządzanie posiłków nudziło ją; dbała tylko o to, żeby odżywiali się zdrowo, nie miała zamiaru spędzać długich godzin na gotowaniu wyszukanych potraw.

To, że były zdrowe - choć proste w zupełności wystarczało.

Kiedy zapięli pasy, Joey zaczął podskakiwać w swoim foteliku:

Możemy jechać na pizzę?

Proszę!

Świetny pomysł, dzięki temu mama będzie się trzymała z dala od kuchni.

A poza tym - Jack uderzył dłonią w kierownicę ktoś, kto ma tak świetną opinię w przedszkolu, powinien dostać pizzę!

Ananasową?

Wyłącznie ananasową!

Ruszyli więc w kierunku Nemo's Dęli, a w samochodzie zapanowała cisza, z którą cała trójka dobrze się czuła.

Joey znalazł natylnym siedzeniu książkę z biblioteki - ilustrowaną encyklopedię dla dzieci o rekinach ludojadach i zaczął ją przeglądać, nucąc jakąś dziecięcą piosenkę.

Molly wyciągnęła rękę i splotła swoje palce z palcami Jacka.

No, powiedz.

Czy to nie jest niesamowite?

odezwała się cicho, jej słowa były przeznaczone wyłącznie dla uszu Jacka.

Jack uśmiechnął się, nie odrywając spojrzenia od drogi:

Masz na myśli naszego małego geniusza?

Nie.

Przez szybę do samochodu wlewało się światło słoneczne.

Przepełniało Molly ciepłymi sprawiało, że ogarniał ją błogostan.

Uśmiechnęła się.

- Chodzi mi o to, że jesteś taki dobry.

To znaczy.

w jej głosie brzmiał śmiech.

wiem, że jest małym geniuszem, a do tego świetnym sportowcem, ale jak to miło, że wychowawczynie podkreśliła jego dobroć.

- Powiedziała, że dawno już nie widziała tak miłego chłopca.

- I tak zrównoważonego!

- Molly wyprostowała się dumnie.

- Tak BARDZO zrównoważonego!

Tylko między sobą żartowali w ten sposób, chełpiąc się Joeyem.

Po chwili uśmiech na twarzy Jacka nieco przygasł.

- Nie wydawało ci się, że będzie trudniej?

- Trudniej?

Molly przesunęła się nieco, żeby lepiej widzieć.

- Masz na myśli przedszkole?

- Nie.

Jack trzymał kierownicę lewą ręką, wydawał się teraz bardziej zamyślony.

Zerknął w lusterko wsteczne;

niewielkie zmarszczki w kącikach jego oczu pogłębiły się.

Mam na myśli adopcję.

Niewydawało ci się, że będzie trudniej?

Że pojawią się kłopoty w nauce lub problemy wychowawcze?

Albo jakieś inne?

Molly zaprzyrzała się na krajobraz za oknem.

Przejeżdżali właśnie obok Parku Fullera.

Często przychodzili tutaj z Joeyem, odkąd pojawił się w ich życiu.

Ich dom znajdował się przecznicą dalej.

Molly zmrużyła oczy, oślepiła światłem słonecznym.

- Może.

Wydaje mi się, że minęły już całe wieki.

- Odkąd wzięliśmy go do domu?

Jack nie odrywał spojrzenia od szosy.

- Nie.

Powoli wciągnęła powietrze.

Odkąd pierwszy raz rozmawialiśmy o adopcji.

Zerknęła na tylne siedzenie.

Joey - jasnowłosa i błękitnooki - w skupieniu studiował obrazki przedstawiające rekiny, nucąc coś pod

10

nosem.

Molly przeniosła wzrok na męża i napotkała jego spojrzenie.

Kiedy tylko wzięłam go na ręce, wszystkie moje obawy się rozproszyły - uśmiechnęła się promiennie.

Już wtedy wiedziałam, że jest niezwykły.

Jack skinął powoli głową.

- Bo jest, prawda?

- O, tak!

- Żona delikatnie uściśnęła jego dłoń.

- Moja siostra powiedziałaaby, że to dar od Boga.

Po prostu istnieć!

- Twoja siostra.

- zaśmiał się Jack.

- Ona i Bili są tacy nadęci.

- Ejże!

- nastroszyła się Molly.

- Daj im trochę czasu;

przecież wprowadzili się tutaj dopiero tydzień temu!

- Tak, wiem, - Jack zmarszczył brwi.

Ale czy nie potrafią rozmawiać o czymś innym tylko o Bogu?

"Wola Boska to.

", "wola Boska tamto.

".

- Daj spokój, Jack.

- Molly czuła się trochę urażona;

Beth była jej najlepszą przyjaciółką.

Dzieliło je zaledwie półtora roku i jako dzieci były nierozłączne: Beth, choć młodsza, była zdecydowanie bardziej odpowiedzialna i nieustannie musiała sprowadzać nieco lekkomyślną i zwariowaną Molly na ziemię.

Przez ostatnie trzy lata Molly usilnie namawiała siostrę, by wraz z Billem i czwórką dzieci przeprowadziła się do West Palm Beach.

- Spróbuj dać im szansę.

Twarz Jacka złagodniała.

- Molly.

- Uniósł lekko brew.

- Chodzi mi tylko o to, że są tacy sztywni.

Jeśli tak ma wyglądać pobożnych chrześcijanin - wypuścił jej dłoń i machnął ręką to namnie nie liczyć.

- Przeprowadzka nie była dla nich łatwą sprawą.

- Z pewnością,

11.

- Tato, tato!

Wiesz,co?

- Joey poklepał ich po ramionach i podskoczył w swoim foteliku.

Rekinludojad jesttak długi jak czterech tatusiów!

Tak pokazali na obrazku!

OczyJacka natychmiast rozbłysły.

- Czterech tatusiów?

Niesamowite!

To ilu by to byłomałych chłopców?

- Chybamilion!

Wjechali na parking przed restauracją.

-Jesteśmy na miejscu.

-Jack zaparkował na pierwszymwolnym miejscu.

- Uwaga: czas napizzę ananasową!

- Posłuchaj, Jack.

- Molly ciągnęła przerwany wątek.

Zamrugła szybko.

- Zapomniałam ci powiedzieć.

Właściwie niemusiła pytać, i tak znała odpowiedź, ale obiecała siostrze, że to zrobi.

- Beth i Bili prosili, żebyśmy w niedzielę poszli z nimi do kościoła.

Chcą pójść dotegow poblizu szkoły.

Jack nachylił się i pocałował żonę w policzek.

Z bliskaspojrzałjej w oczy.

-Jeśli Bili zgodzi sięzagrać ze mnąw pokera, ja zgodzęsię pójść do kościoła.

- No, tak.

- starała się ukryć rozczarowanie.

-Czyliodmawiasz?

- Odmawiam.

- Pogłaskał Molly po policzku.

Jegooczy nachwilęspoważniały.

- Chyba że ty chcesz, żebymto zrobił.

Jeżeli to ważne dla ciebie, pójdę do kościoła.

Za to właśnie Molly go kochała: miał swoje zdanie, alezawsze gotówbył do kompromisu.

- Nie.

- Pocałowałago szybko.

-W tę niedzielę mamy w planie przejażdżkę łódką; to nas bardziej zbliży do Boga niż nabożeństwo w kościele.

Joey już dawno wysiadł z auta i czekał na nich na chodniku.

Jack otworzył drzwi i roześmiał się:

12

- Dobrze to ujęłaś, kochanie!

Bardzo dobrze!

Dopiero kiedy siedzieli w restauracji i zamawiali pizzę, do serca Molly zakradł się lekki niepokój.

Ich stosunek do kościoła był chyba właściwy.

Nigdy nie byli przesadnie pobożni, chociaż Beth często z nią o tym rozmawiała.

- Powinnaś przyprowadzić Joeya - mawiała.

- Każde dziecko powinno chodzić do kościoła.

Molly spoglądała na złotowłosego chłopca z uwielbieniem wpatrzona w Jacka - obaj stali przy automacie z napojami i zastanawiali się, co wybrać.

Ale przecież dobrze było, jak było.

Wierzyli w Boga, tylko na swój sposób - z pewnym dystansem.

Nie ma przecież nic złego w tym, że się Go szuka na środku jeziora, a nie w kościelnej ławce?

A poza tym, mają wszystko, czego im potrzeba.

Jack bardzo lubił swoją pracę, a ostatnio dostał awans - był teraz wiceprezesem Reylco, jednej z trzech najpotężniejszych firm farmaceutycznych na świecie.

Świetnie zarabiał, zajmował się nadzorowaniem największych międzynarodowych transakcji i nie musiał już podróżować tak często jak niegdyś.

Mieszkali w Ashley Heights - w West Palm Beach była to jedna z najelegantszych i najekskluzywniejszych dzielnic.

Często jeździli do Disney World, na Sanibel Island i na Bahamy, a raz w miesiącu urządzali wypadki naryby nad jezioro Okeechobee.

Od czasu do czasu poświęcali sobotnie popołudnie na pracę charytatywną w ośrodku dla bezdomnych w Miami, gdzie pomagali rozdawać obiady, poczym szli obejrzeć jakąś sztukę w teatrze.

W dni powszednie po obiedzie zabierali Joeya i Gusa - wiernego labradora - na spacer do Parku Fullera.

Miło spędzali tam czas, całując się i śmiejąc, podczas gdy Gus biegał wokół placu zabaw, a Joey bez końca szalał na zjeżdżalni.

13.

Mieli także sportową motorówkę zacumowaną przy Westmont Pier; w niedziele zazwyczaj jeździli na piaszczystą plażę, a potem płynęli łódką do zatoki o wodzie nieomal.

granatowej, ciepłej i łagodnej.

Tam na zmianę jeździli na nartach wodnych, a Joey siedział z tyłu łodzi i obserwował ich, co chwilę wyrzucając w górę ręce w triumfalnym geście, gdy tylko któremuś z nich udało się przeskoczyć falę.

Nawiosnę po raz pierwszy kupili narty dla Joeya.

Ich życie było piękne i radosne - samo słońce i śmiech, dzień po dniu, rok po roku.

Myśląc o tym, Molly przegoniła swoje niezrozumiałe obawy, szybko znalazła stolik przy oknie i usiadła, czekając na swoich mężczyzn.

Uczucie spokoju się rozpięchło;

dłaczego miałyby się martwić?

Złociste światło, magiczny pył pobłyskujący wokół nich - to wszystko istnieje naprawdę!

Są szczęśliwi i zdrowi i mają wszystko, czego pragną.

A przede wszystkim mają Joeya.

Cóż jeszcze Bóg mógłby im ofiarować?

Rozdział II

Wendy Porter wbiła wzrok w przednią szybę i spróbowała uspokoić oddech.

Papieros, tego

właśnie potrzebowała: mocnego papierosa bez filtra.

Wolną ręką sięgnęła po torebkę i zaczęła w niej grzebać pomiędzy starymi paragonami z supermarketu, kilkoma zużytymi szminkami i pękniętym różowym lusterkiem.

Jej palce natrafiły na portfel i zgnieciony batonik, który leżał tam już od miesiąca, potem na jakieś okruchy i drobne pieniądze na samym dnie.

Gdzież to jest?

Oderwała wzrok od drogi i rzuciła szybkie spojrzenie na otwartą torebkę.

Przecież miała jeszcze kilka camelów.

Nagle coś sobie przypomniała i przeniosła dłoń z powrotem na kierownicę: jej ubranie różowa bluzka i luźne czarne spodnie - nasiąkłyby dymem.

Cuchnęłyby nim jej świeżo umyte włosy i miętowy oddech.

Jej mąż, Rip, ostatnie pięć lat spędził za kratkami.

Nie chciała go wprowadzić w kiepski nastrój samo to, co mamu do powiedzenia, w zupełności wystarczy, by go zdenerwować.

Wąskim paznokciem postukała nerwowo w kierownicę.

A może nie ma żadnego znaczenia, czy zapali, czy nie?

Postukała jeszcze raz.

Nie, lepiej nie.

15.

Co za paskudny nawyk - mawiał Rip, jeszcze zanim go aresztowali.
Czasem wyrwał jej papierosa i przelał go na pół.

- Nie znoszę, kiedy palisz!

Palenie ,nie jest sexy.

Sam nie był wcieleniem seksapilu, a ich ostatnią wspólnie spędzoną chwilą była kłótnia przed supermarketem.

Wrzeszczelina siebie, i nagle Rip z całej siły przyłożył jej w szczękę.

A dlaczego był na nią wściekły?

Bo zapomniał zabrać kupon uprawniający do pięćdziesięcioprocentowej zniżki.

Całą scenę widział stojący nieopodal policjant!
zamknął Ripa za pobicie.

Przy wszystkich swoich wcześniejszych grzeszkach Rip i tak miał szczęście, że dostał wyrok sześciu do ośmiu lat w więzieniu stanowym w Ohio, a wychodzi już po pięciu, za dobre sprawowanie.

Wendy skręciła na autostradę międzystanową i stopa obutą w pantofelek na wysokim obcasie mocno wcisnęła pedał gazu.

Była czwartą po południu, zbliżała się godzina szczytu.

Musiała się pospieszyć, póki na drodze było w miarę spokojnie.

Szybko rzuciła okiem w lusterko wsteczne i wjechała na pas szybkiego ruchu.

Przy odrobinie szczęścia uda się jej dojechać do więzienia za pół godziny.

O tylu sprawach musi porozmawiać z Ripem;

ostatnia rzecz, na jakiej by jej zależało, to spóźnić się zepsuć wszystko już na samym początku.

Uchyliła okno i do auta wdarł się powiew świeżego powietrza.

Mama już dawno radziła jej odejść od Ripa, na długo przed tamtym fatalnym zdarzeniem na parkingu.

I prawdę mówiąc, w ciągu ostatnich pięciu lat pojawiali się w jej życiu inni mężczyźni; przecież nikt nie może wymagać od dziewczyny, że bycałymi latami siedziała sama w domu, czekając, aż jej facet wreszcie wyjdzie z pudła.

Nawet

16

jeśli jest to facet, za którym kiedyś szalała.

Aż do zeszłego tygodnia wcale nie miała pewności, czy kiedy go zwolnią, jeszcze będzie chciał ją widzieć.

Zadzwoił, kiedy wchodziła do domu, wracając z kościoła.

Cześć, kotku.

głos miał jeszcze bardziej chropawyniż kiedyś.

To ja.

Aż jej dechw piersiach zapało.

Odłożyła Biblię i gazetkę parafialną, po czym mocno przycisnęła słuchawkędo ucha.

-Rip?

- Tak, kotku - w jego głosie pobrzmiewała ta samaczulość, która kiedyś tak jąw nim urzekała.

- Tęskniłaśzamną?

Dawno cię nie słyszałam, Rip.

Rzadkodzwonił;nie znosił związków na odległość.

Kiedy Wendy odwiedziła go ostatnim razem, czternaścimiesiący temu, kazałjej więcej nie przyjeżdżać, dopóki nie wypuszczą.

Powiedział, że spotkaniaz nią powodują, że czas dłuży się w nieskończoność.

Jak więc miałzareagować teraz?

Aniprzezchwile się nie spodziewała, żezadzwoi.

Ale było oczywiste, że rzuci wszystkonatychmiast, jeślitylko Rip znów będzie nią zainteresowany.

Dawno temu oddała mu serce na zawsze i aż do jej śmierci on będzie jego panem.

Szybko wzięła się wgarść.

Chceszpowiedzieć, że.

chciałbyś mnie zobaczyć?

- Zobaczyćcię?

Wiesz, że za tobą szaleję, kotku.

Alesłuchaj.

za tydzień wychodzę.

Najbardziej na świeciepragnę jednejrzeczy: wyjść stąd i zobaczyć ciebie, jak namnie czekasz - umilkł na moment.

W tle Wendy słyszałgłosy innych więźniów.

więc przyjedź po mnie, kotku.

proszę,

17.

- Och, Rip.

- Wendy znowu była w stanie normalnie oddychać; szybko złapała jakąś starą kopertę i długopis.

- Kiedy wychodzisz?

Zanotowała wszystkie informacje.

Rip głośno wypuścił powietrze i powoli, zmęczonym głosem powiedział:

- Przepraszam cię, Wendy.

- Głos mu się załamywał;

może dlatego w pierwszej chwili wydawało się jej, że brzmi jakoś dziwnie.

Głośno pociągnął nosem.

- To, co wtedy zrobiłem.

źle się zachowałem.

Alenię martw się, to się nie powtórzy.

Wendy poczuła, jak gdzieś w środku narasta w niej lęk.

Dawniej też zawsze przepraszał i nic się nie zmieniało.

Czemu tym razem miałyby być inaczej?

Za każdym razem, kiedy Rip Porter powracał do jej życia, sypiąc przeprosinami i kłamstwami, zostawiał ją po pewnym czasie ze złamanym sercem i połamanymi kośćmi.

Mama mówiła jej, że musiałaby być wariatką, żeby znów pozwolić mu wrócić, ale Wendy nic na to nie mogła poradzić.

Rzeczywiście, zwariowała.

Zwariowała na punkcie Ripa, i to zupełnie beznadziejnie.

Wiedziała tylko, że go kocha.

Bez względu na jego przeszłość, bez względu na wszystkie te okresy w ich wspólnym życiu, kiedy stawała się obiektem jego niewyżytej wściekłości, Wendy kochała Ripa.

Poza nim nie było i nie będzie dla niej nikogo.

- Tęskniłem za tobą, kotku.

- Jego głos stał się jeszcze bardziej ochryply, słyszała jego głośny oddech.

- Mam nadzieję, że w twoim łóżku wciąż jest dla mnie miejsce.

Wendy poczuła narastającą panikę.

A jeśli Rip dowiedział się o innych facetach?

Nie było ich znów tak wielu:

czterech, no, może pięciu, i to nie w ciągu ostatnich sześciu miesięcy.

Dlatego właśnie znów zaczęła chodzić dokoła próbowała ułożyć sobie życie na nowo.

Niemniej

18

jednak Rip nie znosił, kiedy inni faceci kręcili się kołonieją. Nie znosił, kiedy na nią spoglądali, a jeszcze bardziej nieznosił, gdy ona odwzajemniała ich spojrzenia.

Gdyby któryś z kumpli odbilardu powiedział mu coś o Wendy i innych mężczyznach, Rip z pewnością zareagowałby tak, że zdarzenie na parkingu przed supermarketem wyglądałoby przytym jak dziecinna igraszka.

Ale zanim zdążyła o tym wszystkim pomyśleć wyobrazić sobie, jak będzie wyglądało jej życie popowrocie Ripa do domu, już mu odpowiedziała.

Dała mu jedyną odpowiedź, jaką pragnął usłyszeć:

- Przyjadę.

- Świetnie, kotku!

- W jego głosie dała się usłyszeć niemal namacalna ulga.

- Będę liczył dni.

Wendy usiadła wygodniej w fotelu kierowcy i zapatrzyła się nad drogę przed sobą.

Od tamtej rozmowy miały ją sprzeczne uczucia.

Początkowa radość miły dreszczyk na myśl, że wkrótce znajdzie się jego ramionach, ustąpiła miejsca strachowi, który z każdym dniem ogarniał ją coraz mocniej.

Nigdy nie mówiła Ripowi o chłopcu, a teraz, gdy okazało się, że wkrótce wychodzi na wolność, Wendy nie miała wyboru.

Przecież i tak się dowiedzie, a im dłużej ona będzie z tym zwlekać, tym bardziej Rip będzie wściekły.

Chociaż właściwie nie powinien winić jej za to, że nie powiedziała mu wcześniej; w ciągu tych pięciu lat widzieli się przecież zaledwie kilka razy. Co do małego.

Starła się o nim nie myśleć.

No, może tylko w jego rodzinie w wrześniu i jeszcze przy kilku innych okazjach, kiedy jego serce rwało się do niego.

Ponownie sięgnęła do torebki i zaczęła w niej grzebać.

Guma do żucia - tego jej trzeba!

Kiedy się dowiedziała, że Rip wraca do domu, ukryła fajki w pudełku w garażu.

19.

Ale teraz bardzo jej brakowało papierosa.

Palce niecierpliwie przeczesywały zawartość torebki, natrafiając na lepkidługopis, kłębki papierowych chusteczek, wreszcie to, czego szukała - ułamany listek miętowej gumy.

Szybkooczyściwszy go z przylepionych doń kłaczków, wsunął kawałek do ust.

Nie planowała informować Ripa o chłopcu; w końcu tonie jego interes.

Urodziła dziecko zaraz na początku jego wyroku, a trzeba pamiętać, że miał do odsiedzenia ładnych parę lat.

Miała więc swoje powody, żeby oddać chłopca - znaleźć mu dobrą rodzinę i przekazać go do adopcji.

Poczęści zrobiła to ze względów praktycznych - musiała przecież pracować na dwóch etatach, żeby opłacić rachunki, nonie?

Jak niby miała torobić, jednocześnie samotnie wychowując dziecko?

Odkryła, że jest w ciąży, tydzień po aresztowaniu Ripa.

Pech, poprostu straszny pech!

Odwiedzała Ripa, póki nic nie było widać - do piątego miesiąca, a potem pojawiła się u niego dopiero wtedy, kiedy odzyskała dawną figurę, a dzieciak był bezpieczny w swoim nowym domu.

Rip niczego nie podejrzewał.

Ale dziecko było jego, tego była absolutnie pewna.

O innych facetach nie było nawet mowy, aż do drugiego roku odsiadki Ripa.

Ruch na autostradzie się zwiększał.

Wendy zmieniła pas.

Tak naprawdę niewiele brakowało, by zatrzymała dziecko.

Wszystkie niezbędne dokumenty podpisała dopiero po jego urodzeniu, gdy mogła potrzymać małego przez chwilę i.

Zamrugała gwałtownie wspomnienie natychmiast się rozwiało.

Nie ma potrzeby wracać do starych spraw ani się zastanawiać, co by mogło być, gdyby.

Zrobiła to dla niego, dla swojego synka.

Zasługiwała coś więcej niż pobyt w żłobku od rana do wieczora i ojciec odsiadujący wyrok

20

za przemoc w rodzinie.

Więc ostatecznie wybrała dla niego rodzinę.

Nadawali się idealnie - pragnęli obdarować małego zyciem, jakiego przy

niej i Ripienigdy bynie zaznał.

Ale tak naprawdę, kiedy podejmowała decyzję o oddaniu synka do adopcji, przeważył zupełnie inny argument:

nie byłaby w stanie znieść myśli, że jej maleństwo mogłoby cierpieć, a jeśli Rip po wyjściu z więzienia dostałby swojego zwykłego napadu furii. Wendy wzdrygnęła się na samą myśl i mocniej ścisnęła kierownicę.

Facet o takim charakterze musiałby solidnie pracować nad sobą i kompletnie się zmienić, zanim mógłby zostać ojcem.

No, ale teraz i tak nie miało to żadnego znaczenia.

Wendy podpisała dokumenty adopcyjne za nich oboje i klamka zapadła.

Nigdy więcej do tego nie wracała.

No, prawie nigdy.

Łzy zakłuły ją pod powiekami i sama siebie przeklinała za to, że jest taka słaba.

Przecież bez wątpienia małe jest teraz zdecydowanie lepiej.

Oddanie chłopca do adopcji tylko dobrze o niej świadczyło; czyniło z niej najlepszą matkę i kropka.

Wciągnęła głęboko powietrze i energicznie otarła dłońmi policzki.

- Dostyc tego.

Teraz musi się skupić na Ripie i pytaniu, czy po pięciu latach rozłąki coś jeszcze pozostało z wiążącym ich niegdyś uczuciem.

Czy w więzieniu zgłosił się na terapię, która pomogłaby mu opanować wybuchy złości?

A może poznał Jezusa?

Czy też towarzystwo ludzi, z którymi siedział, sprawiło, że stał się człowiekiem jeszcze bardziej niegodziwym?

To już drugi jego pobyt w więzieniu.

Poprzednim razem po wyjściu kajał się i przeproszał, a po tygodniu znów ją bił jak wcześniej.

Ale mimo to Wendy go kochała.

Kochała go, usychała z tęsknoty za nim i pragnęła, by jak najszybciej do niej wrócił.

21.

Więc może tym razem będzie inaczej?
Wendy intensywnie żuła gumę, wysysając z niej resztki
miętowego aromatu.
Podczas ich ostatniej rozmowy telefonicznej-
Rip wydawał się nawet całkiem miły.
Może naprawdę się zmienił i tym razem wszystko lepiej się ułoży -
Rip wróci do domu, poniecha swoich ataków szału, nie będzie wrzeszczał i
bił; zmieni się w miłego faceta, który - Wendy była o tym święcie
przekonana drzemał w nim ukryty gdzieś głęboko?
Była przekonana, że tak się kiedyś stanie.
W głębi serca Rip Porter był przecież wspaniałym człowiekiem.
Więc Wendy da mu jeszcze jedną szansę, jak zawsze, i być może tym razem
miłość przezwycięży cały jego gniew.

Płynnym ruchem zmieniła pas i dodała gazu.
Tak, być może wszystko do brzesię ułoży i wybuchowy temperament Ripa
zostanie okiełznany, a on znajdzie stałą pracę i wtedy będą mogli
zdecydować się na jeszcze jedno dziecko, a może nawet na dwójkę lub
trójkę?

Drobny deszczyk zrosił przednią szybę i samochody zwolniły.
No, świetnie.
Rip nie znosi, kiedy Wendy się spóźnia.

Włączyła radio, szybko sprawdziła kilka stacji i wyłączyła.
Jednak lepiej jechało się jej w ciszy.
Jak mamu to powiedzieć?

Wtrącić ot tak - niechący: a wiesz, kochanie, mieliśmy w międzyczasie
dziecko, które teraz mieszka z inną rodziną?

Musi mu przecież wyznać prawdę, zanim rozpoczną nowe życie.
Po prostu musi - nie ma innego wyjścia.

O jej ciąży wiedzieli Brent i Bubba z klubu bilardowego.
Brent mieszkał kilka przecznic dalej.

Pewnego popołudnia przejeżdżali z Bubbą obok jej domu, a Wendy stała
właśnie przed domem i wyjmowała pocztę ze skrzynki.

Było

22

to kilkadni przed porodem - trudno było nie zauważyć jej olbrzymiego
brzucha.

Brent zatrzymał się i opuścił szybę.
Wskazując na brzuch Wendy zapytał:

- To dzieciak Ripa?

Wendy rzuciła mu gniewne spojrzenie i odparła beznamysłu;

- Pewnie, że Ripa!

-A niech mnie.

-Brent zaklął i zachichotał jednocześnie.

- Biedny dzieciak, wiadomo,co go czeka przy takim tatusiu, jak Rip.

Siedzący obok niego Bubba z rozmachem klepnął się w kolano i wybuchnął śmiechem:

- Dobrześ to powiedział!

Wendy, wściekła, machnęła ręką, jakby chciała się od nich opędzić.

- Jazda stąd, stare pijaki!

- wrzasnęła.

-Pilnujcie swojego interesu!

Zdarzało się, że miesiącami niewidywała zardzewiałego samochodu Brenta - rozwalającego się forda.

Ostatnio widziała Brenta i Bubby przez prawie rok, ale akurat wczoraj, gdy kosiła trawnik, porządkując domi podwórka przyjazd Ripa, Brent właśnie przejeżdżał i znów się zatrzymał.

- Słyszałem, że Rip wychodzi - wrzeszczał, wystawiwszy głowę przez okno samochodu, usiłując przekrzywić głos kosiarki.

-Aha.

- Wendy wyłączyła silnik.

Po twarzy spływał jej pot, przeciągnęła dłonią po czole.

Dobre wieści szybko się rozchodzą, co?

Brent wyciągnął szyję, przyglądając się badawczo podwórku przed domem Wendy.

23.

- A gdzie dzieciak?

Dobrze, że Wendy mocno trzymała się kosiarki, inaczej chyba padłaby na świeżo skoszony trawnik.

Nie miała rodziny ani przyjaciół, oprócz kilku osób, które spotykała odczasu do czasu wkościele; dziecko było więc wyłącznie jej problemem, jej własnym, podobnie jak decyzja, którą podjęła.

Do tej chwili nie przyszło jej nawet do głowy, że Rip mógłby się o nim jakoś dowiedzieć.

Brent czekał na odpowiedź.

- My.

tego.

oddaliśmy go.

takiej jednej rodzinie na Florydzie.

- Próbowala nadać swemu głosowi obojętne, rzeczowe brzmienie, jakby fakt, że oddali dziecko do adopcji, był powszechnie znany.

- Nie chcieliśmy dziecka, póki Rip był w więzieniu, rozumiesz.

- Hm.

- Brent umilkł zdziwiony.

- To niepodobne do mojego starego kumpla, Ripa Portera; zawsze marzyło synu.

- Wzruszył ramionami.

- No, ale to nie moja sprawa.

Pogadali jeszcze przez chwilę o tym i owym, poczym Brent błysnął uśmiechem srebrnym zębem i rzucił:

- Powiedz Ripowi, że zamawiam pierwszą grę, gdy tylko nasmaruję kredą swój kij.

- Tak, tak.

Wendy przewróciła oczami i włączyła kosiarkę.

Jasne.

Po chwili Brent odjechał wchmurze spalin, ale rozmowa z nim dała Wendy do myślenia.

Adwadzieścia cztery godziny później na myśl oczekującym jądaniu czułanie przyjemny ucisk w żołądku.

Musi powiedzieć Ripowi prawdę.

I dzisiaj, zaraz po odebraniu goz więzienia.

Jeśli odrazu powie, Rip przynajmniej nie usłyszy nowiny od kogoś innego - tak chyba będzie lepiej, nie?

Więzienie stanowe w Ohio leżało poza miastem.

Naostatnim odcinkudrogiWendy zdążyła nadrobić stracony

24

czas.

Zaparkowała i pędem ruszyła do pomieszczenia dlaodwiedzających.

Obcas prawegobuta utknął jej właciegorącego asfaltu.

- Szybciej, szybciej.

- szeptałanerwowo.

Serce biłojej tak szybko, żeobawiała się, by nie wyskoczyło jejz piersi i nie wyprzedziło jej wdrodze dowejścia.

Weszłado środka, wystukując obcasaminerwowy rytm.

Zgłosiłasię, usiadła na krześle naprzeciw drzwi aresztu i czekała.

Dokładnie dwie po piątejw drzwiach pojawiłsię Ripz

brązowápapierową torbą w ręce.

Przez kilka sekundrozglądał się, a kiedy odnalazłWendy wzrokiem, pojaśniałcały jak neon ozmierzchu.

-Wendy!

Klamka zapadła.

Wendywstała i wygładziła zagniecenia na spodniach.

Poczuła, żeżenawidok Ripa drżą jejkolana.

W co ja się wpakowałam?

Szybko się uśmiechnęła,by pokryć niepokój.

- Rip!

- poruszyła wargami.

Pomieszczenie wypełnioneodwiedzającymi ludźmi o zmęczonych, szarych twarzach-zdecydowanie nie było odpowiednim miejscem na spektakularne powitania.

Ale Wendy miała to gdzieś; stęskniłasięza Ripem bardziej, niż jej się wydawało.

Rip rzuciłspojrzenie strażnikowi odprowadzającemu go do poczekalni.

Tamten skinął głową.

Rip był wolny,mógł robić wszystko, na co tylko miał ochotę.

Bezchwiliwahania podszedł wielkimikrokami do Wendy.

Uśmiechzdawał się wypełniać całą jego twarz.

Ubrany był w obcisłypodkoszulek i dżinsy; blond włosy miał krótko przystrzyżone.

Nabrałciała przez ten czas, pewnie ćwiczył godzinamiwwięziennej siłowni.

Wyciągnęła do niego ramiona.

Serce w niejzatrzepotało,gdy podszedł bliżej.
Zaszła w nim jakaś zmiana; Wendy nie
25.

umiałyby dokładnie określić, na czym polegała - może tocoś w jego oczach?

Bez względu jednak na to, co to było, Wendy poczuła, że coś ją niemu ciągnie - jakby płynąc, od niego, owładnęło nią całą.

- Świetnie wyglądasz.

-Hej.

- Rip delikatnie położył dłoń na ramionach Wendy i wpatrywał się w nią, chłonąc jej obraz, a potem złożył na jej ustach długi pocałunek.

Kiedy wreszcie się od niej oderwał, popatrzył jej głęboko w oczy.

-Ja to miałem powiedzieć!

- Omiótł ją spojrzeniem od stóp do głów.

Wyglądasz jak milion dolców, kotku!

- Znów ją pocałował.

-Poważnie!

Wendy czuła na sobie spojrzenia; odchrząknęła i cofnęła się o krok. Nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie zostaną sami.

- Chodźmy stąd, dobrze?

Rip rozejrzał się po pomieszczeniu, przebiegając wzrokiem po twarzach przyglądających się im ludzi.

- Słusznie!

- wykrzyknął głosem przepelnionym śmiechem.

Gońcie się wszyscy!

Ja idę do domu!

Wendy zaczerwieniła się i spuściła głowę.

Cóż - chyba jednak aż tak się nie zmienił.

Rip zawsze był głośny, uwielbiał znajdować się w centrum uwagi. Wydawało mu się, że jest zabawny, a jeśli jego zachowanie odstraszało ludzi lub gdy mu mówili, żeby się uspokoił, pokazywał wszystkim obraźliwy gest lub przeklinał.

"Nikt mi nie będzie mówił, co mam robić!

" - odpowiadał dalej zachowywał się hałaśliwie i paskudnie jak zwykle.

Czasami jego zachowanie wcale Wendy nie przeszkadzało.

Przecież nie robił niczego, po prostu dobrze się bawił, czyż nie?

Ale czasami wywoływało to między nimi kłótnie, które niejednokrotnie kończyły się biciem.

Dlatego dziś Wendy nie odezwała się ani słowem.

Rip mógłby stanąć

na dachu samochodu i zaśpiewały hymn narodowy, okropnie fałszując, a jejby to wcale nie przeszkadzało.

Za nic nie chciała go wyprowadzić z równowagi, miała mu przecież coś ważnego do powiedzenia.

Rip pomachał ludziom w poczekalni papierową torbą, objął Wendy ramieniem i wyprowadził ją na zewnątrz.

Kiedy tylko wyszli z budynku, wręczył jej torbę, po czym ruszył biegiem, by po chwili się zatrzymać i unieść w powietrze wyciągnięte pięści.

- Jestem wolny!

Wydał jeszcze kilka okrzyków radości i ruszył z powrotem do Wendy.

Ujął jej dłonie w swoje.

Torba spadła na ziemię.

- Zmieniłem się, Wendy Porter.

Całe moje życie wiodłomnie ku tej właśnie chwili.

Jego podniecenie udzieliło się jej.

Zatraciła się w jego spojrzeniu.

- Naprawdę?

- zaśmiała się cicho i przysunęła bliżej.

Może faktycznie się pomyliła.

Rzeczywiście zaszła w niej jakaś zmiana.

Nagle zabrakło jej tchu i skarciła się w duchu za to, że tak ją zawstydziło jego zachowanie.

Przecież to Rip Porter - facet, w którym zakochała się już w szkole średniej, a teraz czuła, że jest w nim taksamo zakochana jak wtedy, gdy ujrzała go po raz pierwszy.

- Co się z tobą stało?

Obrócił się dookoła, trzymając ją w ramionach, po czym zatrzymał się i spojrzał jej głęboko w oczy.

- Pomogło mi - ot, co!

- złapał oddech, twarz mu spoważniała.

- Przepraszam, Wendy.

To wszystko moja wina.

Serce znów waliło jej jak młotem.

Czy Rip mówi poważnie?

Przecież tego właśnie zawsze pragnęła: jej superfacet, taki miły, zachowujący się jak prawdziwy dżentelmen.

.. Zaśmiała się nerwowo.

Naprawdę?

Mówisz poważnie?

Tak!

uniósł jedną pięść w górę i krzyknął tak głośno, że okrzyk dał się słyszeć na całym parkingu.

- Kocham cię, Wendy!

- Wziął ją za rękę i zaczął biec w stronę samochodu. Jedźmy do domu i uczujmy to!

Świętowanie rozpoczęło się już w samochodzie i trwało długo w noc. O drugiej nad ranem Rip zasnął z uśmiechem na ustach.

Wendy nieśmiała zakłócać jego radości, wręcz euforii towarzyszącej odzyskaniu wolności, ale pomyślała, że gdy tylko nadejdzie rano, będzie musiała powiedzieć mu o chłopcu.

A wtedy się okaże, czy Rip Porter zmieni się naprawdę, czy po raz kolejny zawładnie nim furia - tak, jak to się działo poprzednimi razy.

Rozdział III

Spotkanie przy grillu było pomysłem Beth.

Większość ich rzeczy wciąż jeszcze leżała nierozpakowana - przeprowadzili się zaledwie trzy tygodnie temu a mimo to Beth wiedziała, gdzie znaleźć otwieracz do puszek czy ceramiczny półmisek pomalowany w apetyczne plastry arbuza.

Znalazła się także suszona cebulka, mięso na hamburgery i bułeczki i już można było oczekiwać gości.

Co prawda Molly, Jack i Joey nie byli żadnymi wielkimi gośćmi.

Beth nabrała garść mielonej wołowiny ugniotła w dłoniach.

Boże.

spraw, żeby to popołudnie było udane.

Niech stanowi dobry początek.

To, co miało się dziś wydarzyć - wspólne niedzielne popołudnie przy grillu stanowiło spełnienie największego marzenia jej Molly, odkąd wyjechały na studia: że nadejdzie czas, gdy obydwie założą rodziny, będą wychowywać gromadkę dzieci, zamieszkają niedaleko siebie i będą się spotykać na niedzielnych obiadkach.

Oni Bili mieli czworo dzieci:

dwunastoletnią Cammie, dziesięcioletniego Blaina, ośmioletniego Bradena i pięcioletniego Jonaha.

Ich życie nie było usłane różami, ale w końcu Bili znalazł stałą pracę w Pratt Whitney, gdzie kierował wydziałem projektowania.

Posada była znacznie pewniejsza od tej, którą porzucił w Seattle, a Beth i Molly mogły wreszcie być razem.

Przeprowadzka wydawała się więc rzadzeniem Opatrzności - cudem wyproszonym w modlitwach.

Bili wszedł do kuchni, na policzkach miał ciemne smugi.

- Garaż nie jest jeszcze nawet w połowie skończony.

Odkręcił kran, nabrał mydła w płynie i potarł ręce.

O której mają przyjechać?

Zegar na kuchence mikrofalowej wskazywał siedemnaście potrzebnej.

- Za dwie godziny - Beth zaokrągliła brzegi formowanego właśnie kotleta i odłożyła go na półmisek, gdzie leżały już cztery inne.

Mieli dziś popływać łódką, pamiętasz?

- Faktycznie, mieli - wtedy, gdy my byliśmy w kościele.

Beth wciągnęła policzki.

- Zapraszali nas.

-... .

wiedząc, że nie przyjmujemy propozycji, właśnie zewzględu na nabożeństwo - zaśmiała się smutno.

Chyba to dostrzegasz?

- Bili oparł się biodrem o blat kuchenny i oderwał przylepiony do buta kawałek taśmy ochronnej.

- A poza tym, nie jestem pewien, jak bym sobie radził na oceanie.

- Bili.

- Beth za wszelką cenę chciała uniknąć niesnasek, przynajmniej w tej chwili.

Zaproszasz jeszcze kiedyś - mówiła szybko - a teraz możesz jeszcze przez chwilę popracować w garażu, jeśli chcesz.

- Miałem zamiar pracować przez cały wieczór uśmiechnąłem się cierpko.

Niedziela zawsze kończy się zbyt szybko.

30

- Wiem - Beth starała się go ułagodzić.

- Ale w końcu aż tak się nie pali z tym garażem, prawda?

Bili powoli wypuścił powietrze, kąci jego ust uniosły się odrobinę, a oczy przybrały swój zwykły, szczerzy wyraz.

- Prawda.

- Ucałowała ją w czoło.

-Cieszę się, że przyjdą.

- Nawet Jack?

Uśmiech przygasł.

-Jack mnie nie zna.

- Osuszył ręce papierowym ręcznikiem.

-Może to się zmieni, jeśli będziemy się częściej widywać.

Beth zagryzła wargi.

- Przepraszam.

za Jacka.

i za ten garaż.

- Nie przejmuj się.

- Bili pocałował żonę w policzek i wyrzwał na podwórko.

-Wyczyszczę nasze meble ogrodowe.

Beth patrzyła, jak jej mąż się oddala.

To zawsze był trudny temat.

Ona i Molly nie chodziły w dzieciństwie do kościoła.

Ich rodzice byli miłymi, dobrymi ludźmi, zawsze gotowi podzielić się obiadem czy miejscem do spania, gdyby ktoś znalazł się w potrzebie.

Wierzyli w Boga, ale nie przejmowali się Nim za bardzo.

Dopiero znajomość z Billem sprawiła, że Beth zmieniła poglądy.

Poznali się w klubie jazzowym w pobliżu Pike's Place w centrum Seattle; Podobały się im te same piosenki, a w ciągu pierwszej godziny dwukrotnie spotkali się przy filiżance kawy przy barze.

Po godzinie Bili przysiadł się do niej.

- Jest pani sama?

Uśmiechnęła się do niego znad swojej filiżanki.

- Tutaj przynajmniej mogę pomyśleć.

-To tak jak ja.

I stało się!

Przegadali resztę wieczoru.

Ona uwielbiała bluesową odmianę jazzu, świeżego łososia z Alaski, autostop

31.

wzdłuż wybrzeża w Depoe Bay i dzinsy.

Była na drugim roku Uniwersytetu Waszyngtońskiego, gdzie studiowała dietetykę, tysiące kilometrów od rodzinnego domu w środkowej Florydzie.

Bilinatomiał kończyć studia inżynierskie, studiując jednocześnie księgowość, i był chrześcijaninem zafascynowanym Biblią.

Pierwszą randkę zaczął od czytania Beth Nowego Testamentu. Czytał na głos fragment Listu do Filipian, a ona tylko przewracała oczami i spoglądała na zegarek.

Później było podobnie, ale kiedy wreszcie odkładał Biblię, świetnie się bawili.

Jednak po trzech miesiącach rozmów na temat Pisma Świętego owe dyskusje osiągnęły punkt kulminacyjny.

Bóg nie jest przecież koniecznością - twierdziła Beth.

Można dobrze przeżyć życie, niekoniecznie kierując się słowami Biblii, prawda?

Bili był wprawdzie lojalny i zabawny, odznaczał się także cechami charakteru, jakich Beth nigdy wcześniej nie spotkała u innych chłopaków, ale ona miała już dosyć ciągłego gadania o Bogu.

Pewnego popołudnia, kiedy stali przy samochodzie Billa, Beth chwyciła jego oprawioną w skórę Biblię i rzuciła nią o ziemię.

Książka się rozleciała, a wiatr rozniósł jej fragmenty po całej ulicy.

Bili nie odezwał się ani słowem.

Pozbierał tylko rozrzucone kartki, wsiadł do samochodu i odjechał, nie tracąc czasu na kłótnię.

I na tym pewnie ich znajomość by się zakończyła, gdyby nie pewien problem: Beth nie mogła spać, jeść, uczyć się ani myśleć.

Nie mogła, ponieważ nieustannie powracała myślą do tamtej sceny i odtwarzała ją w pamięci.

Jak mogła bronić życia, które jest przecież dobre i słuszne, wyrzucając Biblię?

Czuła, że świat wymyka się jej spod kontroli.

Poszła do najbliższej księgarni i kupiła egzemplarz Pisma Świętego wraz z wyczerpującym komentarzem.

32

Kilka dni później, po lekturze Biblii i stosownych opracowań, Beth była pewna dwóch rzeczy: po pierwsze, że Biblię przepełnia głęboką mądrość; po drugie - że być może zawiera ona treści skierowane

nie tylko dowtajemniczonych, może wskazuje sens życia.

Przeprosiła Billa i nigdy więcej nie wracali dotamtej sprawy.

Rodzice Beth odnosili się do jej odnalezionej na nowowiary z pewnym dystansem, za to Molly uważała, że jej siostra dała się kompletnie omamić.

Minął rok, zanim siedząc razem przy lunchu, potrafiły się śmiać ze zmian, jakie zaszły w Beth.

- Myślałam, że cię straciłam.

- Molly zabawnie zmarszczyła nos.

Moja mała siostrzyczka, Królowa Imprez Seattle, wpadła w religię po uszy.

Beth puściła tę uwagę mimo uszu i skierowała rozmowę na Molly i jej życiowych towarzyszy, przede wszystkim na to, co łączyło ją z Jackiem Campbellem z uniwersytetu na Florydzie.

Od tamtej pory Molly nie poruszała tematu wiary w obecności Billa i Beth.

Czasem zdarzało się jedynie, że rzucała do kogoś: "Uważaj, co mówisz przy Beth".

Zazwyczaj uwagi tego typu stanowiły próbę okazania delikatności.

Poza tym obie siostry łączyła głęboka, szczerza przyjaźń i prawdziwa bliskość.

Napięcie w ich stosunkach pojawiło się wraz z mężczyznami, których poślubiły i reprezentowali oni dwa zupełnie różne typy.

Jack był eleganckim facetem o ujmującej osobowości, urodzonym biznesmenem z lekką opalenizną na przystojnej twarzy bez względu na porę roku.

Chodząca ilustracja człowieka sukcesu.

Wszystko osiągnął, obywając się bez pomocy Boga.

Gdyby chcieć porównać go do któregoś

z gwiazd kina, niewątpliwie byłby Bradem Pittem.

Atmosfera samowystarczalności emanowała z całej jego postaci.

Billa natomiast można by porównać do Dustina Hoffmana,

- był poważny i współczujący, ale wydawał się pozbawiony „genu radości.

Lepiej wypadł w relacjach innych niż przy

osobistym poznaniu.

Podczas rodzinnych spotkań raz czy

dwa razy do roku w domu rodziców Molly i Beth Jack zawsze trzymał się z daleka od Billa.

Obydwaj przepadali za mistrzostwami w golfie, rozgrywkami tenisowymi w Wimbledonie oraz wyścigami samochodowymi.

Obydwaj lubili oglądać komedie z Bille Murrayem i przeszukiwać w gazetach strony z informacjami ekonomicznymi, żeby dowiedzieć się, jak stoją ich akcje.

Ale wszystko to nie miało żadnego znaczenia.

Jeśli Bili był w salonie, Jack siedział w kuchni; kiedy Bili wchodził, by poczęstować się garścią chipsów lub wziąć grilla świeżego hamburgera, Jack natychmiast wychodził i przyłączał się do gości palących papierosy na ganku.

Dzielący ich dystans nigdy nie przerodził się w otwarty konflikt, ale zawsze istniał.

Jack nie potrafił się przekonać do poglądów religijnych Billa - mawiała Molly.

W jej głosie pobrzmiewał przeprasający ton, aczkolwiek dožadnych przeprosin nigdy nie dochodziło.

-Nie bierz mu tego za złe, Beth.

Wszystko byłoby inaczej, gdyby częściej się widywali.

A więc właśnie nadarzała się świetna okazja: teraz, kiedy zamieszkały tak blisko siebie, wreszcie się przekonają, czy ich mężowie potrafią się zaprzyjaźnić.

Beth nabrała kolejną garść surowego mięsa.

Tak, wkrótce się przekonają.

W ich wspólnym życiu właśnie otwiera się nowy rozdział; teraz z pewnością będą spędzać ze sobą więcej czasu, spotykać się przy grillu - tak jak dziś.

To właśnie byłoby życie, o jakim obydwie marzyły.

Zgrabnie uformowała

kolejnego kotleta, po czym odłożyła go na półmisek, gdzie zbierał się stosik.

Świecznik i świece były jeszcze zapakowane w którymś z pudeł; szkoda, bo chwila była w sam raz, by je zapalić - Beth zrobiłaby wszystko, byle tylko wyczarować miły nastrój i przekonać gości, że ona i Bili są naprawdę miłymi, ciepłymi i niegroźnymi ludźmi.

Szafki kuchenne Beth zdążyła już zapęlić i wzorowo uporządkować. Stała teraz z rękoma na biodrach i rozejrzała się krytycznie po kuchni. Laski cynamonu - tego potrzebuje!

Podeszła do szafki z przyprawami, wyciągnęła cynamon, poczym naląła wody do rondelka.

Tej sztuczki nauczyła ją matka:

jeśli przez chwilę pogotuje się w wodzie laskę cynamonu, cały dom jeszcze przez kilka dni będzie pięknie pachniał.

Woda się zagotowała, Beth zmniejszyła ogień, dokończyła ostatniego hamburgera i zaczęła układać warzywa na tacy.

Wszystko się dobrze ułoży pomiędzy ich rodzinami.

Przecież Molly to jej najlepsza przyjaciółka: zawsze dzieliły się ze sobą największymi sekretami, których nikt inny nie znał i nigdy nie pozna.

Gdy Beth miała gorszy dzień i wydawało się jej, że na całym świecie nie ma ani jednej bliskiej duszy, Molly zawsze była w pobliżu.

Tak było od czasów dzieciństwa.

Szkoda tylko, że Molly nie podziela jej wiary.

Bili podpałał właśnie pod grillem, a Beth po raz ostatni przecierała doczystablatki kuchenne, kiedy rozległ się dzwonek drzwi.

Beth poczuła ogarniające ją podniecenie - to się dzieje naprawdę!

Ona i Molly razem, jak za dawnych czasów!

Są nawet sąsiadkami!

Idąc do drzwi, Beth nie miała wątpliwości, że Jack i Bili znajdą sposób, by pokonać dzielące ich różnice.

Otworzyła drzwi, wyciągnęła ramiona i zapiszczała z radości:

- Nie wierzę własnym oczom!

-Ja też nie!

- Molly wpadła w jej ramiona i przez dłuższą chwilę ścisnęły się i tuliły. Gdy wreszcie Molly cofnęła -się nieco, popatrzyły na siebie.

- Mam wrażenie, jakbym się z tobą witała po długiej podróży!

- Ja też - śmiała się Beth.

Jacki Joeyszli im zdrogi; Jack uśmiechnął się doBeth.

- Hej!

- W rękach trzymała tacę z owocami; na samym szczycie owocowej piramidki balansowała puszka bitejsmietany.

-Zaniosę to do kuchni.

- Cześć, ciociu!

-Joey podniósł wzrok na Beth i uśmiechnął się.

Był ładnie opalony, jego włoski miały jeszcze jaśniejszy odcień niż zwykle.

- Przynieśliśmy pyszne owoce.

- Właśnie widzę!

- Beth wypuściła siostrę z objęci i położyła dłonie na ramionach chłopca.

-Ktoś wylegiwał się na słoneczku, prawda?

Joey zachichotał.

- Mama kupiła mi basen.

- Podskoczył, wyciągając w górę zaciśniętą pięść.

-Bawimy się tam z Gusem codziennie.

Czasami uderza mnie ogonem po buzi i to mnie strasznie łaskocze!

- Popatrzył na Molly.

-Idę pomóc tacie.

Molly z uśmiechem patrzyła, jak mały oddala się w podskokach.

- Ależ to dziecko kocha swojego ojca!

-O, tak.

- Beth oparła się o ścianę i przyjrzała siostrze.

- Pozwalasz Joeyowi pływać z psem?

Molly zamknęła drzwi wejściowe i przesadnie głośno westchnęła:

- To tylko brodzik, Beth.

- Udała, że przybiera zatroskany wyraz twarzy.

-No, nie!

Tylko mi nie mów, że znów wyczytałaś w Internecie coś na temat zarazków roznoszonych przez psy, i to w wodzie.

Uniosła pytająco brwi.

-Mam rację?

Bethzgańia się w myślach; sama nie znosiła, gdy przybierała ton ich mamy, która zawsze wynajdywała w Mollycoś, co wymagało zwrócenia uwagi.

Ale jakoś nie potrafiła się powstrzymać.

Wzruszyła ramionami i ruszyła w stronę kuchni.

- To całkiem możliwe - rzuciła swobodnym tonem.

-Te wszystkie włosy i brud, w tej samej wodzie, co Joey.

Fee..

- Wyluzuj!

- Molly położyła torebkę na blacie kuchennym i zabawnie przewróciła oczyma.

-Jeszcze się nie zdarzyło, żeby kilka małych psich włosków zaszkodziło dużemu chłopcu.

- No, może rzeczywiście nie.

- Beth wyjęła z dolniejszafki plastikowy dzbanek i naleła do niego wody.

- Tyle że.

ja nie pozwoliłabym George Brett pływać dziećmi.

- Aszkoda.

- Molly wysunęła jeden z wysokich kuchennych stołków, usiadła i oparła łokcie na blacie.

-Poczekaj, aż przyjdzie lato.

Nawet George Brett będzie musiała się jakoś chłodzić.

- Roześmiała się.

-Ciagle mi się nie mieści w głowie, że nazwaliście sukę George Brett!

Beth uśmiechnęła się; poczuła, że napięcie opada.

- A miałam tu coś do gadania?

Kiedy urodził się Jonah, Beth i Bili nie mogli wybrać dla niego imienia.

Beth pragnęła, żeby mały miał na imię Jonah, Bili chciał George'a Brettana cześć swojego ulubionego bejsbolisty.

Poszli więc na kompromis: Beth nadała imię synkowi, a Bili miał nazwać ich następnego psa.

I nawet kiedy się okazało, że ich golden retriever jest suką.

Bili nie wahał się ani przez chwilę.

"George Brett jest

37.

świątecznym imieniem dla każdego psa" - orzekł.

- "Nawet jeśli jest to dziewczyna".

Itak zostało.

Naprzeciwko Beth i Molly stał Jack, trzymając na rękach Joeya; przez chwilę Beth patrzyła jak urzeczona na obraz, jaki tworzyli: przytuleni, stykali się koniuszkami nosów, całkowicie zatopieni w rozmowie przeznaczonej tylko i wyłącznie dla nich dwóch.

Tak, Molly miała rację - łączyła ich szczególna więź.

I - najwyraźniej - zarazki, jakie przynosił GUS, nie wpływały źle na rozwój chłopca.

Beth sięgnęła do zamrażarki, wyciągnęła tacę z kostkami lodu i wrzuciła jedno dzbanka z wodą.

- Rzeczy kuchenne mam już prawie rozpakowane.

- Właśnie widzę!

- Molly poprawiła się na taborecie.

- Niesamowita jesteś, siostrzyczko!

Ja przez pierwszy miesiąc w nowym miejscu na pewno żyłabym na walizkach.

Doszedł je trzask tylnych drzwi i - prawie równocześnie okrzyki dzieci Beth.

- Mamo!

- Zza rogu wybiegła Cammie, trzymając w ręce hula-hoop.

Tuż za nią wpadli Blain i Braden, na samym końcu - Jonah.

Cammie tupnęła nogą.

- Powiedz Jonahowi, że to moje!

- Nie!

- Jonah doskoczył doniej z twarzą wykrzywioną gniewem.

- Teraz moja kolej.

Tata powiedział, że Cammie ma się dzielić swoim hula-hoop!

- Hula-hoop.

- Beth chwyciła dzieci za ramiona i pochyliła się, tak że jej głowa znalazła się obok ich głów.

Spojrzała na Cammie.

- Tak, masz się dzielić.

Jezus pragnie, żebyśmy się dzielili, co mamy; trzeba tak robić.

- Beth wydawało się, że Jack rzucił Molly porozumiewawcze spojrzenie, ale nie miało to dla niej najmniejszego znaczenia.

Nie miała zamiaru zmieniać sposobu wychowywania dzieci tylko dlatego,

że będzie teraz częściej widywać Jacka

38

i Molly.

Uśmiechnęła się do Cammie, a potem do Jonaha.

- A poza tym, spójrzcie, kto przyszedł!

Dzieci spojrzały we wskazanym kierunku i twarz Jonaha rozjaśniła się:

- Joey!

- Może wyjdziecie we trójkę i pobawicie się na dworze?

George Brett już tam na waszce; można też pokopać piłkę.

- Beth popatrzyła na Molly.

- Cieszę się, że dom jest ogrodzony od frontu, dzięki temu jest o wiele bezpieczniej.

Zanim zdążyła dodać, że mąż Molly mógłby pomóc teraz Billowi przy grillu, Jack postawił Joeya na ziemi i wziął go za rękę.

- Ja też idę!

- Uśmiechnął się porozumiewawczo do obu kobiet.

- W czwartej klasie byłem mistrzem hulahoop.

- Wysunął palec w kierunku Molly.

- Założę się, że nie miałaś o tym pojęcia.

- O, kurczę!

- Molly zatrzepotała rękami.

- Ależ jamam utalentowanego męża!

- No właśnie!

- Spojrzał na nią wymownie.

- Nigdy tym nie zapominaj.

Beth patrzyła na nich zdumiona.

Molly i Jack byli małżeństwem prawie od dziesięciu lat; czyż kokietyjne żarciki i flirt nie powinny już dotej pory wygasnąć?

A może tego właśnie brakowało między nią i Billem?

Może potrzebowali więcej tego czegoś, co z taką łatwością przychodziło Molly i Jackowi?

Cała gromadka na czele z Cammie dzierżącą swą drogoczną zabawkę

- wymaszerowała i w kuchni zapadła cisza.

Molly wstała, znalazła plastikowy kubeczek i nalała sobie wody.

- Gorąco dziś.

- Wyjrzała przez okno na bezchmurne niebo.

- Wygląda na to, że nadeszło już lato.

39.

- Faktycznie.
- Beth wyjęła z lodówki warzywa i rozdarła plastikowe opakowanie.
- Dzieciom nic nie będzie, jak się pobawią na dworze, prawda?
Nie jest za wilgotno?
Molly roześmiała się i dźwięk jej śmiechu poprawił nastrój Beth.
- To jeszcze nic.
Poczekaj, aż nadejdzie sierpień - wtedy pogadamy, czy bezpiecznie jest bawić się na dworze!
- Słusznie.
- Beth także się roześmiała, ale jej śmiech był nieco wymuszony.
Dlaczego tak trudno jej odnaleźć tę wspólną falę, na której niegdyś nadawały?
Daj spokój' - skarciła się w myślach - Molly ma rację; rozchmurz się.
Wsunęła sobie do ust plasterki ogórka i wyjrzała przez okno.
Bili, zajęty przy grillu nie zdawał sobie sprawy z tego, że Molly, Jack i Joey już przyszli.
Odwróciła się z powrotem do siostry i założyła ręce.
- Bili przyzwyczajają się do nowej pracy.
- Domyślam się.
- Molly wzięła małą marchewkę i umoczyła ją w miseczce z dipem stojącą na środku tacy.
- To łebski gość.
- Dokończyła marchewkę.
- Poza tym wszystko w porządku?
- Tak.
- Beth wzięła kolejny plasterki ogórka.
- Już się zajęłam uaktualnieniem naszych praw jazdy i złożyłam podanie o nowe karty do głosowania.
Molly potrząsnęła głową; uśmiech czał się w kąciakach jej ust.
- Ty się nigdy nie poddajesz, co?
- O co chodzi?
- O prawa jazdy i karty do głosowania.
- Molly zrobiła nieokreślony ruch ręką w powietrzu.
O rozpakowywanie rzeczy, o organizowanie wszystkiego.
- Zaśmiała się krótko.
Czy nigdy nie zdarzają ci się dni, kiedy masz ochotę rzucić wszystko, pójść do klubu i posiedzieć nad basenem?

- No cóż.

- Beth nalała sobie szklaneczkę wody i zerknęła na siostrę.
Być może przyjdzie na to czas.

- Klub mieścił się za ledwie kilka domów dalej; była to jedna z zalet mieszkania w Ashley Heights.

Jednakże Bili, Beth i dzieciaki byli tam tylko raz, i to krótko.

Molly ponownie usiadła na wysokim stołku kuchennymi nieco opuściła ramiona.

- Przepraszam, że nie byliśmy w kościele.

- Może uda się wam kiedy indziej - Beth starała się mówić lekkim tonem.

Uniosła nieco głowę i spojrzała siostrze w oczy.

- Przepraszam, że nie byliśmy na łódce.

Molly uśmiechnęła się.

- A było bardzo miło.

Tomoya ulubiona pora na uprawianie sportów wodnych.

Może uda się wam w przyszłą niedzielę.

- Z przyjemnością.

- Beth czuła, że Molly się stara.

- Bili jeszcze nigdy nie pływał po oceanie - zachichotała.

- Może być śmiesznie, jak nim trochę pohuśta.

- Beth.

- Molly starała się zachować powagę.

- Zachowuj się.

- No przecież się zachowuję!

- Beth przeczesła palcami swoje kręcone włosy.

- Chyba przydałoby się nam trochę wyluzować.

- Może rzeczywiście.

- Molly przekrzywiła głowę.

- Słuchaj, a co to za kościół?

Ten, w którym byliście dziś rano?

- Bethel Bibie.

Stoi o milę stąd - zawahała się, niepewna, co jeszcze powiedzieć.

- Byliśmy też na spotkaniu wśród wieczorem i.

- ...

był wspaniale.

- Molly sięgnęła po kolejną marchewkę.

- Mam rację?

Beth spuściła głowę.

41.

- Skąd ten sarkazm?

-Beth.

- Molly zeskoczyła ze stolika, podeszła do siostry i objęła ją za szyję.

-Przepraszam.

- Zmarszczyła zabawnie nos, tak jak to robiła jako pięcioletnia dziewczynka.

- Po prostu, ja nigdy nie będę taka jak ty.

- Uśmiechnęła się czule.

-Proszę, nie gniewaj się.

- Nie gniewam się.

- Beth zdjęła ręce Molly ze swojej szyi.

Muszę zająć się obiadem.

Nawet teraz, kiedy atmosfera zrobiła się trochę nieprzyjemna, Molly nie przejmowała się zbyt.

Tak jakby minione cztery godziny spędziła w spa, teraz nic nie było w stanie zakłócić jej spokoju.

Dla Beth nie miało to wcale sensu; przecież Molly potrzebowała Boga.

Jeśli ktoś miałby czuć się na luzie, to właśnie Beth, Bili i ich dzieci, a zamiast tego nawet George Brett wydawała się spięta.

Molly usiadła.

Popijając wodę, przyglądała się Beth z nadbrzeżu kubeczka.

Po dłuższej chwili odstawiała naczynie.

- To jak?

Mam rację?

- Co do czego?

-Tego spotkania w środę w kościele.

Mdły oparł łokcie na blacie kuchennym.

- Bardzo ci się podobało, tak?

- Było całkiem miło.

- Beth próbowała się jęczyć, ale nie była w stanie.

Parsknęła śmiechem i dmuchnęła z czoła kosmyk włosów.

Nie potrafiła gniewać się na Molly, ani trochę.

- Tak, było cudownie!

-Wypuściła powietrze i poczuła, że napięcie opada.

- Może w najbliższą środę ty, Jacki Joey moglibyście.

Molly uniosła ostrzegawczo rękę, choć najej twarzy wciąż malował się miły uśmiech.

- Przestań.

Przez chwilę Beth stała zezwieszoną głową.

- Przepraszam.

- Popatrzyła siostrze w oczy.

-Po prostu.

te spotkania w srode maja świetny program dla dzieci i.

-Wiem.

Mam tam przyjaciół.

To dobry kościół, tylko że ja niejestem jeszcze gotowa, żeby tam pójść.

- Chrupnęła kolejną marchewkę, jakby chcąc w ten sposób zakończyć wypowiedź.

Przez jakiś czas przeżuwała ją, uśmiechając się do Beth, a kiedy przełknęła, wyciągnęła ramiona do siostry.

- Kocham cię.

Czy nie mogłybyśmy się umówić, że w tej jednej kwestii będziemy się różnić?

W swoich marzeniach Beth widziała je obydwie nie tylko mieszkające w tym samym mieście, w tej samej dzielnicy, lecz także prowadzące dzieci do tego samego kościoła i wspólnie spędzające niedzielne popołudnia.

Miały dzielić tę samą wiarę i ten sam cel miał im przyświecać każdego dnia.

Jeśli jednak Molly nie była gotowa cóż, przynajmniej były teraz sąsiadkami, mieszkającymi na tyle blisko, by razem spędzać dni takie jak ten.

Uśmiechnęła się do siostry.

Otworzyła usta i uśmiechnęła się, że gryzie się język - był to znak, którego używały, by dać do zrozumienia, że czegokolwiek dotyczy dyskusja, nie warto przecieżyć o towańczyć.

Roześmiały się obydwie, po czym Beth zjrzała siostrze głęboko w oczy.

- Pewnie, że możemy się umówić, że będziemy się różnić.

Usłyszały trzaśnięcie drzwi na podwórzu; do kuchni wszedł Bili z rękoma w wielkich rękawicach kuchennych.

Uśmiechnął się do Molly:

- Jeszcze dobrze nie wysiedliśmy z ciężarówki, a już Beth zapędziła mniedo grilla.

- Właśnie widzę - Molly ześliznęła się ze stołka, podeszła do Billa i uścisnęła go - rękawice kuchenne i w ogóle.

Poklepała Beth po ramieniu.

- Kiedy ja się tu przepro43.

wadziłam, dopiero po dwóch miesiącach znalazłam rękawice kuchenne.

Beth otworzyła lodówkę i wyciągnęła tacę z przygotowanymi hamburgerami.

- Tak, przyznaję: wszystkie pudełkamam opisane.

Wręczyła tacę Billowi.

Co w tym trudnego?

-Cała mojaBeth!

- Bili ucałował ją w policzek.

-Niepozwał siostrze śmiać się z ciebie, kochanie.

Ja taką właśnie ciękocham.

- Rozejrzył siępo kuchni.

-Gdzie Jacki Joey?

- Na zewnątrz- pospieszyła z odpowiedziąBeth, starając się, by nie usłyszał niepokoju w jej głosie.

- Jack pilnujedzieci.

- Aha.

- Biliuniósł nieco tacę zhamburgerami lekkowzruszył ramionami.

W takim razie muszę radzićsobie sam.

Kobiety odprowadziły go wzrokiem.

Po chwili Bethspuściławzrok; kiedy ponownie podniosła oczy,

Mollyprzyglądała się jejuważnie.

- Bili dobrze wie, o co chodzi.

-Wiem.

Przepraszam.

- Molly zmarszczyłabrwii.

Tymrazem nie próbowała szukać jakichkolwiekusprawiedliwień.

- Musimydać chłopakom trochę czasu.

I ta właśniemyśl przyświecałaim przez resztę wieczoru.

Jackprzez cały czas zajmował się dziećmi, szybko wstawał odstolu i wracał tylko po dokładkę swego ulubionego deserutruskawkowego.

Kiedy Molly, Beth i Bili zostawali sami,Molly

próbowałauszowaćzachowanie męża, opowiadając,jakim jest wspaniałym ojcem i jak zawsze potrafi znaleźćczas, by usiąść i kogoś wysłuchać, nawet ją.

- Mówię wam, jak on kochaJoeya!

- Roześmiała siękrótco.

Następnie spojrzała na Billa i oparłszy podbródek

na zwiniętych pięściach, zapytała: - Słyszałam od Beth, że podoba wam się wasza nowa wspólnota.

Bili odłożył hamburgera i otarł kropelkę keczupu z kącika ust.

- Tak, podoba nam się.

- Na pewno są bardzo aktywni.

- Beth nie chciałyby natrętna, ale skoro Molly sama zapytała.

Bili uniósł bułkę z hamburgerem i wsunął do niej kilka frytek.

- Widziałem wczoraj ich stronę internetową.

Mają świetny program wakacyjny pełne trzy tygodnie wypełnione codziennymi zajęciami dla całej rodziny, wyjazdy ewangelizacyjne, praca charytatywna.

- Ugryzł hamburgera i popatrzyła na żonę, unosząc brew.

- Naprawdę?

- Beth rzuciła szybkie spojrzenie na Molly, która uważnie zbierała ze swojej bułki ziarenka sezamu.

Te wycieczki nie bardzo mi się podobają; zawsze może się coś komuś stać.

- Na przykład co?

- Bili już miał wziąć doustki kolejny, ale jego ręką zatrzymała się w pół drogi.

Mnie się wydają świetną zabawą.

- Zabawą?

Pasożyty, choroby, terroryści i gangi uliczne?

- Zdaniem Beth wystarczająco dużo zmartwień i obaw niszczy życie codzienne w West Palm Beach.

Potrząsnęła głową.

Nie, nie, żadnych wyjazdów!

- Cóż.

może jednak zastanów się nad tym.

- Bili przetarł usta serwetką.

- Pod koniec lata wyruszają z pomocą charytatywną na Haiti.

To wyjazd dla rodzin, nawet tych całkiem małymi dziećmi.

- Odłożył hamburgera.

- Taki wyjazd może odmienić całe życie.

- Aha, na wiele sposobów!

- Beth grzebała widelcem w sałatce owocowej.

45.

Rozmowa przygasła na chwilę.

Bili oparł się wygodnie i spojrzał na Molly.

- Jack nie jest głodny?

- Nie sędę.

Znasz go - zaśmiała się nerwowo - nie usiedzi spokojnie nawet przez kwadrans.

Kiedy ostatni byliśmy gdzieś z Joeyem, Jack zabrał się za rzucanie piłką, jeszcze zanim.

Przez kolejną minutę czy dwie opowiadała o Joeyui bejsbolu, ale Beth przestała słuchać.

Molly zawsze miała dla Jacka tysiące usprawiedliwień, jednak bez względu na to, jak bardzo starała się wyjaśnić całą sytuację, prawdą była boleśnie oczywista: Jack nie czuł się dobrze w ich towarzystwie, właśnie ze względu na ich wiarę.

Być może bał się, że Beth i Bili będą próbowali go nawracać.

Napięcie w ich relacjach stawało się nieomal namacalne.

Leżąc już w łóżku, późnym wieczorem Beth rozmyślała nad tym wszystkim: napięte układy z siostrą były ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła. Kiedy Molly mieszkała na drugim końcu Stanów, dzwoniły do siebie co tydzień i doskonale się rozumiały.

Może więc wspólne spędzanie każdego weekendu w celu zaprzyjaźnienia ze sobą ich rodzin nie było jednak najlepszym pomysłem?

Zapach cynamonu unosił się w powietrzu, docierając aż do ich sypialni, ale nie zdołał wyczarować miłej atmosfery.

Bili chrapał oddłuższej chwili.

Beth przymknęła oczy.

Boże, co będzie z moją siostrą?

Ona Cię potrzebuje, ale.

Sam nie wiem.

Może to nie ja mam jej pomóc?

Proszę, pomóż mi.

Nie skończyła jeszcze tej krótkiej modlitwy, a już ogarnęło ją paskudne uczucie, że to czekają ich jakieś kłopoty.

Po dzisiejszym spotkaniu, tak pełnym niezręcznego napięcia, miała wrażenie, że nie tylko cotygodniowe

46

spotkania z Molly i jej rodziną mogą okazać się kiepskim pomysłem.

Być może lepiej byłoby, gdyby nigdy nie przeprowadzili się na

Floryde.

Rozdział IV

Wendy Porter stała przy kuchence i mieszała jajecznicę, kiedy Rip podszedł do niej z tyłu i objął ją w talii.

Pisnęła ze śmiechem i wyłączyła palnik.

-Rip.

Parówki zostały już podgrzane w kuchence mikrofalowej, sok pomarańczowy - nalany do szklaneczek, posmarowany masłem tost czekał na stole.

Wendy odwróciła się i spojrzała mężowi w oczy.

- Mmmm.

Przed chwilą wyszedł spod prysznic, był świeżo ogolony i pachnący.

- Ładnie pachniesz.

- I już jestem przy tobie.

- Delikatnie potarł nosem jej szyję.

- Ta noc była cudowna.

- Całował jej szyję kawałeczek po kawałeczku, a potem wyprostował się na całą wysokość.

Nie był bardzo wysokim mężczyzną, mierzył najwyżej jakieś metr siedemdziesiąt pięć, ale ona miała niewiele ponad metr pięćdziesiąt, i to na obcasach, więc górował nad nią zdecydowanie.

Czuła, że pod jego spojrzeniem drżą jej kolana.

- Mówię otwoim przyjęciu powitalnym.

48

- Rip.

przez ciebie tracę głowę i śmiechnęła się wysunęła z jego objęć.

Było jej gorąco, to nie tylko odgotowania; bez względu na to, jak bardzo Rip był czarujący i jak bardzo pragnął kontynuować wczorajsze świętowanie, musieli przecież porozmawiać.

Gdyby dowiedziawsię o dziecku od Brenta czy Bubby, nigdyby jej nie wybaczył.

Zaniósł szklanki z sokiem na stół.

- Tak sobie pomyślałam, że pierwszego ranka nawolności pewnie miałbyś ochotę na prawdziwe domowe śniadanie.

- To mi się podoba!

Moja Wendy!

Idealna gospośnia!

- Wziął patelnię i zsunął jajecznicę do miseczki.

- Samnie wierzę, że jeszcze wiem, co gdzie tutaj leży.

Wendy przeniosła wzrok na patelnię.
Przez myśl przemknął jej obraz innych mężczyzn, których podejmowała w
tej samej kuchni.

Gdyby Rip się o nich dowiedział, nie byłoby żadnego gadania.

Już podjęła decyzję, że nie przyzna się do żadnej zdrady.

Ale w kwestii chłopca.

Rip coś mówił.

Wendy próbowała skupić całą uwagę.

-... .

kiedy wstałem, i jasna sprawa, najpierw sprawdziłem ogłoszenia.

No i proszę-jest!

W Cleveland Regal Cinemas potrzebują kierownika - przysunął krzesło do
stołu i uniósł górę ręce.

-Wszystko się pięknie układa.

Kierownik kina?

Rip nigdy wcześniej nie pracował na stanowisku kierowniczym, w dodatku
przecież dopiero cowyszedł z więzienia.

Wendy starała się opanować mimikę, żeby jej wątpliwości nie były zbyt
widoczne.

Właściwie.

może to całkiem możliwe?

Przy jego uroku osobistym, i w ogóle.

Uśmiechnęła się.

- To świetnie, Rip!

- Pociągnęła łyk soku.

-Możesz do nich zadzwonić zaraz po śniadaniu.

49.

- To jeszcze nie wszystko.

- Nałożył sobie sporą porcję jajecznic.

Mają całą listę posad w branży samochodowej.

I to tutaj, niedaleko.

Wendynie słuchała.

Wzięła nieco jajecznic, ale popierwszym kęsie straciła apetyt.

W ciągu kilku godzin wiedowiedziała się o zmianach, jakie zaszły w jej mężu.

Podobno znalazł wiarę tak przynajmniej twierdził przeszedł jakąś terapię oraz brał udział w zajęciach, które w więzieniu nazywano "radzenie sobie z atakami furii".

Nadchodził więc moment sprawdzenia tego wszystkiego w praktyce.

- Rip.

- Podniosła wzrok i napotkała jego spojrzenie.

Patrzył na nią zdumiony, z szeroko otwartymi ustami.

Najwyraźniej przerwała mu w pół słowa.

Och.

przepraszam.

- Odłożyła widelec.

Ręka jej drżała.

- Mów dalej.

Rip zawahał się.

- Nic nie szkodzi, kotku - rzucił jej szybki uśmiech.

Widocznie to coś ważnego.

Odłożył nadgryziony tost.

Co cię trapi?

- Widzisz.

- Wendy starała się uśmiechnąć, ale czuła, że tylko niezdarnie wykrzywia usta.

Wypuściła głośno powietrze.

Bolał ją żołądek, miała wrażenie, że ktoś ścisnął go z całej siły i bezlitośnie skręcał.

Muszę ci coś powiedzieć.

- jej głos brzmiał teraz cicho, nieśmiało

.. .

chciałam ci powiedzieć, jak tylko wyjdiesz.

Rip zamarł bez ruchu; uśmiech miał wciąż przyklejony do ust, ale wyraz jego oczu się zmienił.

Malowałaś w nich mieszanka strachu i ciekawości, zapowiedź gniewu, a potem także rozmyślnie narzucana sobie cierpliwość.

Każde z tych uczuć widać było jak na dłoni, ale mimo wszystko jedyną oznaką, że coś jest nie w porządku, był sposób, w jaki trzymał szklankę z sokiem - ścisnął ją

50

tak mocno, że aż mu pobieleły kostki.

Tak jak za każdym razem, gdy miał zamiar cisnąć czymś ścianę.

- Czy ty.

eee.

zaśmiał się krótko i odstawił szklankę.

- Czy ty mnie zdradzałaś, Wendy?

- Nie!

Rip, nie!

To zupełnie nie o to chodzi, wcale, absolutnie o to!

- Wendy potykała się własnymi słowami.

- Nie ma żadnego innego, daję słowo!

Przełknęła głośno ślinę.

Nie poprosił, żeby mówiła dalej, ale teraz nie miała już wyboru.

- Nie o to chodzi.

- Wzięła widelec i dziobała nim parówkę.

Po chwili podniosła na niego wzrok.

- Pamiętasz, jak cię wtedy zamknęli?

- No pewnie.

Najgorszy dzień w moim życiu.

- Zdawało się, że Rip odetchnął z ulgą nie spotykając się z inną dziewczyną, więc czemu się jeszcze przejmować, no nie?

Pociągnął kolejny łyk soku.

I co?

- No właśnie.

- Znowu odłożyła widelec.

Czemu tu tak duszno?

Wstała, podeszła do okna nad zlewem i otworzyła je szeroko.

O, już lepiej.

Przeszła kilka kroków i usiadł z powrotem przy stole.

Rip wziął kolejny tost, ugryzł i zaczął przeżuwać.

- No więc, o co chodzi?

- zaśmiała się.

-Kiedyś niemogłem cię skłonić, żebyś się przymknęła, a teraz co?
Mowęci odjęło?

Wendy zcałych sił przycisnęła zwinięte wpięści dłoni do brzucha, żeby choć trochę zmniejszyć ten koszmarny ucisk w środku.

- Parę tygodni potem, jak ciężamknęli, miałam opóźnienie.

.. Przerwała, licząc nato, że się domyśli.

- Opóźnienie?

- Rip nałożył sobie porcję jajecznicyna tost, zgiął go wpół, poczym jednym kęsem odgryzł większą część kanapki.

Opóźnienie wczym?

51.

- Rip - Wendy mówiła teraz głosem przepelnionym bólem; mąż nie ułatwiał jej sprawy.

- Okres mi się opóźniał.

Rip nadal przeżuwał, lecz jego ruchy spowolniały.

- Znaczy, że co?

-No..

- Wypuściła ze świstem powietrze i zakryła twarz dłońmi.

Kiedy znów na niego spojrzała, potrząsnęła głową.

Dlaczego nie powiedziała mu wcześniej?

- Zrobiłam test.

Wskazało się, że jestem w ciąży.

Przez chwilę wydawało się, że czas stanął w miejscu.

Rip wpatrywał się w nią nieruchomym spojrzeniem.

- Że co?

-Byłam w ciąży, Rip.

- Wendy oparła dłonie na stole.

- Zaszłam w ciążę tuż przed twoją odsiadką.

Osiem miesięcy później.

- głos jej się załamał - .

.urodziłam dziecko, chłopca.

- Chłopca?

- Rip wydał dziwaczny dźwięk, na poły śmiech, na poły wyraz konsternacji.

- I chowasz go przedemną?

- Rozejrzał się po kuchni, zajrzał pod stół.

-To gdzie on jest?

Wendy jęknęła.

Odchyliła głowę do tyłu.

Dasz sobierade.

No już, dokończ!

Spojrzała na Ripa.

- Oddałam go do adopcji.

Do pewnej rodziny na Florydzie.

Rip upuścił tost.

Jajecznicą rozprysła się na podłodze.

- Co takiego?

Miała wrażenie, że pokryta linoleum podłoga rozplywa się pod jej stopami.

- Ja.

oddałam go, Rip.

- Nie zdając sobie z tegosprawy, podniosła głos.

-A comiałam zrobić?

- Czekaj!

- Rip odsunął krzesło.

Przez chwilę stał bez ruchu, nie oddychał, nie odzywał się.

- Oddałaś.

- zniżył głos do szeptu - .

.oddałaś MOJEGOSYNA?

52

- Rip!

- Strach jak ołowiany kocotulił Wendy, prawie uniemożliwiając jej oddychanie.

Rip zaraz wybuchnie gniewem, była tego pewna; uwolni całą swoją żąłość - jak grad pocisków, jak wybuch bomby i możliwe, że tym razem nie uda jej się tego przeżyć.

Wstała i zaczęła oddalać się małymi kroczkami.

- Nie miałam wyboru!

Ty byłeś w więzieniu, a ja.

- Przestań!

- Rip podniósł dłoń do góry.

Zazwyczaj w tym właśnie momencie wybuchał, ale teraz w jego oczach malowała się mieszanka zdumienia, złości i strachu.

Wbił wzrok w talerz zezjedzoną do połowy jajecznicą i tostem, jakby starał się dopasować elementy układanki, które nie chciały jednak utworzyć żadnego obrazu.

Podłuższej chwili popatrzył na nią spod przymrużonych powiek.

Czy przypadkiem nie powinienem był czegoś tej sprawie podpisać?

- mówił szybko, oddzielając słowa.

Wendy miała wrażenie, że brzmią jak tykanie bomby zegarowej.

- Czy oboje rodzice nie powinni podpisać papierów, kiedy oddają dziecko do adopcji?

Wendy, zrobiwszy kilka kolejnych kroków, doszła dościany.

Otworzyła usta, ale nie była w stanie wydobyć sobie żadnego dźwięku.

To była najgorsza wiadomość, najtrudniejsza do przekazania.

Musiała powiedzieć prawdę, inaczej Rip dowiedziałby się sam, a wtedy wtedy nie uszłaby z życiem.

Splotła palce i wbiła wzrok w podłogę, gdzieś obok swoich stóp.

Jak mogłam być taka głupia, żebymyśleć, że tomi się upiecze?
Spojrzała mu woczy.

- Ja.

ja podpisałam za nas oboje.

Jakby podpaliła lont.

ip zerwał się na równe nogi.

- Chyba żartujesz!

- Zbliżał się do niej szybkimikrokami,które nie zapowiadały niczego
dobrego;

spojrzenie miał mroczne i twarde.

Był terazo krok od niej.

Widziała

53.

tłusta okruszyny z tostu na jego ustach.

Odezwał się przez zaciśnięte usta: - Podpisałaś za mnie?

Żeby móc oddać MOJEGO SYNA do jakiejś rodziny.

na Florydzie?

Szybko skinęła głową.

- Tak, Rip.

- Z każdym zdaniem brzmiał coraz groźniej, coraz bardziej nieufnie.

Rozległ się bulgot zaparzonej w ekspresie kawy, ale tym razem zapach jej nie był miły.

Zrobiła się jej od niego niedobrze.

- Nie miałam wyboru.

- No właśnie.

- Uniósł pięść i Wendy już niemal czuła.

Jak jej otwartości miażdżą jej czaszkę; czuła, że zaraz osunie się na podłogę.

Ale cios nie nastąpił - w ostatniej chwili pięść Ripa skrzyła odrobinę i przebiła nawłot ścianę, zaledwie kilka centymetrów od jej twarzy.

Wyśliznęła się w bok, byle dalej od zagrożenia, byle dalej od męża.

Następny cios bez wątpienia będzie przeznaczony dla niej.

Zerknęła spod przymrużonych powiek, zbyt przerażona, by popatrzeć wprost.

Zasłoniła twarz dłońmi, próbując jakoś się ochronić i stworzyć coś na kształt muru obronnego pomiędzy sobą i Ripem.

Ale i tym razem cios nie nastąpił.

Po kilku sekundach otworzyła oczy i spojrzała na niego.

Uwalniał właśnie rękę z walącej się ścianki działowej, strząsając z siebie pył i gruz.

Jego plecy zgarbiły się, a ramiona opadły bezwładnie po bokach.

Zwiesił głowę i odezwał się powoli, matowym głosem:

- Co ja robię?

- zapytał sam siebie.

Odsunęła się od niego jeszcze o kilka kroków.

- Wendy zmarszczył brwi i wbił w nią wzrok miałem nigdy więcej tego nie robić.

Nigdy.

- Przepraszam.

- Teraz dzieliły ich co najmniej dwa metry.

- Ja.

Rip.

byłeś wtedy w więzieniu.

- Drżała

54

tak, że aż szczękały jej zęby.

- Nie wiedziałam, co robić.

Sama nie dałabym rady wychowywać dziecka, więc zainteresowałam się adopcją i.

Znów uniósł dłoń.

- Wiem.

- Miał zakrwawione kostki prawej dłoni.

Przycisnął pięść do koszuli na piersiach.

Usłyszała, jak głośno syknął.

Cały się trząsał; jego gniew próbował znaleźć jakieś pokojowe ujście.

Był blady, na czole perliłymi się kropelki potu.

Spojrzał jej w oczy.

- Przepraszam cię.

- Podniósł zakrwawioną rękę.

- Nie chciałem.

- Zdrową ręką zakrył twarz i jęknął.

- Nie powinienem był.

Bardzo cię przepraszam.

Wendy odetchnęła.

Możenie będzie jej bił ani przewracał.

Wyprostowała się odrobinę.

Co prawda, to prawda

- zawiniła względem Ripa.

Powinna była wziąć papiery adopcyjne do więzienia i na wszystkie sposoby próbować przekonać go, żeby zgodził się oddać chłopca do adopcji.

Ale wówczas.

- Nie powinnam była podpisywać za ciebie.

-Czekaj.

- Powoli, powoli w Ripie zaczynała świtać nadzieja.

Wyraz jego twarzy się zmienił.

- Wiesz co?

- jego oczy na nowo rozbłysły życiem, pojawiła się w nich iskierka podniecenia.

- Może jeszcze nie jest za późno?

Nie jest za późno?

Czy on zwariował?

Chłopiec ma już jakieś cztery lata, jesienią skończy pięć.

Mieszka z tymimiłymi ludźmi z Florydy, odkąd ukończył kilka dni.

Wendy i Rip nie mogą teraz ot tak zadzwonić i powiedzieć: Hej, zmieniliśmy jednak zdanie, wróciliśmy więc razem po naszego syna.

Zastanawiała się intensywnie.

A może mogą?

Nie, nie mogą - jasne, że nie.

Musi o tym powiedzieć Ripowi, zanim on umocni się w nadziei.

55.

- Rip, nie oddaje się dzieci tak po prostu.
Chłopiec myśli, że to ONI są jego rodziną.

Rip zamasztył gestem wystawił w górę środkowy palec.
Gniew minął, ale napięcie w jego głosie, słowa, jakich używał,
wystarczyły, by wciąż się go bała.

- Ja nie podpisałem żadnych papierów.

- Podeszedł do telefonu i podniósł słuchawkę.

- Załatwiało to przez pośrednika adopcyjnego, tak?

- Popatrzył na klawiaturę telefonu.

- Z kim mam tam rozmawiać?

- Rip!

- Do Wendy nagle dotarło, co zamierza zrobić jej mąż.

- Nie możesz zadzwonić i powiedzieć, że sfałszowałam twój podpis.

Zadzwoń na policję, a wtedy ja z kolei pójdę siedzieć!

Nie powiedział na głos, że dobrze by jej to zrobiło, ale jego spojrzenie
było wymowne.

Odłożył słuchawkę i potarł podbródek.

- Musi być jakiś sposób!

- Zrobił kilka kroków w jej stronę, obrócił się i znów ruszył w kierunku
telefonu.

- Potrzebujemy dobrego planu.

jakiejś historyjki.

czegoś, w co nam uwierzą.

W ciągu wszystkich lat znajomości z Ripem Wendy poznała tylko
dwie jego strony: dobroć pełną miłości i płomienną furję.

Ale teraz widziała, jak ogarnia go istota zaleźstwo - tak był determinowany,
by sprowadzić swego syna do domu.

Jakby go coś napędzało; jak tonącego coś musza, by resztką sił zaczerpnąć
jeszcze jeden oddech.

Przysunęła się nieco.

- Ty mówisz poważnie.

- Chwyciłam mocno brzeg blaty kuchennego.

Przez jedno mgnienie oka gniew znów błysnął w jego spojrzeniu, lecz
zaraz minął, a Rip odezwał się tonem nieomal obojętnym:

56

- Tak, mówię poważnie.

- Przysunął twarz do jej twarzy.

- Gdzieś tam pałęta się mój jedyny syn - machnął ręką w kierunku okna.

- Oddałaś go, nie pytając mnie o zgodę, więc tak.
mówię jaknajbardziej poważnie!

Cofnął się, a na twarz wypłynął muzmęczony uśmiech.

- Chcę ci wybaczyć - mówiąc to, wyciągnął szyję, jakby akt przebaczenia przychodził mu z równą łatwością co przelknięcie w całości indyczej nogi.

Wskazał na telefon.

-Ale zadzwonię tam.

I powiem ci, że tak, owszem, chcę go z powrotem.

-Oparł się zimpetem o blat, tak że ich łokciami zetknęły.

- I to im szybciej, tym lepiej.

Przejechał włosy palcami - wykonywał taki gest zawsze, gdy coś go niepokoiło.

Nigdy jednak nie zachował się tak, jak przed chwilą podczas kłótni - nigdy nie potrafił się w porę opanować.

Spojrzał na żonę, uśmiechnął się półgębkiem i poklepał ją po ramieniu.

- Idę na spacer.

- Mrugnął do niej.

-Terapia radzenia sobie z gniewem.

Wendy patrzyła, jak się oddala.

Kolana przestały jej drżeć, jeszcze zanim wyszedł.

Nawet nie zauważyła, że Tygrysek - ich kot - od jakiegoś czasu ociera się o jej kostki.

Stał z wzrokiem wbitym w drzwi i szeroko otwartymi ustami, niepewna, co zrobić czy powiedzieć.

Czy on mówił serio?

Czy naprawdę, usłyszawszy właśnie najgorszą wiadomość w życiu, uśmiechnął się do niej i postanowił pójść na spacer?

Na SPACER?

Odkąd się znali, Rip Porter nieustannie składał jej rozmaite obietnice.

I ani razu nie dotrzymał słowa: nigdy nie trzymał się z dala od łatwych pańienek, nigdy nie porzucał butelki na dłużej niż trzy miesiące i nigdy - przenigdy nie potrafił panować nad rękami, kiedy był na nią wściekły.

Aż do tej pory.

Owszem, uderzył w ścianę, ale przecież

gniew nieodłączny towarzysz całego jego życia nie od razu można było całkowicie wykorzenić.

Dawniej wszystkie ciociosy spadały na nią.

Wendy zamrużyła powiekami i powędrowała spojrzeniem w kierunku dziury, którą przed chwilą wybił Rip.

Jest - dziura jak byk.

Więc może faktycznie te więzienne zajęcia na coś się przydały i teraz jej mąż potrafi już opanowywać swój gniew, nie uciekając się do bicia?

W myśli zabrzmiały jej słowa Ripa: "Chcę go z powrotem. .. im szybciej, tym lepiej".

Poraz pierwszy Wendy również zaczęła się nad tym zastanawiać.

Rip ma trochę racji; skoro jego podpis został sfałszowany, to dokumenty są jednym wielkim kłamstwem.

Fałszywe, niezgodne z prawdą - tak to się chyba nazywa.

Mocniej uchwyciła się kuchennego blatu.

Czy naprawdę mogliby to zrobić?

Wymyślić jakąś historyjkę, która tłumaczyłaby, dlaczego podpis Ripa został sfałszowany, a jednocześnie nie pozwolić, by spotkał ją za to kara?

Pomyślała o dziecku - o tym, jak mały wyglądał i pachniał, gdy kilka lat temu trzymał ją w ramionach.

I nagle w przyływie poczucia straty, żalu i miłości głębszej niż morze - wszystko do niej wróciło: każda chwila, każde wspomnienie.

Wydawało się jej, że nie stoi w kuchni ich małego, dwupokojowego domku, wdychając zapach gotowanych parówek i mocnej kawy, lecz że jest w szpitalu i robi tę jedną rzecz, której pracownica ośrodka adopcyjnego zalecała jej nie robić: tuli w ramionach swojego nowonarodzonego synka.

Rozdział V

Po wyjściu Ripa Wendy pograżyła się we wspomnieniach.

Wciągała ją z siłą, której nie potrafiła się oprzeć.

W mgnieniu oka przepadło gdzieś ostatnie cztery i pół roku i oto znów leżała na szpitalnym łóżku, tuż po wydaniu światła synka.

Miał włoski jasne i delikatne jak puszek na brzoskwini, a jego buzia była idealnie okrągła.

Alenajbardziej utkwiły jej w pamięci oczy - nigdy ich niezapomni - jasnoniebieskie, nieomal przezrocyste.

A kiedy go trzymała, tuląc dopiersi jego ciepłe, małe ciało i wpatrując się

w niego, teoczydawały się zaglądać wprost do jej serca.
Gdyby potrafił mówić, pewnie powiedziałby: "Mamusiu, nie oddawaj
mnie nikomu.

Nic nie szkodzi, że będziemy sami - tylko ty i ja".

Wyciągnęła do dziecka palec, a ono chwyciło go z taką siłą, jakby
pragnęło uczynić wszystko, co w jego mocy, żeby tylko z nią zostać.

Ale przecież musiała go dać, czyż nie?

Bo jakie życie mogła mu zaproponować?

Pracował w dwóch miejscach, żeby jakoś związać koniec z końcem, więc
prawie wcale go nie widywała.

A Rip?

Gnił właśnie w więzieniu.

59.

A jednak.

Szalona, nierozważna miłość zaczęła się wtedy zakorzeniać w jej sercu, drążąc głęboko, aż do samego dna duszy.

Było to uczucie tak silne, że aż zaparło jej dech w piersiach, a do oczu napłynęły łzy.

A mozesama miłość wystarczy?

Jeśli maleńki potrafił wzbudzić w niej tyle uczuć ciągu jednego za ledwie dnia, to znaczy, że kochałaby go bezgranicznie, i w czasie tych kilku godzin spędzanych z nim codziennie byłaby w stanie okazać mu więcej miłości, niż inne matki siedząc ze swymi dziećmi dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Przez trzy szalone godziny miotała nią sprzeczne uczucia.

Kilka razy zajrzała do niej pielęgniarka, pytając, czy może chciałaby odpocząć i oddać dziecko pod jej opiekę, ale za każdym razem Wendy tylko unosiła dłoń i potrzasała przecząco głową.

Chciała pobyć ze swoim synkiem.

Nikt niema prawa im przeszkadzać, aż do chwili, gdy sama zdecyduje, że jest gotowa.

Wreszcie, po prawietrzeh godzinach, przypomniała sobie, z jakiego przede wszystkim powodu trafiła do ośrodka adopcyjnego: tym powodem były pięści Ripa Portera.

Wciąż jeszcze czuła jego uderzenia; pamiętała, jak pewnego razu złamał jej obojczyk, a kiedy indziej pod jego ciosem pękł jej oczodół.

Rip nawet nie odsiedział za to żadnej kary.

"Gorszy dzień" - mawiał o takich zdarzeniach.

Co więc mogłoby się stać, gdyby wyszedł z więzienia i miał swój "gorszy dzień", a ona trzymałaby w ramionach ukochane maleństwo?

W gazetach roiło się od historii takich facetów jak Rip i dzieciach takich jak ten mały chłopczyk.

Były to informacje na kilka za ledwie linijek w dziale wiadomości, gdzieś na piątej stronie: "Niemowlę zmarło na skutek śmiertelnego pobicia".

Wendy poczuła

60

mdłości, po jej policzkach stoczyły się dwie wielkie łzy.

Jeżeli zatrzyma dziecko, Rip pewnego dnia wróci do domu, a ona - jak zawsze - przyjmie go.

Nie potrafiła go nie kochać.

A dziecko będzie wówczas jeszcze jedną osobą, na której Rip będzie

mógłwyładowywać swą wściekłość.

Będzie jeszcze jednym celem, który nawinie mu się podrękę, gdy będzie miał "gorszy dzień".

Przytuliła dziecko z całej siły i kołysała je w ramionach.

Oczy synka mówiły jej, co on czuje: należał do niej, pragnął, by zabrała go do domu i kochała - już na zawsze.

Ale nie mogła tego zrobić, mając Ripa za towarzysza życia.

Zaczęła szlochać, cicho i rozdzierająco.

"Synku, przepraszam.

Muszę.

muszę cię oddać".

Po chwili, szybko, żeby przypadkiem nie zmienić decyzji, zadzwoniła po pielęgniarkę.

Kiedy ta pojawiła się w pokoju, Wendy po raz ostatni ucałowała synka i podała go kobiecie.

- Proszę go wziąć.

Ktoś z ośrodka adopcyjnego czeka już w holu.

Pielęgniarka zawahała się, lecz Wendy machnęła nanią ręką, pokazując, by już poszła.

- Proszę.

Muszę to zrobić.

Jeszcze tego samego popołudnia pracownica ośrodka adopcyjnego przyszła do jej pokoju i przyniosła dokumenty.

Nazywała się Allyson Bower; jej oczy patrzyły poważnie, skrywając historię życia, do której kilkakrotnie zrobiła jakąś aluzję, ale nigdy nie opowiedziała Wendy, co tak naprawdę ją spotkało.

Nazwisko tamtej kobiety - tak jak pozostałe szczegóły owego dnia - na zawsze wryło się w pamięć Wendy.

Kiedy Wendy pożegnała się z dzieckiem, Allyson przysnęła sobie krzesło do jej łóżka i usiadła.

Przez dłuższą

61.

chwilę patrzyła bez słowa, po czym westchnęła i zadała pierwsze pytanie:

- Pani mąż jest nadal w więzieniu, tak?

- Tak.

- Wendy czuła się kompletnie pusta, jakby coś w niej umarło.

Tak bardzo pragnęła jeszcze raz przytulić synka.

Coś jej podpowiadało, że ta tęsknota będzie jej towarzyszyć przez resztę życia.

Poza Cleveland.

Kobieta wskazała na zaznaczone miejsca w dokumentach:

- Potrzebuję jego podpisu, żeby mogli państwo zrzec się praw rodzicielskich.

- Dobrze.

- Wendy mocno zacisnęła powieki.

Zgięty palec przycisnęła do ust, żeby się nie rozplakać.

Dziękuję.

- Wendy.

- Allyson Bower umilkła na moment.

- Czy przemyślałaś swoją decyzję?

- Tak.

- Wendy popatrzyła kobiecie w oczy i zagryzła wargi.

Czy powinna jej powiedzieć prawdę, podać prawdziwy powód, dla którego nie może zamieszkać z tym pięknym dzieckiem?

Po chwili, nie zastanawiając się, rozchyliła nieco szpitalną koszulę, by pokazać Allyson siniec na obojczyku.

Rana jeszcze całkiem się niewygoiła.

- Widzi pani?

Gdy pracownica ośrodka uświadomiła sobie, na co patrzy, jej spojrzenie stężało:

- Mąż ci to zrobił, tak?

- Tak.

- Naciągnęła z powrotem koszulę.

- Pozostałe blizny już się zagoiły.

- Łzy przesłoniły jej wzrok.

Przynajmniej te na ciele.

- Wendy.

- Allyson wzięła ją za rękę i przez jakiś czas siedziała zezwieszoną głową.

- Kiedy podniosła wzrok,

w jej oczach malowało się zrozumienie.

- Dlaczego minie powiedziałaś?

Wendy uniosła ręce do góry, łzy spływały jej po policzkach.

- On odsiaduje wyrok właśnie zaprzemoc domową.

Apani co myślała?

- Powiedziałaś, że popchnął cię na parkingu przedsupermarketem.

Allyson wyglądała przygnębiona.

- Czy zgłosiłaś, że cię bije?

-Nie potrafię.

- Wendy łamał się głos.

Przygryzła wargę i potrząsnęła głową.

Nie mogłabym tego zrobić, kocham go.

Gdzieś w oddali zapłakało dziecko i Wendy zastanawiała się, czy to może jej synek.

- I dlatego nie mogę.

pozwolić, by dziecko mieszkało z nami.

Na twarzy Allyson widać było zatroskanie.

- A twój mąż?

- Podniosła teczkę z dokumentami.

- Co, jeśli on nie będzie chciał podpisać?

-Podpisze.

- Serce Wendy biło jeszcze szybciej niż przed chwilą.

Rip zabiłby mnie, gdyby wiedział, co robię

- pomyślała.

Nie podpisałby tych papierów nawet za milion dolarów.

Odkąd go znam, zawsze pragnęłam mieć syna.

Wierzchem dłoni otarła łzy.

Nie znosi dzieci.

Za tydzień dostarczę dokumenty.

Allyson nabrała powietrza i wypuściła je powoli.

Wstała.

Widać było, że miotają ją emocje - przede wszystkim słuszny gniew.

- Twój mąż wyrządził ci wielką krzywdę.

Mogę zapisać cię na terapię; będziesz mogła przychodzić na spotkania nawet codziennie.

Warto podjąć wszelkie kroki, byle tylko wyrzucić go z twojego życia.

Wendy miała wrażenie, że tykanie zegara ściennego nagle stało się głośniejsze.

Jedyna słuszna odpowiedź była oczywista: powinna się zgodzić.

Otrzymałaby wówczas pomoc i pozbyła się Ripa Portera raz na zawsze.

Ale, na ile znała swojego męża, oni tak znalazłby jakiś sposób, by powrócić do jej życia.

- To jak.

- Allyson dotknęła jej ramienia.

- Mogę zadzwonić i cię umówić?

Wendy spuściła wzrok na dłonie i dopiero teraz spostrzegła, że zacisnęła je w pięści.

Potrząsnęła głową, nie podnosząc oczu.

- To nie ma sensu.

Nigdy się go nie pozbędę.

Jeszcze przez chwilę Allyson próbowała ją przekonać, ale Wendy trwała przy swoim.

Nie mogła narażać dziecka na kontakt z Ripem, ale też nie mogła się zgodzić na terapię mającą jej pomóc w uwolnieniu się od problemu, do którego przecież i tak będzie powracać.

Wreszcie Allyson zabrakło argumentów.

- Przykro mi, Wendy.

- Wzięła teczkę i ruchem głowy wskazała na dokumenty.

Muszą zostać podpisane i dostarczone do mnie jak najszybciej.

Małżeństwo, które chce adoptować chłopca, będzie tutaj pod koniec tygodnia.

Dotego czasu mały będzie w tymczasowym domu dziecka.

Małżeństwo.

Nowi rodzice jej syna.

Wendy wybrała ich z narodowego banku danych.

Ich życiorysy wydały się jej najodpowiedniejsze jako jedyne przemówiły do jej serca.

Zachowała tamte życiorysy leżały teraz schowane w teczce na najwyższej półce szafy na ubrania.

Wyszła z kuchni, podeszła do drzwi wejściowych, a potem wyjrzała przez okno w salonie.

Ripa nigdzie nie było widać.

I tak musi przecież znaleźć tę teczkę, i to teraz, by mieć ją na

zawołanie, kiedy Rip wróci do domu.

Znajdowały się tam wszystkie dokumenty - zdjęcia, informacje o przybranych chrodzicach, szczegóły dotyczące narodzin chłopca. Nawet kopiasz fałszowanych dokumentów.

Podeszła do szafy i otworzyła drzwi.

Co roku 22 września - w dzień urodzin swego syna - Wendy wyciągała teczkę z górnej półki i starała się przekonać siebie samą, że podjęła słuszną decyzję.

Czasem zaglądała do teczek w przypadkowej dni - na przykład w marcu czy w czerwcu, albo tuż przed Bożym Narodzeniem; kiedy tęskniła za Ripem albo kiedy zastanawiała się, czy jej synek już chodzi, biega, mówi.

Sięgnęła na półkę ostrożnie wyciągnęła teczkę.

Pachniała papierosami, co było wystarczającym dowodem, że nie potrafiła przebrnąć przez jej zawartość bez odpalania jednego papierosa od drugiego.

Na okładce napisano:

"Teczka adopcji Portera".

Wendy przeczytała te słowa trzykrotnie.

W ustach jej zaschło, serce nagle ruszyło galopem.

Usiadła po turecku na podłodze i otworzyła teczkę.

Spojrzała na twarze całej trójki na zdjęciach.

Dowewnątrz strony okładki przypięta była fotografia jej synka - jedyna, jaką posiadała.

Delikatnie wysunęła zdjęcie spod spinacza i przybliżyła do oczu.

W pamięci wciąż słyszała dźwięki, jakie wydawał tuż po urodzeniu; wciąż pamiętała uścisk jego małych paluszków.

- Jak cię nazwali, maleńki?

Ostrożnie i czule przybliżyła zdjęcie do ust i ucałowała

- Czy powiedzieli ci o mnie?

W chwilach takich jak ta ból był wprost niedo zniesienia.

Wsunęła fotografię z powrotem pod spinacz i zmusiła się do przeniesienia wzroku na pierwszą stronę dokumentów złożonych w teczkę.

Były to listy przybranych chrodziców chłopca.

On miał wtedy trzydzieści lat, ona

65.

- dwadzieścia osiem.

Kobieta była ciemnowłosą wersją Kate Hudson, miała roześmiane oczy i beztrojski wyraz twarzy.

Mężczyzna przypominał jej trochę Ripa - takie same zaokrąglone ramiona i ciemnoblonde włosy.

Bez wątpienia dobrze im się powodziło.

On zajmował się interesami na międzynarodową skalę i w ciągu roku zarabiał więcej niż Wendy przez dziesięć lat.

Jego uśmiech przywołał na myśl czar i wdzięk Ripa, ale ten człowiek najwyraźniej potrafił spożytkować swój urok osobisty na coś więcej niż tani jednorazowy podryw.

Mieli dwupiętrowy dom nad brzegiem jeziora w południowo-zachodniej Florydzie.

Posiadali łódź, piękne samochody i to wszystko, czym zazwyczaj otaczają się ludzie zamożni.

Ale nie ich wygląd ani sytuacja materialna zachwyciły Wendy, lecz to, co sam o sobie napisali.

Przesunęła wzrok niżej i zaczęła czytać.

Cześć!

Mam na imię Jack.

Pracuję w Reylco Inc.

, gdzie jestem dyrektorem nadzorującym międzynarodowe transakcje sprzedaży środków farmaceutycznych.

Reylco jest największą w świecie firmą dostarczającą leki na raka.

To tyle, jeśli chodzi o sprawy całkiem nudne.

A oto reszta.

Mam nienormowany czas pracy.

Owszem, dużo podróżuję, ale przynajmniej w połowie podróży towarzyszy mi żona, a kiedy będziemy mieć dzieci, ja także będę zabierał ze sobą.

Lubię podróżować, ale w domu jest o wiele lepiej.

Uwielbiam sobotnie przejażdżki na rowerze i niedzielne popołudniowe mecze, a w tygodniu zapach spaghetti przygotowanego przez moją żonę.

O, tak, moja żona często robi spaghetti, a czasami przypala bagietki, ale i tak ją kocham.

Nie ożeniłbym się z nią, gdybym chciał jadać wykwintne dania.

Ludzie uważają, że jestem godny zaufania i konserwatywny w poglądach, i pewnie tak jest.

Pedantycznie prze-

66

strzegam używania pasów bezpieczeństwa, kasków ochronnych i kamizelek ratunkowych.

Z tym właśnie wiąże się nasz mały sekret: czasami Molly i ja spuszczaemy na wodę nasz motorówkę i odpalamy silnik na całą moc.

Apotem prujemy w ciemności, czując wiatr we włosach, a przed oczyma mamy rozgwieżdżone niebo.

Wiem, wiem to trochę niebezpieczne.

Ale wtedy, na jeziorze, cały świat wielkiej korporacji, dla której pracuję, zostaje gdzieś daleko i jesteśmy tylko my kochający życie i siebie nawzajem, intensywnie przeżywający każdą chwilę.

W pracy jestem zupełnie innym człowiekiem.

Moi współpracownicy zdziwiliby się, gdyby usłyszeli o tych nocnych escapadach na łódce.

W każdym razie powinienem powiedzieć, że jestem romantykiem.

Komponuję i gram na gitarze, a kiedy nikogo nie ma w domu, śpiewam ile sił w płucach.

Niekiedy marzym się, żeby rzucić wszystko w diabły całą firmę, długie godziny spędzane w pracy, wielkie wymagania, i zabrać swoją rodzinę gdzieś daleko, daleko.

Zamieszkalibyśmy na jakiejś opuszczonej plaży, na wyspie na środku oceanu;

popijałbym tam mrożoną herbatę malinową i przez cały dzień pisał piosenki.

Ale może zachowam ten pomysł na któreś wakacje.

To właśnie romantyczna strona mojej natury.

Pewnego razu udało mi się wywabić moją żonę przed dom, kiedy sądziła, że jestem w podróży służbowej do Berlina.

Przygotowałem wcześniej odtwarzacz, a kiedy wyszła przed dom, uniosłem w górę kartkę z napisem: "Może zatańczymy?"

". Tamtego wieczoru śmiałyśmy się, patrzyłyśmy sobie w oczy i tańczyłyśmy walca na ganku naszego domu.

Po kwadransie wręczyłem jej odtwarzacz, pocałowałem ją i zdążyłem na spóźniony lot do Niemiec.

67.

Tak właśnie lubię żyć.

Dbamy o kondycję, ponieważ lepiej się wtedy czujemy.

Ale muszę szczerze wyznać, że nie znoszę gimnastyki.

Kiedyś ćwiczyłem na bieżni w siłowni, a teraz przez sześć dni w tygodniu oboje z żoną wstajemy wcześniej i biegamy razem.

Nie żebym to lubił, ależ nią jest przynajmniej wesołość, a mówią, że śmiech pomaga spalić kalorie i dobrze robi nawałtrobę.

Więc chyba jednak zostaniemy przy bieganiu.

Byłbym zapomniaw: mamy żółtego labradora retrievera, który wabi się GUS.

Należy do rodziny, ale gotów jest odstąpić kołyskę, kiedy tylko do domu pojawi się dziecko.

To chyba tyle.

Aha, jeszcze jedno: bardzo chciałbym mieć dzieci to moje największe pragnienie.

I jestem szczerze przekonany, że kiedy to przeczytacie, będziecie mieć absolutną pewność, że to właśnie my jesteśmy rodziną, której szukacie.

Życie jest krótkie, a czas to złodziej.

Dla naszego dziecka każdy dzień uczynimy cudownym i pięknym.

Miejsce w naszym sercu i w naszym domu już od dawna jest przygotowane.

Napisałem nawet piosenkę dla naszego pierworodnego.

Może to właśnie waszemu dziecku zaśpiewam ją pewnego dnia.

Dziękuję i pozdrawiam.

Czytając ten list po raz pierwszy, Wendy miała gęsią skórę.

Rozmarzyła się, wyobraziwszy sobie, jak ów mężczyzna zabiera swoją żonę na nocne przejażdżki łódką, a kiedy w myślach ujrzała go w tańcu z żoną na ganku przed domem, miała łzy w oczach.

Chichotała cicho, gdy opisywał, jak nie lubi ćwiczyć.

Kiedy zaś przeczytała, że pies chętnie odstąpi kołyskę, gdy w rodzinie pojawi się dziecko, wybuchnęła śmiechem.

Było jasne, że tych dwoje łączyło coś, czego każdy pragnąłby w małżeństwie.

Pośród tego śmiechu i miłości ci ludzie

68

mogą obdarzyć jej synka wspaniałym życiem, jakiego ona nigdy nie mogłaby mu zapewnić.

Kiedy skończyła czytać, ogarnęło ją poczucie winy.

Jak mogła w ogóle brać pod uwagę odbieranie chłopca tym ludziom?

Ale z drugiej strony.

Przedadopcją też żyło im się całkiem dobrze.

Więc nawet jeśli coś im się popsujewzyciu, to nic im nie będzie, prawda?

Będą mieli swój piękny dom iszybką łódź, śmiech i miłość, czyż nie?

Mają przecież Gusa.

Oparła się o ścianę iprzeczytała list kobiety.

Był krótszy, ale znakomicie dopełniał list jej męża.

Mam na imię Molly, jestem żoną Jacka.

Kocham teatri prawo, i zachody słońcanad jeziorem za naszym domem.

Skończyłam nauki polityczne i kiedyś- dawno, dawnotemu- chciałam zająć sięściganiami przestępców.

Albo zrobićkarierę na Broadwayu.

Jak sądzę, bycie prawnikiem oznaczałoby spełnienie każdego z tych marzeń po trosze.

Poznałam Jacka naUniwersytecie Stanu Floryda, jesieniąna drugim roku studiów.

Oboje zostaliśmy wtedy obsadzeni w "Yourea GoodMan, Charlie Brown".

On grał Charliego, a ja- Małą Rudowłosą, wktórej Charlie się podkochuje.

Wszystkie inne znajomości zupełnie się nie liczyły.

No, mozenie tak od razu.

Alepo kilkuzłamanych sercach już tak.

Jack zawsze był dla mnie tym jednym jedynym.

W ośrodku adopcyjnym poradzono nam, żeby napisać o rzeczach, które są dla nas ważne.

U mnie na pierwszymmiejscu stoją zasady moralnei mocny charakter.

Obojepochodzimy z rodzin wierzących i chociaż ani Jack, ani janie chodzimy zbyt często do kościoła, wierzymy, że trzeba żyćdobrze, czynić innym tak, jak sami chcielibyśmy, aby namczyniono coś w tym rodzaju.

Oboje z Jackiem chcieliśmy mieć gromadkę dzieci, ale cóż, nie udało się. Mamy więc nadzieję, że udanym się adoptować dziecko, które będziemy kochać, wychowywać, i dbać o nie do końca naszych dni. Czekaemy więc na rychłą odpowiedź.

Wendy podciągnęła nogi i położyła sobie teczkę na kolanach. W uszach znów zabrzmiały jej słowa Ripa:

"Chcę go z powrotem. Im szybciej, tym lepiej".
Jeśli była to prawda, to lepiej, żeby już nie poświęcała ani minuty więcej na rozmyślanie o miłej parze z Florydy.

Przewróciła stronę.

O, jest!

Tutaj, u dołu strony podpisała się za Ripa.

W jaki sposób mogą wyjaśnić to fałszerstwo?

Przecież grafolog od razu rozpozna jej pismo, nieprawdaż?

Sprawdzą wszystko, a wtedy wyjdzie na jaw, że podpisy ich obojga zostały napisane tą samą ręką.

Ale jeśli usłyszeliby odpowiednią historię, to może wcale nie będą chcieli sprawdzać?

Zapatrzyła się na podpisy.

O co prosiła ją wtedy pracownica ośrodka adopcyjnego?

Żeby wzięła papiery dowiedzenia i dała Ripowi do podpisania, tak?

Jej umysł zaczął pracować na wysokich obrotach, wymyślała kłamstwa i rozważała najprzeróżniejsze możliwości.

A gdyby tak wzięła papiery do więzienia i zostawiła je strażnikowi?

A ten dał je niewłaściwemu więźniowi?

Może komuś, kto nie przepadał za Ripem?

Wówczas ten więzień mógłby przeczytać dokumenty i pomyśleć sobie: a właściwie, czemu nie?

Czemumiałbym nie podpisać za kogoś papierów?

Zanim dokumenty wróciłyby do strażnika, już by się stało, czyż nie?

A ona, wpadłszy po te papiery, kiedy przejeżdżała w pobliżu więzienia, w ogóle by do nich nie zaglądała.

Niewiele rozmawiała z Ripem przez czas jego

70

pobytu w więzieniu, więc całkiem możliwe, że ten chłopca jakoś nie wypłynął.

Im dłużej rozmyślała o swojej historii, tym była jej pewniejsza.

To kłamstwo mogło zadziałać.

Trzeba byłoby tylko przekonać pracowników ośrodka, że Rip padł ofiarą oszustwa i dopóki nie wyszedł z więzienia, nie miał pojęcia o tym, że został ojcem oraz że ktoś inny, jakiś współwięzień, podpisał za niego papiery.

Dopracowywała właśnie szczegóły, kiedy usłyszała trzask otwieranych drzwi.

- Wendy.

kochanie, przepraszam.

- Rozległ się odgłos kroków, a po chwili Rip odnalazł ją w holu, z teczką nakolanach.

Na jego twarzy malował się smutek, widać było, że ma wyrzuty sumienia. Opadł na kolana obok niej i ujął jej twarz w swędlenie.

- Przepraszam.

Nie jestem na ciebie zły.

- Chyba jeszcze nigdy nie mówił tak szczerze, głosem tak pełnym miłości.

- Chcę tylko, żeby nasz syn wrócił do nas.

- Umilkł na moment.

- Pomóż mi go odzyskać, dobrze?

Słuchając go, Wendy uświadomiła sobie, że jedynym prawdziwym powodem, dla którego oddała swoje dziecko do adopcji, całkowicie się rozwiął.

Rip naprawdę się zmienił, był teraz zupełnie innym człowiekiem - uprzejmym i współczującym, i nawet kiedy się złościł, nie bił jej.

Najlepszym tego dowodem była dziurawość ścian.

Mililudzie z Florydy jakoś dojdą do siebie.

Mogą przecież adoptować inne dziecko.

Dla niej liczył się tylko jej syn i fakt, że należy on do swoich prawdziwych rodziców.

Wyobraziła sobie ich wspólne życie - jej, Ripa i synka.

Mały wrócił do domu, a ona i Rip wynagrodzą mu wszelką stratę, jaką kiedykolwiek odczuł.

Będzie szczęśliwi i zadbani.

Wiosną będą sobie razem z tatusiem grać w piłkę,

71.

a przez całe lato - łowić ryby.

Jeśli Rip dostanie pracę w kinie lub miejscowym warsztacie, być może przeprowadzą się do większego domu w lepszej dzielnicy.

Pewnego dnia ich synkowi urodzi się braciszek albo siostrzyczka i rodzina Porterów będzie żyła długo i szczęśliwie.

Spojrzała Ripowi w oczy.

Pomogę ci.

- Na jej usta powoli wypływał uśmiech.

Wręczyła mu teczkę.

Musisz to przeczytać.

Powolnym, delikatnym ruchem Rip ujął teczkę.

Spojrzała na okładkę, po czym siadł obok Wendy na podłodze.

Teczka z informacjami o adopcji?

Tak.

I, Rip.

powoli wciągnęła powietrze.

.myślę, że mam już historijkę, którą mogą łyknąć.

No, to pierwszy krok mają już za sobą.

Teraz trzeba tylko dobrze przeprowadzić cały plan i cierpliwie poczekać na dzień, którego Wendy nigdy nie spodziewała się doczekać.

Dzień, w którym jej syn powróci do domu, na zawsze.

Rozdział VI

Zanim Molly odebrała Joeya z przedszkola, zdążyła zrobić połowę rzeczy ze swojej zwykłej listy zajęć.

Z samego rana ćwiczyła z Jackiem w ich siłowni na górze, potem przez godzinę pełniła obowiązki jej nieoficjalnej sekretarki: pisała listy i porządkowała dokumenty dotyczące raportu z Birmingham Remming, bo Jacka zawsze doprowadzało to do szału.

Jack miał w biurze sekretarkę, ale był zbyt ambitny, a przyswoim tempie pracy potrzebował pomocy, którą Molly z radością mu ofiarowywała.

Oprócz tego odbyła zwykłą comiesięczną rozmowę z ich doradcą finansowym.

Musiała jeszcze zrobić zakupy i zadzwonić do Beth,

żeby nie co oczyścić atmosferę po ostatnim spotkaniu przy grillu.

Rozmawiały co prawda kilka razy od tamtego czasu, ale Beth nie była zbyt wylewna, jak zawsze, gdy czuła się urażona.

Po przyjeździe do przedszkola Molly stanęła wraz z innymi mamami przed salą numer cztery, w której dziećmi zajmowała się pani Erickson. Gdy Joey ją spostrzegł, natychmiast się ożywił. Uniósł w górę małego białego misia i zawołał:

73.

- Mamo, wygrałem!

Postarałem się i wygrałem!

- Zuch chłopak!

- Przykucnęła i wyciągnęła ręce, jakzawsze, gdy odbierała go z przedszkola.

Był zaledwiekilka metrów od niej, ale natychmiastruszyłbiegiem, najszybciej jak potrafił, i wskoczył prostow jej otwarte ramiona.

Był coraz większy i coraztrudniejbyło go udźwignąć, ale jeszcze była w stanieunieść go wysoko w górę.

Synek oplótł ją nogami wokół talii i zetknęli się czołami.

- Najpierw noski-eskimoski, dobrze?

- Schowałpluszowego misia za plecami i czekał na odpowiedź.

- Proszę bardzo: noski-eskimoski!

- Potarła czubkiemnosa jego mały nosek.

- I jeszcze motylkowe całuski!

- Zatrzepotał rzęsamituż przy jej rzęsach.

- Motylkowe całuski!

- Jej serce wprost się rozpływało.

Uwielbiała to uczucie:bycie mamajoeya.

- Dobra.

- Cofnęła się nieco i uśmiechnęła do chłopca.

- To jakwygrałeś misia?

- Znałem alfabet!

- Joey wyciągnął zza pleców pluszakai przysunąłgo do jej twarzy- To najlepszy miś na świecie,mamusiu.

Mięciutki i futrzasty, i pomrukuje, jak się go naciśnie.

- Joey zmarszczył brwi, starając się przybrać poważnywyraz twarzy

-Nazwałem go Pan Groźny Bo wiesz, niedźwiadki nie są zazwyczaj tak przyjaźnie nastawione do dzieci.

Tak powiedziała nasza pani.

- Potrzęsnał głową.

-Ale ten sięprzyjaźni z Panem Małpką, prawda?

Bo Pan Małпка jestmoim najlepszym zwierzątkiem przyjacielem.

- Jasne.

Jestem pewna,że będą dobrymi kumplami!

- Skryła uśmiechi postawiła synka z powrotem na podłodze obok siebie.

- No dobrze.

Zobaczmy tego mięciutkiego, futrzastego i pomrukującego misia.

- Wyciągnęła rękę.

74

Joey zachichotał i rzucił jej pluszową maskotkę na wyciągniętą dłoń.

- Widzisz?

Nie mówiłem, że jest super?

- Ojejku!

- Molly oglądała zabawkę uważnie, ze wszystkich stron.

Po chwili odskoczyła w tył i rzuciła ją z powrotem do Joeya.

On naprawdę pomrukuje!

Boję się!

- Maaamo!

- zawołał, przeciągając sylaby, jak zawsze, gdy uważał, że zachowuje się głupio.

Roześmiał się, a jego śmiech skąpał pochmurny poranek w cieple i blasku słońca.

Molly wzięła małego za rękę i ruszyli przez parking w kierunku samochodu.

- Mam dla ciebie niespodziankę!

Popatrzyła nachłopcza zabawnie podskakującego u jej boku.

Oczy jej się śmiały.

- Jaką?

Zatrzymał się i zajrzał jej w oczy.

Zrobił jeszcze kilka podskoków, trzymając Pana Groźnego za ucho.

- Zakupy w Coś tco!

- Wyrzuciła obie pięści w górę, jakby była to najlepsze wszystkich niespodzianek, jak tylko mama może zaproponować swojemu dziecku.

Zwiesił głowę, spojrzał na nią spode łba, zupełnie jak Jack.

- Masz jeszcze jakieś zakupy?

A ja chciałem poćwiczyć podania.

Z tobą i Gusem.

- No tak.

- Molly zmarszczyła nos.

Pstryknęła pilotem, otworzyła drzwi samochodu i pomogła Joeyowi wsiąść na tylne siedzenie.

Wskoczył na swój fotelik, a ona zapięła mu pasy.

Poćwiczymy po powrocie do domu, dobrze?

- Dobrze.

- Nie był rozczarowany.

W jego oczach lśnił ten sam blask co przed chwilą, kiedy przyszła po niego do przedszkola.

- I coś jeszcze.

- Ucałowała go w policzek.

- Niezapominaj o degustacjach.

75.

Uśmiechnął się szeroko, aż w jego policzkach pojawiły się dołeczki,

- A, tak!

Tammają najlepszejsze degustacje.

Pamiętasz, mamusiu?

- Tak, pamiętam.

Zamknęła drzwi i usiadła za kierownicą.

- Dlatego właśnie zachowałam tę część moichsprawunków do czasu, aż ty będziesz mógł pojechać ze mną.

- To dobrze.

- Wlusterku widziała, jak chłopiec całauwagę skupił na pluszowym misiu, z całej siły ściszałjegołowę i mruczał groźnie.

Przestał, kiedy napotkał jej spojrzenie w lusterku.

- Uwielbiam degustacje.

W Costco spędzili więcej czasu, niż zamierzała.

Joeyskosztował tyle kurczaka iróżnych rodzajów chleba, że w zupełności wystarczyło muto na lunch, więc zdecydowali zadowolić się jedynie kilkoma kanapkami.

Kiedy wreszcie dotarłido domu, Joey pomógł mamie wnieść zakupy, przy czymświetnie uporał się z transportem gigantycznych rozmiarówopakowania ręczników papierowych za jednym razem orazz wielką paką papierowych talerzyków za drugim.

- Te paczki są większe od ciebie!

- Molly szła w ślad zanim.

Nie była pewna, czy mały widzi cokolwiek sponadniesionych zakupów. Pomóc ci?

-Nie.

- Dźwignął paczkę z talerzaminieco wyżej, potknął się, ale zaraz złapał równowagę.

-Tata mówi, że prawdziwy mężczyzna zawsze pomaga innym.

Zagryzła wargi, żeby sięgłośno nieroześmiać.

Wiedziałdobrze, że chłopiec wcale nie kokietuje.

Kiedy już się opanowała, sama teżwzięła pudło z zakupami i nachyliła się nadJoeyem, żeby otworzyć drzwi do garażu.

- Cóż,co do tego nie mam żadnych wątpliwości tyz pewnościąjesteś prawdziwym mężczyzną, Joey.

Zdecydowanie!

76

Chłopczyk dumnie wypiął pierś i zaniósł talerze dokuchni, nie

potykając się już po drodze.

Kiedy wreszcie wypakowali wszystkie zakupy, wyszli przed dom, byporzucić piłkę do kosza.

Wiatrozwiął chmury i zapowiadało się piękne, ciepłe, słoneczne popołudnie.

Joey stanął przygotowany, wysunąwszy jedną nogęnieco do przodu.

A

- Uwielbiamgrać w kosza, mamusiu!

fMolly schyliła się i zawiązała mu sznurówkę.

- Ja też.

Joeynauczył się podań irzutów, oglądając z Jackiemmeczekoszykówki.

Molly zajęła pozycjędo gry.

Miałajeszczezadzwoić do Beth, ale czekająca ją rozmowapowodowała u niej lekkiniepokój.

Wyciągnęła rękę.

No dobra, jestem gotowa.

Joey pokozłował piłkę - miniaturowąwersję prawdziwej, używanej przez koszykarzy NBA - i udał, że podaje ją niewidzialnym kolegom z drużyny.

Potem gwałtownie podskoczyłw kierunku Molly i ruszył pędem wstronękosza.

Płynnym ruchem Molly złapała piłkę i delikatnie odrzuciła do chłopca.

Jack obniżył obręcztak, że znajdowała sięona teraz na wysokości zaledwie dwóch i pół metra.

Joeyimponującym rzutem umieścił piłkęw koszu.

Wyrzuciłw górę obydwiepięści.

Kosz!

Proszę państwa, LeBron James znów zdobyłpunkty!

LeBronJames?

Molly odgarnęła z czoła kosmykwłosów.

- Myślałam, że jesteś Shakiem?

Chłopiec potrząsnął głową.

- Shaq to przeszłość, mamo.

Tata mówi, że rzucamjakLeBron James.

To jest najgenialniejszy koszykarz na świecie; może nawet lepszy niż Michael Jordan!

77.

- Ach, tak.

- Wyciągnęła ponownie rękę.

-Okej, LeBron, jestem gotowa do następnego podania.

Śmiech Joeya dźwięcznie wibrował w powietrzu i działał jak cudowny balsam na jej duszę.

Gralijeszczę przez godzinę, a potem chłopiec zaczął ziewać.

Choć skończył już cztery lata, wciąż jeszcze ucinął sobie drzemkę w ciągu dnia.

Rzucił jeszcze kilka razy, a potem weszli do domu.

Molly przeczytała mu jego ulubioną książeczkę, po czym nachyliła się nad łóżeczkiem i ucałowała synka w czubek nosa.

- Śpij dobrze.

Zasunęła granatowe zasłony i miły, chłodny cień przesłonił ściany pokryte tapetą w wzór z różnymi piłkami - bejsbolowymi, futbolowymi i tymi do koszykówki.

Podawała Joeyowi Pana Małpkę, ukochanego pluszaka, którego miał od swoich pierwszych urodzin, a potem Pana Groźnego.

Chłopiec mocno przytulił do siebie obydwie zabawki.

Popatrzył na mamę dłużej niż zwykle, zaglądając prosto do jej serca.

- Wiesz co, mamusiu?

-Co? - Molly spoglądała na niego z miłością.

- Jesteś piękna.

- Uśmiechnął się, błyskając wykrzywionym, kiwającym się zębkiem.

- Dziękuję, bardzo pan uprzejmy!

- Molly poczuła, że jej serce topnieje zupełnie.

- I wiesz co jeszcze?

Uśmiechnęła się.

Właśnie w tych króciutkich chwilach tuż przed zaśnięciem Joey mówił rzeczy najważniejsze.

Błądy wtedy wszystkie pomrukuje misie i najgenialniejsi koszykarze świata, a budziła się głęboko skryta część jej duszy.

Potargła mu czuprynkę i uśmiechnęła się:

- Co jeszcze?

-Jesteś moim najlepszym przyjacielem.

Pomyślał przez chwilę.

Ty i tatuś, oczywiście.

78

- Dzięki, kolego!

- Poczula w sercu ciepło, które przypomniało jej, że Joey jest całym jej światem.

-A dlaczego?

Chłopczyk położył swoją rączkę na jej dłoni i uśmiechnął się do niej.

- Bo bawisz się ze mną.

A tak właśnie robią najlepsi przyjaciele.

- No cóż.

- Molly ucałowała go, tym razem w policzek.

-To znaczy, że ty też jesteś moim najlepszym przyjacielem.

- Połaskotała pluszowego misia.

-Czyli PanuGroźnemu zostaje Pan Małpka!

Joey roześmiał się.

- Dobrze!

Niedźwiedzie lubią małpy!

Molly wstała i pomachała mu na odchodnym.

- Do zobaczenia za godzinę!

Ziewnął i skinął głową.

- Dobrze, mamusiu.

Kocham cię.

- Ja też cię kocham.

Był o pół do trzeciej, gdy zeszła na dół do salonu.

Bethna pewno jest teraz w domu i kładzie Jonaha do snu, a jej starsze dzieci są jeszcze w szkole - idealny czas na rozmowę telefoniczną.

Molly nacisnęła guzik pilota i pokój wypełniły dźwięki piosenki "I'll be seeing you" w wykonaniu Steve Wingfield Band.

Uśmiechnęła się.

Lubiła powolne piosenki tego zespołu.

Sięgnęła po telefon, ale jej wzrok padł na przedmiot leżący na dolnej półce szafki z książkami.

Był to stary album ze zdjęciami, który zrobiła dla niej Beth.

Podarowała go jej jako prezent z okazji ukończenia szkoły.

Molly wyciągnęła go kiedyś, idąc na grilla do Beth, ale coś widocznie odwróciło jej uwagę i zapomniała o nim.

"Zdjęcia i wspomnienia" - głosił tytuł na okładce.

Molly wzięła album do ręki i usiadła na kanapie obok telefonu.

Podniosła słuchawkę i wykręciła numer Beth.
Sygnał wsłuchawce oznaczał, że linia jest zajęta.
Kiedy już Beth z kimś rozmawiała, poświęcała mu całą swoją uwagę.

Molly odłożyła słuchawkę i powróciła do albumu.

Otworzyła okładkę.

Kiedy ostatni raz przyglądała się swojemu szkolnym dniom?
To Beth zrobiła dla niej ten album- Beth, która zawsze robiła rzeczy rozsądne i zawsze była tak dumna, że jest jej młodszą siostrą.
Na wewnętrznej stronie okładki napisała coś swoim schludnym, kaligraficznym pismem.
Napis nieco wyblakł, ale dało się go jeszcze odczytać: "Molly.
Wierzyć mi się nie chce, że już kończysz szkołę.
Co ja zrobię bez ciebie w przyszłym roku?
Zrobiłam dla ciebie ten album, żebyś nigdy nie zapomniała, jak świetnie się przez ostatnie trzy lata bawiliśmy.
Bardzo cię Kocham.
Beth".

Obydwie dorastały w Orlando, Molly była o półtora roku starsza od Beth.

W szkole obracały się w różnych środowiskach: Beth lubiła imprezy, Molly - ludzi związanych z tańcem i teatrem.

Ale znajdowały wspólny język w drużynie czirлідerek.

Pierwsze zdjęcie przedstawiało je obydwie w roku, kiedy Beth dostała się do West Ridge High.

Obejmowały się ramionami, a na ich twarzach malowały się głupawe uśmiechy.

Na zdjęciu nie było jednak widać powodu, dla którego tak się obejmowały.
Molly przymrużyła oczy, patrząc na fotografię, i zdawało się jej, że nagle wszystkie lata gdzieś zniknęły.

Zdjęcie zostało zrobione jesienią, kilka godzin po najgorszym momencie, jaki Molly przeżyła w szkole średniej: właśnie była przerwa w meczu.

Czirлідerkiszyły do szatni, żeby się odświeżyć, kiedy nagle stanęły jak wryte.
Na środku korytarza stał Connor Aiken, chłopak Molly, i bezceremonialnie całował się z jedną z dziewczyn

80

ze starszej klasy, zgrupowanej.

Obydwoje tak całkowicie zatoneły w miłosnym uścisku, że nawet nie zauważyli mijających ich czirлідerek.

Wszystkie dziewczyny wiedziały o tym, że Connor należy do Molly, szeptały więc między sobą, rzucały w jej stronę pełne współczucia spojrzenia lub otwarcie się na nią gapiły.

Beth znalazła się przy niej natychmiast.

Wzięła siostrę pod ramię i powiedziała:

- Wiedziałam, że topalant!

Kiedy zniknęły za rogiem, Molly nie mogła już dłużej znieść tego upokorzenia.

Nie była w stanie wydobyć z siebie ani jednego słowa, ani płaczu, ani krzyku.

Rzuciła pompony na ziemię i pobiegła do stojaka na rowery przed halą sportową - był to najciemniejszy zakątek, jaki zdołała znaleźć.

Molly dokładnie przypominała sobie tamtą bolesną chwilę.

Kochała Connora, a przynajmniej tak jej się wydawało.

Miała ochotę pozostać tam, w ciemnym kącie, wypłakując sobie oczy, aż do zakończenia meczu.

Ale siedziała taksamotnie w ciemnościach tylko przez krótką chwilę.

Zanim jeszcze zdążyła się rozplakać, Beth była przy niej.

- Molly.

Och, Molly, tak mi przykro!

- Objęła siostrę ramionami.

- Ale to naprawdę palant.

Zawsze tak o nim myślałam.

Molly pociągnęła nosem i popatrzyła siostrze w oczy.

- Naprawdę?

- Tak - prychnęła bezbrzeżną pogardą, po czym wymieniła całą listę przywar Connora.

Mówiła i mówiła chyba przez kwadrans.

Wreszcie Molly delikatnie położyła dłoń na jej ustach.

- Już dobrze, siostrzyczko - westchnęła przeciągle.

- Nicmi nie będzie.

Czy to właśnie chciałaś mi powiedzieć?

- Chciałam powiedzieć, że jesteś najlepszą dziewczyną na świecie, Molly!

- Ze złością wyciągnęła palec

w kierunku miejsca, gdzie niechcący stały się świadkami miłosnej sceny. Zaslugujesz na coś więcej niż to.

I myślę, że właśnie dopiero teraz twoje życie nabierze rozpędu.

- Wręczyła Molly jej pompony.

- Chodź, głowa do góry!

Musimy dokończyć mecz.

Wiara Beth w tak przykrew chwili, kiedy Molly czuła się podle i pusto, dodała jej sił, by wstać i wrócić na boisko.

Gdy tylko przyłapała się na szukaniu wzrokiem Connora, napotykała uważne spojrzenie młodszej siostry.

Beth potrasała głową i śmiała się, przypominając Molly, by uczyniła to samo.

Po meczu Connor szukał Molly.

Dotarły do niego wieści, że cała drużyna czirlierek przyłapała go na całowaniu się z inną dziewczyną.

Kiedy wreszcie odnalazł ją na parkingu, był nie na żarty wystraszony.

Molly był w towarzystwie Beth, ale ta oddaliła się o kilka kroków, żeby mogli swobodnie porozmawiać.

Connor miał właśnie wygłosić przeprosiny, ale Molly uniosła w górę dłoń.

- Koniec z nami, Connor!

- Poszukała wzrokiem Beth, poczym znów na niego spojrzała i się uśmiechnęła.

Moje życie dopiero teraz nabierze rozpędu.

Zanim odjechały do domu, jedna z dziewczyn zrobiła im to właśnie zdjęcie: Beth i Molly - siostry i najlepsze przyjaciółki.

Molly przewróciła kartkę.

Na następnej stronie Beth kleiła kilka zdjęć z postaciami z bajek Disneya.

Wraz z drużyną czirlierek brały kiedyś udział w zawodach, które były rozgrywane w obiektach sportowych położonych tuż obok Disneyworldu.

Po skończonych rozgrywkach spędziły dwa dni na zabawie, choć przecież wszystkie mieszkały w pobliżu.

Drugiego dnia Molly i Beth spacerowały po sklepie z pamiątkami i fotografowały

82

wszystko, czego nie mogły kupić.

Było więc zdjęcie ich obu w kapeluszkach księżniczki i inne

przedstawiające Beth przebraną z pirata, a Molly za Dzwoneczek.

Kilka kartek dalej znajdowały się fotografie z wycieczki na plażę w Sanibel Island, gdzie pojechały latem, tuż przed ostatnim rokiem Molly w szkole.

Ich rodzice zaprosili znajomych, więc przez większość czasu Molly i Beth były z daną własną towarzyszką.

Jedno ze zdjęć przedstawiało je w towarzystwie dwóch miejscowych chłopaków, których poznały drugiego dnia.

Jak zwykle zdjęcie nie zdradzało całej związanej z nim historii.

Tego wieczoru chłopcy zaprosili je na ognisko na plażę.

Beth od początku się to nie podobało, ale Molly - zawsze głupsza i bardziej spontaniczna - nalegała tak długo, aż Beth się zgodziła.

Rodzice byli umówieni tego wieczoru na brydża z przyjaciółmi, więc zgodzili się, nie zadając zbyt wielu pytań.

Dziewczyny poszły zatem na spotkanie z chłopakami.

Początkowo wszystko toczyło się całkiem niewinnie, ale po jakimś czasie jeden z chłopaków poczęstował je ponczem.

Beth pociągnęła łyk i natychmiast wypluła napiasek.

- Nie pij tego, Molly.

To aż buzuje od alkoholu.

Chłopcy zaczęli się śmiać.

- Twoja młodsza siostra chyba nigdy jeszcze nie kosztowała wyspiarskiego ponczu.

- Wyspiarskiego ponczu?

- Molly powąchała napój.

- Czy w tym jest alkohol?

- Skąd!

- Jeden z chłopaków objął ją ramieniem.

Twoja siostra martwi się na zapas.

- Nie pij, Molly!

- Beth złapała ją za rękę.

- Chodźmy już.

W ogóle nie powinnyśmy tutaj przychodzić.

Ale Molly nie chciała, żeby młodsza siostra mówiła jej, co ma robić. Uśmiechnęła się do chłopaków i wypiładuszką całą zawartość szklaneczki.

Jakiś kwadrans później przekonała się, że Beth miała rację: w ponczubyl prawie wyłącznie alkohol.

Upiłasię tak, że nie był w stanie mówić ani iść o własnych siłach.

Niewiele z tamtej nocypamiętała, ale później dowiedziała się, co zaszło.

Koledzy próbowali namówić Molly, żeby poszła z nimi na spacer, ale Beth na to nie pozwoliła.

Zarzuciła sobie jej rękę na ramię i trochę ciągnąc, a trochę niosąc, doprowadziła ją do hotelu.

Gdy rodzice próbowali się dowiedzieć, co zaszło, Beth kryła siostrę.

Kolejne karty albumu przypominały Molly zdarzenia, o których już prawie zapomniała.

Na samym końcu znajdowało się najsmutniejsze zdjęcie.

Molly miała przyjaciela, Artę Goldberga, z którym przyjaźniła się od piątej klasy podstawówki.

Nigdy ze sobą nie chodzili, ale kiedy Molly potrzebowała rady albo po prostu chciała się komuś wygadać, zawsze mogła do niego zadzwonić.

Art przesiadywał u nich w domu i rodzice wraz z Beth często żartowali sobie z Molly, że na pewno się w niej zakochał.

Ale Molly nigdy tego nie dostrzegała.

Ona i Art byli dobrymi kumplami - to wszystko.

W ostatniej klasie w czasie przerwy świątecznej zadzwoniła do niej mama Artę z tragiczną wiadomością.

Art wraz z kilkoma kolegami wybrał się do Michigan pojeździć na skuterach śnieżnych.

Pewnego popołudnia, na dwa dni przed swoimi osiemnastymi urodzinami, wyruszył razem z kolegami dobrze oznaczoną trasą.

Wszedł w zakręt z zbyt dużą prędkością, spadł z pojazdu i uderzył w drzewo.

Zginął na miejscu.

Jego matka szlochała w słuchawkę:

Pomyślałam, że powinnaś się o tym dowiedzieć.

84

Molly przypomniała sobie swoją reakcję.

Nie była w stanie powiedzieć matce Artę, jak bardzo jej współczuje, nie

potrafiła wypytać o szczegóły czy po prostu odłożyć słuchawki.

Ból był tak wielki, jakby ktoś odciął jej ramię.

Wolno osunęła się na podłogę i gdzieś z głębi serca wyrwał się jej przejmujący krzyk, czy raczej wycie, które dźwięczało w jej sercu aż do tej pory.

Rodzice byli w pracy, ale w sąsiednim pokoju siedziała Beth, czytając coś.

Przybiegła natychmiast, a kiedy Molly zdołała jej wreszcie opowiedzieć, co się stało, siostra przez blisko godzinę tuliła ją kołysała, starając się ją uspokoić.

Jeszcze przez wiele miesięcy Molly nieraz miała ochotę wsunąć się cicho do łóżka i przespać całe popołudnie, byle tylko nie myśleć o Arcie, lecz Beth nie pozwalała jej na to.

Zaczęły wspólnie biegać po lekcjach, godzinami wspominać Artę i rozmawiać o tym, jak bardzo Molly brakuje zmarłego przyjaciela.

Doskonała średnia ocen Beth znacznie się wówczas obniżyła i dziewczyna miała bardzo mało czasu na jakiegokolwiek zajęcia pozalekcyjne, ale poświęciła wszystko dla Molly, byle tylko mieć pewność, że jej starsza siostra stanie z powrotem na nogi.

I tak właśnie się stało: Molly zdołała przetrwać ten trudny czas, bez wątpienia tylko dzięki Beth.

Działo się to, jeszcze zanim Beth odkryła wiarę, więc nie było mowy o modlitwie czy czytaniu Pisma Świętego.

Po prostu - jedna siostra poświęcała się dla drugiej, by zabić jej rany.

Łzy napłynęły Molly do oczu, gdy przyglądała się zdjęciom na tej stronie.

W całym albumie znajdowały się gdzieś tam fotografie Artę i Molly, ale ta jedna strona była swoistym epitafium, zbiorem ostatnich wspólnych chwil.

Pierwsze zdjęcie przedstawiało Molly i Artę siedzących razem na kanapie w salonie i oglądających telewizję.

Poniżej zapisano datę - jesień ostatniego roku szkolnego, a więc było to jedno z ostatnich wspólnie spędzonych w ten sposób

popołudni.

Na kolejnym zdjęciu Art i Molly siedzieli razem na leżaku nad brzegiem basenu za domem rodziców Molly i Beth.

Podpis głosił, że jest to listopad, a więc czekały ich jeszcze wystarczająco ciepłych dni, by spędzać je na przyjęciach nad basenem; prawdopodobnie po raz ostatni pływały wtedy razem.

Obok kolejnego zdjęcia Arta Beth napisała: "Art będzie żył zawsze, dzięki chwilom, które wspólnie przeżyliście".

Ostatnią fotografię zrobiono na jego pogrzebie.

Widniała na nim Molly ubrana czarno; stała na podwyższeniu w kościele, po twarzy płynęły jej strumienie łez.

Nie potrafiła by pożegnać się z Artem, gdyby nie Beth.

Molly pogłaskała zdjęcie Arta.

Nadal za tobą tęsknię, przyjacielu.

Dlaczego jechałeś tak szybko, głuptasie?

Wciąż wpatrywała się w kartkę, kiedy zadzwonił telefon.

Dzwoniła Beth Molly wiedziała o tym, zanim spojrzała na wyświetlacz telefonu.

Podniosła słuchawkę.

Cześć!

- Cześć - Beth westchnęła przesadnie głośno.

- Myślałam, że wygospodaruję godzinkę dla siebie, ale Jonah szalał.

Próbowałam się do ciebie dodzwonić, ale było zajęte.

- Wiem - roześmiała się Beth.

- Jonah mówił o dobrej manierze podczas rozmowy przez telefon, chyba właśnie mówił o tym w przedszkolu.

Tyle że nie powiedział mi o tym, że zdjął słuchawkę z widełek.

Umilkła na moment.

- Co słychać?

Cóż.

- Molly słyszała w swoim głosie smutek.

- Oglądałam właśnie ten stary album, który zrobiłaś dla mnie, gdy skończyłam szkołę.

Głos Beth nie był już tak roześmiany.

- To był najsmutniejszy dzień w moim życiu - westchnęła.

- Nie byłam wcale pewna, czy ci to kiedykolwiek wybaczę.

86

- Patrzyłam przed chwilą na stronę ze zdjęciami Arta i Goldberga.

Beth milczała przez kilka sekund.

- Porządny był z niego facet.

-Gdyby niety, nigdy bym się po jego śmierci niepozbięrała - mówiła Molly przez łzy.

- Cośmi się wydaje, że już zapomniałam, jakwiele wtedy dla mnie zrobiłaś.

- Tym trudniej ci byłowyjechać na studia.

-Tak.

- Molly przewróciła kartkę.

Ona i Beth byłyprawie na każdym zdjęciu, nierozłączne.

- Wyjeżdżałamw ostatni dzień sierpnia.

Płakałam przezcałą drogę.

- A ja nocami, przez cały miesiąc.

- Beth jęknęła.

- Nie wyjechałaś w końcu tak daleko, ale nagle wszystkopełniesię zmieniło.

Równie dobrze mogłabyś studiowaćgdzieś na końcu świata.

Molly pociągnęła nosem,starając się zachować lekki ton.

- A ja miałam szczerzy zamiar dojechać na miejsce,zawrócić i przyjechać z powrotem do domu.

-Pamiętam.

Głos Beth był teraz cichszy, jakby ionaprzeżywała na nowo tamten dzień.

- Zadzwońska wieczorem do domu i powiedziałaś, że niedasz rady i że możeszprzecież studiować w miejscowym college'u i mieszkaćw domu.

- A ty mi odpowiedziałaś, żebymnawet nie ważyłasięo tym myśleć.

- Molly się uśmiechnęła,choć łzy przesłaniały jej wzrok.

-Przypomniałaś mi, dlaczego wybrałamstudia naFlorydzie, i dodałaś, że chciałabyś mieć wreszciepokój tylkodla siebie,roześmiała się Molly.

I jakośmnie przekonałaś.

Zostałam, i jeszcze zanim nadeszłoBoże Narodzenie, pokochałam to nowe miejsce.

- Muszę ci się do czegoś przyznać - tym razem głos Beth brzmiał potulnie.

- Wcale nie chciałam pokoju tylkodla

siebie.

Przez prawie rok miałam trudności z zasypianiem bez tych naszych
cowieczornych pogaduszek przed snem.

- Rozumiem, Beth.

I wtedy też rozumiałam, jak sądzę.

- Molly odchyliła głowę na oparciu i mocniej ujęła słuchawkę.

Zauważyłaś kiedykolwiek, że różnimy się od innych sióstr?

Mimo że jestem starsza, a ty młodsza - usiadła prosto i zapatrzyła się na
kolejne ich wspólne zdjęcie to przecież zawsze, gdy tylko coś mnie kusilo,
ty mnie pilnowałaś.

Nigdy, przenigdy nie pozwoliłaś, żeby mi się coś stało.

Beth pociągnęła nosem i Molly zaczęła się zastanawiać, czy i u niej
wspomnienia wywołałyby.

- To dlatego, że ty potrzebowałaś mnie, a ja ciebie.

- Tak.

- Molly doszła do ostatniej strony, na której znajdował się zdjęcie z
zakończenia jej ostatniego roku szkolnego i
zpożegnania przyjęcia, które zgotowała dla niej rodzina tuż przed
wyjazdem na studia.

Różniłyśmy się od innych.

W słuchawce dały się słyszeć dziecięce głosy i Molly nie usłyszała,
co Beth jej odpowiedziała.

Dosłyszała za to pytania skierowane do Beth - kiedy będzie obiady czy
pomożemy przy zadaniu domowym.

To Cammie, Blain i Braden wrócili ze szkoły.

- Słyszysz?

Beth musiała przekrzykiwać domowy harmider.

- Indianie w domu!

- I to bardzo niecierpliwi.

,- O, tak!

- Hałas w tle jeszcze się wzmógł.

- Zadzwoń później, dobrze?

- Jasne.

Molly zawahała się.

Wiesz, Beth, kocham cię.

- Aha.

- Słyszała uśmiech w głosie swojej siostry.

- Ja też cię kocham.

Rozłączyły się i Molly przeczytała słowa, które Beth zapisała na ostatniej stronie albumu: "Nasze drogi się rozejdą, ale pewnego dnia, gdy będziemy już całkiem dorosłe i gdy znajdziemy odpowiedzi na wszystkie nasze pytania, być może będziemy mieszkać w sąsiedztwie i wspólnie wychowywać dzieci, ale teraz będzie mi Ciebie brakować. Nigdy nie zapomnę, jak nam się mieszkało w jednym pokoju. I w ogóle tego wszystkiego, co razem przeszliśmy. Kocham Cię.
Beth".

Molly zamknęła album i przycisnęła go do piersi. Beth miała rację. Ich drogi zawiodły je daleko od rodzinnego domu w Orlando. Beth dostała stypendium na Uniwersytecie Waszyngtońskim. Obydwie wyszły za mąż, mając po dwadzieścia kilka lat. Molly i Jack przeprowadzili się do West Palm Beach, a Beth i Bili zamieszkali w Seattle. Nie mogły wytrzymać nawet tygodnia, żeby nie porozmawiać ze sobą, ale nie dało się tego porównać z tamtymi wspólnie przeżytymi latami, kiedy były nierozłączne.

Żadnej z nich nie przeszło nawet przez myśl, że rzeczywiście będą sąsiadkami.

Ale tak się właśnie stało i otoczek było wspólne życie, wspólne wychowywanie dzieci u boku ukochanych mężów. A pośród tego wszystkiego - one obie znów razem!

Molly otarła zabłąkaną łzę i odłożyła album. Życie nie mogło się jej lepiej ułożyć. Właściwie to układało się tak idealnie, że niemal ją przerażało. Jakby się bała, że przyznając przed sobą samą, że jest to po prostu idylla, może coś zapeszyć. Zamrugnęła szybko i poszła sprawdzić, czy Joey jeszcze śpi. Niepotrzebnie się obawia - te niespokojne myśli są zupełnie bezpodstawne. Życie jest wspaniałe, a zbiegiem czasu staje się coraz lepsze po prostu.

Rozdział VII

Biuro mieściło się w budynku z czerwonej cegły w samym centrum Cleveland.

Nad wejściem widniał napis: Wydział ds.

Opieki nad Rodziną i Dzieckiem.

Wendy mocno ścisnęła dłoń Ripa.

Nie spała całą noc, bez przerwy rozmyślając o tamtym małżeństwie z Florydy.

Czy dobrze zrobili, decydując się tu przyjść?

Czy to, co zamierzają zrobić, faktycznie okaże się dobre dla ich dziecka?

Zatrzymała się w pół kroku, by złapać równowagę.

Buty na wysokich obcasach nie ułatwiały chodzenia po śliskim od deszczu chodniku.

Nad ich głowami przetaczała się kolejna burzowa chmura.

Czy aby na pewno postępujemy słusznie?

- Oczywiście.

- Rip uśmiechnął się szeroko.

Od czasu pamiętnej rozmowy w salonie zachowywał się jak wzorowy mąż.

Pocałował ją w policzek i powiedział uspokajającym tonem:

- Wtedy nie byliśmy gotowi, żeby zostać rodzicami.

Teraz jesteśmy.

Racja - potaknęła i ruszyła w ślad za nim po schodach prowadzących do budynku.

Skontaktowali się w

działem tego samego popołudnia, kiedy pokazała Ripowi dokumenty.

Allyson Bower nadal tam pracowała.

Podeszł do okienka i Rip zwrócił się do dyżurującej urzędniczki.

- Mamy umówione spotkanie z panią Allyson Bower.

Nazywam się Rip Porter - przedstawił się, po czym dotknął ramienia

Wendy, dodał: - A to jest moja żona, Wendy.

Kobieta siedząca za biurkiem sprawdziła coś w komputerze.

- Proszę poczekać kilka minut.

Zawiadomię panią Bower, że państwo już przyszli.

Rip podziękował i poprowadził Wendy w stronę najbliższych wolnych krzeseł.

W poczekalni były dwie inne osoby:

smutny mniej więcej trzydziestoletni mężczyzna i

młoda dziewczyna mająca tak na oko nie więcej niż osiemnaście lat.

Wendy, wtulając się w ramię męża, szepnęła mudoucha:

- Trochę się denerwuję.

Co będzie, jeśli nam nie uwierzą?

- Uwierzą -odpowiedział Rip, tyle że jakby niecomniej pewnie niż wcześniej.

Pamiętasz, co ci mówiłem?

Zachowuj się, jakby to była najprawdziwszaprząd, a efektbędzie murowany.

- Dobrze.

Wendy nie chciała sprawić mu zawodu.

W końcuwszystko to było w gruncie rzeczy jej winą.

Wciągu ostatniego tygodnia Rip kilka razy się na nią wkurzył, gdy przystole w kuchnićwyczyli tęż rozmowę.

W nerwach zdarzało sięJej coś poplątać, aon wtedy się na nią wydzierał.

Ale zaraz potem się uspokajał i przepraszał.

Jakna razie kontrolowaniezłości, którego uczyli go w więzieniu, przynosiło efekty.

Poza tym nie było powodu do zdenerwowania.

Jak do tej pory pracownica opieki społecznej uwierzyła we wszystko, co

Wendy jej powiedziała.

91.

W trakcie pierwszej rozmowy telefonicznej opiekunka zdawała się pamiętać ich sprawę.

- Pani mąż był wtedy w więzieniu.

Oddała panidziecko w trosce o jego przyszłość - powiedziała, powstrzymując się jednak od dodania, że doskonale pamięta sinieca nad obojczykiem Wendy, oraz pomijając fakt, że Wendy tak naprawdę bała się, by po wyjściu z więzienia Rip niewyrządził krzywdy ich dziecku.

- Tak - Wendy głośno odetchnęła.

Rip cały czas uważnie ją obserwował, próbując wyczytać z jej twarzy, o czym rozmawiają.

Zamknęła więc oczy i ciągnęła:

- Jest jednak pewien problem.

Mój mąż, Rip Porter, został w tym tygodniu zwolniony z więzienia.

Starła się mówić słabym głosem i sprawiać wrażenie ofiary zewnętrznych okoliczności.

- Przez cały ten czas myślałam, że podpisał papiery, dokumenty dotyczące oddania dziecka do adopcji.

Ale teraz on mówi, że w ogóle nie wiedział o dziecku.

Zawahała się na moment.

On chce je odzyskać.

Oboje tego chcemy.

W słuchawce zapanowała długa cisza.

Słychać było szelest gorączkowo przesuwanych kartek papieru i odgłos palców stukających w klawiaturę.

W końcu udało się słyszeć westchnienie i Allyson zaproponowała: -

Spotkajmy się, by porozmawiać na ten temat.

Takie rzeczy trzeba omawiać sobie.

- Dobrze - zgodziła się Wendy, pokazując Ripowi uniesiony kciuk.

- Kiedy możemy się spotkać?

Ustały termin i z każdym upływającym dniem Wendy czuła narastające w niej podniecenie.

Ich syn zdążył już miękko wejść w życie.

Zdrowe dziecko na pewno doświadczyło zmiany otoczenia zwłaszcza jeśli zostanie ona odpowiednio przeprowadzona.

Mogą mu

92

powiedzieć, że ta pierwsza rodzina to byli tacy przybrani rodzice i ludzie, którzy zgodzili się zaopiekować nim przez kilka lat.

Teraz jednak nadarza się szansa, by zamieszkał ze swoimi prawdziwymi rodzicami.

Tak, to powinno załatwić ewentualne wątpliwości

- Wendy wpatrywała się w swoje dłonie złożone na kolanach

- w każdym razie miała nadzieję, że załatwi.

Anawet jeśli potrzeba będzie trochę więcej czasu, by synek się do nich przyzwyczaił, po prostu uzbroją się w cierpliwość.

Pewnego dnia on wszystko zrozumie.

Przecież robiono z miłości do niego, ponieważ naprawdę sądzą, że z nimi będzie mu lepiej.

Z jego prawdziwymi rodzicami.

Otworzyły się drzwi i stanęła w nich Allyson Bower.

Wyglądała tak samo jak pięć lat temu: wysoka, szczupła, z piwnymi oczami.

Sprawiała wrażenie osoby rzeczowej, nieco oschłej, która jest tu nie po to, by wzbudzać sympatię, lecz po to, by jak najlepiej zadbać o interesy dzieci.

- Wendy Porter?

- Allyson obrzuciła ją uważnym spojrzeniem, po czym przeniosła swą uwagę na Ripa, by po chwili zatrzymać wzrok ponownie na niej.

Ton jej głosu mieścił się gdzieś pomiędzy gniewem a zniecierpliwieniem.

- Jestem do państwa dyspozycji.

Rip ruszył przodem.

Przywitał się z Allyson w drzwiach, potrząsając jej dłonią jak sprzedawca używanych samochodów.

- Jestem Rip Porter - uśmiechnął się, wkładając w ten uśmiech cały urok, na jaki było go stać.

- Dziękuję, że znalazła pani dla nas czas.

- Allyson Bower - odpowiedziała, patrząc mu prosto w oczy.

Nie odwzajemniła uśmiechu.

- Proszę za mną.

Coś jeszcze bardziej ścisnęło Wendy w żołądku.

Allyson nigdy wcześniej nie wyglądała tak groźnie.

Wendy wpiła

93.

się w ramię Ripa, gorączkowo próbując sobie przypomnieć uzgodnioną wersję zdarzeń.

Miała powiedzieć, że zostawiła papiery strażnikowi i odebrała już podpisane, potem długo nie miała kontaktu z mężem i najprawdopodobniej jakiś inny więzień musiał podpisać oświadczenie adopcyjne, być może ot tak, "dla kawału".

Allyson otworzyła drzwi do niewielkiego biura i gestem wskazała im, by usiedli nad dwóch fotelach naprzeciwko dużego drewnianego biurka, na którego blacie leżała pojedyncza teczka.

Allyson zajęła miejsce w swoim fotelu, złączyła ręce i położyła je na teczce. Gdy Rip i Wendy usiedli już wygodnie, w milczeniu patrzyła na nich przez dłuższą chwilę.

Wreszcie westchnęła ciężko i zapytała:

Zdają sobie państwo sprawę z tego, o co mnie proszą?

Rip bez mrugnięcia okiem pospieszył z odpowiedzią:

Zasłapewna pomyłka, pani Bower.

Chcielibyśmy poprosić pańską pomoc w odzyskaniu syna.

W tym momencie chłopiec już od prawie pięciu lat jest synem kogoś innego - odpowiedziała Allyson, otwierając teczkę, po czym spojrzała dobitnie na Wendy:

Sama pani wybrała tę parę, nieprawdaż?

Owszem.

Wendy przysunęła się do fotela bliżej męża.

- Nigdy nie chcieliśmy, żeby tak to się potoczyło.

Allyson przez chwilę uważnie studiowała leżącą na wierzchu kartkę papieru, a następnie pokręciła głową:

Zanim cokolwiek zrobimy w tej sprawie, chcę państwa zapytać, czy wzięli państwo pod uwagę zamieszanie i wstrząs, jaki spowoduje to w życiu państwa syna.

Ponownie złożyła dłonie.

Zapoznałam się z raportami pracownika opieki społecznej na Florydzie.

Państwa syn ma się świetnie.

Zabranie go

94

z jedyne go domu rodzinnego, który jest mi znany, może poczynić nieodwracalne szkody w jego psychice.

Rip założył nogę na nogę, opierając się łokciem o poręcz fotela.

Zaśmiał się krótkow przesadny sposób.

- Wyprostowanie wszystkiego nie będzie łatwe dla nikogo, pani Bower - skonał, podnosząc i opuszczając ręce.

Ale to jeszcze mały chłopczyk.

Bardzo mały.

Obrócił się w stronę Wendy, pokiwał głową i ponownie przeniósł spojrzenie na urzędniczkę.

- Oboje z żoną uważamy, że chłopiec się przyzwyczai i wszystko będzie okej.

Allyson nie byłaby bardziej zdumiona, gdyby Rip poznał, że chce zabrać syna w podróż na Marsa.

- Nic nie będzie okej, pani Porter.

W tym wieku dziecko jest szczególnie podatne na wpływ otoczenia.

Obecnie chłopiec świetnie sobie radzi pod każdym względem.

- Czując ogarniające ją wzburzenie, Allyson starała się panować nad swoim głosem.

- Zabranie go z domu byłoby posunięciem, którego zdecydowanie nie popieram.

Rip musiał się zorientować, że ma przewagę.

- Nie popiera pani - wycelował w nią palec, po czym opuścił rękę ale to nie pani decyduje, mam rację?

- Ruchem podbródka wskazał na leżącą na biurku teczkę.

- Jeśli ktoś podrobił mój podpis, pozbawiono mnie przynależnego mi prawa i chłopiec należy do mnie.

Na twarzy Allyson malowało się poczucie porażki.

Również zerknęła na teczkę.

Nie podnosząc wzroku, westchnęła, po czym spojrzała na Ripa i zapytała:

- A zatem jeśli uda się dowieść, że pański podpis na papierach został sfabrykowany, życzy pani sobie wszczęcia kroków zmierzających do odebrania chłopca rodzinie adopcyjnej i oddania go pod opiekę pana i pańskiej żony.

Czy dobrze zrozumiałam?

95.

- Tak - odparł Rip, splatając ręce na piersi.
- Z chęcią zajmę się przystosowaniem naszego syna do zmiany otoczenia.

Allyson Bower postukała palcami w teczkę.

- No dobrze.

Zerknijmy w takim razie na dokumenty.

Mogą mi państwo wyjaśnić, jak doszło do sfalszowania podpisu?

- zapytała, patrząc prosto na Wendy.

- Rzecz jasna, jeśli faktycznie doszło do fałszerstwa i dowiem się, kto podpisał się zamiast pana, osoba winna ponieść wszystkie przewidziane przez prawo konsekwencje tego czynu.

Wendy poczuła, jak jej dłonie zaczynają się robić śliskie od potu.

Spojrzała na męża z powrotem na Allyson.

- Bardzo dobrze.

Ktoś taki zasługuje na karę.

- Kiwnęła głową na potwierdzenie swoich słów.

Jak w ogóle można coś takiego zrobić?

- No właśnie.

- Allyson ani na chwilę nie traciła z niego kontaktu wzrokowego.

- Niech mi pan powie, co się stało.

Z moich notatek wynika, że poleciłam pani zanieść dokumenty do więzienia i dać je mężowi do podpisania.

- Zgadza się.

- Wendy poszukała wzrokiem Ripa.

Tak właśnie zrobiłam.

Allyson uniosła brwi w geście zdziwienia i przysunęła do siebie notes.

Wzięła do ręki długopis i czekała.

- No, dalej, kochanie.

- Rip ruchem głowy wskazała Allyson.

W jego spojrzeniu kryło się ostrzeżenie, które tylko Wendy potrafiła wyczytać: nadeszła ta chwila.

tylko niczego nie schrząć.

- No więc.

Wendy odchrząknęła i pochyliła się lekko.

Wzrok miała wlepiony w Allyson.

Zaciskała dłonie, trzymając je blisko ciała tak, by nie było ich widać.

- Zrobiłam tak, jak mi pani kazała.

Zaniosiłam papiery do więzienia.

Zasadniczo w tym czasie nie odzywaliśmy się do siebie z mężem.

Dałam je dyżurnemu strażnikowi wraz z karteczką wyjaśniającą sytuację.

Urodziłam dziecko i zdecydowałam się oddać je do adopcji.

Allyson zapisywała coś w notatniku.

Na moment podniosła wzrok.

- Proszę mówić dalej.

- Wyraźnie zaznaczyłam, że przesyłka ma trafić w ręce Ripa Portera.

- No, widzi pani - wtrącił się Rip.

- Nieraz zdarzało się, że strażnik przekazał pocztę któremuś koledze i list został doręczony niewłaściwemu adresatowi.

- Uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Zastanawialiśmy się nad tym z Wendy.

Sądzimy, że tak to właśnie było.

Allyson przerwała pisanie.

- A więc pani zdaniem strażnik wręczył przesyłkę komuś innemu.

Rip wskazał kciukiem na siebie.

- Chyba wiem, że żadnych papierów nie dostałem.

- A ja wiem, że dałam je strażnikowi z prośbą, by przekazał je Ripowi.

Allyson omiotła ich długim spojrzeniem, najpierw Wendy, a potem jej męża.

- Jest pan pewien, że nigdy nie widział pan tych dokumentów na oczy?

- W życiu.

- Rip brzmiał przekonująco, bo przynajmniej ta część historii była prawdą. Faktycznie nie dostał wtedy żadnych dokumentów do podpisania.

Allyson zapisała coś w notesie.

No dobrze, Wendy, co było potem?

97.

Wendy, czując, że jej dłonie pocą się jeszcze bardziej, dyskretnie wytarła je koniuszkami palców.

No, dalej, niechto wypadnie wiarygodnie.

Wyprostowała się na fotelu.

i powiedziała:

- Kiedy wróciłam tam tydzień później, przesyłka czekała na mniem biurku wdyżurce.

Zanim wyszłam, sprawdziłam, czy niczego nie brakuje.

Wzruszyła ramionami i mówiła dalej:

- Nie przypatrywałam się dokładnie, ale wszystkie dokumenty wyglądały w porządku.

Skąd mogłam wiedzieć, że to nie był podpis Ripa?

- Większość kobiet potrafi rozpoznać podpis męża

- zauważyła nie bezironii Allyson.

- Nie uważa pani?

- Oczywiście - Wendy udała oburzenie z powodu niedowierzania rozmówczynie.

- Rip ma nieczytelny podpis i tamten też taki był.

Wyglądał podobnie.

- A zatem odniosła pani papiery - Allyson niepuszczała z niej wzroku - i aż do momentu, gdy mąż wyszedł z więzienia tydzień temu, żyła pani w przekonaniu, że podpisał zgodę na adopcję.

- Tak.

- Wendy poczuła ulgę.

Czyżby poszło tak łatwo?

- Tak mi się wydawało.

Przez kolejnych dziesięć minut próbowali przekonać

Allyson, że przez ostatnie cztery lata widzieli się z mężem tylko parę razy, a Wendy była zbyt poruszona i zdenerwowana z powodu oddania dziecka, by zaczynać ten temat w trakcie tych kilku krótkich odwiedzin w zakładzie karnym.

- Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal - stwierdziła Wendy na koniec.

- Sądziłam, że tak już zostanie.

Matka, która oddała swoje nowo narodzone dziecko do adopcji, chyba by oszalała, gdyby cały czas rozpamiętywała to, co się stało.

98

Rip ujął jej dłoń i delikatnie uścisnął.

Cień uśmiechów kąciku jego ust powiedział Wendy, że dobrze się sprawiła.

Był z niej zadowolony.

W końcu Allyson poprosiła Ripa o podpisanie kilkunastu dokumentów oraz złożenie pod przysięgą oświadczenia, że nic nie wiedział o adopcji i niczego nie podpisywał.

Musiał też kilkakrotnie podpisać się na osobnej kartce po to, by grafolog mógł potwierdzić, że podpis na dokumentach adopcyjnych rzeczywiście nie należy do niego.

Potem przyszedł czas narad o skłonnościach Ripa do przemocy oraz programie resocjalizacyjnym, w którym wziął udział podczas pobytu w więzieniu, i udzielonej mu pomocy psychologicznej.

- Jestem dziś zupełnie innym człowiekiem, pani Bower - zadeklarował, prostując się w fotelu.

- Nauczyłem się kontrolować swoje emocje.

Jestem gotów zostać ojcem.

Gdy spotkanie dobiegło końca, Allyson wstała i wskazując gestem drzwi, oznajmiła:

- Jeśli analiza grafologiczna potwierdzi państwa słowa, nie będę miała wyboru.

Przeprowadzę z panem i paną żoną wywiad środowiskowy w państwa domu, a potem przedstawię sprawę sędziemu tutejszego sądu rodzinnego, który najprawdopodobniej przyzna panu, pani Porter, prawo do opieki nad synem.

Mówiła zmęczonym, przygnębionym głosem.

- Następnie skontaktuję się z odpowiednim pracownikiem opieki społecznej na Florydzie i rozpoczniemy procedurę związaną z zabranieniem chłopca z dotychczasowego domu rodzinnego i oddaniem go pod pańską opiekę.

- Ha, jeszcze raz dziękuję za poświęcony nam czas.

Rip chwycił Wendy za rękę i ruszył do wyjścia.

- Naprawdę doceniamy pani.

99.

- Proszę się nie spieszyć z podziękowaniami - przerwałam Allyson, unosząc dłonie.

- Muszę.

- Teraz w jej oczach wyraźnie widać było gniew.

- Do tej pory nigdy nie zdarzyło mi się ze względów formalnych unieważnić decyzji o umieszczeniu dziecka w rodzinie adopcyjnej.

Jeśli jednak uzyska pan prawo do opieki nad synem, panie Porter, to chyba wyłącznie ze względu na niedoskonałość systemu - powiedziała, zaciskając zęby.

- Chcę, żeby pan o tym wiedział.

- Słuchaj no, nie masz tu nic do.

- Rip urwał w pół zdania.

Wendy wstrzymała oddech.

Przez moment wydawało się, że jej mąż eksploduje.

- Kochanie.

- Ścisnęła gozarekę.

Przypomniał sobie, w jakim miejscu się znajduje, i opamiętał się.

Zmarszczył brwi i tylko rzucił półgłosem:

- Przykro mi, że tak pani uważa, pani Bower.

Być może, gdy będzie już po wszystkim, zmieni pani zdanie.

Allyson chyba go nie usłyszała.

Wzięła teczkę z biurka, odwróciła się i włożyła ją do szafy.

Rip nie powiedział już nic więcej.

Kiwnął głową na Wendy i wyszli na korytarz.

Zamknąwszy za sobą drzwi, Rip objął żonę w talii.

- Byłaś świetna.

Uniosł ją i zakręcił nią dookoła.

Już jest nasz.

Wiedzą, gdzie jest i ze wszystkim z nim w porządku.

- Cieszę się, że już po wszystkim.

Wendy było słabo;

potrzebowała świeżego powietrza, żeby ochłoniąć.

Przeszli więc na drugi koniec holu, jak najdalej od biura Allyson Bower.

Nagle przystanąła i spojrzała na Ripa.

- Wiedziała, że kłamamy, nie wydaje ci się?

To znaczy, czekałam tylko, aż powie nam, żebyśmy sobie poszli i więcej się tu nie pokazywali.

- Tego nie mogła zrobić!

- Ripuśmiechał się od ucha do ucha.

- Nie podpisałem tych cholernych papierów i ona o tym
100

wie. Niech tam sobie myśli, co chce, nie zmienia to jednak faktu, że niesłusznie utraciłem prawo do opieki nad synem.

- No.

- Wendy wyjęła z torebki gumę do żucia i włożyła ją sobie do ust.

- Muszę się czegoś napić.

- Ja też.

Ripotał pot z czoła i zaprowadził ją do wyjścia.

Na schodach przed budynkiem mocno pocałował żonę w usta.

- Wpadnijmy po drodze do jakiegoś sklepu i kupmy sobie
dwunastopaka.

Jest coś świętować.

Gdy schodzili po stopniach, podała jej dłoń, pamiętając, że Wendy ma
szpilki.

- Założę się, że ten nasz chłopak jest super!

- powiedział z rozmarzeniem w oczach.

Idąc do samochodu, obejmowali się czule.

- Zobaczysz, wszystko dobrze się ułoży.

Wendy się uśmiechnęła.

Rip miał rację: spotkanie udało się lepiej, niż można było się spodziewać.

Mimo to gdzieś głębi jej serca czaił się niepokój.

Możet z powodu słów przestrogi, które na wstępie usłyszeli z ust Allyson
Bower.

Powiedziała, że zmiana otoczenia może zaszkodzić ich dziecku, że być
może odcisnie to trwały ślad na jego psychice.

No i jeszcze ten jej ostatni komentarz, że jeśli odzyskają prawo do opieki, to
tylko dlatego, że system prawny jest niedoskonały.

Tak czy owak, odebrało jej to satysfakcję z odniesionego zwycięstwa i tej
nocy - nawet gdy dwunastopak był już w połowie opróżniony -
nie odczuwała ani radości, ani zadowolenia.

Allyson Bower była zmęczona.

Mimo że z całych sił się starała, nie potrafiła oderwać myśli od
pracy.

Był początek lata - jej ulubiona pora roku a burza, która rozpełtała się
kilka godzin wcześniej, już

101.

ucichła.

Zaraz po powrocie do domu Allyson przebrała się i wyszła do ogrodu. Petunie, gardenie, róże i żonkile -wszystkie rozwijały się pięknie, ale wymagały pielęgnacji.

Pierwszą godzinę po powrocie z pracy postanowiła poświęcić na plewienie kwietników.

Jednak w każdym kwiatku, w każdym chwacie widziała twarz małego chłopca; przypominały się jej zdjęcia z akt sądowych.

Te, których nie wolno jej było pokazać Ripowi i Wendy Porterom, dopóki sędzia na to nie zezwoli.

Spróbowała zatem zająć myśli czymś innym.

Weszła z powrotem do domu i otworzyła kredens.

Mleko, śmietana, cukier, banany.

Miała wszystkie potrzebne składniki.

Możeby tak zrobiła swój słynny pudding bananowy?

Chłopcy się ucieszą, a ona przynajmniej znajdzie sobie zajęcie, by nie myśleć o sprawie Porterów.

Wyciągnęła przepis ze starego pudełka w kwiatki.

Wszystkie kartki ułożone były alfabetycznie, tak że z miejsca znalazła tę, której szukała.

Przygotowanie masy zajęło piętnaście minut i gdy pudding spoczywał już w piekarniku, poszła pomóc chłopcom w odrabianiu lekcji.

Piętnastoletni Travis pytał ją o wspólny mianownik i dzielenie, siedmioletnia Taylor próbowała zrozumieć, jak się dodaje liczby dwucyfrowe.

Wystarczyło to, by odwrócić uwagę od natrętnych myśli.

Tuż przed kolacją wpadła z wizytą Tavia, jej najstarsza córka.

Był nią mały Harley, jedyny wnuczek Allyson.

Godzinna rozmowa o klockach lego i dinozaurach, a potem zamieszanie związane z przygotowaniem tortilli, fasoli i ryżu z plątającym się cały czas pod nogami Harveyem dały jej złudzenie, że praca została w biurze.

Nic z tego.

Gdy dzieci poszły już spać, próbowała obejrzeć kasetę wideo ze skrótami meczów NFL z poprzedniego sezonu,

102

ale nie mogła się skupić.

W końcu wyłączyła telewizor, zgasiła światło i wbiła wzrok w sufit.

;

Jak to się stało?

Chłopiec był wspaniały pod każdym względem.

Wyróżniał się wśród rówieśników w swojej grupie w przedszkolui doskonale się zaadaptował.

Z najnowszychraportówwynikało, że matki krewni adopcyjnej przeprowadzili się niedawno do West Palm Beach, co oznaczało, że chłopiec ma dodatkowo ułatwiony kontaktz ciocią i wujkami prawdopodobnie kuzynami w zbliżonym wieku.

Nie okłamała dziś Porterów.

Wyrwanie goz tego środowiska będzie dla niegoogromnym ciosem.

Przewróciła się nabok i wpatrywała się w lampy uliczne przeświecające przezzaciągniętezasłony.

Coś w całejtej historiiibyło nie w porządku.

Nawetjeśli strażnik więzienny wręczył dokumentyinnemu więźniowi, dlaczego więzień ten miałby sfałszowaćpodpis Ripa?

Jeśli Porterowie kłamali, byłoto kłamstwo dobrze skalkulowane.

W tak przedstawionej wersji wydarzeń niemiałoznaczenia, dlaczegoktoś zrobił coś takiego.

Winowajca niemiał imienia ani twarzy.

Żeby się dowiedzieć, kto odebrał przesyłkę i podrobił podpis Ripa, trzeba by przesłuchać wszystkichpensjonariuszy zakładu karnegosprzed czterech lat.

Allyson podejrzewała zresztą, że nie zrobiłtego żadenzwięźniów, lecz sama Wendy Porter.

Miała zapis rozmowy,którą odbyła z nią w szpitalu cztery lata wcześniej,i przeczytała gokilkakrotnie przed spotkaniem z Porterami i ponim.

Wendy Porterbała się wtedyRipa.

Nie chciała, bypo powrocie z więzieniawyładowywałaśwą furię nasynku.

Z tegowłaśnie powodu postanowiła go oddać.

Gdy Allyson zapytałają wtedy, czy Rip mógłby się niezgodzić na podpisanie

103.

papierów, Wendy pośpiesznie odpowiedziała: oczywiście, że się zgodzi.

Ale czy to miało w ogóle jakiś sens?

Gałęziedrzew za oknem kołysały się lekko nawietrze, rzucając cienie na podłogę sypialni.

Jeśli Rip Porter miał porywczy charakter i odpowiadał profilowi typowego sprawcy przemocy w rodzinie, nigdy nie zrzekłby się prawa do opieki nad synem.

Tacy ludzie mają silne poczucie własności; stąd właśnie bierze się ich skłonność do przemocy.

Postrzegają innych jako przedmioty, którym mogą dysponować i manipulować.

Gdy ktoś nie zachowuje się tak, jak tego oczekują, wyładowują na nim złość, by w ten sposób wyegzekwować swoje prawo do takiej osoby.

Ludzie skłonni do przemocy są bardzo wyczuwliwi na punkcie swojej własności.

Szczególnie jeśli chodzi o ich żony i dzieci.

Allyson westchnęła głęboko.

Mogłaby przycisnąć Wendy, zmusić ją do poddania się badaniu na wykrywanie kłamstw lub zlecić przeprowadzenie analizy grafologicznej jej pisma, by przekonać się, czy to aby nie ona podrobiła podpis Ripa Portera.

Ale po co?

Jeśli jej teoria była słuszna, można by postawić Wendy przed sądem, a nawet wysłać ją na parę lat za kratki.

Ale chłopiec tak należałby do Ripa.

Wydawało się, że w całej tej historii tylko to jedno jest prawdą - do momentu wyjścia z więzienia Rip Porter nie wiedział, że ma syna.

Podpis na dokumentach wyraźnie różnił się od tego, który złożył dziś rano.

Czemu miałyby służyć odstawienie Wendy na boczny tor?

Skoro Rip i tak dostanie prawo do opieki, a chłopiec zostanie zmuszony do porzucenia dotychczasowej rodziny i roz

poczęcia życia na nowo w innym stanie i z innymi

ludźmi, Wendy powinna w tym uczestniczyć.

Chłopiec będzie potrzebował matki, nieprawdaż?

Kogoś, kto będzie się nim opiekował na wypadek, gdyby Rip się zmienił.

Nic dziwnego, że Allyson nie mogła zasnąć.

Jutro dostanie odpowiedź w sprawie charakteru pisma Ripa Portera, opinię eksperta odnośnie do tego, czy podpisał go sfabrykowany.

Następnie sędzia w oparciu o ekspertyzę grafologiczną podejmie decyzję zgodnie z trybem ustalonym dla tego rodzaju spraw.

Przyzna Ripowi i Wendy prawo do opieki nad dzieckiem i w krótkim czasie idylla chłopca zostanie brutalnie przerwana.

Zamknęła oczy i przywołała w myślach obraz swoich własnych dzieci. Tavia z małym Harleyem.

Travis.

Taylor.

Jak zareagowałiby, gdyby ktoś do nich przyszedł i oznajmił, że życie, jakie znali dotychczas, dobiegło końca?

Że będą musieli zamieszkać z inną rodziną i nie wolno im będzie oglądać się za siebie?

Allyson nie często zdarzało się płakać.

Widziała już zbyt wiele i nauczyła się nieulegać emocjom w przypadku każdej trudnej sprawy.

Przeważnie chodziło o tymczasową opiekę, czyli sytuację, gdy dziecko przywiązało się do przybranych rodziców, ale musiało zostać oddane naturalnemu ojcu lub matce, zresocjalizowanemu kryminaliście lub narkomance po odwyku.

Rozdarła serce był nieodłącznym elementem tej pracy.

Mimo to łzy spływały jej po policzkach, wsiąkając w poduszkę.

Coś w tej konkretnej sprawie sprawiło, że przypomniała sobie o swoim ojcu, człowieku, którego kochała i wiele lat temu utraciła z powodu choroby nowotworowej.

Rozpłakała się jak dziecko.

105.

- Tato.

tak bardzo mi ciebie brakuje.

Poradź mi, comam zrobić.

To nie było w porządku.

Gdzieś tamdaleko na Florydzie pewien mały chłopczyk, od urodzenia mocno związany ze swoimi rodzicami, najprawdopodobniej ich utraci. Nie z powodu raka, tylko w wyniku niedoskonałości systemu prawnego.

I właśnie to- bardziej niż wszystko, z czym w ciągu ostatnich kilkunastu lat zetknęła się w pracy - wystarczyło, by się zupełnie rozkleiła.

Rozdział VIII

Beth i Molly siedziały obok siebie na parkowej ławce, z widokiem na plac zabaw.

Joey i Jonah huśtali się, kto wyżej.

- Aż miło popatrzeć - westchnęła Beth i uśmiechnęła się.

- Ci dwaj chłopcy będą dla siebie najlepszymi przyjaciółmi, nie masz takiego wrażenia?

- Mam.

- Molly pochylała się, opierając łokcie na kolanach.

- Zawsze, gdy widzę ich razem.

Starsze dzieci jeździły na rowerach po wijącej się alejce.

Był środek czerwca i trwały już wakacje.

Wilgotność powietrza była wysoka, ale do wytrzymania.

Błękitne niebo, jakieś 26 stopni Celsjusza i lekki wiaterek sprawiały, że popołudnie było wprost idealne.

Upały, które panowały na początku miesiąca, teraz zebrały się razem z chłopcami cieszyły się na myśl o przedpołudniowych wyprawach do parku dwa razy w tygodniu.

Tego ranka Beth, jak w każdy wtorek i czwartek od czasu przeprowadzki, wpadła zwizytą do Molly.

- Wybieracie się do parku?

107.

-Joey męczy mnie o to, odkąd tylko się obudziłroześmiała się Molly.

- Zróbmy sobie piknik.

- Chłopcy bawili się już prawie godzinę.

Beth opadła na oparcie ławki:

- Wiesz, co sobie myślę?

-Hm..

- mruknęła Molly, spoglądając przez ramiona siostrę.

-Chyba nieznowu okościele?

Beth poczuła się dotknięta.

Od czasu rozmowy przy grillu nie wspominała nic o kościele; obiecała, że nie będzie poruszać tego tematu.

- Dziękuję ci bardzo - powiedziała sarkastycznie, a uśmiech zniknął jej z twarzy.

-O co chodzi?

-Molly uderzyła w przeproszający ton.

- Nie wściekaj się.

Przepraszam.

- Zachichotała.

-Tylko tak się z tobą drocę.

Byłaś bardzo grzeczna, jeśli chodzi o te kościelne dyskusje.

- Dobra, nie gniewam się.

Ale dałabyś mi coś powiedzieć.

- Słucham.

- Molly usiadła pod kątem, by lepiej widzieć siostrę.

Co takiego chodzi ci po głowie?

Beth chwilę milczała, a gdy się odezwała, w jej głosie brakowało wcześniejszego entuzjazmu.

- Tak sobie myślałam, że my obie byłyśmy bardzo podobne do Joeya i Jonaha.

To znaczy, kiedy byłyśmy
małe.

Molly wyprostowała się i oparła wygodnie.

Obserwowała chłopców; widziała, jak Joey zachęca Jonaha do zabawy, coś mu wyjaśnia, udziela wskazówek.

- Też to zauważyłam - powiedziała z uśmiechem.

-Joey jest trochę apodyktyczny.

- Wcale nie jest apodyktyczny.

- Beth przekrzywiła głowę, nie spuszczać wzroku z bawiących się

chłop108

ców. - Po prostu troszczysz się o Jonaha.

Czujesz się niegoodpowiedzialny.

Molly spojrzała na siostrę.

- Ja taka byłam w stosunku do ciebie.

- Kiedy byliśmy małe, tak.

- Beth wyciągnęła nogi przed siebie i skrzyżowała je w kostkach.

- Pamiętam, jak uczyliśmy się jeździć na rowerach.

Zachichotała, zapomniawszy już o wcześniejszej uwadze Molly.

- Pamiętasz jeszcze te ciemnopomarańczowe rowerki z ramami w białe paski?

- I białymi frędzelkami przy kierownicach?

- No..

- Beth uniosła wzrok i obserwowała dwie sójki, które usiadły na pobliskim klonie.

- W każdym razie, ty miałaś siedem lat, a ja pięć.

Uczyłaś się wtedy jeździć na rowerze, więc ja też chciałam się nauczyć.

Nie miało znaczenia, że byłam młodsza.

- Zdaje się, że nasze rowerki miały boczne koła?

- Zgadzasz się, ale tamtego lata tata je odkręcił. Beth doskonale pamiętała, jakim przerażeniem nappełniała jej perspektywa jazdy tylko na dwóch kołach.

Tata najpierw uczył ciebie, a potem, nie jestem pewna, chyba ktoś do niego zadzwonił, czy jakoś tak, więc kazał ci dalej ćwiczyć, a mnie powiedział, że zajmie się mną za chwilę.

- Faktycznie - potwierdziła Molly.

- Teraz sobie przypominam.

Ledwie tylko wszedł do domu, zsiadłam z roweru i podbiegłam do ciebie.

- Zgadza się.

Powiedziałaś, że nie chcesz jeździć bezemnie.

- Beth roześmiała się i ponownie przeniosła spojrzenie na chłopców.

- Zamiast ćwiczyć, biegłaś tuż przy mnie, a Japo kilku próbach jeździłam jak zawodowy kolarz.

- No tak, ale kiedy wsiadłam na swój rowerek, to dołałam ujechać może z półtora metra i wywaliłam się hukiem.

109.

- Dokładnie tak było - Beth parsknęła śmiechem.

Patrzyła, jak chłopcy zeskakują z huśtawek i pędzą dokaruzeli.

Joey biegł przodem.

- Nie byłaś apodyktyczna.

Opiekowałaś się mną.

- Tak jak ty troszczyłaś się o mnie, gdy byliśmy starsze.

-Taaak.

- Beth uśmiechnęła się do siostry.

-Cośw tym rodzaju.

Niemalw tym samym momencie do ławki podbiegłchłopcy, przekrzykując się i wytykając palcami.

Pierwszyposkarżył się Jonah:

- On mi nie pozwala popychać go nakaruzeli!

Mówi,żebym siedział cicho i cieszył się z tego, że to on mną kręci.

- Joey.

nieładnie - Molly pogroziła synowi palcem.

- Czego cię uczyliśmy?

O tym,że trzeba się dzielić?

-Ale mamoo!

Ja jestem od niego wyższyprzekonywałJoey, wskazując palcem na karuzelę.

Jamogę pchać, bojestem duży.

Jonah jest mały.

- Wcale nie!

- Jonah pokazał mu język.

-Jestemodciebiestarszy.

To ty jesteś mały!

- Mamooo!

- zaprotestował Joey, patrząc błagalnie naMolly.

-Chyba fajniej jest jeździć na karuzeli.

Ja tyłkostaramsię być miły.

- Chłopcy, a dlaczego nie mielibyście się zmieniać?

Bethpoklepała Jonahapo plecach.

- Obaj jesteście wystarczającoduzi, żebypchać.

Spróbujcie tak to załatwić.

Nie wyglądali na przekonanych, ale posłusznie pobiegłiz powrotem do karuzeli.

W połowie drogiJoey stuknąłJonahaw ramię i wywalił język.

Usłyszały, jak mówi:

- Masz.

To za tamto.

Wybuchnęły śmiechem.

- Z nami też tak było skomentowała Beth, sięgając do torby po jabłko.

- Pamiętam,

110

jak pies odgryzł głowę twojej lalce Barbie.

Miałyśmy wtedy chyba dziesięć albo dwanaście lat.

Pamiętasz to?

- Jak mogłabym zapomnieć?

Ukradłam wtedy głowę twojej Barbie i udawałam, że nic się nie stało.

- Tyle żemoja Barbie miała na głowie opaskę dopasowaną kolorem do sukienki.

- Rozbawiona Beth ugryzła jabłko.

- Mama od razu się zorientowała.

- Nigdy nie potrafiłam kłamać.

- To prawda.

Chmurzyło się coraz bardziej i niebo pociemniało.

Odkiedy przeprowadzili się do West Palm Beach, prawie codziennie rozpętywała się burza z piorunami.

Prognoza na dzisiejszy dzień nie różniła się pod tym względem od innych.

- Chyba znowu będzie lało.

- Wracajmy lepiej do domu.

- Molly wstała i zaczęła zbierać cię rzeczy: torbę na lunch, siatkę przeciw owadom, zabawki.

- Mam impowiedzieć?

- zapytała, skinieniem głowy wskazując starsze dzieci.

- Będę wdzięczna.

- Beth sięgnęła po swoją torbę, spoglądając jednocześnie na niebo.

Błysnęło.

- Nie ma co zwlekać.

Pójdę uruchomić samochód.

Dzieciniech załadują rowery z tyłu.

Złożyła dłonie w trąbkę i zawołała:

- Chłopcy!

Idziemy, nadciąga burza.

Joey i Jonah zawahali się i przez moment się wydawało, że będą narzekać.

Ale Joey zeskoczył z karuzeli i pobiegł na trawnik przylegający do placu zabaw.

Mamo, chodźtu!

Patrz, ile dmuchawców!

- Już zaraz!

- Molly potruchtała w stronę starszych dzieci Beth, wołając do nich, by wsiadły do samochodu,

111.

po czym zawróciła do Joeya.

Zaledwie miesiąc wcześniej było tu pełno żółciutkich mleczy.

Teraz trawnik usiany był tysiącami puszystych kulek.

Biegając po nim, chłopcy wzbijali chmurę białego puchu.

Śmiejąc się radośnie, Joey i Jonah przybiegli do Beth i Molly.

- Widziałaś, mam?

W tym parku jest cała masa dmuchawców!

- Joey wziął Molly za rękę.

Chyba z tysiąc

milionów.

- No!

- potwierdził zdyszany Jonah, zrównując się z Beth.

- Super się ponich biega.

W oddali kolejna błyskawica przeszła niebo.

- No dobra, chłopcy!

- Beth przyspieszyła kroku.

Czas uciekać!

Ledwie zdążyli się załadować do auta Beth, gdyo przednią szybę zabębniły pierwsze krople deszczu.

- Fiuuu!

- zagwizdała Beth, wkładając kluczyk do stacyjki.

Niewiele brakowało.

Starsze dzieci zajęły miejscach tyłu.

- Zrobiłam najwięcej okrążeń oznajmiła dumnie

Cammie.

- Akurat Blain zrobił kwaśną minę.

Ja zaliczyłem

o trzy więcej.

Zaczęli się spierać.

We wstecznym lusterku Beth widziała twarz Joeya, który szeroko otwartymi oczyma patrzył przez okno.

- Lubię burze.

- Ale nie w nocy.

- Molly posłała siostrze porozumiewawcze spojrzenie.

- Już po pierwszym grzmocie zjawi się u nas w łóżku.

- Bo razem raźniej, gdy przychodzi burza - wytłumaczył Joey.

112

No pewno z pełną powagą poparł go Jonah.

Jateż wczasie burzy lubię być mamą i z tatą.

Przekomarzali się i żartowali przez całą drogę do domu, w garażu, a nawet już w kuchni.

Rozkładając kanapki na stole w jadalni, Beth pomyślała, że życie jest piękne, i rozkoszowała się chwilą.

Jej siostrznowu była jej najlepszą przyjaciółką.

Podobna nie przyjaźni zdawała się łączyć ich dzieci.

A jednak czegoś tu brakowało czegoś, o czym Beth nie śmiała namomknąć.

Gdy Molly poszła odsłuchać wiadomości nagrane na automatycznej sekretarce, Beth modliła się po cichu.

Boże.

proszę, spraw, aby Molly odnalazła drogę do Ciebie.

Obiecałam, że nie będę jej o tym mówić, więc Ty daj jej jakiś powód.

Panie, proszę!

Dzieci siedziały już grzecznie przy stole, gdy Molly kątem oka zauważyła, że na automatycznej sekretarce migaczerwona lampka.

Pewnie jakiś telefoniczny akwizytor.

Jack zadzwoniłby do niej na komórkę, a ponieważ były wakacje, mało prawdopodobne, by ktoś dzwonił do niej ze szkoły.

Mimo to ciekawość zwyciężyła i poszła sprawdzić, kto to.

Za oknem zagrzmiało.

Burze z piorunami były na Florydzie powszechnym zjawiskiem.

Przyzwyczała się do nich, a nawet je polubiła.

Sprawy, że czuła się w domu bezpiecznie, jak w kokonie chroniącym ją przed żywiołami.

Nacisnęła przycisk Odczytywanie wiadomości i czekała.

- Masz jedną nową wiadomość oznajmiła automatyczna sekretarka.

Pierwsza wiadomość, nagrana dzisiaj; o godzinie dziesiątej trzydziści jeden.

Słysząc było szum przesuwającej się taśmy, po czym głośnika popłynął kobiecy głos:

- Dzieńdobry.

- nieznamna kobieta zawahała się.

- Mówi Allyson Bower.

Jestem pracownicą opieki społecznej w Ohio, to ja nadzorowałam proces adopcji Joeya.

Molly zmniejszyła głośność, by nikt poza nią nie usłyszał treści nagrania.

Joey nie wiedział o adopcji.

Jeszcze nie.

Postanowili, że poczekają z tym, aż pójdzie do przedszkola, i dopiero wtedy postarają się w możliwie prosty sposób wszystko mu wyjaśnić.

Beth zauważyła zmianę wyrazu twarzy siostry, podniosła się z krzesła i podeszła do niej.

W jej spojrzeniu kryło się pytanie: Co się stało?

Molly machnięciem ręki dał jej do zrozumienia, by nie mówić. Nachyliła się nad głośnikami i słuchała dalej.

- Próbowałam się skontaktować z opiekunką społeczną, która zajmowała się państwa sprawą na Florydzie, ale ona nie pracuje już w tym wydziale.

- Nieznajoma kobieta ciężko westchnęła.

- W każdym razie pojawiły się nowe okoliczności, o których muszę z państwem jak najszybciej porozmawiać.

Jestem w biurze do godziny czternastej.

Gdybym mogli państwo zadzwonić do mnie jeszcze dziś po południu lub jutro przedpołudniem, wyjaśnię państwu dokładnie, o co chodzi.

Kobieta jeszcze raz podała swoje nazwisko i numer telefonu.

Molly wcisnęła Stop i zapisała wiadomość.

Serce tłukło jej się w piersi jak opętane.

O czym mówiła ta kobieta?

Jakie nowe okoliczności?

Proces adopcyjny został zamknięty, gdy Joey miał sześć miesięcy.

Dokumenty zostały podpisane, sąd wydał zgodę i tyle.

Kim u licha była ta Allyson Bower i skąd miała ich numer telefonu?

114

- Molly, jesteś blada jak ściana.

- Beth otoczyła ją ramieniem i pomogła jej usiąść na stolku przy barku

oddzielającym kuchnię od salonu.

-Co jest?

- Joey.

- Molly nagle urwała i ruchem głowy wskazała na siedzących przy stołach chłopców.

-Joey.

- Wszystko z nim w porządku.

Dałam chłopakom kanapkę i coś do picia.

Nie martw się o niego.

Molly zamrugała i poczuła, że wraca jej jasność umysłu.

Po co ta panika?

Przecież to tylko zwykła wiadomość telefoniczna.

Wyprostowała się i spojrzała na Beth.

- Dzwoniła pracownica opieki społecznej.

z Ohio.

Podobno pojawiły się jakieś nowe okoliczności.

Prosiła, żeby donieź zadzwonić.

- No i co z tego?

- Beth niewyglądała na zmartwioną.

- Pewnie chcą coś uzupełnić w papierach.

To chyba normalną przypadkiem adopcji międzystanowych?

- Mówisz?

- Serce Molly odzyskało właściwy rytm.

- Myślałam, że to tutejszy wydział rodzinny się tym zajmuje.

Robią to raz w roku, dopóki Joey nie ukończy piętego roku życia.

Potem to my mamy dbać o uzupełnianie jego akt dla

dla rodziców biologicznych.

- Więc może wydział w Ohio nie dostał takich informacji na czas.

- Beth niedawała się zbici z tropu.

- To chyba możliwe?

Molly zamknęła oczy.

Tak, to musi być to.

Chodziło o uzupełnienie dokumentacji.

Czegóż innego mogłabyście od niej i Jacka opiekunka społeczna z Ohio?

Adopcja przebiegła szybko i sprawnie.

Wszystko zostało zapięte na ostatni guzik.

Czyż nietak ujęła to pracownica wydziału rodzinnego na Florydzie?

Z drugiej jednak strony, taki telefon mógł oznaczać, że.

Popatrzyła na Joeya, na jego jasne włosy i roześmianeoczy.
Rozdzielił właśnie swoją kanapkę na dwie części i zlizywał dżem truskawkowy z górnej kromki chleba.
Mollypoczuła, że opada zniej napięcie.
Joey miał siędobrze; byłich ukochanym synkiem.
Nie mogłapoddawać się czarnymmyślom.
W sumie niewiele wiedziała o biologicznej matceJoeya.
Wiedziała tylko, że nie była ani narkomanką, ani pijaczką.
Największym problemem był jej mąż odsiadującyw więzieniu wyrok za przemoc wrodzinie.
Podobno matkazdecydowała się oddać Joeya do adopcji w trosce ojegobezpieczeństwo.
WybrałaMolly i Jacka spośródkilkunastupar różnych stanów.
Niby skąd miałyby się wziąć jakiś problem?
Bethmówiła coś do niej, ale Molly nie potrafiła zebraćmyśli.
- Tak, masz rację.
Jakaśformalność, coś wpapierach.
Panikuję bez powodu.
Zaśmiała się nerwowo, spoglądając na siostrę.
- Upewnialiśmy się, że wszystko jest wporządku.
Zapięte na ostatni guzik.
Tak nam powiedzieli:
zapięte na ostatni guzik.
Nie zostało nic, co mogłobyrodzić jakieś problemy, gdy Joey.
- Molly!
Beth potrząsnęła ją za ramię.
Ciii syknęła, oglądając się na chłopców.
- Usłyszysz cię.
Molly uniosła rękę.
Okej ściszyła głos.
Czyżbymówiła zbyt głośno?
Kurczowo zacisnęła dłonie naoparciustołka, próbując zapanować nad emocjami.
Przepraszam.
Już wszystko w porządku.
- W takim raziepuść ten stołek - ponagliła ją Beth.
-No, chodź już.
Molly spojrzała siostrze głęboko w oczy, rozpaczliwie szukającw

nich jakiegoś lekarstwa na ogarniający ją

116

strach.

- Nikt nigdy.

-jej głos przeszedł w szept - nigdy nie spróbuje odebrać nam Joeya, prawda?

- Nie!

- Beth stanowczo pokręciła głową.

-Z pewnością do niczego takiego nie dojdzie.

Adopcja została sfinalizowana dawno temu.

- Tak, oczywiście - Molly zrobiła głęboki wdech i powoli wypuściła powietrze.

Jeszcze raz wyliczyła w myślach wszystkie fakty świadczące o tym, że nie ma powodu do zmartwień.

Adopcja została sfinalizowana dawno temu.

Po tylu latach nikt nie może tego zakwestionować.

Lęk jakby zaczął ustępować, a serce się uspokajało.

Nagle się zorientowała, że tuż obok niej stoi Joey.

- Mamusiu.

- Pociągnął ją za rękaw.

-Jesteś chora?

Molly spojrzała na jego zatroskaną buzię.

- Nie, kochanie.

Mamusi nic nie jest.

- Dlaczego nie jecie razem z nami?

- zapytał, wskazując na stół.

-To miał być piknik dla wszystkich.

Nawet dla mam.

- Zgadza się.

- Beth poklepała Joeya po plecach i leciutko popchnęła w kierunku stołu.

Zaraz do was dołączymy.

-Jem już drugą, mamusiu - oznajmił Jonah, podnosząc do góry swoją kanapkę.

- Pospiesz się, bo zabraknie.

Zaoknem rozległ się kolejny grzmot.

Molly nabrała powietrza w płuca i potrząsnęła głową.

- Masz rację.

- Wstała i popatrzyła na Beth.

-Nie będę się tym martwić.

- No, wreszcie mówisz do rzeczystwierdziła Beth2 pewnością w głosie.

- Tona pewno nic poważnego.

Jestemo tym przekonana.

117.

- Na pewno.
 - Molly wciąż chwiała się na nogach, ale oddychała już normalnie.
 - Chyba mam jakąś fobię napunkcie pracowników opieki społecznej.
 - No.
 - Beth popukała się w czoło.
 - To widzę.
- Molly wyciągnęła przed siebie ramiona, a Beth zrobiła to samo. Uścisnęły się serdecznie, co pozwoliło Molly odzyskać wewnętrzną równowagę i spokój ducha. Cofnęła się o krok i uśmiechnęła do siostry.
- Co ja bym bez ciebie zrobiła?
- Beth odwzajemniła uśmiech.
- Molly zobaczyła w nim niezliczoną liczbę podobnych chwil.
- Na szczęście nigdy się tego nie dowiemy.
 - Racja.
 - Dobra!
- Beth ujęła Molly za rękę i zaprowadziła do kuchni.
 - Zdajesię, że mamy tu jakiś piknik - powiedziała, zajmując miejsce obok Jonaha.
 - No przecież!
 - Joey poklepał sąsiednie krzesło, a gdy Molly usiadła, objął ją za szyję i pocałował w czubek nosa.
- Póki jeszcze coś zostało.
- Molly straciła apetyt, ale nie dawała tego po sobie poznać. Gdy na zewnątrz na dobre rozpętała się burza, pałaszowali kanapki z masłem orzechowym i marchewki, popijając sokiem z kartonu.
- Jonah z podziwem patrzył na Beth, która potrafiła starannie obgryzać marchewkę dookoła tak, że zostawał jej w dłoni pyszny i soczysty środek, który zjadała na samym końcu.
- Mamusiu, jesteś mistrzynią świata w obgryzaniu marchewek.
 - Wiem.
- Beth uniosła ręce do góry w geście triumfu i ukłoniła się nisko.
 - W obgryzaniu marchewek nie mam sobie równych.

118

Joey omal nie pękł ze śmiechu, gdy Molly usiłowała ją naśladować.

- Niezbyt ci to wychodzi, mamusiu - skomentował ten nieudolne próby.
- Chyba dam sobie spokój - roześmiała się.

Po raz pierwszy od momentu odsłuchania wiadomości poczuła bez troskę. GUS, który do tej pory spał smacznie przy drzwiach, obudził się, przeciągnął i usiadł między nimi.

Molly podstawiała mu pod nos swój talerz z resztkami marchewek.

- Może Gusowi pójdzie lepiej?

- Hej, GUS.

już prawie skończyłem, zaraz się tobą pobawię - Joey pieszczotliwie przemówił do swojego czworonożnego przyjaciela.

- Mamusi, mogę mu dać marchewkę?

GUS uwielbiał, gdy Joey dawał mu marchewki.

A może po prostu uwielbiał Joeya.

- Dobrze.

Ale nie pozwól, by oblizywał ci palce.

Niewiedzy, kiedy jesz.

Piknik dobiegł końca i Beth z dziećmi pojechali do siebie.

Przed wyjściem Beth pogroziła Molly palcem i obdarzyła ją spojrzeniem mówiąc: "Tylko się nie zamartwiaj.

Wszystko będzie dobrze".

Molly kiwnęła głową przytakująco, ale gdy goście już poszli, usiadła w fotelu w salonie i obserwowała Joeya i Gusa.

Chłopiec potrafił godzinami leżeć na podłodze ;

obok psa, opierając głowę na jego grzbiecie.

Od czasu do czasu GUS obracał głowę i spoglądał na Joeya tak, jakby ; chciał mu powiedzieć: Hej, przyjacielu, tylko nie doroslej.

GUS miał osiem lat i nie był już tak zwawym jak kiedyś, podczas zabaw w ogrodzie bez wytchnienia ganiał za Joeyem, nie odstępując go na krok.

119.

Joey przesunął dłonią po grzbiecie czworonożnego przyjaciela.

- Wiesz co, GUS?

Jeździłem dziś na karuzeli.

Pies powoli uniósł łeb i popatrzył na swojego kumpla.

- Wiem, wiem!

- Radosny głos chłopca wypełniał pokój.

- Też byś chciał.

Joey zamyślił się przez chwilę.

- Nie mógłbyś pchać, ale na pewno potrafiłbyś się mocno trzymać.

A wiesz dlaczego?

GUS ziewnął.

- Masz rację - chłopiec poklepał go po przednich łapach - bo masz pazury.

GUS, niewzruszony tym odkrywczym spostrzeżeniem, położył łeb na podłodze i zasnął.

Joey podniósł jego ucho i spytał cicho:

- Śpisz, GUS?

Pies nawet nie drgnął, więc chłopczyk poderwał się i ruszył w stronę Molly.

Kolejny grzmot za oknem sprawił, że przyspieszył kroku.

- Czy już pora na drzemkę?

Nie wydawał się zachwycony tą perspektywą.

- Już od godziny.

Molly posadziła go sobie na kolanach tak, że nóżki zwisały mu z jednej strony.

- A może tak zdrzemnąłbyś się dziś razem na kanapie?

- Ju-hu!

Tak lubię.

Postawiła synka na podłodze, a sama położyła się naboku, zostawiając mu wystarczająco dużo miejsca.

Wskoczyła na kanapę i przytulił się do mamy, zamykając oczy.

- Mamusiu, wiesz, dlaczego tak jest najfajniej?

- Dlaczego?

- Pocałowała go w policzek.

Znowu przypomniała sobie wiadomość zostawioną przez pracownicę

120

opiekispołecznej.

To z pewnością jakiś drobiazg.

Formalność.

Drobna luka w papierach.

Tak jak mówi Beth.

- Bo.

-Joey otworzył oczy, by widzieć jej twarz.

Pachniał masłem orzechowym, trawą iGusem, wszystkim tymnaraż.

- Bo razem jestraźniej, gdyprzychodzi burza.

- Święta racja, mój mały.

- Przytuliła go mocniej.

- Razem raźniej.

Wprzypadku tej burzy i każdej innej.

Gdy chłopczyk zasypiał, Mollyw głębi serca łudziła się nadzieją, że Beth miała rację.

I że w najbliższej przyszłości grzmoty i błyskawice za oknem okażą sięjedyńaburzą, której będą musieli stawić czoła.

Rozdział IX

Jack zatelefonował do Ohio zaraz następnego dnia rano.

Gdy tylko wrócił z pracy, Molly powiedziała mu wiadomości zostawionej przez pracownice opieki społecznej.

Jack przesłuchał nagranie i zgodził się z Beth.

Ta jakaś Allyson Bower prawdopodobnie chciała uzupełnić dane w aktach Joeya.

Informacje dotyczące dziecka adoptowanego były na bieżąco uzupełniane; widocznie czegoś w nich zabrakło.

Niemniej jednak godzina siłowania się z Joeyem na podłodze i noszenia go, jak King Kong, nabrała oraz wieczorne czytanie "Gdzie jest Nemo?"

"nabrały tego dnia szczególnego znaczenia.

Jack chłonał każdy szczegół:

śmiech synka wypełniający cały salon, dotyk jego małych łapek ufniespoczywających w dłoni taty, zapach szamponu na mokrych włoskach po kąpieli.

Ten chłopiec był dla nich wszystkim, był sercem ich domu.

Dlatego mimo że wierzył w to, co Beth powiedziała Molly: że ten telefon to nic ważnego, że jutro będzie się z tego

122

śmiać - Jack nie mógł tej nocy zasnąć.

Czy ta kobieta nie mogła zostawić dokładniejszej wiadomości?

Czy nie zdawała sobie sprawy z tego, jak będą to przeżywać?

Nazajutrz o siódmej Jack był gotów zadzwonić do pani Bower i mieć całą tę sprawę z głowy.

Joey jeszcze spał śmacznie w swoim pokoju.

Molly usiadła obok niego na łóżku, kiedy wybierał numer opieki społecznej w Cleveland.

W tle radio cichutko grało przyjemny jazz.

Molly jedną ręką ścisnęła kolano Jacka, drugą zaś - krawędź łóżka.

- To niź ważnego szepnęło jej, gdy wsłuchawca rozległ się sygnał przywołania.

Spojrzał na zegarek.

Pięć minut - tyle powinna zająć rozmowa.

Potem obudzą Joeya, zjedzą płatki śniadaniowe z bananami, po czym Jack

wyjedzie do pracy -jak codzień.

Po drugim sygnale wsłuchawce odezwał się kobiecy głos:

- Allyson Bower, Dział Opieki nad Dziećmi.

Słucham.

Jack poczuł, że serce zabiło mu mocniej, a potem zamarło.

- Halo - odezwał się tonem, jakim zwykle załatwiała sprawy służbowe.

Mówi Jack Campbell.

Dzwoniła pani do nas wczoraj w sprawie naszego syna Joeya.

- Umilkł.

- Wspominała pani, że zaistniały nowe okoliczności.

Kobieta nie odzywała się przez chwilę.

- Tak.

- Jej głos brzmiał, jakby była zmęczona lub przygnębiona.

Jack nie był pewien, które z tych odczuć było wyraźniejsze.

- Panie Campbell, obawiam się, że mam dla pana złe wiadomości.

Jack nie chciał powtarzać głośnotego, co mówiła

- Molly siedziała obok niego, chłonąc każde jego słowo.

Poskubał grzbiet nosa.

123.

Co to znaczy?

Cóż.

to długa historia.

Tydzień temu zadzwonili domnie naturalni rodzice Joeya.

Okazuje się, że jego ojciec został niedawno zwolniony z więzienia i dopiero wtedy się dowiedział, że jego żona oddała ich syna do adopcji.

Sprawdziliśmy dokumenty i okazało się, że męczyzna nie kłamie.

Jego podpis nad dokumentami potwierdzającym zrzeczenie się praw do dziecka został sfałszowany, co oznacza.

- umilkła na sekundę - przykro mi to stwierdzić, ale to oznacza, że dokumenty dotyczące adopcji chłopca są fałszywe.

Serce Jacka było jakszalone.

Co ona powiedziała?

Nie!

Nie, toniemożliwe.

To się nie dzieje naprawdę.

Zwinął dłoń w pięść i przyłożył sobie do skroni.

- Co.

- Molly patrzyła na niego rozszerzonymi ze strachu oczyma.

Co ona mówi?

Potrząsnął głową i pokazał jej na migi, żeby chwilę poczekała.

Słowa kobiety nieznośnie brzęczały mu w myślach.

Zacisnął powieki.

Nigdy wcześniej nie brakowało mu słów - w końcu zarabiał na życie jako złotousty sprzedawca.

Ale w tej chwili, nawet gdyby wiedział, co powiedzieć, i tak nie byłby w stanie sformułować ani jednego słowa.

To, co mówiła kobieta z Ohio, w ogóle nie miało sensu.

Wyciągnął rękę i wyłączył radio.

Muzyka ucichła.

Uff..

Cisza - potrzebował chwili ciszy.

Pracownica opieki społecznej próbowała coś mu tłumaczyć:

- Nie mam pewności, kto sfałszował podpis naturalnego ojca, ale to, obawiam się, nie ma żadnego znaczenia.

Wydawała się przygnębiona całą tą sprawą.

- Bardzo przykro, panie Campbell.

Przedstawiłam sprawę sędziemu i orzeczenie było jednoznaczne.

- Umilkła na chwilę.

- Prawo dostajej opieki nad dzieckiem zostało przywrócone
124

rodzicom naturalnym, przy czym przez następnych kilkamiesięcy będą państwo mogli sprawować nad chłopcem wspólną opiekę - wraz z rodzicami naturalnymi.

Jack ścisnął kurczowo szczęki, oczy wciąż miał zamknięte. Tym razem zdołał się odezwać pomimo kompletnej niemożności myślenia czy jakiegokolwiek logicznego argumentowania.

- Wspólną opiekę?

- Czuł, że siedząca obok Molly traci nad sobą kontrolę.

- Będzie to polegało na serii nadzorowanych wizyt, podczas których Joe spędzi część weekendu ze swoimi rodzicami naturalnymi, poczym wróci do pana i pańskiej żony.

- Miał wrażenie, że każde słowo sprawia kobiecie trudność.

- Wizyty te będą się odbywały co kilka tygodni, a po czwartej z nich prawa do opieki nad Joeyem zostaną całkowicie przekazane rodzicom naturalnym.

Jack zerwał się na równe nogi.

Wydał dźwięk oznaczający coś pomiędzy gniewem a niedowierzaniem.

- Tak po prostu?

A nasz adwokat.

Nasz głos w tej sprawie.

Molly wstała i zaczęła przechadzać się tam i z powrotem.

- Nie.

To się niedzieje naprawdę.

- Była blada jak ściana.

Zatrzymała się i spojrzała mężowi w oczy, szukając odpowiedzi, ale on tylko uniósł górę palec i poruszył ustami: "Czekaj!

".

Pracownica opieki społecznej coś jeszcze mówiła.

- Przykro mi, panie Campbell.

W przypadku gdy podpis na dokumentach potwierdzających adopcję został sfałszowany, prawo nie pozostawia cienia wątpliwości.

- Zawahała się.

- Udało mi się wywalczyć dla państwa tylko to jedno ustępstwo.

125.

Ustępstwo?

Ustępstwo w sprawie dzielenia opieki nad ichsynem?

Może teraz powie mu, że to wszystko pomyłka i że sędzia zmienił jednak zdanie co do odebrania im Joeya.

„Jack pocierał skronie i próbował zignorować uczucie, że ziemia usuwa mu się spod stóp.

Nic w tym wszystkim nie miało sensu.

To jakiś koszmar.

Przecież Joey jest ich dzieckiem od prawie pięciu lat.

Jaki sędzia obdarzony zdrowym rozsądkiem przyznałby prawo do opieki nad ich synkiem komuś innemu?

Zmusił się do skupienia całej uwagi.

Jakie.

jakie ustępstwo?

Wspólna opieka nad dzieckiem, już panumówiłam.

- Umilkła, jakby spodziewała się podziękowań z jego strony.

Te jednak nie nastąpiły, więc kobieta ciągnęła dalej.

- Niczego więcej nie dało się zrobić.

Jack wciągnął głęboko powietrze i spuścił głowę.

Wreszcie coś nim zaskoczyło i poczuł, że powrót odzyskuje równowagę.

Przepraszam, nie dosłyszałam pani nazwiska.

Allyson Bower.

Pracuję w Dziale Opieki nad Dziećmi
w Ohio.

Taaak.

Pani Bower, cóż, obawiam się, że to ustępstwo niewiele dla nas znaczy. Jeszcze dziś skontaktuję się z moim adwokatem; będziemy w tej sprawie walczyć tak długo, jak będzie to konieczne.

Zbierał wszystkie siły; rozmowa z pracownicą opieki społecznej była niczym wobec zadania, jakie czekało go teraz.

Musi wyjaśnić całą rzecz Molly.

Panie Campbell, obawiam się, że w tej sprawie mam możliwości podjęcia jakichkolwiek dalszych kroków prawnych i że spotkanie z adwokatem będzie tylko stratą.

Dziękuję, pani Bower.

Mój adwokat skontaktuje się z panią.

Gdy tylko odłożył słuchawkę, Molly chwyciła go za łokieć, wbijając jednocześnie wzrok w jego twarz.

- Co się stało?

Powiedz!

Dlaczego musimy kontaktować się z adwokatem?

- Pytania padały szybko, słysząc w nich było szalony strach.

Nigdy wcześniej nie słyszała takiego przerażenia w jej głosie.

Jack spojrzał na kobietę będącą miłością jego życia;

w tej chwili dałby wszystko, byle odwrócić całą tę sytuację.

Wiedział, że jeśli teraz otworzy usta i odpowie na jej pytania, kryzys, przed którym stanęli, stanie się niezaprzeczalnie realny.

Ale jaki miał wybór?

Musiał jej powiedzieć, nie można było tego uniknąć.

Odwrócił się do niej i położył ręce na jej ramionach.

- Naturalny ojciec Joeya nigdy nie podpisywał żadnych dokumentów związanych z adopcją Joeya.

Miała wrażenie, że to nie on mówi, lecz ktoś inny; tak jakby w każdej chwili miał puścić do niej oko i przeprosić za kiepski żart.

- Nie podpisywał?

- Molly zaczęła drżeć.

Do oczu napłynęły jej łzy.

I co to.

co to znaczy?

- To znaczy, że dokumenty związane z adopcją są fałszywe.

Jack czuł, że pod powiekami pieką go łzy, ale w tej samej chwili zaczął narastać w nim wściekły gniew.

- Fałszywe?

wyszeptała Molly zbolełym głosem.

Zaczęła szybko łapać powietrze, oddech miała dwukrotnie szybszy niż zwykle.

- Co to znaczy, Jack?

Powiedz mi!

- Molly, uspokój się.

- Jego gniew narastał z chwilą w chwilę.

To musi być jakaś pomyłka.

Na szczęście miała kontakty z najlepszymi prawnikami w południowej Florydzie, więc na pewno wszystko się wyjaśni.

Zacisnął zęby.

Sędzia z Ohio przyznał prawo do stałej opieki nad Joeym jego rodzicom

naturalnym.

Kobieta z opieki społecznej

127.

powiedziała, że to sprawa niebudząca żadnych wątpliwości;
ona nic więcej zrobić niemoże.

- Co takiego?

- krzyknęła Molly.

Wstała, ruszyła gwałtownie w stronę drzwi, zatrzymała się w połowie drogi, poczym wróciła na miejsce.

- Czy oni po niego przyjadą?

Już

teraz

- Nie.

- Jack złapał żonę za ramię i delikatnie podprowadził powrotem do łóżka.

-Nie panikuj.

- Gdy usiedli obok siebie, ujął jej twarz w swoje dłonie.

Wynajmiemy adwokata.

- Sam nie wiedział, czy bardziej uspokaja w ten sposób ją, czy siebie.

- Joe nigdy nie pojedzie.

Drżała teraz jeszcze bardziej.

- K-k-kiedy chcą go zabrać?

-Nie dojdzie do tego.

- Jack nie chciał brać takiej możliwości pod uwagę.

- Ale jeśli by doszło.

to ile mamy czasu?

- Molly mocno się na nim wsparła; wydawało się, że zaraz zemdleje.

- Molly, oddychaj głęboko.

Damy sobie radę, obiecuję ci!

Szarpnęła się i wstała.

- Nie chcę oddychać!

- krzyczała donośnie i przenikliwie, jak wariatka.

Po chwili wyraz jej twarzy zmienił się i gniew zaczął tajać.

Powoli osunęła się obok męża i się rozszochała.

Wyglądała, jakby zaraz miała wymiotować.

Podniosła spojrzenie na Jacka.

- Jack.

pomóż mi!

- Molly.

- Objął ją ramieniem i przytulił.

Nikt nam go nie odbierze, nie pozwolę na to.

-Nie zniosę tego, Jack.

Nieoddam go.

- Jej szloch był teraz nieco cichszy, ale wciąż przejmujący.

Zacisnęła mocno powieki i płakała, kołysząc się w przód i w tył.

128

- To moje dziecko.

moje jedyne dziecko.

Proszę.

nie

oddawajmy go.

- Ciii.

- Przytulił ją mocniej, jakby starał się ją osłonić przed wszelkim złem.

Joey nigdzie nie odejdzie.

Tak się nie stanie - przemawiał do niej w ten sposób przez dziesięć minut, robiąc ców jego mocy, by ją uspokoić.

Wreszcie Molly podniosła się nieco.

- Nie mogę go utracić - odezwała się cichym, słabym głosem.

Pogłaskał ją po plecach.

- Nie utracisz, kochanie.

Weź się w garść, proszę.

Wstrząsnęła nią kolejna fala łkań.

Wreszcie wzięła głęboki oddech i spojrzała na niego.

- Kiedy chcą go zabrać?

Muszę to wiedzieć.

Jack rozumiał ją lepiej byłoby poznać prawdę, choćby najgorszą.

Wciąż obejmował ją ramieniem.

- Ta kobieta powiedziała coś o odwiedzinach co kilkadziesiąt dni.

Słowa z trudem przechodziły przez gardło, jakby się bał, że gdy tylko wypowie je głośno, urzeczywistnią się.

W trakcie czwartej wizyty Joey przeniesie się do nich następnym razem.

- Szybko ciągnął dalej, zanim Molly zdążyła cokolwiek powiedzieć.

- Ale nawet o tym nie myśl, nie dojdzie do tego.

Na pewno!

Molly z wysiłkiem usiadła prosto, a po kilku sekundach wstała.

- Muszę obudzić Joeya.

Jedziemy dziś Beth i jej dziećmi na basen.

- To może poczekać.

Musimy przemyśleć kilka spraw.

- Nie!

- Molly miała zapuchnięte oczy; otarła dłońmiostatnie łzy.

On potrzebuje normalnegożycia,Jack.
Dzień na basenie dobrze mu zrobi.

- Spojrzała na męża

129.

ostro.

- Tak jak powiedziałaś, nie zabiorą go nam.

Niepozwolimy na to ani ty, ani ja.

- Patrzyła teraz tak twardo, żenie przypominała samej siebie.

- Musielibymnienajpierw zabić.

Jej słowa towarzyszyły Jackowi przez cały dzień.

Zadzwoił do swojego adwokata, który polecił mu najlepszego specjalistę od prawa rodzinnego w Miami.

Jack udał się więc na spotkanie z nim, zabierając całą dokumentację dotyczącą adopcji Joeya.

Czekało go trudne zadanie: nie chodziło tylko o wygranie bitwy o przyznanie praw do opieki nad synkiem - czekała go walka o dziecko, które było duszą i sercem ich domu.

Na basenie było cudownie.

Trzy godziny słońca i chlapania się w wodzie z Joeyem - Molly ani przez chwilę nie pozwoliła, by jej myśli powędrowały ku strasznym chwilom poranka.

Jack zajmiesz się wszystkim - było tym przekonana.

Prędzej da się zabić niż odda swojego synka.

Przez całe przedpołudnie Molly i Beth nie miały sposobności dłużej porozmawiać, ale po basenie pojechały wraz z dziećmi do domu Beth.

Joey usnął w samochodzie, kiedy więc dotarli na miejsce, Molly przeniosła go ostrożnie i ułożyła na kanapie.

Beth zaprowadziła Jonaha do jego pokoju i ułożyła go do snu, a starsze dzieci zaczęły oglądać film w salonie.

Molly wyjęła z lodówki dzbanek mrożonej herbaty i naląła sobie i Beth.

Nie mogła uwierzyć, że wszystko to dzieje się naprawdę.

Od chwili, kiedy zaczęli rozmawiać

o możliwości adoptowania dziecka, obawiała się jednej tylko rzeczy: telefonu takiego jak dzisiejszy.

Czuła, że musi porozmawiać z Beth, zanim kompletnie się rozsypie.

Przypomniała sobie wszystkie uwiecznione w starym albumie ciche chwile, kiedy Beth była przy niej.

To ona wspierała Molly, gdy została publicznie upokorzona przez swojego chłopaka; to ona była głosem rozsądku i pocieszenia po śmierci Arta Goldberga.

Teraz także tylko do niej Molly mogła się zwrócić.

Oczywiście szczegółami zajmie się Jack, ale Molly i tak potrzebowała się wygadać i podzielić z kimś obawami.

Tak więc gdy tylko Beth weszła do kuchni, siostra spojrzana nią i otworzyła usta.

Nie była jednak w stanie wydusić z siebie słowa.

Od czego zacząć?

Cała sytuacja przypominała scenę z jakiegoś filmu.

Molly nie miała do tej pory ani chwili, by uporządkować myśli i ubrać je w słowa.

- Hej.

co się stało?

- Beth podeszła do niej.

Tak delikatnie i czule przemawiała do swoich dzieci, ilekroć któregoś z nich coś się stało.

Ale tym razem w głosie Beth dało się wyczuć również strach.

Molly, kochanie, odezwij się do mnie!

O co chodzi?

- Tę telefon.

- Molly wykrzywiła usta, reszta zdania utonęła w szlochu.

Beth wpatrywała się w nią uważnie; po chwili zmieniła się na twarzy.

- Telefon.

? Z opieki społecznej?

- Tak.

- Molly wzięła szklankę z herbatą i usiadła na krześle.

To, co zamierzała opowiedzieć Beth, nie miało żadnego sensu.

- Dokumenty dotyczące adopcji Joeya zostały sfałszowane.

- Objęła się ramionami i popatrzyła na siostrę.

- Jego naturalny ojciec w ogóle ich nie podpisywał.

131.

Co?!

- Beth chwyciła swoją szklanę i usiadła obok Molly.

Wyraźnie zaszokowana, zmarszczyła czoło.

- Ale to chyba nie twoja sprawa, prawda?

Do oczu Molly napłynęły kolejne łzy; zakryła twarz dłońmi.

Molly?

To nie twój problem?

- Beth objęła ją ramieniem.

- Pracownicy opieki społecznej muszą rozwiązać tę kwestię razem z naturalnymi rodzicami Joeya, czyż nie?

Nie.

- Molly opuściła ręce i otarła oczy końcami palców.

Czuła narastającą chęć walki.

Przez całe przedpołudnie nad basenem zmagiła się ze sprzecznymi uczuciami.

Pływała obok Joeya i wynurzała się na powierzchnię wody, by wziąć oddech, ale nagły przypływ paniki uniemożliwił jej zaczerpnięcie powietrza.

Joey był dla niej wszystkim - nie ośmieliła się go jej odebrać.

Po chwili nurkowała na samo dno basenu iagle stawała się groźną lwicą, zdolną do wszystkiego, byle tylko obronić swoje dziecko.

Teraz siedziała, patrząc na Beth nerwowo oddychając.

Sędzia z Ohio zdecydował w tym tygodniu, że prawną opieką nad dzieckiem zostaną za kilka miesięcy na powrót przyznane jego naturalnym rodzicom.

Ponieważ ktoś sfałszował podpis ojca dziecka.

Pewnie matka.

Beth wcisnęła ramiona w oparcie sofa.

Nadal wpatrywała się w Molly.

Czy kiedy adoptowaliście Joeya, jego ojciec nie siedział w więzieniu z zastosowaniem przemocy w domu?

Tak.

Założyła ręce i objęła się nimi w pasie.

Teraz właśnie wyszedł.

Więc jeśli matka sfałszowała podpis, to czy oni nie powinni całej sprawy wyjaśnić?

Molly zmrużyła oczy, próbując sobie coś przypomnieć.

- Ta kobieta z opieki społecznej powiedziała, że niewiadomo, kto sfalszował podpis.

Więc przypuszczam, że wykluczyli matkę.

- To głupie.

- W głosie Beth zabrzmiała frustracja.

- Jaką gwarancję mają więcludzie adoptujący dziecko?

- Zirytowana wymachiwała ręką.

- W takim razie nikt nie może spać spokojnie, jeżeli rodzice naturalni mogą sobie po latach przypomnieć, że jakieś formalności nie zostały dopełnione!

Oczywiście nie poddacie się?

- Właśnie w tej chwili Jack jest w drodze do Miami.

Nasz adwokat polecił jakiegoś superspecaw tej dziedzinie.

- Molly uświadomiła sobie, że mięśnie ramion ma cały czas napięte; spróbowała je rozluźnić.

Uspokój się, Molly.

Wszystko będzie dobrze.

- Jack powiedział, że bym się nie martwiła; już on się wszystkim zajmie.

- To dobrze!

Beth wstała i oparła ręce na biodrach.

- Cała ta sprawa jest po prostu chora!

Tylko pomyśl: zabrać zdrowe dziecko z jedyne go znanego mu domu, w którym wychowywało się przez prawie pięć lat.

- Zaciśnęła pięści.

- Nikt przy zdrowych zmysłach by tego nie zrobił!

- No właśnie.

- Molly chłonęła siłę płynącą ze słów Beth.

Jej młodsza siostra zawsze była raczej typem wojownika niż ofiary.

Jeszcze dziś będziemy coś wiedzieć.

Twarz Beth złagodniała.

- Jestem pewna, że wszystko się wyjaśni.

Musi!

- Na pewno.

- Molly powtarzała w myśli jej słowa:

Wszystko się wyjaśni.

Na pewno!

Nerwowo postukała palcami po kolanie.

- Ale wołałabym, żebyśmy znalazły sobie jakieś zajęcie nadzisiejsze popołudnie.

Bojowy nastrój natychmiast opuścił Beth.

Usiadłaobok siostry.

133.

- Ależ mamy zajęcie.

Wyciągnęła do niej rękę.

Możemy porozmawiać z Bogiem.

- Ja nie.

zaczęła Molly, ale zaraz zmieniła zdanie.

Beth potrafiła znaleźć odpowiedni fragment Biblii na każdą okazję.

Nagle Molly zapragnęła się dowiedzieć, czy Biblia ma cokolwiek do powiedzenia w jej sytuacji.

- Czy Biblii mówi coś o dzieciach.

o przyszłości czekającej dziecko.

czy utracie dziecka.

albo o walce o dziecko.

Beth nie wahała się ani przez chwilę.

- Biblii wiele mówi i o dzieciach, i o walce, jak często musimy w życiu toczyć - zaczęła wyliczać na palcach.

Przede wszystkim, w Księdze Proroka Jeremiasza jest fragment, który mówi, że Bóg ma zamiary jakimiś sposobami nas, zamiary pełne pokoju, a nie zguby, by zapewnić nam przyszłość, jakiej oczekujemy.

Molly zastanowiła się.

Jeśli to prawda, to Bóg ma swoje zamiary także wobec Joeya.

Dobre zamiary.

Wiadomość ta uciszyła nieco jej niepokój.

- Co jeszcze?

- Pokażę ci.

- Świetnie, pokaż mi zaraz!

- Molly nie poznawała samej siebie.

Ale tam, gdzie w grę wchodziła przyszłość Joeya, gotowa była na wszystko.

Spojrzała na zegarek.

Zacznijmy czytać już teraz, póki Joey śpi.

Tak też zrobiły.

Dopóki Joey drzemał, Molly i Beth czytały fragmenty Biblii, a przed wyjściem Molly do domu wzięły się za rękę i Beth odmówiła modlitwę.

Przez całe życie Molly nie zwracała na Boga najmniejszej uwagi.

Wydawało jej się więc nie w porządku, że zwlekała aż do teraz

do tak tragicznej chwili z zastanowieniem się, czy On w ogóle istnieje i czy może jej pomóc.

Z tego powodu

134

dialog o Bogu był dla niej niezręczny, wręcz krępujący.

Ale po rozmowie z siostrą Molly poczuła coś, czego nie dał jej ani Jack, ani świadomość, że jej mąż udał się na rozmowę z najlepszym adwokatem, ani nawet niezawodna Beth.

Molly poczuła spokój.

" Rozdział X

Rozwój wypadków przyprawiał Wendy o zawrót głowy.

Jeśli tylko nie myślała o przybranych rodzicach swojego synka, nie zastanawiała się, jaką stratę poniosą, każdego dnia czuła się szczęśliwsza niż kiedykolwiek w życiu.

Rip był w domu i zachowywał się poprawnie.

Szukał pracy: odbył już dwie rozmowy kwalifikacyjne w kinie.

Wydawało się, że posadę kierownika w zasięgu ręki, co oznaczało, że być może za jakiś czas będą mogli wynająć większy dom.

Ale przede wszystkim - ich syn wraca do domu.

Mania i Joey.

Allyson Bower podała im garść informacji, gdy sędzia ogłosił pomyślne dla nich orzeczenie.

Teraz Wendy miała chwilę oczekiwać wizyty pani Bower.

Za dziesięć, piętnaście minut wpadnie tutaj, żeby sprawdzić, czy ich dom nadaje się dla małego dziecka.

Potej wizycie pozostanie już tylko czekać na Joeya po raz pierwszy przyjeździe do Ohio za dwa tygodnie.

Wendy wzięła kuchenną ściereczkę i jeszcze raz przetarła blat.

Wprawdzie ich kot, Tygrysek, wiedział, że niewolno mu się kręcić w pobliżu naczyń, ale zdarzało mu się

136

o tym zapomnieć.

Pracownicy opieki społecznej na pewno nie spodobałby się koci włos na kuchennym blacie.

Tygrysek ocierał się o kostki Wendy i głośno miauczał.

- Nie teraz, kotku.

- Zbliżało się południe, ulubiona pora Tygrysa na przekąskę.

Pańcia nie ma dziś czasu.

Przetarła gąbką wszystkie szafki, pragnąc, by cała kuchnia błyszczała jak nigdy.

Kiedy skończyła, jeszcze raz przejrzała się wokół.

Ani jednej plamki!

Rip kupił puszkę kitu i kiedy wyszedł, Wendy zakleiła dziurę w ścianie.

Tak, wszystko było w porządku.

Ale może Allyson będzie głodna?

Zapach dochodzący z piekarnika z pewnością wytworzy ciepłą domową atmosferę.

Otworzyła zamrażarkę, wyciągnęła opakowanie bułeczek cynamonowych i przeczytała instrukcję.

Pięć minut później bułeczki były już w piekarniku.

Wendy umyła ręce i wytarła je w przybrudzony ręcznik ciśnięty obok zlewu.

Czysty, w niebieskie paseczki, wisiał schludnie nad rzewiczkach piekarnika.

Wendy oparła się o blat i odetchnęła.

Od czasu spotkania z panią Bower ich życieabrało niesamowitego tempa.

Pierwszą dobrą wiadomością był raport eksperta grafologa: nie było wątpliwości, że to nie Rip podpisał dokumenty.

Wendy wstrzymała oddech, gdy Allyson podawała jej tę informację przez telefon.

Jeśli podejrzewaliby ją o sfałszowanie podpisu, napewno zostałaby oskarżona.

Ale nikt jej o nic nie oskarżył.

Kilka dni później Allyson zadzwoniła ponownie i kazała im stawić się na jutro na przesłuchanie.

Sędzia Rye Evans miał rozpatrywać sprawę i wydać decyzję.

Rip i Wendy włożyli najlepsze ubrania, a Rip wyglądał jeszcze przystojniej niż w dniu ich ślubu.

Stenotypistka nie mogła oderwać od niego oczu.

W czasie przesłuchania głos zabierała głównie Allyson. Powiedziała sędziemu, że poinformowano ją, że w dokumentach adopcyjnych państwa Porterów widnieje sfałszowany podpis. Nie ulegało wątpliwości, że traktuje tę sprawę bez entuzjazmu. W pewnej chwili - kiedy przedstawiła sądowi wyniki ekspertyzy grafologicznej - Allyson przez pół minuty nie odzywała się, tylko patrzyła na sędziego.

Wreszcie uniosła teczkę z dokumentami.

- Muszę powiedzieć, Wysoki Sądzie, że nasz wydział nie uważa, by zabranie tego chłopca z domu jego przybranych rodziców leżało w jego interesie.

Sędzia skinął głową.

Przez większość rozprawy siedział namurzony, ze zmarszczonymi brwiami, i wciąż spoglądał narozłożone przed sobą dokumenty.

Zapytał o kryminalną przeszłość Ripa Portera: dwa wyroki za napaści pięcioletnie więzienie za przemoc domową.

Wezwał Ripa do złożenia zeznań.

Pytania były łatwe.

Czy Rip przeszedł proces resocjalizacji?

Tak.

Czy uważa, że się poprawił?

Oczywiście.

Czy jest teraz innym człowiekiem?

Zdecydowanie.

Czy da radę zmierzyć się z rolą ojca?

Tak, już nie może się doczekać.

Czy zastanawiał się, jak dyscyplinować dziecko, nie uciekając do przemocy?

Tak; nadal będzie uczęszczał na terapię, by mieć pewność, że podejmuje stosowne kroki.

Nie mam więcej pytań stwierdził sędzia.

Rip uśmiechnął się do stenotypistki, po czym zajął miejsce obok Wendy.

Teraz nadeszła kolej na nią.

Sędzia miał jeszcze mniej pytań.

Swego czasu chciała oddać to dziecko do adopcji, zgadza się?

Tak, w tamtych okolicznościach - tak.

Ale teraz chce wychowywać chłopca razem z mężem?

Tak; wyjaś138

niła,dlaczego: myślała, że mąż nie będzie chciał dziecka.

Teraz może się tylko modlić, żeby odzyskali szansę utraconą prawie pięć lat temu.

Na tym przesłuchanie się skończyło.

Allyson siedziała przy długim stole w przedniej części sali rozpraw. Od czasu do czasu zaglądała do teczki z dokumentami i potrząsała głową. W pewnej chwili wstała i zapytała sędziego, czy może wstrzymać się z decyzją do chwili, aż przybrani rodzice złożą swoje zeznania.

- W kwestii sfałszowania dokumentów przybrani rodzice nie mają nic do rzeczy.

Sędzia spojrział na nię z miejsca na podwyższeniu.

Minę miał nieomal smutną.

- Jeśli podpis jednego z rodziców naturalnych został sfałszowany, adopcja jest bezprawna.

- Zgarbił się nieco.

- Dobrze pani o tym wie, pani Bower.

Skinęła głową i usiadła.

Przez pół godziny sędzia zapoznawał się z dokumentami i informacjami zgromadzonymi w aktach sprawy.

Potem szybko wydał orzeczenie.

Mówił, używając skomplikowanych słów i zwrotów, których Wendy nie rozumiała.

Mocno ścisnęła dłoń Ripa, czekając na ostateczną decyzję.

Wreszcie sędzia powiedział:

- Dlatego też jest moim obowiązkiem, zgodnie z prawem obowiązującym w stanie Ohio, przywrócić prawo do opieki nad tym dzieckiem jego rodzicom naturalnym.

Allyson ponownie wstała z krzesła.

Stwierdziła, że byliby niewłaściwie porządku zadzwonić do przybranych rodziców chłopca i zażądać, by natychmiast go wydali bez żadnego ostrzeżenia.

Sędzia zgodził się z nią.

Zaproponował, by chłopiec w ciągu najbliższych kilku miesięcy odbył trzy wizyty w domu Porterów, po czym, za czwartym razem, został u nich na zawsze.

139.

- Kochanie!

- głos Ripa dobiegający z sypialni wyrwał Wendy z zamyślenia i przywołał do terażniejszości.

-Gdziesą moje skarpetki?

Nie mogę znaleźć czystej pary!

- Och, przepraszam!

- Natychmiast rzuciła się do działania.

Jak mogła zapomnieć?

Wyprała wszystko i włożyła do suszarki.

Chwileczkę.

-Pospiesz się -warknął.

Ostatnio był dla niej najmiłszy.

Pewnie denerwował się czekającą ich wizytą.

Wendy chętnie przebiegłaby po rozżarzonych węglach, byle tylko niczym dziś Ripa nie zdenerwować.

Pracownica opieki społecznej nie będzie przecież sprawdzać wyłączniczbypokoi w ich domu.

Z pewnością będzie się uważnie przyglądać Ripowi, aby sprawdzić, czy potrafi on poradzić sobie z napadami wściekłości.

Oboje dobrze o tym wiedzieli.

Drzwiczki suszarki były otwarte, a leżące w niej ubrania

- wciąż wilgotne.

Jasne, przecież zapomniała ją włączyć.

Poczuła przyływ paniki.

Rip nie założy mokrych skarpet

- nigdy w życiu!

Zatrzasnęła drzwi suszarki, nastawiła ją na dwudziestominutowy cykl suszenia i wcisnęła guzik.

Przerażona rozejrzała się wokół.

Co teraz?

Skąd ma wytrzasnąć parę czystych, suchych skarpet dla Ripa w ciągu pół minuty?

Nagle ją olśniło.

Wbiegła do sypialni, mijając po drodze Ripa.

- Co ty robisz?

Wykrzywił zagniewana twarz.

Gdzie moje skarpety?

-Suszarka właśnie pracuje Wyciągnęła ze swojej szuflady

parę sportowych skarpet i podała mu pospiesznie.

- Proszę, załóż te.

Potem sobie zmienisz.

Wyszarpnął skarpety z jej ręki.

- Nie znoszę zakładania twoich skarpet.

- Wiem, przepraszam.

- Uśmiechnęła się słabo.

- Twoje zaraz będą suche.

140

- Dobrze - fuknął naburmuszony.

- W domu posprzątane?

- Idealnie.

- To dobrze.

- Usiadł na brzegu łóżka i założył skarpety.

W następnej chwili, jakby dotarło doniego, żenie zachowuje się dobrze, skinął głową w jej kierunku.

- Dzięki, że o wszystko zadbałaś.

Wendy poczuła, że cała się rozjaśnia.

- Nie ma za co.

- Usiadła na łóżku obok męża.

-- Zrobiłabym wszystko, żeby tylko wszystko się udało.

- Uda się.

- W głosie Ripa brzmiało zdecydowanie.

- To NASZ syn.

Szkoda, że nie możemy go zatrzymać bez tych wszystkich wizyt.

Jakbyśmy byli dla niego obcy!

- No, wiesz.

- Splotła palce; nie lubiła się musprzeciwiać.

- Trochę jesteśmy dla niego obcy.

To znaczy, narazie.

- Zaśmiała się nerwowo.

- Przecież nas nie zna.

- Ale nas pozna!

- szczeptał Rip krótko, ale zaraz się opanował.

- Dzieci od razu poznają swoich rodziców.

- Słusznie.

- Wendy powstrzymała się przed uświadomieniem mu, że w tej chwili dla chłopca rodzicami są tamcimi ludzie z Florydy.

Ale rozumiała, co Rip ma na myśli.

Dziecko zawsze pozna swoich naturalnych rodziców, bo po prostu łączą je z nimi więzy krwi.

Zastanowiła się nad tym przez chwilę.

Taaak.

Chyba tak właśnie jest.

Czemunie miałyby tak być?

Rozległo się stukanie do drzwi.

- Otwórz.

- Rip szybko popchnął Wendy.

- Ja zaraz przyjdę.

- Okej.

- Wypadła z pokoju, wygładzając po drodze bezowespodnie i przygładzając włosy.

Otworzyła drzwi i uśmiechnęła się do Allyson Bower.

- Dzień dobry, proszę wejść.

141.

- Dzień dobry.
- Pracownica opieki społecznej niewyglądała na uszczęśliwioną.
- Nie zajmę państwu dużo czasu.
- Weszła do środka.

W jednej ręce trzymała teczkę z dokumentami.

Dopiero wtedy Wendy zauważyła kłęby dymu wydobywające się z piekarnika.

- O, nie!
 - westchnęła.
 - Moje bułeczki cytrynowe!
- Przebiegła szybko salon, wpadła do przylegającej doń kuchni, złapała rękawicę kuchenną, otworzyła piekarnik i wyszarpnąwszy blachę z bułeczkami, rzuciła ją na blat kuchenny.

Allyson szła kilka kroków za nią.

- Może w czymś pomogę?
 - Nie, już dobrze.
 - Wendy wyłączyła piekarniki zamknęła go.
- Piekła bułeczki cztery minuty za długo; cała porcja całkiem się zmarnowała - każdą z bułeczek zdobiła gruba warstwa spalenizny. Wendy rzuciła przez ramię pospieszny uśmiech.
- Mój piekarnik ostatnio trochę przypala.

W tej samej chwili do kuchni wszedł Rip.

Poczuł dym i zmarszczył brwi.

- Co się stało?
- Sama nie wiem.
- Wendy znów zaśmiała się nerwowo, pospiesznie wyrzucając spalone bułeczki do kosza.
- Chyba piekarnik za bardzo się nagrzał.

Allyson właśnie zajmowała miejsce przy kuchennym stole, nie dostrzegła więc wściekłego spojrzenia, jakim Rip obdarzył Wendy.

W chwili gdy na niego popatrzyła, już się promiennie uśmiechał.

- Te kuchenki elektryczne są takie delikatne.

Wendy włączyła okap nad kuchnią i otworzyła okno.

Starła się rozwachlować dym, wciąż unoszący się w powietrzu.

Potem wyjęła z lodówki kilka jabłek, pokroiła je,

142

położyła na talerzyk i postawiła na stole.

Usiadła pomiędzy Ripem i Allyson.

- No dobrze.

- Uśmiechnęła się do męża, a potem do Allyson.

- Chyba jesteśmy gotowi.

Spotkanie faktycznie nie trwało długo.

Allyson pytała o ich codzienny rozkład dnia i o to, na ile każde z nich będzie mogło zająć się dzieckiem.

Wendy pracowała teraz tylko w jednym miejscu - była sekretarką w miejscowym biurze rachunkowym.

Wyjaśniła więc, że nie będzie jej w domu od dziewiątej do siedemnastej, ale też zebrała się jej osiemnaście dni urlopu, które będzie mogła wykorzystać, gdyby Joey jej potrzebował.

- Gdzie w takim razie będzie dziecko w ciągu dnia?

- W przedszkolu - Rip powiedział to takim tonem, jakby mówił o jakiejś nagrodzie, co najmniej wyjeżdżiedo Disneylandu.

- Mamy tu w pobliżu świetne, przytulne przedszkole, czyste i przyjazne dzieciom.

I niezbyt drogie.

- A pan, panie Porter?

W jakich godzinach pan będzie pracował?

Wendy zauważyła, jak Rip dumnie wypiął pierś.

- Czekam właśnie na wiadomość z kina.

Zaproponowano mi posadę kierownika.

Oczywiście, będę pracował wieczorami.

W pozostałych godzinach będę mógł zajmować się Joeyem i w większość dni w ogóle nie będę musiał chodzić do przedszkola.

Wyraz twarzy Allyson mówił wyraźnie, że wcale nie jest pewna, czy to dobrze.

Zapisała coś w dokumentach.

- Dobrze.

Podniosła spojrzenie.

Teraz chciałabym się rozejrzeć.

- Zrobiła ruch w kierunku przedpokoju.

- Sądwa pokoje, tak?

Jeden dla was i jeden dla chłopca?

- Zgadza się.

Rip poprowadził ją przez przedpokój, a Wendy ruszyła za nimi.

Pokoje były małe, lecz czyste

i schludne.

Allyson nic nie mówiła, zaglądając do każdego z nich.

Następnie rzuciła okiem w stronę łazienki na końcu przedpokoju.

- Łazienka kompletnie wyposażona?

- Tak - w głosie Ripa brzmiała duma.

- Przy salonie jest jeszcze jedna.

- Zawahał się.

- Oczywiście, kiedy już dostanę posadę kierownika w kinie, będziemy mieć więcej pieniędzy.

Chcielibyśmy wówczas wynająć większy dom, w pobliżu lepszych szkół; przecież nasz syn wkrótce pójdzie do szkoły.

Allyson spojrzała na niego, ale i tym razem się nie odezwała.

Skończywszy obchód mieszkania, znów coś zapisała w swoich notatkach.

Ruszyła w stronę kuchni, gdzie podeszła do lodówki.

- Mogę zajrzeć?

- Jeśli tylko nie przeszkadza pani dym.

- Rip zachichotał, ale gdy tylko Allyson odwróciła się od nich, popatrzył gniewnie na Wendy i potrząsnął głową.

Allyson szybkim spojrzeniem oceniła zawartość lodówki:

mleko, jajka, ser i warzywa.

Poprzedniego wieczoru zrobili zakupy i zapełnili lodówkę samymi świeżymi i zdrowymi rzeczami.

Allyson zajrzała jeszcze do kilku szafek i zapytała o apteczkę pierwszej pomocy.

Wendy pokazała jej zestaw leków w jednej z szuflad.

Po kilku minutach Allyson Bower zamknęła teczkę z dokumentami.

- Z mojej strony to wszystko.

- Skinęła im głową.

- Dziękuję za udostępnienie domu.

Wychodziła już, kiedy jej wzrok padł na nalepioną ścianę.

Zmarszczyła brwi i przesunęła palcem po świeżo załatanym miejscu, po czym odwróciła się i spojrzała wprost na Ripa.

- Co to jest?

144

- To moja wina.

- Wysunęła się Wendy.

Wzruszyła ramionami i zachichotała nerwowo.

- Zamiatalam kiedyś i nagle bęc.

Stuknęłam kijem od miotły prosto w ścianę, wyobraża pani sobie?

Spojrzenie, jakie posłała jej Allyson, mówiło wyraźnie, że nie, wcale sobie wyobraża, żeby tego typu uderzenie mogło wybić dziurę w ścianie.

Znow coś zanotowała, skinęła im na pożegnanie, powiedziała, że się z nimi skontaktuje, i wyszła.

Gdy tylko drzwi się za nią zamknęły, Rip skoczył do Wendy.

- Spalone bułeczki?

- wysyczał przez zaciśnięte zęby.

- Tak sobie wyobrażasz robienie dobrego wrażenia?

Jęknął głośno i zaczął chodzić do kuchni i z powrotem.

Dom był mały, więc pokonywał tę odległość zaledwie kilkoma krokami.

- Myślałam, że będa ładnie pachnieć.

- Nie chciała się z nim kłócić.

- Ale Allyson wcale to nie przeszkadzało, zaproponowała minawet pomoc.

- Wendy zamilczała, że to tak więcej niż on zrobił w tej sprawie.

Daj spokój, Rip.

Nie wściekaj się.

- Nie wściekać się?

- Rip poczerwieniał na twarzy, wytrzeszczył oczy jak zwykle, gdy miał stracić nad sobą panowanie.

- Jestem bardziej niż wściekły.

- Ze złością machnął ręką w kierunku łazienki.

- Najpierw moje skarpety - kolejny gwałtowny gest, tym razem w stronę kuchni potembułeczki.

- Podszedł jak burza do zalepionej ściany.

Cofnął się i jednym ciosem pięści przebił ścianę na wylot.

Spojrzał na nią wściekle, z kostek jego dłoni opadały kawałeczki gipsu, tak jak poprzednim razem.

- A potem to!

Zrobił kilka gwałtownych kroków w jej stronę.

Twoja beznadziejna robota!

-Rip.

Czy to już?

Czy właśnie nadszedł ten moment, gdy dla nich obojga stanie się jasne, że tak naprawdę nic się nie zmieniło i że szaleństwem jest sprowadzać do takiego domu dziecko?

Wendy wstrzymała oddech.

- Rip, proszę.

Nagle, jakby za naciśnięciem odpowiedniego guzika, Rip opanował emocje.

Głośno wypuścił powietrze i oparł się o oparcie kanapy.

- Przepraszam.

- Gniew uszedł z niego, ale od szczęścia Rip był daleki.

Wskazała dziurę w ścianie.

- Następnym razem napraw to porządnie, dobrze?

- Tak, Rip.

Wendy cofnęła się kilkakroć.

Zarazto naprawi porządnie, pod jego okiem.

Wtedy być może udzieli jej chociaż kilku wskazówek, żeby znów nie spartaczyła roboty.

Zaraz się za to zabiorę, więc.

Wyrzucił obydwie ręce w górę, nad głowę.

- Zresztą, nieważne.

To moja wina.

Ruszył do drzwi.

Sam to naprawię, jak wrócę.

- Dokąd idziesz?

- Ochłonać.

- Podeszedł do niej i uściśnął ją lekko.

Dałem się ponieść nerwom i stresowi, jaki wywołała wemnie wizyta tej kobiety.

- Zajrzałeś w oczy.

- Zgoda?

Wybaczysz mi?

- Oczywiście.

- Wendy przypomniała sobie, że cały czas wstrzymuje oddech.

Wszystko będzie dobrze.

- Tak.

- Ledwo widoczny uśmiech pojawił się na ustach Ripa.

-Dzięki, Wendy.

Jesteś dla mnie taka dobra.

Ledwie wyszedł, zadzwonił telefon dzwonił z kinaw sprawie pracy.

- Proszę przekazać mężowi, żeby się z nami skontaktował.

Został przyjęty.

146

Wendy stłumiła okrzyk radości.

Wybiegła przed domi ruszyła biegiem za Ripem.

- Udało ci się!

krzyczała, dogoniwszy go.

Złapała goza ramiona.

- Dostałeś pracę!

- Naprawdę?

- Twarz mu się rozjaśniła.

- Tak!

- pisnęła przejęta i szczęśliwa Wendy.

Rip miałrację: wszystko układało się po ich myśli.

Rip wydał głośny okrzyk zwycięstwa, porwał żonę ramiona i zakręcił się z nią tak, jakzwykle, kiedy byłbardzo szczęśliwy.

W tej samej chwili Wendy poczuła, że nie ma się czym martwić.

Owszem, ciężko będzie tym ludziom z Florydyrostać się z Joeyem, ale dadzą sobieradę.

Sędzia nie wydałby orzeczenia napowrót przyznającego jej i Ripowi opiekę nad dzieckiem, gdyby się martwiło jego przybranych rodziców, prawda?

A w dodatku teraz, kiedy Rip dostał pracę, nie będzie ani trochę zestresowany.

I nawet wywiad środowiskowy przeżyli!

Pozostało im tylko czekać na Joeya.

s % R o zdział XI

Przejechała drogę powrotną do domu Jack Campbell jechał najwolniejszym pasem.

Nie spieszyłeś, wiedząc, że będzie musiał oznajmić Molly, że najbardziej rozchwytywany prawnik na Florydzie nie ma nic do zaoferowania.

Oczywiście Jack nie zamierzał tak łatwo się poddać.

Są inni prawnicy i któryś z nich na pewno podejmie się prowadzenia ich sprawy.

Na razie jednak wiozł ciobowewieści.

Rozmowa, którą właśnie odbył, nie pozostawiała miejsca na nadzieję.

Jeśli podpis na dokumentach został sfałszowany, sprawajest oczywista- powiedział nienagannie ubrany mężczyzna siedzący zaimponujących rozmiarów biurkiem usytuowanym w rogu przestronnego gabinetu, z którego okien rozciągał się widok na miasto i port.

Przynajmniej starał się być uprzejmy.

- Nieprzypadkowo znalazłem dla panamiejsce w moim terminarzu.

Pański adwokat jest moim bliskim znajomym.

Mężczyzna odsunął się na krześle i wyprostował nogi.

Proszę mi wierzyć, że gdybym tylko mógł panu pomóc, nie wahałbym się ani przez chwilę.

Jack poczuł się jak człowiek tonący w ruchomych piaskach.

- Może nie wyraziłem się wystarczająco jasno.

Przesunął się na brzeg fotela w rozpaczliwej nadziei, że uda mu się nakłonić adwokata do zmiany zdania.

- Niemal równo pięć lat temu dostaliśmy podpisane i opieczetowane dokumenty adopcyjne.

Pracownica opieki społecznej zapewniła nas, że biologiczni rodzice Joeya nigdy nie będą go szukać.

- Zorientowawszy się, że mówię coraz głośniejszym głosem, ściszył głos.

- Sprawa została zamknięta.

- Jack zacisnął dłonie na poręczach fotela.

- Coś takiego nie miało prawa się zdarzyć.

Adwokat wstał i podszedł do okna.

- Zdasz sobie z tego sprawę, panie Campbell - powiedział, obracając się w stronę Jacka.

Ale dokumenty te zostały przyjęte przy założeniu, że podpisy na nich rzeczywiście zostały złożone przez osoby, które powinny to zrobić.

- No dobrze, w takim razie jak często coś takiego się zdarza?

Na jaką ochronę prawną mogą liczyć przybranirodzice?

- Obecnie większość sądów i instytucji zajmujących się adopcjami wymaga notarialnego uwierzytelnienia podpisów - odparł prawnik, marszcząc brwi.

- Wtedy nie przywiązywanodotego wagi.

Jack poczuł się, jakby dostał obuchem w głowę.

- Czyli mówi pan, że to pozwoliłoby uniknąć problemu?

Gdybyśmy zażądali notarialnego poświadczenia podpisów, mimo że nie było takiego wymogu?

Choć do gabinetu wpadały przez okno promienie słońca, na twarz adwokata padał cień.

- Proszę pana, z tego co zdążyłem się zorientować, w tym konkretnym przypadku biologiczny ojciec nie

149.

podpisałby dokumentów adopcyjnych.

On nawet nie miał pojęcia, że jego żona urodziła dziecko.

Czyli, innym słowy, poniekąd tak.

Zażądanie notarialnego uwierzytelnienia podpisu rozwiązałoby problem.

- Prawnik ponownie usiadł, zrównując się spojrzeniem ze swoim rozmówcą.

- Ale wtedy nigdy nie dostaliby państwo Joeya.

Rozmowa toczyła się w podobnym tonie przez kolejną godzinę, aż wreszcie adwokat spojrzał na zegarek i powiedział:

- Przykro mi, panie Campbell.

Bardzo chciałbym panu pomóc, ale obawiam się, że nic nie mogę w tej sprawie zrobić.

Proszę spróbować na to spojrzeć z perspektywy biologicznego ojca.

Człowiek wychodzi z więzienia i dowiaduje się, że jego żona urodziła dziecko i oddała je do adopcji, nie mówiąc mu o tym ani słowa.

Jak by się pan czuł na jego miejscu?

Jack nie chciał w ogóle o tym myśleć.

Podniósł się z fotela, uściśnął dłoń adwokata i grzecznie podziękował za poświęcony mu czas.

Jak automat znalazł drogę do windy, wyszedł z budynku i wsiadł do samochodu.

Teraz jechał autostradą, zastanawiając się, co powie Molly.

Ruch był duży, ale nie było korków.

Dojedzie do domu o wiele za wcześnie, co potem?

Obiecał, że wszystkim się zajmie, że nie dopuści, by zabrano im syna.

Z początku wydawało się to niedorzeczne, ale teraz sytuacja wyglądała wiele poważniej.

Skoro największy ekspert od spraw rodzinnych w całym stanie nie potrafi dostrzec najmniejszej choćby przesłanki do podważenia decyzji sądu w Ohio, ktoż inny mógłby im pomóc?

W samochodzie było duszno i na czole Jacka perliły się krople potu.

Nacisnął przyciski do połowy i opuścił boczną szybę.

Twarczowi wiał mu ciepłe powietrze.

Niewiele to pomogło.

Czy to wszystko dzieje się naprawdę?

Za dwa tygodnie

150

Joey po raz pierwszy pojedzie do Ohio.

A za kilka miesięcy zostanie im zabrany na zawsze.

Ich ukochany syn!

Jack poczuł ucisk w gardle inapływajęcdo oczu łzy.

Joey był ich dzieckiem.

Nienależał do tej pary zOhio, dotego faceta,który dopiero co skończyłdsiadywać wyrokza przemoc w rodzinie.

Przecież nawet przy okazji krótkich odwiedzin w tamtym domu Joeyowi może się staćjakaś krzywda!

Jack wypuścił powietrze z płuc i raz jeszczepróbował wziąćgłęboki oddech.

Drgały napięte mięśnietwarzy.

Nikt nie zabierze im Joeya, nikt.

Sądymogązgłupiec do reszty,pracownicy opieki społecznej mogą oszaleć,ale przynajmniej on i Molly zachowają zdrowy rozsądek.

Joey jest ich synem.

Koniec ikropka.

Zacisnął dłonie na kierownicy i niemalw tym samymmomencie jego uwagę przykuł ustawionyna poboczu bilbord,naktórym wielkimi literami wypisano: "Leć zagranicęw niecałą godzinę!

Loty naHaiti iz powrotem za mniej niż200 dolarów!

". Była to reklama linii lotniczych AmericanAirlines.

Przez moment Jackzapomniał, że jest na autostradzie.

Z odrętwienia wyrwał go dopiero basowydźwięk klaksonu jadącejza nimosiemnastokołowej ciężarówki.

Mocniejnacisnął pedał gazu.

Za granicę w niecałą godzinę?

W głowie zaświtała mupewna myśl.

A co, jeśli nikt ichnie wysłucha?

Aco, jeśli żadenadwokatnie podejmie siętej sprawy?

Czy mają spakować rzeczy Joeya i biernie sięprzyglądać, jak znika z ich życia?

Czyjako dobrzy rodzicemają pozwolić, by Joey zamieszkałpod jednymdachemz niebezpiecznym człowiekiem?

W Jacku narastała wściekła determinacja.

Rzecz jasna,spróbuje jeszcze porozmawiać z kilkoma innymi prawnikami, ale jeśli oni również nie będą mogli mu pomóc,Jaki będzie miał wybór?

A gdyby zabrali Joeya i wyjechali

151.

z kraju, i zaczęli nowe życie gdzieś indziej?

Może nie na Haiti, ale na jakiejś innej wyspie z niekończącymi się pustymi plażami, gdzie nie ma żadnych wydziałów dospraw opieki nad rodziną i dzieckiem.

Mogliby zaciągnąć pożyczkę pod zastaw należących do nich nieruchomości.

Pozostałaby tylko kwestia zerwania więzów z dotychczasowym środowiskiem i wyjazdu za granicę.

Czy cokolwiek w ich życiu liczyło się bardziej od Joeya?

Praca?

Dom?

Przyjaciele?

Krewni?

Nie, nic nie było warte syna!

Im bliżej był domu, tym myśl o ucieczce wydawała się bardziej realna.

Mogli to zrobić, naprawdę mogli.

Mogą załatwić sobie fałszywe paszporty i wyjechać niepostrzeżenie.

Znajdą jakąś tymczasową kryjówkę, a potem polecą z Joeyem do Europy.

Mogliby zamieszkać gdzieś pod przybranym nazwiskiem, na przykład w Niemczech lub Szwecji, wysłać Joeya do prywatnej szkoły.

Nikt się nie dowie, co się z nimi stało.

W końcu przestaną ich szukać, a może nawet uznają ich za zmarłych.

To się może udać.

Jack rozparł się wygodnie w fotelu, skupiając uwagę na drodze.

Jeśli okażesz się to jedynym sposobem na powstrzymanie sądu przed zabranie im Joeya, nie zawaha się ani przez chwilę.

Poczuł wewnętrzną satysfakcję.

Nie pozwoli zapędzić siebie i swojej rodziny w ślepią uliczkę.

Będzie bronił Joeya ze wszystkich sił, choćby za cenę własnego życia.

Teraz pozostało mu tylko przekonać Molly.

Po obejrzeniu filmu i poobiedniej drzemce dzieci tryskały energią.

Molly i Beth bawiły się z nimi na placu zabaw w Parku Fullera.

Jack dzwonił, że tam przyjedzie, więc Molly

152

nie zdziwiła się, gdy ujrzała, jak zajeżdża na parking, wysiadając z samochodu i idzie w ich stronę.

Krok miał zdecydowany.

Molly zeskoczyła z drabinek i dłonią osłoniła oczy przed słońcem.

Tak, to on.

Nie wyglądał na przygnębionego.

- Hej, Beth.

Jack przyjechał.

Beth również zeszła z drabinek i stanęła obok niej.

- Wygląda nazadowanego.

- Też mi się tak wydaje.

- Molly oparła się o metalową konstrukcję.

Pewnie przywozi dobre wieści.

- A widzisz?

- Beth uściska ją.

- Tak to jest, gdy się człowiek modli.

Spełnia się wola Boża.

- Wola Boża.

- Molly nie myślała o tym wcześniej w ten sposób.

- To znaczy, sądzisz, że Bóg ma sposób, żeby sprawić, że sprawy ułożą się tak, jak On chce.

O to ci chodzi?

Z tą Jego wolą?

- Właśnie tak.

Chłopcy śmiali się radośnie, zsuwając się ze zjeżdżalni jeden za drugim, obiegając ją, by ponownie się na nią wspiąć.

- Bóg nie zawsze spełnia nasze prośby, choć gorąco się modlimy.

Ale wszystko, co się stanie, jest zawsze zgodne z Jego wolą.

- Beth posłała Molly półuśmiech.

- Nie wyobrażam sobie, by pozostawienie Joeya pod twoją opieką nie było zgodne z Jego wolą.

Molly poczuła, jak uśmiech siostry ogrzewa najgłębsze zakamarki jej serca.

- Dzięki, Beth.

- Tatuś!

- zawołał Joey, ujrawszy ojca.

Zmiejsca popędził ku niemu, wzbijając chmury dmuchawcowego puchu.

- Tatusiu, przyjechałeś!

- Mamusiu!

- Jonah pociągnął Beth za rękaw.

- A gdzie jest nasz tatuś?

153.

- W pracy, kochanie.

Molly spodprzymrużonych powiek obserwowała męża i syna. Jack porwał Joeya na rękę i przytulił do siebie.

Dłużej niż zazwyczaj.

Gdy już się wyściskali, postawił chłopca naziemi i obaj, trzymając się za rękę, ruszyli w jej kierunku.

Beth też im się przyglądała, po czym z uśmiechem na ustach zwróciła się do Jonaha:

- Wieszco.

Zawołamy Cammie, Blaina i Bradena i pójdziemy na lody.

- Ale, mamo!

- Jonah uderzył w proszący ton.

Lubię się bawić tatą Joeya.

On jest świetnym piratem.

- Być może, ale coś mi się wydaje, że mama i tata Joeya muszą terazo czymś porozmawiać powiedziała, wskazując ręką głowę na huśtawkę.

- Idź, zawołaj rodzeństwo.

Molly posłała Beth ciche: - Dziękuję.

- No już!

- Beth klepnęła syna w ramię.

- Piraci będą musieli poczekać.

- Koniecznie?

- Jonah tupnął zdegustowany, ale już zamoment twarz mu pojaśniała.

- A dostanę lody z polewczekoladową?

- Oczywiście.

- Beth podprowadziła go do ławki i zaczęła pakować rzeczy do torby.

- Co to za lody bez polewczekoladowej?

- A George Brett też dostanie lody?

- Nie, lodynie są dla psów.

Jonah pobiegł zawołać braci i siostrę, a Beth odprowadziła go spojrzeniem.

Gdy już się wszyscy zebrali, pomachała siostrze i szwagrowi na pożegnanie i wraz z całą czwórką ruszyła w stronę samochodu.

Przytykając dłoń do ucha, Beth zdążyła jeszcze krzyknąć na odchodne:

- Zadzwoń do mnie!

154

- Dobrze!

- odkrzyknęła Molly.

Teraz mogła skupić całą swoją uwagę na Jacku i Joeyu. Byli jakieżdiesięć metrów od niej i lepiej dostrzegła wyraz twarzy męża. Nie wyglądał na przygnębionego, ale też nie tryskał optymizmem. Molly była przygotowana na wszystko, co miało nastąpić, cokolwiek by to było.

Beth i jej dzieci pomachali do Jacka i Joeya, mijając ich w drodze na parking.

Przystanęli na chwilę, by zamienić kilka słów, a następnie ruszyli w przeciwnych kierunkach.

Jack i Joey spotkali się z Molly pośrodku poletka dmuchawców.

Jack kucnął, pocałował syna w policzek i powiedział:

- Mam pomysł.

- Policjanci i złodzieje?

- Nie - odparł Jack, zaciskając szczęki.

- Nie policjancii złodzieje.

Nie dziś.

Mamusia i ja musimy teraz o czymś porozmawiać.

- Ale wiesz co?

Ta huśtawka mogłaby być wielogłównym samolotem, a ty jego pierwszym pilotem!

- Pierwszym pilotem?

Joey, dla którego wszystko w życiu wciąż jeszcze było równie proste jak zabawa w udawanie, patrzył natę szeroko otwartymi, ufnymi oczami.

Jack uśmiechnął się szeroko, ale Molly zauważyła, że w jego spojrzeniu kryło się coś innego, coś jakby strach.

- A jakże by inaczej, panie kolego.

Oczywiście, że pierwszym pilotem - powiedział, wstając.

- Pokaż mi, jak dobrze potrafisz pilotować taki samolot.

- Tak jest, panie kapitanie!

- Joey wyprężył się jak struna, zsalutował i popędził w stronę huśtawek.

Zobaczysz, jak latam!

Jack wciąż nie odezwał się do Molly ani słowem, jakby jej w ogóle nie zauważał.

Stał nieruchomo, patrząc, jak jego syn siada na huśtawkę i zaczyna się na niej bujać.

155.

- Poczekaj!

Pomogę ci się rozhuścić!

- zawołał nagłe tak jak stał, w wyjściowych półbutach i spodniach od garnituru, pobiegł na skróty przez trawnik i piaskownicę i ustawił się za plecami chłopca.

Wystarczyło kilka energicznych pchnięć, by huśtawka rozbijała się wysoko.

No, teraz już latasz.

Dobrze jest?

Joey promieniał z radości.

- Dziękuję, tato.

Na tej wysokości nie ma chmur.

Powinieneś polecieć ze mną.

- Później.

Jack spojrzał na Molly i w tym samym momencie uśmiechnął się z jego twarzy.

- Teraz będziemy z mamą obserwować cię z ławki.

Molly, która od dłuższej chwili stała jak wmurowana, pozwoliła nogom zanieść się na ławkę.

Miała przedziwne uczucie, że jej umysł odłączył się od ciała; jakby nie uczestniczyła w tym, co się działo, tylko obserwowała to z boku jak jakąś scenę z filmu, a może raczej koszmaru.

Jack usiadł na ławce pierwszy, a Molly zajęła miejsce obok niego. Gdyby go nie zagadnęła, może nie poruszyliby "tego" tematu?

Nie wspomnieliby o "tym" anisłowie?

Po prostu siedzieliby na ławce, grzejąc się w promieniach słońca, i obserwowali Joeya pilotującego swój wymyślony samolot, nie zaprzatając sobie głowy czymś tak niedorzecznym jak możliwość utraty syna.

Molly poczuła, że Jack się poruszył.

Mówił spokojnym głosem, nie spuszczał wzroku z Joeya.

- Widziałem się z adwokatem.

- W Miami?

- Tak.

- Zmrużył oczy, obracając się w jej stronę.

- Wczekałem się na niego godzinę.

To było krótkie spotkanie.

Krótkie spotkanie?

Co chciał przez to powiedzieć?

Jak miała rozumieć jego słowa?

Poczuła, jak coś ją ścisnął w środku.

- Jack, nie trzymaj mnie w niepewności - powiedziała lekko chropawym głosem.

- Czego się dowiedziałeś?

Westchnął głęboko i zwracając spojrzenie ponownie na Joeya, zaczął mówić:

- Facet nic nie może zrobić.

Jeśli podpis biologicznego ojca został sfałszowany, prawo nie pozostawia tu żadnych wątpliwości.

Sędzia musi założyć, że biologiczny ojciec nigdy nie miał zamiaru oddać dziecka do adopcji.

Jack włożył ręce do kieszeni i wyciągnął nogi przed siebie.

- Biologiczny ojciec w tym przypadku sam staje się ofiarą i prawo staje w jego obronie.

Molly miała ochotę krzyknąć albo zatkać sobie uszy, alenie wypadało.

W końcu byli w parku.

W odległości kilkunastu metrów od nich jakiegoś czasu pojawiły się przed sobą wózki, zmierzając w stronę wolnej ławki.

A zresztą, przecież to w ogóle niemożliwe to, co powiedział Jack, nie mogło być prawdą.

Molly zaśmiała się gorzko.

- Nie mogę w to uwierzyć.

- Ani ja.

- Jack delikatnie ujął jej dłoń.

- Poprosiłem go, by mimo wszystko zajął się tą sprawą.

Potrzebujemy kogoś, kto występowałby przed sądem w naszym imieniu.

- I co odpowiedział?

Dotyk palców Jacka dawał jej złudzenie normalności.

Może Jack najzwyczajniej w świecie wrócił z pracy godzinę wcześniej i teraz siedzą sobie tutaj, spędzając z Joeyem przyjemne popołudnie w parku, i wcale nierozmawiają tym, że najprawdopodobniej wkrótce stracą syna.

157.

- Zajmie się tym, prawda?

zapytała, obrzucając Jackaszybkiem spojrzeniem.

Powoli, jakby nie mogąc otrząsnąć się z szoku, pokręcił głową.

- Nie weźmie tej sprawy.

- Jackowi drżałpodbródek.

w Mówi, że sprawa jest nie do wygrania.

Powietrze wokół Mollynagle stało się duszne.

Poderwała się na nogi i przeczesawała włosy palcami.

Cichojęknęła i zaczęła krążyć wokół ławki, zataczając kołai ósemki, oszołomiona i niezdolna zebrać myśli ani wydobyć z siebie słowa.

- Nie.

Nie, to niemożliwe!

Czuła się całkowicie wytrącona z równowagi, kręciło się jej w głowie, a wszystko wokół było zamazane i zamglone.

- To się nie dzieje naprawdę!

-Molly.

- Jack przesunął się na skraj ławki, uderzając lekko dłonią w miejsce obok siebie.

- Tatusiu!

Patrz, jak wysoko latam!

- zawołał do niego Joey.

-Jestem najlepszym pilotem na świecie!

- Tak, mój mały.

Nie ma takiego drugiego nacałym światcie!

odkrzyknął do niego Jack.

-Chcesz ze mną gdzieś polecieć?

- Jeszcze nie.

Jeszcze nie skończyliśmy z mamą rozmawiać.

Słowa Joeya odbijały się echem w głowie Molly.

"Chcesz ze mną gdzieś polecieć?

.ze mną gdzieś polecieć.

". Tak, przeciezo to chodzi, właśnie o to, prawda?

Patrzyła na swojego synka, na jego jasne włosy, opaloną buzię, niebieskie oczy, takie łagodne i ufne.

Tylko tego pragnęła - uciec od tej potwornej rozmowy i polecieć z nim gdzieś daleko.

Jak najwyżej, ręką wrękę, i nigdy nie musieć wylądować.

Tylko ona i jej synek razemna zawsze i.

158

- Molly.

Brzmienie głosu Jacka wyrwało ją z zamyślenia.

Obróciła się do niego raptownie.

- Co?

- Chodź tutaj.

- Ponownie klepnął dłonią w ławkę.

- Jeszcze nie skończyłem.

Jeszcze nie skończył?

Poczuła budzącą się w niej nanowo nadzieję, jakby podano jej tlen.

Skoro jeszcze nieskończył.

być może to było powodem, dla którego kiedyś edł przez park, wydawał się taki zdeterminowany i pełen optymizmu.

Może ten adwokat znalazł jednak jakiś punkt zaczepienia i nie wszystko stracone.

Boże.

Jesteś tam?

Czy widzisz, co się dzieje?

Chwiejnym krokiem podeszła z powrotem do ławki, usiadła i obróciła się twarzą do Jacka.

- No, co?

Jack miał poważne spojrzenie; takiego jeszcze u niego nie widziała.

- Skontaktuję się jeszcze z innymi adwokatami.

Ale ten, z którym dzisiaj rozmawiałem, twierdzi, że wszędzie usłyszę to samo.

Zgodnie z prawem Joey nie jest już nasz.

Należy do swojego biologicznego ojca, chyba że ten zrzeknie się praw rodzicielskich.

Adwokat był nawet zdziwiony, że sąd zgodził się na przejściowy okres wspólnej opieki nad dzieckiem.

Molly nagle zrobiło się niedobrze.

- Powiedziałeś przed chwilą, że jeszcze nieskończyłeś.

- Bo nie skończyłem.

- No więc?

- Serce łomotało jej w piersi.

- Jak niby mamy skłonić

biologicznego ojca do zrzeczenia się praw rodzicielskich?

159.

- Patrz, mamusiu, bez trzymania!

-Joey!

- krzyknęła Molly zdenerwowanym głosem.

- Nie rób tego!

Chłopiec trzymał ręce wyciągnięte przed siebie, a ledwo tylko usłyszał jej ton, natychmiast chwycił się łańcuchów huśtawki.

- Przepraszam.

-Wyglądał na przestraszonego.

- Chciałem być pilotem myśliwca.

- Lataj samolotem pasażerskim.

Głos Jacka zabrzmiał spokojnie.

- Jeśli nie będziesz się trzymać, pasażerowie będą niebezpieczni.

- Dobrze.

- Joey znowu się uśmiechnął.

Nad ich głowami stado ptaków zatoczyło krąg i usiadła na pobliskim klonie.

Molly miała ochotę na nie krzyknąć, żeby się uciszyły.

Każdy jej oddech zależał od tego, co zamierzał jej powiedzieć Jack.

Zgięła jedną nogę w kolanie i przyciągnęła ją do klatki piersiowej.

- Wykrztuś toz siebie, Jack.

Jeśli niezdolamy skłonić go do zrzeczenia się opieki nad dzieckiem, co wtedy?

Co możemy zrobić?

Jack obrócił się do niej przodem i przez chwilę taksował ją wzrokiem.

Determinacja na jego twarzy ustąpiła miejsca desperacji.

Molly instynktownie wyczuwała, że to, co zaraz jej powie, stanowi dla nich jedyną nadzieję.

Uniósł dłoń i z niespodziewaną w tych okolicznościach czułością dotknął jej policzka.

- Wyjedziemy.

- Ani przez moment nie przestawała patrzeć jej prosto w oczy.

- Zabierzemy Joeya i wyjedziemy z kraju.

- Żarty sobie stroisz?

- Postawiła stopę z powrotem na ziemi i odsunęła się od niego.

Wzięła szybki wdech i zaraz następny.

Jej ciało zapomniało wydechować powietrze.

160

Potrząsnęła głową i chwyciła się za włosy.

Czy on oszalał?

Jeszcze wczoraj rano wszystko byłow jak najlepszym porządku!

Nie.

to się nie może dziać naprawdę.

Zgięła się w pół, chowając głowę między kolanami.

- Molly.

- Jack przysunął się bliżej.

- Co jest mamie?

dobiegł ich śpiewny głos Joeya.

Chłopiec wyhamował huśtawkę i zeskoczył z niej.

- Boli jąbrzuch?

Chyba ją trochę bolał po pikniku u cioci Beth.

- Nic jej nie jest - powiedział Jack uspokajającym tonem, zdając sobie sprawę, że nie zabrzmiało to zbyt przekonująco.

- Mamusia jest po prostu trochę zmęczona.

Weź się w garść.

Musiśz zrobić wydech!

Molly wysiłkiem woli wypchnęła powietrze z płuc.

No wreszcie.

Lepiej.

Powtórzyła tę czynność drugi i trzeci raz i dopiero wtedy usiadła prosto, szukając spojrzeniem Joeya.

Biegłdo niej pośród morza dmuchawców.

- Wiem, co zrobić, żeby poczuła się lepiej!

- Zatrzymał się i przykucnął w trawie.

Po chwili wstał, uśmiechając się szelmowsko, a w dłoni trzymał kilka dmuchawców.

Oślaniając je drugą ręką, ruszył pędem w ich stronę.

Gdy tak biegł, wiatr rozwiewał mu włosy.

- Mamusiu, mam coś dla ciebie.

patrz!

- oznajmił zdyszany, po czym podniósł bukiet puszystych kulek do ust i dmuchnął z całej siły.

Setki małych, białych spadochroników wypełniły powietrze.

Po chwili już ich nie było.

- To dmuchawcowy puch!

- Joey wyrzucił lodyżki i pokazał puste dłonie.

- Widzicie?

Znika jak zaczarowany!

- Delikatnie dotknął maminego policzka w taki sam sposób, w jaki często robił to Jack.

-Fajne, nie?

Czujesz się już lepiej?

Molly zdławiła łzy.

Tak, maleńki- miało to zabrzmieć wesoło, ale bardziej przypominało szloch.

Objęła synka

161.

i przytuliła do siebie.

Pachniał latem, jak zawsze.

Byław tym woń trawy, potu małego dziecka i jeszcze coś, czego nie potrafiła nazwać.

Joey wysliznął się z jej uścisku i popatrzył na Jacka.

Widziałeś dmuchawcowy puch, tatusiu?

Widziałem- potwierdził Jack, podnosząc w górę ręce i zataczając nimi koło.

Miałeś rację.

Zniknął jak czarowany.

No! Chłopiec obrócił się napięcie i pognał w stronę huśtawek.

- Samolot czeka!

Gdy ponownie wzbił się powietrze, Molly obróciła się do Jacka.

Czuła się słaba, całkowicie wyczerpana z energii, której tak bardzo potrzebowała do dalszego prowadzenia tej rozmowy, do dalszego stawiania czoła koszmarowi.

Uciecz kraju, Jack?

Oszalałeś?

spytała, marszcząc nos.

Jack przez długą chwilę patrzył na Joeya.

W końcu powiedział:

Tak.

Tu chodzi o mojego syna.

Czując, że oczy mu wilgotnieją, zasłonił je ręką i trwał tak przez dłuższy czas.

Wreszcie, pociągając nosem, usiadł prosto.

Widać było, że odzyskał pewność siebie.

Nie pozwolę, by go nam zabrali, Molly.

Obiecałem ci to i zamierzam dotrzymać słowa - oznajmił, przysuwając się.

Mamy inny wybór?

Molly przycisnęła dłoń do czoła i tylko jęknęła rozpaczliwie:

Jak mogło w ogóle do tego dojść?

Przestań wreszcie zadawać sobie to pytanie.

Poraz pierwszy Jack wydawał się poirytowany jej zachowaniem.

Odchylił się i ogarnął spojrzeniem błękit nieba.

- Wybacz - powiedział cicho i pojednawczo położył

162

dłoń na kolanie żony.

- Już się nad tym zastanawiałem.

- Zawiesiłna chwilę głos.

To jest jakieś wyjście, mówięci.

Jak dmuchawcowy puch Joeya - po prostu.

po prostumozemyzniknąć, uciec od tego wszystkiego.

- Zniknąć?

- Molly nie mogła uwierzyć, że jej mąż mógłw ogóle wpaść na taki pomysł.

Najbardziejpraworządnyczłowiek, jakiego znała.

Ten sam, który był kiedyś członkiem komitetu doradczego przy tutejszym oddziale YMCAiprzedstawicielem CzerwonegoKrzyża w swojej firmie.

Ten sam, który nigdy nie zwlekał ze składaniem deklaracijpodatkowych i zawsze brał udział w wyborach.

- Mówiszpoważnie?

Chciałbyś wyjechać z kraju?

Jack tylkozacisnął zęby, a podbródek drżał mu jeszcze bardziej niż przedtem.

Gdyodzyskał panowanie nadsobą, wskazał palcem na Joeya i pełnym gniewu tonemoznajmił;

- Nie zabiorą mi syna,Molly.

Nie dopuszczę do tego,żeby niewiem co!

- A ja nie zostanę kryminalistką!

Mollywstała z ławkii zrobiła kilkakroków w stronę Joeya.

- Musi być jakiśinnysposób.

Topowiedziawszy, puściła się biegiem.

Rozmawiająco wyjeździe,tracili tylko czas.

To nie było rozwiązanie.

Musi się znaleźć jakiś inny adwokat, ktoś, kto będziewalczyć w sądzie w ich imieniu.

Joey byłby zdruzgotany,gdyby go teraz od nichzabrali.

Byłaby to najgorsza rzecz,Jaka mogłaby się mu przydarzyć.

- Już idę do ciebie,Joey!

- zawołała.

-Ju-hu!

Jestem najlepszym pilotem na świecie!

Malecuśmiechnął się do mamy.

- Wskakuj!

Jego bliskość dawała jejsiłę, chęć do życiai nadzieję.

Usiadła na sąsiedniej huśtawce i zaczęła siębujac z całych

sił. Uciec z kraju?

Czy Jack stracił rozum?

Musi być jakiś inny sposób.

musi!

Uśmiechnęła się do Joeya.

- Masz rację, mój mały.

Jesteś najlepszym pilotem nacałym świecie.

Joey zachichotał radośnie.

- Gdzie chcesz lecieć?

Rzuciła pierwszą nazwę, która przyszła jej do głowy.

- Do Nibylandii.

- Do Nibylandii?

- ucieszył się Joey.

- To najfajniejsze miejsce, mamusi.

- Wiem.

- Po policzkach spływały jej łzy, ale pęd powietrza sprawiał, że natychmiast wysychały.

'- Bo w Nibylandii dzieci nigdy, przenigdy nie stają się dorosłe.

- Pewnie.

Możemy na zawsze zostać tacy jak teraz.

Przez następne pół godziny nic innego nie robili, a Jack w milczeniu obserwował ich z ławki.

Śmiali się i udawali, że są w Nibylandii.

Tam, gdzie dzieci nigdy nie dorastają ludzie się nie zmieniają.

Nigdy.

Rozdział XII

Joey nie chciał płakać - tylko maluchy płaczą, a on jest już dużym chłopcem.

Tak kiedyś przed wakacjami powiedziała pani w przedszkolu, gdy Joey potknął się buty Timmyego i otarł sobie kolano.

Więc nie płakał.

Ale jechać też nie chciał.

Mama i tata powiedzieli mu o tym wyjeździe kilka dni temu po obiedzie.

Powiedzieli, że ma jechać wycieczkę z pewną miłą panią, żeby odwiedzić jakichś ludzi w Ohio - drugą mamę i drugiego tatę.

- Jak to?

- Joey zawołał Gusa i objął go za szyję.

Popatrzył pytająco rodziców.

- Jak to: sam?

Awy?

Dlaczego nie jedziecie ze mną?

- Bo tym razem nie możemy z tobą jechać, kolego.

- Tata miał smutną minę, jakby ta wycieczka nie była jednak najlepszym pomysłem na świecie.

- To ja zostanę tutaj, z wami z Gusem.

Chłopiec wtulił nos w kudłatą sierść na grzbiecie psa.

GUS odwrócił się i polizał go po policzku.

- Dobrze?

Tak zrobimy.

165.

Ale wtedy właśnie mama powiedziała, że tym razem to niemożliwe. Musi pojechać z tą wizytą, która potrwa tylko jedną króciutką noc i tylko dwa króciutkie dni.

Ale to i tak było zbyt długo.

Rano przyjdzie po niego ta pani, a to znaczy, że może jeszcze tylko przez jedną noc spać z Gusem, a potem pojedzie gdzieś bardzo, bardzo daleko. Może na koniec świata - niewiedział.

Już wcześniej mama pomogła mu zapakować torbę.

Kilka razy wycierała przy tymoczy.

- Jesteś smutna, mamusiu?

- Tak, bardzo smutna.

- Objęła go ramieniem i przytuliła mocno.

- Ale w sobotę wieczorem wrócisz, więc będziemy mieli całą niedzielę, żeby pobawić się we trójkę, z tatusiem, zanim zaczniesz następnego tygodnia.

Joey leżał w łóżku i gapił się w sufit.

Miał tam przyklejony plakat z Michael Jordanem, chociaż

Michael Jordan to już naprawdę była przeszłość.

Ale był dobrym zawodnikiem - tak przynajmniej mówił tata.

Joey przewrócił się na drugi bok.

GUS zazwyczaj sypiał na podłodze, ale dzisiaj mama pozwoliła mu spać w łóżku.

Chłopiec objął ramieniem tułów psa.

- Jak to, GUS?

Dlaczego mam jechać gdzieś bez mamy i taty?

GUS sapnął przez nos.

Jego spojrzeniem było, że żęcznie wie, co o tym sądzić, ale że przynajmniej ta wycieczka będzie długa.

- Wiem, że będzie krótka, GUS.

- Pocałował psa obok nosa.

Ale krótko też długa.

GUS lekko pokiwał łbem.

- Dobry piesek, rozumiesz mnie.

Joey znów spojrzał na sufit.

Do jego drugiego boku przytulali się Pan Małpka i Pan Groźny - dwaj inni jego "najlepsi" przyjaciele.

Wziął Pana Małpkę i przysunął go sobie do oczu.

Panu Małpce odpadał pyszczek, ale to nic nie przeszkadzało - mógł

mówi nawet z naderwaną buźką.

- Jakci się wydaje, jacy oni będą?

Ta druga mamai tendrugitata?

PanMałpkamyślałprzez chwilę.

Może nie miał ochoty na rozmowę, bo tylko popatrzył na Joeya.

- I czyi to w ogóle są rodzice?

PanMałpka zamrugął.

Zdawało się, że mówi: "Możepowinieneś mnie wziąć zesobą?

".

- Dobrze, wezmę cię.

- Joey miał jeszcze jedno pytanie do Pana Małpki.

-Dlaczego jakaś obca panima mnie zabiera do ludzi, których w ogóle nie znam?

Pan Małpkaziewnął: "Nie umiem ci odpowiedzieć", więc Joey odłożył go na poduszkę.

Pan Groźny bardzo mu za to podziękował, gdyż Pan Małpka był jego serdecznym przyjacielem i miś lubił być blisko niego.

Joey leżał i w kółko zadawał sobie te same pytania.

Kimsą ciobcy rodzice?

I dlaczego musi się z nimi spotkać?

Mama powiedziała mi, że tak kazał sędzia.

To straszne!

Joey widział sędziów w telewizji, czasami nosili wielkie czarne peleryny, ale zupełnie inne niż Superman czy Batman.

Ich peleryny przylegały sztywno do ramion dlatego wydawało się, że są wyżsi niż wszyscy inni na sali sądowej.

Jeśli więc sędzia powiedział, że Joey musi iść, to znaczy, że musi.

Bo inaczej pewnie zamknęliby go w więzieniu razem z włamywaczami.

Znow przytulił twarz do swojego futra.

-Jeśli zamkną mnie w więzieniu, to wyśliznę się przez kraty, prawda, GUS?

GUS mruknął cichutko.

Dotknął swym mokrym nosem nosa chłopca, a ten zachichotał.

Chociaż tak bardzo się

bał, Gus potrafił go rozśmieszyć. To dlatego, że Gus miał bardzo mokry nos.

W pokoju ucichło. Joey wiedział, że musi zasnąć; zaraz do pokoju wejdzie mama lub tata, żeby sprawdzić, czy synek już śpi, i na pewno nie spodoba im się, że jeszcze nie zasnął. Ale dokąd zabierze go jutro ta obca pani? Tatuś mówił, że do Ohio, ale gdzie to jest? Brzmi trochę jak nazwa jakiejś indiańskiej miejscowości. Jeśli tak rzeczywiście jest, to ciekawe, czy ci drudzy rodzice mieszkają w tipi.

W głowie chłopca kłębiły się niespokojne myśli. Było ich tak wiele, że gdy przymykał powieki, widział wirujące czerwone kręgi. Obok siebie słyszał Gusa posapującego przez sen. Musi porozmawiać z kimś innym, ale z kim? Postukał się palcami w czoło. Myśl, Joey... Myśl, z kim by tu porozmawiać...

Nagle otworzył szeroko oczy - do głowy przyszedł mu genialny pomysł: może przecież zrobić tak jak Jonah! Joey został kiedyś u niego na noc. Spał na podłodze w śpiworze i długo, długo rozmawiali, nawet kiedy zgaszono już światło i ciocia Beth powiedziała, że koniec gadania. A kiedy zrobiło się już naprawdę późno i nie mieli już o czym rozmawiać, Jonah ziewnął:

- Czas na modlitwę.

- Na co? - Joey nie umiał się modlić. Owszem, słyszał coś na ten temat; widział w filmie czy gdzieś... Oparł się na łokciach. - A do kogo się modli? Jonah popatrzył na niego z wysokości swojego łóżka.

- Do Boga, głuptaku. Co wieczór modli się do Boga. - Uśmiechnął się. - No, czasami w ciągu dnia też.

- Aha... - Joey czuł się trochę dziwnie. Może powinien coś wiedzieć na temat modlitwy? Więc skinął tylko głową i położył się z powrotem.

Chciał, żeby wyglądało,

że on także codziennie wieczorem odmawia modlitwę do Boga — jak Jonah.

I wtedy Jonah zaczął mówić na głos, jakby rozmawiał z kimś, kto stał tuż obok. Ale przecież w pokoju oprócz nich nie było nikogo...

- Kochany Panie Boże. To ja, Jonah. Dziękuję Ci za dzisiejszy dzień, i za nasz dom, i za mamę i tatę, i za mojego kuzyna Joeya. Ale za Cammie nie, bo naskarżyła na mnie.

- Pomyślał o czymś przez chwilę. - No, dobra. Za Cammie też Ci dziękuję. Ale proszę, niech się jutro zamieni w miłą siostrę. Miej nas w swojej opiece, Boże. Amen.

Joey odczekał chwilę, po czym odezwał się na głos: -Amen. - Wydawało

mu się, że to właśnie należało powiedzieć.

Jeszcze długo w nocy leżał i rozmyślał o modlitwie. Szczęściarz z tego Jonaha, że może porozmawiać z kimś tak potężnym. I to co wieczór! Joey postanowił, że na drugi dzień, zaraz jak tylko wróci do domu, poprosi mamę, żeby nauczyła go rozmawiać z Bogiem. Ale nazajutrz zupełnie o tym zapomniał. A teraz bardzo by mu się ta wiedza przydała.

Przypomniawszy sobie, że Jonah nie używał jakichś specjalnych słów w rozmowie z Bogiem. Joey wyjrzał przez okno. Znowu zachciało mu się płakać, ale zdołał się opanować.

- Kochany Panie Boże... - Kilka razy westchnął głęboko. - To ja, Joey. Boję się... ponieważ jutro mam wsiąść do samolotu z zupełnie obcą panią... żeby się spotkać z zupełnie obcą mamą i tatą, których w ogóle nie znam

- szeptał cichutko, oddzielając słowa. Zamrugał i odczekał chwilę, na wypadek, gdyby Bóg chciał mu odpowiedzieć. Ale nie usłyszał żadnej odpowiedzi. - Panie Boże, muszę z kimś porozmawiać, bo wcale nie chcę jechać na wycieczkę

168

169

z tamtą obcą panią.

- Przyszedłmu do głowy pewien pomysł, który odrobinę poprawił mu humor.

- A może Ty pojechałbyś ze mną.

Panie Boże?

Jesteś niewidzialny, więc nikt by się nawet nie domyślił, że ze mną jesteś.

- Znowu pomyślał przez chwilę.

- Może nawet mógłbyś siedzieć obok mnie?

Bo myślę, że wtedy wróciłbym do domu trochę szybciej.

Miał wrażenie, że już się trochę mniej boi.

Ziewnąłi przypomniał sobie coś jeszcze:

- Aha, zapomniałem o zakończeniu: miej nas w swojej opiece.

Boże.

Amen.

No. To na pewno była modlitwa jak się patrzy; Jonah powiedziałby to samo.

Znowu ziewnął; czuł, że nadchodzi sen.

Nie chciał jechać jutro z obcą panią do jakiegoś Ohio, a nawet do Tipi.

Ale jeśli Bóg pojedzie z nim, to może nie będzie aż tak źle.

Przyszła mu do głowy jeszcze jedna myśl: Panie Boże.

dziękuję Ci za moją mamę, i moją tatę, i za Gusa.

Oni są moją najlepszą rodziną na świecie.

Dodawszy te słowa, poczuł, że na jego usta wypływa uśmiech.

Objął Gusa i po krótkiej chwili był już bardzo senny.

Tak, jakby to była zwyczajna noc.

Rozdział XIII

Molly obudziła się o piątej nad ranem i siadła na łóżku, przyciskając kołdrę do piersi.

Cieężko oddychała, jakby dopiero co ukończyła maraton.

I tak właśnie było.

Cały miniony tydzień przypominał bieg maratoński wyścig, w którym stawką było zatrzymanie Joeya w domu i niedopuszczenie do jego wyjazdu do Ohio.

Było już jednak za późno.

Wszystkie wysiłki, wszystkie starania spełżyły na niczym.

Joey był już spakowany i przygotowany do podróży, w którą miał wyruszyć za pięć godzin.

Molly przestała ścisnąć brzeg kołdry i popatrzyła na Jacka.
Spał spokojnie, chociaż ostatnio oboje nie potrafili przespać więcej niż trzy, cztery godziny z rzędu, mając myśli zaprzątnięte tylko jednym: czy da się jeszcze coś zrobić.

Molly wstała z łóżka i poszła do łazienki.
Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w swoje odbicie w lustrze.
Kim byłaby, gdyby nie była mamą Joeya?
Coś ścisnęło ją w środku, ale odpędziła natrętne myśli.
Przecież to tylko krótkie odwiedziny - zaledwie jeden dzień.
Jutro Joey będzie już w domu.
Wzięła prysznic i ubrała się.
Co najmniej sześć

171.

razy na minutę zastanawiała się, czy kiedykolwiek jeszcze będzie mogła spokojnie odetchnąć.

Potrzebowała snu, potrzebowała odpoczynku, potrzebowała spokoju.

Potrzebowała Joeya-.

Serce łomotało jej w piersi jak szalone, tak głośno, że myślała, że obudzi Jacka.

Na palcach zeszkłodziła salonu.

Drzwi do dziecięcego pokoju były otwarte.

Cichutkoweszła do środka, wstrzymując oddech.

GUS leżał podścianą, a Joey, zwinięty w kłębek, delikatnie pochrapywał w swoim łóżku.

Tulił do siebie Pana Małpkę i Pana Groźnego.

Może to tylko wyobraźnia płatała jej figla, ale w porannej szarówce wyglądało, jakby chłopiec uśmiechał się przez sen.

Biedactwo- Molly poczuła przebiegający jej ciało dreszcz i złożyła ramiona na piersiach.

Nie masz pojęcia, dokąd dzisiaj jedziesz.

Skąd Joey mógłby to wiedzieć?

Przez chwilę miała ochotę położyć się przy nim, ale w łóżeczku nie było miejsca.

Poza tym nie chciała go obudzić.

Niedługo nadejdzie ranek.

Stała więc tylko, niezdolna zebrać myśli, i przyglądała się śpiącemu synkowi.

Przez głowę przebiegały jej coraz to inne wspomnienia.

Joey był już chłopcem, ale jego buzia niewiele się zmieniła od czasu, gdy jako niemowlę po raz pierwszy zjawił się w ich domu.

Budziła się wtedy w środku nocy, bo wydawało się jej, że słyszy jego płacz.

Ukradkiem wchodziła do dziecięcego pokoju i przyglądała mu się.

Po prostu patrzyła na niego, na jego małą kłatkę piersiową miarowo unoszącą się opadającą, w górę i w dół.

Tak na wszelki wypadek kładła dłoń na poduszce tuż przy jego nosku.

Dopiero gdy poczuła ciepło jego oddechu, z uczuciem ulgi i uśmiechem natwarzy cofała się o krok.

Joey był jej skarbem - nie potrafiła zasnąć, dopóki się nie upewniła, że jej maleństwo śpi spokojnie i nic mu nie jest.

Tak było przez wszystkie minione lata.

Poczuła napływające do oczu łzy.

Nie mogła pogodzić się myślą, że dzisiejszejnocy Joey będzie spał daleko od domu.

Przysunęła się bliżej, pochyliła i jeszcze przez chwilę uważnie mu się przypatrywała.

Był śliczny i najukochańszyna świecie.

O, gdyby poranek nigdy nie nadszedł, gdyby udało się jej zatrzymać czas, zamrozić wskazówki zegara, zanim wskażą godzinę dziesiątą.

Nachyliła się nad synem i możliwie najdelikatniej pocałowała go w policzek.

- Śpij najdroższy.

Jeszcze nie pora wstawać.

Wyprostowała się.

Co jeszcze mogła zrobić?

Trzęsły się jej dłonie, a serce waliło jak młotem.

Nagle przypomniała sobie, że trzeba wyczyścić listwy przypodłogowe.

Wyszła z pokoju Joeya, zbiegła na dół, włączyła światło i rozejrzała się dookoła.

Dwa razy w tygodniu przychodziła do nich gospoia i robiła generalne sprzątanie, także w domu nie było wiele doroboty, ale listwy przypodłogowe wymagały doglądania.

A już chyba od pół roku nie były czyszczone.

Molly nalała ciepłej wody do miski, dołączyła płyn do czyszczenia, znalazła jakąś ścierkę i poszła na drugi koniec domu.

Uklękła przy ścianie, zmoczyła ścierkę i starannie ją wykręciła.

W domu panowała całkowita cisza.

Tak jakby całe jej życie wstrzymało oddech w oczekiwaniu na groźącą przyszłość.

Jak w ogóle mogło do tego dojść?

Jack wydzwaniał doprawników w całym stanie - wszystkich, którzy mogliby podjąć się prowadzenia sprawy - a każdy z nich powtarzał dokładnie to samo.

Stwierdzenie fałszerstwa w oryginalnych dokumentach oznacza, że dokumenty te są nieważne.

Jakby nigdy nie zostały podpisane.

173.

- Niech pan spojrzy na to w inny sposób - usłyszał Jack od jednego z adwokatów.

- Mieli państwo szczęście cieszyć się tym chłopcem przez cztery lata.

Molly energicznie wzięła się do pracy zaczęła szorować pierwszy odcinek listwy.

Szczęście, że mieliśmy go przez cztery lata?

Czy ten świat szalał?

Czy ludzie są aż do tego stopnia pozbawieni wrażliwości:!

Adopcja, nie oznacza słabszej więzi z dzieckiem.

Ona i Jack związała swój los z Joeyem i żadnego znaczenia nie miało to, że nie ona go urodziła.

Joey był ICH synem!

Czy mogło być coś bardziej oczywistego?

Szorowała dalej, wkładając w wykonywaną czynność wszystkie swoje obawy, całą frustrację i złość.

Ona, Jack i GUS byli dla Joeya jedyną rodziną, jaką kiedykolwiek znał.

Był zbyt mały, żeby w pełni zrozumieć, czym jest adopcja, i w obecnej sytuacji - gdy stało się jasne, że w kwestii odwiedzin nie mają wyboru powiedzieli mu tylko tyle, ile mogli mu powiedzieć: sędzia życzy sobie, aby tam pojechał, i tak musi być.

Joey był śmiertelnie przerażony.

Oboje doskonale to widzieli.

Poprzedniego wieczoru, gdy kładli go spać, trzymał Molly za szyję dłużej niż zwykle.

- No to jak, mamusiu, pojedziesz ze mną?

Dobrze?

- zapytał, po czym przeniósł wzrok na Jacka i ponowił pytanie:

- Albo ty tatusiu.

Pozwolą ci ze mną pojechać, prawda?

Molly i Jack najzwyczajniej nie wiedzieli, co odpowiedzieć.

Jak niby mieli mu wytłumaczyć, że jego prawdziwi rodzice chcą go odzyskać, że jego biologiczni ojciec wyszedł właśnie z więzienia i jest facetem, który lubi od czasu do czasu kogoś pobić, zwłaszcza swoją żonę.

A teraz sędzia chce, by Joey odwiedził tych ludzi.

Z którejkolwiek strony by na to popatrzyli, nie widzieli w tym najmniejszego sensu.

Tym bardziej nie mogli ocenić

kiwać, że jakiś sens dostrzeże w tym Joey lub że ich wyjaśnienia go

uspokoją.

Chłopiec starał się być dzielny.

Jackusiadł na brzegu łóżka i pogłaskał go powłosach:

- To będzie krótka wyprawa, kolego!

-Dobrze.

-Joey tylko smętnie pokiwał głową.

Zagryzała dolną wargę, najwyraźniej powstrzymując się od płaczu.

Ale jakie myśli musiały się kłębić w jego głowie?

Molly namoczyła i wyżełascierkę.

Co to za rodzice, którzy pozwalają obcej osobie wywieźć swojego syna do innego stanu?

Nawet jeśli ta osoba jest opiekunką społeczną?

Joey tego nie rozumiał.

Molly zabrała się do szorowania kolejnego odcinka listwy.

W myślach odtwarzała rozmowę, którą odbyła z Jackiem podczas spaceru po parku w dniu, w którym po raz pierwszy zdali sobie sprawę z powagi sytuacji; gdy uświadomili sobie, że cała ta sprawa to coś więcej niż drobne zakłócenie planów życiowych - raczej miecz wzniesiony nad ich rodziną.

"Możemy wyjechać z kraju, Molly.

zniknąć.

" - z każdym upływającym dniem coraz częściej myślała o słowach wypowiedzianych wtedy przez Jacka.

Początkowo sądziła, że bredzi bez sensu, oszalały z bólu zgryzoty tak samo jak ona.

Ale później się przekonała, że mówił całkiem poważnie.

Decyzja należała do niej.

Gdyby tylko się zgodziła, Jack wprowadziłby swój plan w czyn i przed czwartymi odwiedzinami zniknęliby we trójkę.

Tak samo jak dmuchawce Joeya.

Przesunęła się metr w prawo i wytarła ciemną smugę na śnieżnobiałej ścianie.

Żadnych smug - ani tu, ani w ich życiu.

Wszystko do tej pory układało się doskonale, nieprawdaż?

Gdzie podział się ten czarodziejski pył?

Boże.

a co z modlitwami Beth?

Molly zastanawiała się na tym pytaniem, usiłując jednocześnie zdmuchnąć kosmyk

175.

włosów z policzka.

Jak to ujęła Beth?

Ludzie, którzy się modlą, mogą przynajmniej być pewni woli Bożej.

Czasem Bóg udziela odpowiedzi, której pragną, a czasami nie.

Tak czy inaczej, jeśli rozmawiasz z Bogiem, wiesz, że to, co się stanie, będzie zgodne z Jego wolą.

Przynajmniej tak to widziała Beth.

Jack podchodził do tego zupełnie inaczej.

Trzy dni temu rozmawiali na ten temat.

- Wola Boska?

- zaśmiał się i przejechał palcami po włosach.

Żarty sobie stroisz?

Chcesz, żebym czekał, aż Bóg się nade mną ulituje, gdy stawką jest przyszłość mojego syna?

Molly nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Tonie mój pomysł; tak uważa Beth.

- Też coś!

- Jack przewrócił oczami.

- Obojdobrze znamy Beth i Billa.

To para religijnych fanatyków, Molly.

Nie możemy się teraz ugiąć pod ich wpływem.

Musimy coś zrobić, póki jeszcze jest czas.

- Ale Beth mówi, że jeśli Bóg chce, abyśmy mieli Joeya, wszystko się jakoś ułoży.

- Słuchaj, to nie Beth zaraz straci swojego synka.

- Jack ciszył głos, chwycił ją za ręce i spojrzał na nią błagalnie.

- Proszę cię, Molly.

Nawet o tym nie myśl.

Poza tym.

A co, jeśli wolą Bożą jest, aby to Porterowie go mieli?

O tym Molly nie pomyślała.

Wyobrażała sobie, że skoro Bóg widzi wszystkocaościowo- tak jak to potrafi, zdaniem Beth - to wie, że Joey należy do nich.

Z pewnością ten chłopiec nie może należeć do jakiegoś kryminalisty, człowieka znanego z brutalności.

Prawda?

Na tym skończyła się rozmowa o Bogu.

Molly i Jack byli naskraju wytrzymałości i uzgodnili, że nie będą z sobą

walczyć.

Niczemu to nie służyło.

Dlatego Molly nie

176

wracała już więcej do tego tematu.

Potrzebowali siebie teraz bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

Gdy poprzedniego wieczoru położyli już Joeya do spania, Jack objął ją zule i wyszeptał:

- Pomóż mi, Molly.

Łamał mu się głos i tulił żonę mocniej niż zwykle.

- Skończyły mi się pomysły.

Zupełnie nie wiem, co robić.

Molly też nie wiedziała.

Niemal bez przerwy płakała i nawet teraz, gdy była zajęta czyszczeniem listew, łzy cisnęły jej się do oczu.

Otarła je rękawem, ponieważ obie dłonie miała w mydlinach.

Allyson Bower miała się zjawić za niecałe cztery godziny i zabrać ich najdroższego syneczka.

Nic na to niemogli poradzić.

Molly pracowicie, centymetr po centymetrze, szorowała listwę, którą chyba nigdy nie była równie czysta i lśniąca.

Niepostrzeżenie minęły dwie godziny.

Gdy robota była już prawie skończona, usłyszała z góry wołanie Joeya:

- Mamusiu!

Mamusiu, gdzie jesteś?

Każdego ranka zrywał się z łóżeczka i jeszcze zaspany wbiegał do ich sypialni i wślizgiwał się pod ich kołdrę.

Zazwyczaj tuż za nim do łóżka wskakiwał GUS.

Był to ich tradycyjny sposób na przebudzenie, z Joeyem szepczącym "dzień dobry" do ucha najpierw tacie, a potem jej.

Upuściła ścierkę do miednicy i odwróciła się w stronę, z której dobiegał głos synka.

Chłopiec musiał już dotrzeć do pokoju rodziców i zorientować się, że mamy tam nie ma.

Teraz szukał jej w salonie.

Molly zerwała się na nogi i poczuła nagły ból w kolanach.

Przez cały czas klęczała - nic dziwnego, że teraz boli.

- Tu jestem, Joey!

Na dole.

- Mamusiu!
177.

Słyszała tupot jego stóp na schodach.

Gdy go zobaczyła, wciąż jeszcze przecierał zaspane oczy.

Miał na sobieswoją bejsbolową piżamę, jedną z tych, które ciągle jeszcze miały spodnie ze stopkami.

Wyciągnęła przed siebie ręce, by go pochwycić.

Mamusiu, tu jesteś!

Molly pochyliła się i porwała synkaw ramiona, niezważając na obolałe kolana.

Przytuliła go mocno do siebie szepnęła mu do ucha:

- Tu jestem, kochanie.

Nigdzie nieposzłam.

- Myślałem, że przyszła obca pani i zabrała ciebie zamiast mnie.

- Joey zrobił krok do tyłu, a na jego twarzy malowała się niepewność.

Zamrugął kilkakrotnie, by otrząsnąć się z resztek snu.

- Na szczęście ciągle tu jesteś.

- Och, Joey.

- Molly zawahała się.

Poczułażłość na samą siebie, gdyż mogłota zabrznieć, jak gdyby słowa, które chciała powiedzieć były nieprawdą.

Mimo to wypowiedziała je:

- Zawsze tu będę, maleńki.

Choćby nie wiadomo co się działo.

Po chwili zszedł donich Jack, ubrany w dżinsy i koszulkę z krótkimi rękawami.

Ich spojrzenia się spotkały i Molly zauważyła, że miał podpuchnięte oczy.

- Dzień dobry.

powiedział przyciszonym głosem, ledwie skrywając rozpacz.

- Dobry.

- Molly zdobyła się na uśmiech specjalnie dla Joeya.

- Zróbmy sobie nasze ulubione śniadanie.

- Francuski tost z jagodami?

- Joey radośnie podskoczył kilka razy, ale podniecenie zniknęło z jego twarzy niemal równie szybko, jak się pojawiło.

- To znaczy, że wyjeżdżam?

Molly podniosła miskę z brudną wodą.

Chciała ją wylać przez okno.

A potem chwycić za rękę Joeya i Jacka i uciec,

gdzie pieprz rośnie.

Czyżnie tego właśnie pragnął Jack?

Zamiast tego wolną ręką ujęła dłoń Joeya i skinęła głową.

NO chyba tak.

Posolidnym śniadaniu podróż szybciej minie.

- Dobrze.

Joey karnie podążył za mamą w stronę zlewozmywaka.

- Czy mam się najpierw przebrać?

Namyślo tym Molly poczuła zimny dreszcz przerażenia.

Przebrać się?

Żeby wyjść z domu z pracownicą opieki społecznej i puścić w ruch proces, który na zawsze zabierze goz ich życia?

Wstawiła miskę dozlewu i chwyciła się jego brzegu, żeby się nieprzewrócić.

Jack podszedł do nich od tyłu i objął oboje ramieniem.

- Dobry pomysł, panie kolego.

Chodź, pójdziemy cię przebrać.

- Ja to zrobię.

Molly przerwała mu w pół słowa.

A co, jeśli Joeyowi przydarzy się coś złego - wypadek samochodowy albo katastrofa lotnicza?

A co, jeśli opiekunka zgubi go na lotnisku lub ten cały Porter skrzywdzi w jakiś sposób?

Co, jeśli tamta parady z nim wyjedzie i już nigdy go nie zobaczą?

Liczba przerażających możliwości zdawała się nie mieć końca.

Molly posłała Jackowi przeproszające spojrzenie i powiedziała łagodniejszym tonem:

- Ja go ubiorę, dobrze?

- W porządku.

- Jack uśmiechnął się do syna.

- W takim razie ja zrobię francuski toast.

Molly poszła z Joeyem do jego pokoju i starannie wybrała rzeczy do ubrania: dzinsowe krótkie spodenki i białą koszulkę polo.

Pomogła chłopcu się ubrać, uczesała go i znalazła dla niego odpowiednie skarpetki - białe z niebieskimi piłkami do koszykówki.

Jego ulubione.

Gdy pochyliła się, by nałożyć mu skarpetki, oparł się o jej ramię i powiedział:

179.

- Dziękuję, mamusiu.

Fajne wybrałaś.

- Cieszę się, że ci się podobają.

- Poglądziła go po włosach i pocałowała w czoło.

- Zabrałaś Pana Małpkę, prawda?

- Tak.

Schował się w torbie, chociaż się boi ciemności.

- Nic mu nie będzie.

- Ale nie wzięłaś Pana Groźnego.

- Joey potrząsnął głową.

- Chciał zostać tutaj, z Gusem.

- To dobry pomysł.

- Molly chciała powiedzieć coś więcej, ale nie pozwoliła jej na to gula w gardle.

- Tak.

- Wielkie łzy zatańczyły w oczach chłopca i zaczęła mu drżeć dolna warga.

Molly objęła go i mocno przytuliła.

Niezależnie od tego, jak wielki był jej ból, Joey cierpiał jeszcze bardziej.

Teraz mogła myśleć tylko o jednym.

Jak przynieść mu ulgę.

- Posłuchaj, kolego.

Wrócisz jutro wieczorem, okej?

- Właśnie to chciała usłyszeć.

Byle tylko nie myśleć ciągle o liście możliwych zdarzeń: wypadków i katastrof,

porwań.

Przytrzymała chłopca za ramiona, delikatnie

je masując kolistymi ruchami.

- Nie odstępuj ani na chwilę pani Bower, dobrze?

Na lotnisku będzie tłum ludzi.

Pamiętaj, żeby trzymać ją za rękę.

- Pani Bower?

- Na buzi chłopczyka pojawiło się zaniepokojenie, a w kącikach oczu zaszklily się łzy.

- Ta pani, z którą pojedziesz, Joey.

Molly nienawidziła siebie.

Jak mogła uważać się za matkę Joeya i równocześnie pozwolić na to, co lada

chwilamiąło się zdarzyć?

" Zmuszała się do mówienia spokojnym tonem.

- Ta pani nazywa się Bower.

- Aha.

- Joey Zamrugnął, a dwie łezki spłynęły mu po policzkach.

Szybko je otarł, jak gdyby się ich wstydził.

- Czy onawie?

180

- Że ma cię trzymać za rękę?

- Molly przysiadła na brzegu pudła z zabawkami, by mieć wzrok na wysokościoczu Joeya.

Pokiwał głową.

- Nie chcę się zgubić.

Gdy to mówił, do pokoju przytruchtał GUS i usiadł u jego boku.

- Może powinienem wziąć ze sobą Gusa na wypadek, gdyby pani

Bower o mnie zapomniała.

Molly skarciła się w myślach za to, że niepotrzebnie go zmartwiła.

- Niema takiej potrzeby, kochanie.

Pani Bower o tobie nie zapomni.

Wyciągnęła rękę i podrapała Gusa zauchem.

Był duży jak na labradora.

Duży i przyjacielski.

Gdyby mogła go wysłać z Joeyem, zrobiłaby to bez wahania.

- Nie możesz go wziąć z sobą, nie tym razem.

Przepraszam.

Po prostu trzymaj tę panią za rękę i wszystko będzie w porządku.

- Dobrze.

Usłyszeli, jak Jack wchodzi po schodach.

- Śniadanie na stole.

- Hurra!

Oczy Joeya rozpromieniły się.

Tata jest szybki.

Zeszli do kuchni, trzymając się za ręce.

Coś w śniadaniowym entuzjazmie Joeya zasmuciło Molly jeszcze bardziej.

Dzieci są odporne.

Jeśli zabiorą od nich Joeya w tym wieku, będzie walczył i tęsknił za nimi przez parę miesięcy.

Może nawet przez rok lub dwa.

Ale w końcu zapomni.

Będzie się emocjonował skarpetkami z wyszytymi piłkami do koszykówki, huśtaniem ifrancuskimi tostami.
Tak samoJak teraz.

181.

Myśl o tym wywołała kolejną falę łez, ale Molly zdławiła je w sobie.
Na płacz przyjdzie czas później.

Ważne, żeby Joey nie widział jej smutnej i wyszedł z domu w przekonaniu,
że jutro wieczorem znowu wszystko będzie w jaknajlepszym porządku.

Co by sobie pomyślał, gdyby się rozpląkała?

Prawdopodobnie, że jego świat się rozsypuje.

Molly powstrzymała się od szlochu i wzięła z półmiska kawałek
tostu.

Jack pochwyił jej spojrzenie i otoczył ją ramieniem.

- Dobrze się czujesz?

- Nie za bardzo.

Popatrzyła na męża i wyobraziła sobie, że sama musi wyglądać jak ktoś, kto
lada chwila umrze.

Stali na skraju przepaści i nie mogli nic zrobić, by uchronić się przed
upadkiem.

Joey siedział już przy stole, rozstawiając szklanki z sokiem dla całej
trójki.

- GUS, ty nie dostaniesz soku.

- Joey pochylił się i pocałował łeb psa.

Nie tym razem.

Ujął piskusa w swoje pulchne rączki i dodał:

- Ale może dostaniesz kawałek tost, jeśli mama pozwoli.

Molly oparła się o Jacka i przyglądała się synowi.

- Nie ma pojęcia, co go czeka.

- Nie.

Śniadanie upłynęło na rozmowie o tym, dlaczego psychrapia, i o tym,
że fajnie byłoby wybrać się w niedzielę na basen.

Z każdą upływającą minutą Molly coraz bardziej bolał brzuch.

Zdołała wmusić w siebie zaledwie trzy kęsy francuskiego tostka.

Jack też nie miał apetytu.

Mówił głównie Joey.

- Wiecie co?

- Miał lepkie palce i policzki umazane syropem.

- Wczoraj wieczorem rozmawiałem z Panem Bogiem.

Na głos, tak jak Jonah.

182

Jack obrzucił Molly zdumionym spojrzeniem.

Wzruszyła tylko ramionami i obróciła się w stronę Joeya.

- To ciekawe - powiedziała łagodnym tonem, niekryjąc zainteresowania.

- Od kiedy torobisz?

- Od wczoraj - odparł Joey, lekko marszcząc brwi.

- Byłże mną GUS, ale zasnął.

Chciałem z kimś porozmawiać, więc porozmawiałem z Panem Bogiem mówiąc to, chłopiec wzruszył kilkakrotnie ramionami.

Łatwiej mi było usnąć.

Jack odchrząknął, wytarł ustę serwetką i zapytał:

- O czym rozmawiałeś z Panem Bogiem?

Pod stołem Molly ścisnęła go za kolano i spojrzeniem

dała do zrozumienia, by uważał.

Ich synkowi wolno było

rozmawiać z Bogiem, jeśli miał na to ochotę, niezależnie od tego, co oni sami o tym sądzą.

Joey ugryzł następny kawałek tostu i z pełnymi ustami zaczął opowiadać:

- Mówiłem Mu, że jadę na wycieczkę zobcą panią.

Skończył przeżuwać, połknął i mówił dalej:

- Prosiłem Pana Boga, żeby zemną pojechał, bo animama, ani tata, ani GUS nie mogą.

Molly poczuła, jak jej brwi unoszą się w geście zdumienia.

- To.

bardzo miło.

Zatrzymała kolejną falę łez.

Przecież ani razu nie modlili się Joeyem, nie zabierali go dokościoła ani nie uczyli go, jak się modlić.

A teraz on sam z siebie zrobił dokładnie to, o czym mówiła Beth.

Poprosił Pana Boga, by mu towarzyszył, aby nie był sam.

- No tak - rzekł Jack jak gdyby nigdy nic, odsuwając się od stołu i przekrzywiając głowę w zaciekawieniu.

- Czy ciocia Beth ci tak kazała?

Joey popatrzył dziwnie na ojca, po czym z uśmiechem odpowiedział:

183.

- Nie.

ciocia Beth nigdy nie rozmawiała ze mną o Panu Bogu.

Słyszałem, jak onah się modli, gdy kiedyś zostałem u nich na noc.

Jeśli on potrafi, to jateż.

Molly chciała spojrzeniem dać Jackowi do zrozumienia, że to nie był pomysł Beth.

To przecież oczywiste, że jej siostra nigdy nie zrobiłaby niczego za ich plecami, nie próbowałaby w tajemnicy przed nimi zaszcześcić w ich synuwiary w Boga.

Jack nie powinien czegoś takiego nawet podejrzewać.

Ale dochodziło już wpół do dziesiątej, nie byłowięc czasu na sprzeczkii udowadnianie, kto ma rację.

Zbliżała się godzina wyjazdu Joeya.

Skończyli jeść, poszli umyć zęby i znieśli na dół kupioną dla Joeya niewielką walizkę na kółkach.

Postanowili jeszcze raz sprawdzić, czy o niczym nie zapomnieli.

Gdy tak stał przy drzwiach, Jack wziął Joeya na ręce i powiedział:

- Pani Bower ma nasz numer telefonu.

Jeśli z jakiegospowodu będziesz potrzebował do nas zadzwonić, poproś ją.

Joey kiwnął głową potakująco.

Jego beztroski nastrój nagle zniknął.

Łzy wielkie jak groch zbierały mu się w kącikach oczu, ale jakoś udawało mu się powstrzymać od płaczu.

- A co będzie w nocy?

Kiedy pani Bower tam nie będzie?

- Wtedy będziesz panem i panią Porter.

Oni też mają telefon.

W każdej chwili możesz do nas zatelefonować.

Proszę powiedzieć, a na pewno pozwolą ci zadzwonić.

Akurat tego detalu nie omawiali z pracownicą opieki społecznej, ale wydawało się to oczywiste.

Joey powinien mieć możliwość zadzwonienia do domu, jeśli odczuje taką potrzebę.

Aby zabezpieczyć się na taką ewentualność, Jack zadbał o to, by Joey nauczył się na pamięć numeru do domu i numeru kierunkowego.

W ten sposób zawsze będzie mógł się z nimi skontaktować w razie potrzeby.

- No dobra, ostatni raz.

- Jack odchylił się nieco, by widzieć twarz syna.

- Jak jest twój numer do domu, kolego?

Bez najmniejszych trudności Joey wyrecytował wszystkie dziesięć cyfr.

- A co trzeba wystukać najpierw?

- Jedynekę.

Molly stała obok i się przysłuchiwała.

Kładąc dłoń naramieniu Joeya, powtórzyła:

- I trzymaj ją za rękę na lotnisku.

Panią Bower.

Dobrze?

Zanim chłopczyk zdążył odpowiedzieć, rozległ się dźwięk dzwonka u drzwi.

Joey odruchowo z całej siły przytulił się do Jacka.

- Tatusiu, janiechcę jechać.

To była najgorsza część.

Molly czuła, że zaraz się rozklei, ale nie mogła sobie na to pozwolić.

Musiała być silna, dla syna, w przeciwnym razie nie poradziłiby sobie z tą sytuacją.

Zamknęła oczy i położyła głowę naramieniu Jacka.

- Nie mogę tego zrobić - powiedziała szeptem tak, aby tylko on ją usłyszał.

- Coteraz?

Jack odchrząknął dwukrotnie, a Molly wiedziała, dlaczego.

On też powstrzymywał się od płaczu.

Mocno objął Joeya i zakołysał nim kilka razy.

- Ja też nie chcę, żebyś jechał.

Ale może będzie fajnie.

Coś jak by nowa przygoda.

Dzwonek zadzwonił ponownie i Joey mocniej ścisnął syna.

- Nie chcę żadnej przygody.

Ja chcę ciebie i mamę.

Molly zmusiła się do otworzenia drzwi.

Za progiem stała wysoka kobieta.

Molly zrobiła krok do tyłu i gestem zaprosiła ją do środka.

- Pani Bower?

- Tak.

- Kobieta wyciągnęła legitymację, z której wynikało, że jest
pracownikiem Działu Opieki nad Dziećmi
185.

w stanie Ohio.

Na jej sympatycznej twarzy malowała się zakłopotanie.

Ponieważ Joey nadął się do Jacka, zwróciła się do Molly.

- Bardzo mi przykro.

Na kilkasekund spuściła wzrok, gdy go na powrót uniosła, miała wilgotne oczy.

- Chcę, aby państwo wiedzieli, że jestem całkowicie przeciwna takiej decyzji.

Zrobiła krótką pauzę, jak gdyby szukała słów.

- Niemniej jednak muszę wykonywać swoje obowiązki.

- Czy jest jakiś sposób?

Molly wciąż kurczowo ścisnęła kłamek.

Mówiła zduszonym szeptem, naznaczonym bólem.

Czuła, jak krew odpływa jej z twarzy.

Przecież musiały istnieć jakieś inne możliwości, skoro nawet opiekunka społeczna nie zgadzała się z takim rozstrzygnięciem sprawy.

Pierwszy raz doniej to dotarło.

- Nie możemy im pozwolić na odebranie go nam.

Pani Bower, proszę.

Allyson zamknęła oczy i westchnęła.

Gdy je otwierała, pokręciła głową.

Przykro mi.

Chciałabym powiedzieć państwu co innego, ale w takim przypadku prawo nie pozostawia wątpliwości.

Spojrzała na ciągle szepczący coś do siebie Jacka i Joeya.

Chłopczyk, wtulony buzią w szyję Jacka, cichutko pochlipywał.

Opiekunka na powrót przeniosła wzrok na Molly.

- Pani mąż mówił mi, że konsultował się w tej sprawie z wieloma prawnikami.

Nic nie da się zrobić.

- A co z prośbą do gubernatora lub prezydenta?

- Molly słyszała o podobnych przypadkach, w których media pomogły nagłośnić sprawę i zainteresować nią wysokopostawionych urzędników państwowych.

- Może powinniśmy zacząć wydzwaniać doróżnych ludzi?

- Zastanawiałam się nad tym.

- Allyson pośpiesznie pokręciła głową.

- Gdybym uznała, że to coś pomoże, już

dawno bym to państwu zasugerowała.

Jednakżewe wszystkich znanych mi przypadkach, w których oszustwo było powodem przyznania praw rodzicielskich, dziecko zawsze wracało do rodziców biologicznych.

Nawet wtedy, gdy rodzice adopcyjni szukali pomocy w Białym Domu.

- Pani Bower zrobiła kolejny krok do środka.

- Zawsze.

Molly cała się trzęsła.

Tej sceny najbardziej się obawiała - chwili, w której opiekunka weźmie Joeya za rękę i wyprowadzi go z ich domu.

Gdyby to się działo w jakimś filmie, wykorzystałaby ten moment, by pójść nachwile do łazienki lub wyjść na zewnątrz, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza.

Wzdragała się już na samą myśl o takiej scenie, a teraz to się działo naprawdę.

Allyson Bower zerknęła na zegarek.

- Niestety, musimy zdążyć na samolot - powiedziała, wręczając Molly plik papierów.

- Tu jest trasa podróży, informacje o locie, numer mojej komórki oraz adres i numer telefonu państwa Porterów, u których Joey się zatrzyma.

Zazwyczajnie udostępniamy tego rodzaju informacji, ale w tych okolicznościach sędzia upoważnił mnie do przekazania ich państwu. Joey jest jeszcze malutki.

Państwo muszą mieć możliwość skontaktowania się z nim w razie potrzeby.

- Potrzeby?

- Serce Molly zabiło szybciej.

Będzie mógł w każdej chwili zadzwonić do Joeya.

- Tak, pani Campbell - potwierdziła Allyson z poważnym wyrazem twarzy.

Jeśli jednak będą państwo telefonować do Porterów bez potrzeby, sędziemu się to nie spodoba i może go skłonić do podjęcia decyzji o przyspieszeniu terminu oddania dziecka, aby wszystko odbyło się jak najszybciej i bez zbędnych kłopotów dla obu stron.

Jack podszedł do nich, starając się delikatnie uwolnić oduścisku Joeya.

Na twarzy miał łzy, ale Molly nie potrafiła

powiedzieć, czy to jego łzy, czy joeya.

- No dobra, kolego, już czas.

- Tatusiu, proszę, nie!

-Joey przytulił się do niego z całej siły.

Molly oparła się o ścianę, by nie upaść.

Jak to możliwe?

Co oni tutaj robią przyglądają się z boku, jak jakaś obca kobieta zabiera ich synka?

Pokójsię kołysał inic nie miał sensu.

- Joey, kochanie.

Chodź do mnie.

Na dźwięk jej głosu Joey wysunął się z objęć Jacka i podbiegł do niej.

Był ciężki jak naswój wiek, ale wciąż mogł go unieść i przytulić.

Owinął nogi wokół jej talii i wtulił twarz w jej ramię.

Mamusiu, pojedź ze mną.

Proszę!

Powiedziała pierwszszelowa, jakie przyszły jej dogłowy:

- Pan Bóg z Tobą pojedzie.

Pamiętasz, prosiłeś Go o to.

Po raz pierwszy w ciągu ostatnich dziesięciu minut Joey przestał szlochać.

Wciąż był smutny i płakał, ale zdawał się bardziej nad sobą panować.

Wyprostował się potarł noskiem o jej nos.

- To prawda, mamusiu, co nie?

Pan Bóg będzie ze mną, bo Go prosiłem.

- No właśnie.

Molly w tej właśnie chwili zastanawiała się, czy Bóg jest tu z nimi.

Musiał być, bo w przeciwnym razie rozsypałaby się nakawałki i nie mogła tustać, rozmawiać i w ogóle cze cokolwiek robić.

Do oczu napłynęły jej łzy, ale powstrzymała je wysiłkiem woli i zdobyła się na uśmiech.

- Noski-eskimoski?

Kątem oka zobaczyła, jak Jack odwraca się tyłem i opiera czołem o ścianę.

Jego ramiona się trzęsły.

Joey tego nie widział.

Potarł noskiem o nos Molly, a potem przysunął swoje rzesy do jej rzesy i zamrugnął.

- I motylkowe całuski.

188

- No pewnie.

Przycisnęła swój policzek do jego policzka, starając się zapamiętać jego dźwięk.

Też zamrużyła, rzesami dotykając jego rzes.

- Motylkowe całuski.

-Joey.

- zagadnęła opiekunka.

-Ja jestem pani Bower.

Joey podniósł wzrok i popatrzył na nią, ocierając łzy.

- Dzień dobry.

-Cześć.

Uśmiechnęła się.

Zaopiekuję się tobą odstawię cię powrotem do domu, zanim się zorientujesz.

Obiecuję.

Podszedł do nich Jack.

Objął ramionami Molly i Joeya i trwali tak przez pełną minutę, nie próbując zwolnić uścisku.

Wreszcie Jack postawił Joeya na ziemi.

- Pamiętaj, coci mówiłem.

- Będę pamiętał !

-Chłopczyk wciąż trzymał Molly za rękę.

Ich spojrzenia się spotkały.

- Mamusiu?

Molly pochyliła się i podniosła jego dłoń do ust.

Ucałowała ją i popatrzyła mu prosto w oczy, próbując sięgnąć wzrokiem w głąb jego serca.

Kocham cię.

Nie potrafiłabym równie mocno kochać żadnego innego chłopczyka.

-Ja też cię kocham.

-Joey przytulił się do niej ostatni raz.

Gdy się odsunął, wstrzymała oddech.

Wiedziała, że

musi to zrobić, chociaż nie miała pojęcia jak.

Zacisnęła

usta i powiedziała:

- Pani Bower zatroszczy się o ciebie.

Potem powoli włożyła jego rączkę w dłoń opiekunki.

- Niezapominaj o Panu Bogu.

Zrobiła krok do tyłu.

Czuła się tak, jakby za moment miała doznać ataku serca lub udaru mózgu.

Ból był nie do zniesienia.

189.

Po raz kolejny na ślicznej dziecięcej buzi zagościł spokój, ścierając z niej strach i zmartwienie.

-Tak.

Pan Bóg pojedzie ze mną.

Muszę o tym pamiętać.

Jack podszedł do dziecka i jeszcze raz pocałował jej czoło.

- Kocham cię mały.

Jeśli będzie ci smutno, zadzwoń do nas, dobra?

- Dobrze.

Też cię kocham.

- Pa, pa, Joey.

- Molly złapała Jacka za ramię i oparła się na nim, by nie upaść.

- Wszystko będzie dobrze.

Jutro wrócisz do domu Allyson Bower rzuciła w ich stronę ostatnie spojrzenie, jak gdyby nie mogąc znieść ciężaru wypowiedzianych przez siebie słów.

Nic nie będzie dobrze i chociaż tym razem chłopiec wróci do domu, za kilka miesięcy będą musieli pożegnać się na zawsze.

Cały czas ściskając w dłoni rączkę Joeya, opiekunka drugą ręką złapała walizkę.

Oboje wyszli z domu i ruszyli dalej chodnikiem.

Stojący w drzwiach Molly i Jack odprowadzali ich wzrokiem.

Co parę kroków Joey odwracał się i machał do nich.

Wciąż wyglądał na przestraszonego, ale nie płakał.

Pani Bower pomogła mu załadować walizkę do samochodu i zapięła go w foteliku.

Powiedziała przy tym coś, czego z tej odległości Molly nie była pewna, ale chyba chodziło o kupno lodów na lotnisku.

Joey odpowiedział jej słabym uśmiechem.

Niecałą minutę później opiekunka usiadła zakierownicą i odjechali.

Molly spodziewała się, że po tym wszystkim zemdleje, rzuci się na ziemię i będzie się tarzać, rozpaczając po stracie syna.

W końcu od rana z trudem, powstrzymywała się od płaczu.

Zamiast tego po prostu stała w miejscu, gapiała się na pustą ulicę przed domem i słuchała cichnącego w od-

190

dali odgłosu silnika samochodu.

Gdy zapanowała cisza, Jack wprowadził ją do środka i zamknął drzwi.

Skierowała się stroną kanapy i usiadła.

Nie odezwali się ani słowem, obeszło się bez płaczui krzyków.

Nic nie mogli poradzić; Joey wyjechał.

Przez najbliższe dwa dni nie będą mieć żadnego wpływu na to, co się z nim dzieje.

Molly zakryła twarzą zastanawiała się nad sobą.

Gdzie się podziały jej łzy?

Co się stało z jej rozdartym sercem?

Jakim cudem w ogóle mogła jeszcze oddychać?

Nagle doznała olśnienia.

Jej ciało funkcjonowało jakby na autopilocie.

Ale jej serce, dusza i emocje.

to wszystko w niej umarło.

Straciła wszelką łączność z życiem w chwili, gdy Joey wyszedł z ich domu.

Owszem, mogą minąć długie lata, zanim jej serce przestanie bić, ale bez Joeya czuła się całkowicie pozbawiona życia.

Tylko jedna rzecz na powrót nadałaby sens jej istnieniu.

Moment, w którym Joey pojawi się w drzwiach ich domu i znowu rzuci się jej w ramiona.

Rozdział XIV

Odwiedziny nie były szczególnie udane.

Wendy i Rip wszystko starannie przygotowali na przyjazd Allyson i Joeya. Oboje wzięli sobie wolne.

Co prawda Rip miał tego dnia zacząć pracę w kinie, ale szef powiedział mu, że może przyjść dopiero w poniedziałek.

Od czasu wywiadu środowiskowego wszystko między nimi układało się jak najlepiej.

Rip bywał od czasu do czasu nieco spięty, ale kto na jego miejscu bynie był?

W ich życiu zaszły olbrzymie zmiany: najpierw Rip wyszedł na wolność, a teraz miał rodziców swojego syna.

Brakowało im rodzicielskiego doświadczenia, więc nic dziwnego, że byli pełni obaw.

Zgodnie z obietnicą Rip naprawił dziurę w ścianie w ogóle ostatnio był jakdo rany przyłóż.

Nawet dziś.

Gdy Wendy piekła ciasteczka z kawałkami czekolady, cały czas jej towarzyszył.

- Pilnuję, żeby się nie przypaliły - wyjaśnił.

Ale niezłodził się; puścił do niej oko i praca w kuchni wpływała w przyjemnej atmosferze.

Wreszcie robili coś razem.

192

Pokój Joeya był już przygotowany.

Dzień wcześniej Rip przyniósł do domu pluszowego misia.

- Chyba mu się spodoba?

- zastanawiał się, układając pluszaka dokładnie na środku poduszki Joeya.

- Na pewno.

Wendy uwielbiała takiego Ripa.

Tego, który chciał być dobrym ojcem.

- Podoba ci się jego nowe łóżko?

- Ile nasto kosztowało?

- zapytał, podnosząc brew.

- Niedużo.

Kupiłam nawyprzedaży.

- Trzy stówki?

- Trzysta dwadzieścia - skrzywiła usta w

grymasie lekkiego zakłopotania.

- Ale rozłożyłam tonaraty.

Dwadzieścia miesięcznie.

Możemy sobie na to pozwolić, prawda?

Uśmiechnął się szeroko i wziął żonę w ramiona.

- Teraz, gdy mam pracę, możemy.

Duma malująca się na jego twarzy była zaraźliwa.

- Mamy przed sobą świetlaną przyszłość, Wendy.

Zawsze wiedziałem, że pewnego dnia tak będzie.

Tylko nigdy nie sądziłem, że tak szybko będziemy mieć też syna.

- Roześmiał się i dorzucił:

- Spełniają się moje marzenia.

Kłopoty zaczęły się wraz z przyjazdem chłopca.

Pani Bower musiała niemal siłą wciągnąć go przez drzwi.

Wyglądał na zmordowanego i cały był zapłakany.

Na jego widok Wendy poczuła, jak mięknie jej serce.

To było jej małenstwo, teraz już duży chłopczyk.

Ten sam, którego kilka lat temu przyniesiono jej do łóżka na oddziale położniczym.

Ten sam, który zdawał się wtedy szeptać do niej: "Mamusiu, nie oddawaj mnie.

Nie oddawaj".

Był śliczny, miał złociste włoski i jasnoniebieskie

oczy.

Z owalu twarzy był podobny do niej, a sylwetka przypominał Ripa.

Radość pierwszego wrażenia nietrwała jednak długo.

- Nieee!

Joey obrócił się na pięcie, przytulił do nogi opiekunki i płakał:

- Jachcę do domu!

Allyson zatrzymała się w pół kroku i pochyliła.

Powiedziała coś, czego Rip i Wendy nie usłyszeli, ale Joey tylko potrzęsnał głową.

Nie był niegrzeczny, tylko bardzo, bardzo smutny.

Wystarczająco smutny, by chwycić za serce każdego z pokoju.

Allyson szepnęła mu jeszcze coś do ucha.

Joey kilka razy pociągnął noskiem i zaczął na nowo:

- Nie.

ja chcę do mamy i taty!

Rip stojący obok Wendy zaśmiał się nerwowo, tak jak zazwyczaj przed napadem złości.

Hm.

niezręczna sytuacja.

- Znowu się zaśmiał.

- Niech chłopak wejdzie dalej.

Może to go uspokoi.

Opiekunka zdołała jakoś doprowadzić Joeya do kuchni i usadzić go przy stole, a sama usiadła obok niego.

Wendy zajęła miejsce nakrzesła po drugiej stronie chłopca.

Rip nadal stał, opierając się o ścianę, i co kilka sekund zmieniał pozycję.

Ewidentnie był podenerwowany, bo sprawiał wrażenie, jakby stał na gwoździach.

- Proszę!

Joey położył łokcie na stole i schował zapłakaną twarz w dłoniach.

- Chcę do domu.

- wymamrotał niewyraźnie.

Rip zrobił dziwną minę i głośno westchnął.

Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale zaraz zmienił zdanie.

Miał zaciśnięte szczęki i widać było, jak wewnątrz cały się gotuje.

Podszedł do kredensu, sięgnął po szklankę i nalał sobie trochę wody.

194

Wendy modliła się po cichu, żeby tylko się nie odzywał.

Przestrzegali ich przed tym.

Pracownica opieki społecznej mówiła im, żeby pierwszego dnia unikali jakichkolwiek klótni z chłopcem.

Nie wolno im było mówić mu, że są jego prawdziwymi rodzicami, ani też - gdy będzie się domagał powrotu na Florydę - pod żadnym pozorem dawać mu do zrozumienia, że to właśnie ich dom jest jego domem.

Mimoto Rip najwyraźniej walczył ze sobą, by czegoś nie powiedzieć. Wendy posłała mu surowe spojrzenie, najgroźniejsze od czasu, gdy wyszedł z więzienia.

Normalnie nie pozwoliliby jej patrzeć na siebie w ten sposób, ale w tych okolicznościach w obecności Allyson Bower-Rip wiedział, że najlepszą rzeczą, którą mógł zrobić, było poprostu milczenie.

- Kochanie.

- Wendy starała się, aby jej głos brzmiał naturalnie.

- Upiekłam dla ciebie ciastka.

Jesteś głodny?

- Razem je upiekliśmy wtrącił się Rip z drugiego końca kuchni.

- To był mój pomysł - dorzucił, podnosząc szklanekę w ich kierunku.

Pani Bower zmierzyła go dziwnym spojrzeniem, ale szybko przeniosła uwagę z powrotem na Joeya.

- Słyszałeś, co powiedziała mama?

Sędzia życzył sobie, by Joey od samego początku mówił do nich "mama" i "tata".

To miało przygotować chłopca i jego rodziców na chwilę, gdy zamieszkają ze sobą na stałe.

Opiekunka starała się ściśle stosować do zaleceń sędziego, ale mimo wszystko nie powiedziała "twoja mama", tylko samo "mama".

Dla Wendy nie stanowiło to problemu.

Biedny chłopczyk.

Wyglądał na śmiertelnie przerażonego.

Na wzmiankę o ciastkach Joey uniósł głowę.

Łzy przestały mu już płynąć oczu, ale nadal oddychał spazma-

tycznie, jak gdyby w środku wciąż zanosił się płaczem.

Popatrzył na Wendy i po raz pierwszy od czasu, gdy był noworodkiem, ich spojrzenia się spotkały.

W tej samej chwili Wendy zdała sobie sprawę z tego, że już nigdy go nie opuści.

Jakimś cudownym zrządzeniem losu jej syn odnalazł drogę do domu i to tylko dlatego, że dopuściła się kłamstwa.

Tak, postąpiła źle.

Ale teraz chłopiec był tu z nią i zaglądał prosto w głąb jej duszy.

Tego, co czuła, nie dało się z niczym porównać.

- Cześć, Joey.

- Wyciągnęła dłoń i dotknęła koniuszków jego placów.

Nie cofnął ręki.

- Nalać ci trochę mleka?

- zapytała z uśmiechem.

- Czekoladowe ciasteczka są naprawdę pyszne z mlekiem.

Joey zwęził oczy i przez chwilę patrzył na nią podejrzliwie.

Potem obrócił wzrok na panią Bower, a potem znowu na Wendy.

- Tak, poproszę.

Mówił cichutko, tak że ledwie go było słychać.

Ale przynajmniej nie płakał.

I był przy tym taki grzeczny!

Jej mały chłopczyk ma znakomitą manierę.

Trochę to potrwa, ale wszystko będzie dobrze.

Joey jest cudowny i z pewnością jakoś się przystosuje.

- Oczywiście, kochanie - powiedziała Wendy, zamierzając wstać z krzesła.

Zanim jednak zdołała wykonać najmniejszy ruch, Rip był już w drodze do lodówki.

- Ja podam.

Zachowywał się jak zepsute dziecko, zazdrosne o każdą podejmowaną przez Wendy próbę przełamania bariery pomiędzy nią a Joeyem.

Nalał mleka do szklanki i postawił ją na stole, trochę zbyt energicznie.

196

- Rip - upomniała go łagodnym tonem.

- Uważaj.

Przestraszysz go.

Ripowi tylko tego było trzeba.

Spochmurniał i spojrzął na żonę groźnie.

Na szczęście mitygował się, zanim zdążył coś powiedzieć, najwyraźniej pamiętając o obecności opiekunki społecznej.

Uśmiechnął się do niej, aleniewiele brakło, by ujawnił swoje drugie oblicze.

- Wybaczą panie, ale mam coś do zrobienia na tyłach domu.

- Tak chyba będzie najlepiej - powiedziała Allyson, patrząc na Joeya.

Niech najpierw chłopiec pobędzie trochę z paną żoną.

Może w ten sposób poczujesz się swobodniej.

Rzuciwszy jeszcze jedno nie miłe spojrzenie w stronę Wendy,

Rip obrócił się na pięcie i wyszedł z kuchni.

Słychać było, jak trzaska drzwiami do sypialni.

Wokół kuchennego stołu zapanowała na chwilę niezręczna cisza.

- Przepraszam za niego.

Rip trochę się denerwuje.

- odezwała się Wendy, nie spuszczając oczu z Joeya.

Nowiesz.

Nigdy wcześniej nie mieliśmy.

- Rozumiem - uspokoiła ją Allyson, jednocześnie odsuwając się z krzesłem dalej od stołu, by Wendy i Joey mogli poczuć wzajemną bliskość.

Wendy zorientowała się, o co chodzi i podsunęła talerz z ciasteczkami w stronę małego gościa.

- Proszę, kochanie - powiedziała łagodnie, podając mu jedno z ciasteczek.

- Możesz zamoczyć je w mleku.

Joey otarł łzy.

Oddychał spokojnie niż przedtem.

- Dziękuję - pisnął cieniutkim głosem.

Sprawił wrażenie śmiertelnie przestraszonego.

Ostrożnie wziął jedno ciasteczko i przełamał je na pół.

197.

- Tak jest łatwiej.

-To prawda.

- Wendy uśmiechnęła się szeroko.

Odniosła pierwsze małe zwycięstwo.

Rozmawiał z nią!

Poczuła, jak jej serce mięknie jeszcze bardziej.

W najśmielszych marzeniach nie spodziewała się, że ten dzień kiedyś nadejdzie, że będzie mogła usiąść przy jednym stole ze swoim synkiem i cieszyć się jego obecnością.

- Chcesz trochę?

- małe chłopiec proponował jej drugą połowę ciastka.

Miała grzecznie odmówić, ale coś ją tknęło.

Może chłopiec wyciągał do niej przyjazną dłoń, usiłując nawiązać z nią kontaktw jedyny znany sobie sposób.

Wzięła od niego połówkę ciastka i uśmiechnęła się:

- Dziękuję, Joey.

Jesteś bardzo uprzejmy.

Potaknął i zamoczył swój kawałek w mleku.

Ugryzłmały kęsek i przekrzywiając głowę, zapytał:

- Jutro wracam do domu, prawda?

Rzeczywistość dała o sobie znać, wymierzając Wendy bolesny policzek.

Chłopiec wcale się nie oswajał z nowym otoczeniem, próbował jedynie jakoś przetrwać.

To nie był jego dom, a ona nie była jego matką.

Był samotny i przestraszony, daleko od wszystkiego, co dawało mu poczucie bezpieczeństwa i bycia kochanym.

Wendy jakoś przełknęła rozczarowanie.

- Tak, jutro - potwierdziła.

-To fajnie.

- Joey podniósł wzrok na opiekunkę i zapytał: - Pani ze mną pojedzie?

- Oczywiście - odpowiedziała Allyson Bower, przyciskając do piersi teczkę z dokumentami, po czym zwróciła się do Wendy:

- Skoro nie jestem już potrzebna, to chyba pozwolę wam nacieszyć się sobą.

198

Wendy poczuła ogarniający ją strach.

Czy sobie poradzi sam na sam z synkiem?

A co, jeśli chłopiec zacznie płakać?

Albo wróci Rip i z jakiegoś powodu się wścieknie?

Nietakiej reakcji spodziewał się po chłopcu, nie było co dotegowatpliwości.

Z drugiej strony, trzeba spróbować.

- Tak - potaknęła skwapliwie.

Damysobie radę

dodała, ponownie uśmiechając się do Joeya.

- Będę w pobliżu.

Muszę na parę godzin wpaść do biura, ale cały czas mam przy sobie telefon komórkowy.

W razie czego proszę do mnie dzwonić, niezależnie od pory dnia

- powiedziała Allyson, stukając palcami w teczkę.

- Wszystkie dokumenty są tutaj.

Joey wie, że może zatelefonować do mnie lub swoich

rodziców, jeśli zechce.

Wendy zauważyła, w jaki sposób opiekunka zawahała się przy słowie "rodzice".

Joey nie miał pojęcia, co się wokół niego dzieje, zupełnie nieświadomy, że wkrótce słowo to nabierze dla niego zupełnie nowego znaczenia.

Allyson wstała i położyła dłoń na ramieniu chłopca.

- Pamiętaj, co ci mówiłam.

Jeśli będziesz czegoś potrzebował, możesz do mnie w każdej chwili zadzwonić.

- Dziękuję - odpowiedział, częstując się kolejnym ciasteczkiem.

Do zobaczenia jutro.

Opiekunka pożegnała się i zostali sami.

Rip był w drugim pokoju.

Wendy złączyła ręce, oparła się o brzeg stołu i zapytała:

- Jak się leciało samolotem?

Podobałoci się?

- Tak.

Joey zamoczył ciastko i niemal całe wepchnął sobie do buzi.

Gdyż mógł mówić, uśmiechnął się do niej nieśmiało i dodał:

- Czasem latamy samolotem z mamusią i tatusiem.

Raz nawet poleciliśmy do Meksyku i widzieliśmy delfiny.

199.

- Ojej.

- Wendy nie wiedziała, co odpowiedzieć.

O tym nie pomyślała.

Przybrani rodzice Joeya byli ludźmi zamożnymi - stać ich było na zabieranie chłopca na wakacje za granicę i stworzenie mu warunków, o których ona i Rip nie mogli nawet pomarzyć.

Wyprostowała się na krześle.

No i co z tego.

Nie potrzeba pieniędzy, żeby być dobrymi rodzicami.

Dziecko potrzebuje miłości, to wszystko.

A któż mógł kochać Joeya bardziej niż jego biologiczni rodzice, jego prawdziwi rodzice?

- Kiedyś poleciałem też samolotem do Francji - chłopczyk skończył przeżuwać i połknął to, co miał w buzi.

Na ustach i policzkach zostało mu trochę okruszków.

Wyglądał przeuroczo.

- Widziałem też wieżę Wafla.

- Wafla.

? zdziwiła się.

Chyba wieżę Eiffla?

- No właśnie.

Dopił mleko i gdy odstawił szklanekę, miał białe wąsy, które tylko dodawały mu uroku.

Popatrzył Wendy prosto w oczy i zapytał:

- Macie pieska?

- Nie.

Pokręciła głową, rozglądając się dokoła.

Kot musiał być w drugim pokoju razem z Ripem.

Ale mamy kotka.

Tygryska.

- O! A ja mam pieska, Gusa.

Wendy poczuła, jak coś ją ściska w dołku.

Piesko imieniu GUS.

Kolejny powód, który utrudni Joeyowi zmianę otoczenia.

Było gorzej niż myślała.

- Może kiedyś sprawimy sobie psa.

Ja lubię psy.

- Tylko, że psy zjadają koty zauważył Joey.

-No coś ty,Joey.

nie zawsze.

- Wgłosie Wendy dałosię słyszeć zaniepokojenie.

-Czasami tylko uganiająsięza kotami.

- Chyba tak.

200

Joey rozejrzał się po kuchni i spytał:

- Noto gdzie on jest?

Ten kotek?

Zanim Wendy zdążyła odpowiedzieć, usłyszała dobiegający z pokoju głos Ripa.

- Poszła już?

-Tak.

Wendy wstała i zastąpiła mu drogęprzed drzwiami dokuchni.

Ścisząc głos powiedziała:

- Joey jużsię uspokoił.

Prawdopodobnie po prostupotrzebował czasu, żeby się z nami oswoić.

Rip przytaknął,alepatrzył na nią podejrzliwie.

- On mnie nie lubi - stwierdził,spoglądając ponadramieniem Wendy w stronę stołu.

Odwróciła się, podążając za jego spojrzeniem.

Joey kiwał szklanką, na którejdnie zostało kilka kropel mleka itrochę rozmoczonychokruszków.

- Niebądź śmieszny - zwróciła mu uwagę Wendy.

-Przecieżon nawet nie miał okazji bliżej cię poznać.

- Lepiej, żeby z tym nie zwlekał - rzucił Rip, ściągającłopatki i wypinając pierś.

W końcu jestem jegoojcem.

- Rip.

- Wendyostrzegawczo uniosła palec, zerkając na Joeya.

Nie mów mu o tym teraz.

Pamiętasz, comówiła nam pani Bower?

On jeszczenic nie wie.

- Dobra, kapuję.

- Przesunął palcami wzdłuż ust,jakby zamykał je niewidzialnym zamkiem błyskawicznym.

-Nie pisnę ani słowa!

Podeszli dostołu.

Wendy usiadła na swoim krześle obokJoeya, a Ripusadowił się po drugiej

stronie.

- No i jak, mały?

- Poklepał chłopca po ramieniu, chyba trochę za mocno.

Smakowałyście ciastka?

Joey spuścił głowę.

Oczy zrobiły mu się wielkie jak spodki, przysunął się bliżej Wendy.

201.

- Dziękuję.

Smakowały.

- Nie bądź taki nieśmiały.

- Rip podniósł się z krzesła i wziął Joeya za rękę.

- No to co, pokażemy ci teraz twój pokój?

- Nie, dziękuję.

- Joey wtulił się w Wendy i uwolnił swoją dłoń z uścisku.

Wolę tu posiedzieć.

Rip spojrzał na chłopca z niedowierzaniem, a Wendy doskonale wiedziała, dlaczego.

Prosto Rip Porter nie był przyzwyczajony do tego, że ktoś mu odmawia.

Jeszcze raz chwycił dłoń Joeya, ale tym razem szarpnął go i zmusił do wstania.

- Musimy zanieść na górę twoją walizkę

- powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu.

- W tym domu, gdy powiem, że coś musimy zrobić, robimy to.

Joey nie miał innego wyjścia, jak tylko dać się zaciągnąć na górę.

Po drodze Rip złapał walizkę Joeya, a chłopiec znowu zaczął płakać.

Pokazując na Wendy, skarżył się: Chcę zostać z nią.

- Posiedzisz z nią później.

- Rip znowu szarpnął dzieckiem, tak że mały zrównał się z nim krokiem.

Wendy domyślała się, do czego zmierza jej mąż.

Chciał pokazać Joeyowi pluszowego misia, którego kupił i którego z taką dumą usadził na poduszce w pokoju chłopca.

Ale nie tak powinien był się do tego zabrać.

Powinien był poczekać, aż Joey będzie zmęczony.

Wtedy mogliby razem zaprowadzić go do pokoju i sprawić

mu przyjemną niespodziankę.

Wendy wstała i poszła za nimi.

Boże.

proszę, niech się to wszystko dobrze ułoży.

- Rip.

Poczekajcie na mnie.

Za późno.

Gdy dotarł na górę, Joey zanosił się płaczem, potrząsał głową i wskazując na drzwi, krzychał:

- Jachcę być z nią!

- Słuchaj no.

- Rip szturchnął gogwałtownie w ramię.

Nie na tyle mocno, by go skrzywdzić, ale wystarczająco mocno, by chłopczyk przestał płakać.

Rip wydawał się zadowolony z tego powodu.

Odprężył się trochę i podprowadził Joeya do łóżka.

- Sam zobacz - ruchem głowy wskazała pluszowego niedźwiadka.

- Kupiłem ci prezent!

Joey pokiwał głową.

Wciąż cały drżał, ale uciszył się.

- Dzi.

dzię.

dziękuję - wyjąkał.

- No i.

- Rip podniósł zabawkę i wręczył ją chłopcu.

- Możesz go przytulić, jeśli chcesz.

- Ja już.

mam Pana Groźnego.

Zostawiłem go w do,

do...

domu - odpowiedział Joey i wskazując na walizkę, dodał: - A tam jest Pan Ma.

ma..

małpka.

Powiedziało cichutko, ale stojąca w drzwiach Wendy słyszała każde słowo. Najwidoczniej miał już swoje ulubione pluszaki.

Wyzwolił się zuchwytu Ripa, podszedł do swojej walizeczki, rozsunął zamek błyskawiczny i wyjął podniszczoną pluszową małpkę.

- T-t-to jest Pan Małpka.

- No i dobra.

- Potwarzy Ripa widać było, że poczuł się dotknięty.

Cisnął misia z powrotem na łóżko, aż Joey podskoczył, upuszczając małpkę na podłogę.

Rip zbliżył twarz do jego twarzy i wycedził:

- Któregoś dnia nauczę cię dobrych manier, kolego.

Ton, jak im to powiedział, i groźne spojrzenie musiały jeszcze bardziej przestraszyć Joeya.

Chłopiec wybuchnął płaczem, obiegił Ripa i rzucił się na łóżko, wtulając twarz w narzutę.

Wendy pochwyciła spojrzenie Ripa, które zdawało się mówić: O co chodzi?
Mężczyzna popatrzył na płaczącego malca, a potem znowu na nią
wzruszył ramionami:

- Staram się, jak mogę.

203.

Wendy pokręciła głową, przeszła obok niego i usiadła na brzegu łóżka. Skoro Rip zamierza wszystko spaprać, ona musi to naprawić.

Pogłaskała Joeya po plecach.

- Kochanie, nie gniewaj się.

Schyliła się, podniosła zabawkę Joeya i położyła ją koło jego ramienia.

- Patrz, Joey.

Przyszedł do ciebie Pan Małpka.

Płacz tylko się wzmógł.

- Ja chcę do domu!

Proszę.

- Obrócił ku niej zapłakaną twarz i Wendy poczuła, że serce jej się kraje.

- Ja chcę do mamy i taty!

- Toś przesadził!

- Rip uderzył z całej siły dłonią w ścianę i zrobił dwakroki w ich stronę.

Chwył Joeya za ramię i szarpnął tak, że mały usiadł.

- Musimy sobie coś wyjaśnić!

- Przybliżył twarz do dziecięcej twarzy:

- Dopóki tu jesteś, to jest twój dom.

- Rip.

nie!

- Wendy próbowała odciągnąć go od chłopca, ale nie dała rady.

Dobrze widziała, że nie powinna wchodzić mu w drogę, gdy nachodził go napad złości, ale nie mogła pozwolić, by skrzywdził dziecko.

Nawet jeśli sama miała oberwać.

- Wszystko popsujesz!

- krzyknęła na męża.

- E tam.

- Otoczył ją ramieniem.

- Tylko prostuj pewne sprawy.

Ponownie zmierzył chłopca zimnym wzrokiem.

- Tak jak mówiłem, kiedy tu jesteś, to jest twój dom!

- oznajmił przysuwając Wendy do siebie jeszcze bliżej, dodał: - A to jest twoja mamusia!

Wyszczerzył zęby w uśmiechu, ale był to uśmiech złowieszczy, który w chłopcu mógł tylko spotęgować strach.

- A ja jestem twoim tatusiem!

- zadeklarował, po czym pchnął Joeya na łóżko.

- Zrozumiano?

- T-t-tak - odpowiedział blady jak ściana Joey.

Wendy ujrzała, jak gniew Ripa mija równie szybko, jak się pojawił. Przez chwilę mężczyzna gapił się podłogę, pocierając kark, po czym obrócił się i pospiesznie wyszedł z pokoju bez słowa, nie oglądając się ani razu.

Ledwie wyszedł, Wendy ponownie usiadła przy Joeyu i głaskała go po plecach, by go pocieszyć i uspokoić.

Nienawidziła Ripa za to, co zrobił.

Jeśli chłopczyk poskarży się Allyson Bower, ta pobiegnie do sędziego i będzie po wszystkim.

Joey ponad wszelką wątpliwość zostanie z przybranymi rodzicami.

- Już dobrze, kochanie - szepnęła Joeyowi do ucha.

- On jest trochę podenerwowany.

Nie zawsze taki jest.

Joey tylko chlpał cichutko:

- On.

on jest wstrętny.

Wendy klęła pod nosem na Ripa.

Prosiła kilka dziewczyn w kościele, by pomodliły się w ich intencji, ale - jak widać - nic nie mogło skłonić Ripa, by w każdych okolicznościach zachowywał się, jak należy.

A już na pewno niewtedy, gdy chciał postawić na swoim.

Pogładziła Joeya powłosem.

Obrócił się na bok i popatrzył na nią.

Oddychał nierówno, nadal zanosząc się od spazmów.

- Dlaczego on.

się na mnie złości?

- Nie złości się.

- Wendy gorączkowo szukała odpowiednich słów.

- Po prostu liczył na to, że spodoba ci się ten mały miś, którego dla ciebie kupił.

Joey pokiwał głową.

Zacisnęła rączki wpiątki i wytarła nimi oczy.

- Może Pan Małpka zaprzyjaźni się z dwoma misiami?

W sercu Wendy zaświtał promyczek nadziei.

- No widzisz.

Może właśnie tak będzie.

- Która godzina?

205.

Już pora na kolację odpowiedziała, przesuwając ręką po jego plecach.

- To jak?

Zejdiesz na dół i zjesz z namikawałek pizzy?

Tak.

Usiadł powoli i rozejrzawszy się po łóżku.

Znalazł misia po drugiej stronie poduszki i wziął go do ręki.

To sympatyczny misiek.

Też tak uważam - zgodziła się Wendy, wstrzymując oddech.

Gdyby tylko Rip mógł teraz zobaczyć chłopca.

Joey ostrożnie posadził niedźwiadka na poduszce, następnie sięgnął po małąkę i ustawił ją obok, tak by wyglądało, jakby oba pluszaki trzymały się za łapki.

- Słuchaj, Panie Małpko.

To jest twój nowy przyjaciel, Pan Misiek.

On jest inny niż Pan Groźny, ale małąki mogą przyjaźnić się z więcej niż jednym niedźwiedziem, wiesz?

Wendy przypatrywała się tej scenie, zafascynowana.

Zaledwie kilka minut temu Joey chował głowę pod poduszkę i ryczał jak bóbr po ostrej reprymendzie, której mu udzielił Rip, teraz zaś całą uwagę skupiał na zabawie pluszakami.

Kolacja minęła bez większych zgrzytów.

Joey nawet ośmielił się zapytać Ripa, czy może dostać do pizzy plasterki ananasa.

Nie - warknął na niego Rip, którego katastrofawo pokój Joeya najwyraźniej niczego nie nauczyła.

- Pizze z ananasem smakuje beznadziejnie.

Przepraszam - odpowiedział Joey i przez resztę wieczoru nie odezwał się już słowem do Ripa.

Ten ostatni zajęty był zresztą oglądaniem w telewizji transmisji z meczu bejsbolowego.

W połowie pizzy Joey pociągnął Wendy za rękaw.

Mówił cicho, jak gdyby obawiał się, że usłyszy go Rip:

Czy on ogląda bejsbol?

206

- Tak.

Grają Indianie - odpowiedziała uprzejmie Wendy, wciąż wściekła na Ripa. Gdyby nie on, mogło być tak fajnie.

Uśmiechnęła się do chłopca i objęła go ramieniem.

To taka tutejsza drużyna Indian z Cleveland.

Rip im kibicuje.

Joey pokiwał głową, ale jednocześnie ziewnął.

Po kolacji pomógł Wendy posprzątać ze stołu i pozmywać naczyń.

Czuła się wspaniale, mając go przysobie.

Przez wszystkie lata zastanawiała się, jakby było, gdyby była matką i dane by jej było wychowywać tego chłopczyka, którego przynieśli jej wtedy w szpitalu.

Dzisiaj po raz pierwszy mogła się przekonać, jak to jest naprawdę.

Gdy kładła go spać, mogła tylko mieć nadzieję, że to pierwsza z niezliczonych podobnych nocy, podczas których będzie wiedziała, że jej synek śpi w tym samym domu co ona.

Już myślała, że zasnął, gdy nagle usiadł z szeroko otwartymi oczami.

- Muszę zadzwonić do domu.

Mamusia i tatuś mówili, że mogą.

Wendy się zawahała.

Liczyła na to, że w czasie tych pierwszych odwiedzin obejdzie się bez telefonów do domu.

Jak inaczej mogłby się do nich przyzwyczaić w trakcie kilku wizyt?

Pomogła Joeyowi na powrót położyć się na łóżku.

- Zadzwonimy później, dobrze?

Powieki mu się kleiły.

- Obiecujesz?

- Obiecuję.

Głaskała go delikatnie po plecach, dopóki nie usłyszała równego miarowego oddechu.

Gdy już była pewna, że jej nie usłyszy, wyszeptała mu koło uszka:

207.

- Dobranoc, Joey.

Mama bardzo cię kocha.

Gdy wychodziła z pokoju, nasza ją pewna myśl.

Niechlepiej Rip ułoży jakoś swoje stosunki z Joeyem i nauczy się być dobrym ojcem, bo teraz, gdy odnalazła swojego synka, była pewna jednego: że już go nigdy nie opuści.

Joey nie wiedział, która jest godzina i ile czasu zostało jeszcze do rana.

Leżał zotwartymi oczami patrzył w sufit.

Nie wiedział, gdzie jest i dlaczego musi spać w nieswoim łóżku.

Wysłuchiwał się w rytm własnego serca.

Bił mocno i szybko.

Palcami błądził po poduszce.

- GUS.

..GUS, gdzie jesteś?

Ale nie słyszał dyszenia swojego pieska ani nie widział jego mierzającego ogona.

Wtedy sobie przypomniał.

Nie był u siebie w domu.

Był w domu tych drugich rodziców i spał w obcym łóżku.

Sięgnął ręką nieco dalej.

znalazł.

Pan Małpka!

Przysunął bliżej swojego puszystego przyjaciela i cichutko, tak że tylko Pan Małpka mógł go usłyszeć, wyszeptał:

- Ja chcę do domu.

W słabym świetle przenikającym przez okienne zasłony widział twarz Pana Małpki.

"Ja też chcę wrócić do domu" mówił Pan Małpka.

"Ale polubiłem moją nową koleżkę.

Pana Miśka".

- No, Pan Misiek jest fajny.

Myślę, że Pan Groźny też

go polubi.

Joey po omacku znalazł swojego drugiego pluszowego przyjaciela.

Przytulił obu i z powrotem położył się na znak.

208

Tata w tym domu był niedobry i często się złościł.

Zupełnie inaczej niż jego tata.

Joeya wciąż bolało ramięw miejscu, w którym ten pan go chwycił.

Wbijając wzrokw ciemność,słuchał przyspieszonego biciaserca.

Jego myśliskierowały się ku mamie z tego domu.

Byłabardzo miła,robiła dobre ciasteczka czekoladowe i miała delikatne w dotyku dłonie.

W jej spojrzeniu było coś miłego, dzięki czemu nie bał się tak bardzo tego wstrętnego pana.

Joeyowi nie chciało się spać, ale był dopiero środek nocny.

Przypomniał sobie,co mówiła mu kiedyś mamusia.

"Sen sprawia, że czasmija szybciej".

Takwłaśnie powiedziała.

Zamknął oczy i próbował zasnąć.

"Spać, spać.

spać.

spać!

".

"Nie działa" odezwał się Pan Małpka.

- Wiem, że tonie działa -odpowiedział Joey.

Leżałnieruchomo, ale oczy miał otwarte i rozglądał się dookoła.

Co powiedział tenwstrętny pan?

Że dopóki Joey tubędzie,to jest jego dom, a oni sąjegomamusią i tatusiem?

Joey poczuł narastający strach i serce zaczęło mubić jeszcze szybciej.

Dlaczego tak ma być?

Może ta miłapani wytłumaczy mutojutro przy śniadaniu.

Ponowniezamknął oczy, ale sen nie nadchodził.

Rozmyślał o Indianach.

Wiedział,żew Ohio mieszkają Indianie,ale dlaczego nie ma tu żadnych tipi?

Przeszedł godreszcz.

I wtedy przypomniał sobie o Panu Bogu.

Uśmiechnął się, a przytuleni doniego PanMałpka i Pan Misiekteż się uśmiechnęli.

Tym razem mówiłtylko w myślach.

Cześć, Panie Boże.

To ja, Joey.

Dziękuję, że byłeś dziś ze mną w samolocie i wtym domu.

Pamiętasz?

Parę razy siębałem, aleprzestawałem, bo czułem, że jesteś obok mnie.

Na twarzy Joeya znowu zagościł uśmiech.
Dlatego wiem, że jesteś naprawdę, chociaż Cię nie widać.
209.

Joey poczuł ogarniającą go senność.

Możesz coś dla mnie zrobić.

Panie Boże?

Czy będziesz mi jutro towarzyszyć w drodze do domu?

No bo wiesz, nie będzie ze mną ani mamusi, ani tatusia, ani Gusa.

I możesz też powiedzieć im coś odemnie, bo nie dzwoniłem do nich.

Powiedz im, proszę, że ich kocham i że niemożę się już doczekać, kiedy ich zobaczę.

Joey usiłował sobie przypomnieć, w jaki sposób Jonah zakończył swoją modlitwę.

Nie był pewien, czy dobrze pamięta te słowa znaczą, ale i tak jej powiedział:

- Miej nas w swojej opiece, amen.

Pan Misiek spał już mocnym snem, ale Pan Małpekajeszczek nie.

"Lubię, gdy rozmawiasz z Panem Bogiem" - powiedział, trącając Joeya w ramię.

- Ja też - wymamrotał Joey sennym głosem.

- Lubię, bo wiem, że wtędyne jestem sam.

"Nie jesteś sam" - obruszył się Pan Małpekajeszczek.

"Masz mnie".

- Wiem - Joey zdobył się na śmiech, chociaż już prawie spał.

Nie chciał tego mówić Panu Małpekajeszczekowi, ale lubił Pana Boga chyba jeszcze bardziej niż swojego puszystego przyjaciela.

Pan Bóg jest najpotężniejszy na całym świecie.

Myśl ta dodała chłopcu otuchy i sprawiła, że poczuł się bezpiecznie.

Na tyle bezpiecznie, że mógł zamknąć oczy i zasnąć.

Bo Bóg jest silniejszy od wszystkich.

Nawet od tego wstrętnego pana, który mieszka w tym domu.

Rozdział XV

Plan skrytykował się w Parku Fullera.

Był tam cicho i spokojnie.

Miejsce to wybrał nie przypadkowo, gdyż chcieli mieć pewność, że Joey nie usłyszy ich rozmowy.

Molly wciąż nie mogła uwierzyć, że do tego doszło, ale Jack miał rację.

Nie mieli wyboru.

Siedziała na parkowej ławce i obserwowała swojego męża, mężczyznę, którego kochała i któremu całkowicie ufała.

Jack bujał Joeya na huśtawce,opowiadając mu coś o samolotach albo piratach czy czymś podobnym.

Molly usiłowała cieszyć się tą krótką chwilą beztroski,ale ciąglestawała jej przed oczami scena przyjazdu Joeyaz Ohio. Byłoto zaledwie piętnaściegodzin temu.

Wyczekując jego powrotu, niemal wydeptała ścieżkęw poprzekkuchni.

Gdy wszedł do domu w towarzystwiepani Bower, podbiegła doń, upadła na kolana i przytuliłasynekaz całych sił.

- Mamusiu!

Tak bardzoza tobą tęskniłem!

- Jateż, kochanie,jeszcze bardziej!

211.

Zanim jednak zdołała przywitać się z chłopcem i zapytać, jak było w Ohio, opiekunka dyskretnie dotknęła jej ramienia.

- Czymogę zamienić z panią kilka słów.
na osobności?

Jack ćwiczył w siłowni napiętrze.

Na dźwięk głosu Joeya pośpiesznie zbiegł na dół, by go powitać.

Pochylił się nie kryjąc radości, serdecznie go uściskał.

Gdy w końcu odzyskał mowę, drżącym z emocji głosem powiedział:

- Stęskniliśmy się za tobą, kolego.

Cieszę się, że wróciłeś!

Molly ruchem głowy dała mu do zrozumienia, że Allyson Bower chce z nimi porozmawiać.

Okazję ku temu dał GUS, który merdając szaleńczo ogonem, wpadł do przedpokoju i chcąc się przywitać z Joeyem, w pośpiechu omalgo nie przewrócił.

- Gus!

- wykrzyknął Joey.

Wyglądał na szczęśliwego i beztróskiego chłopca.

Podążyli w ślad za opiekunką do kuchni, gdzie mogli spokojnie porozmawiać, bez obawy, że Joey ich usłyszy.

Pani Bower otworzyła teczkę i wyjęła z niej pojedynczą kartkę papieru.

- Na lewym ramieniu Joeya zauważa państwo cztery sine ślady palców - powiedziała, a najejtwarzymalowało się zatroskanie.

- Porterowie mówili mi o tym.

Twierdzą, że Joey się potknął i byłby się przewrócił - relacjonowała z nieskrywaną odrazą w głosie - ale najwidoczniej pan Porter zdążył złapać chłopca za ramię i uchronić go przed upadkiem.

- Wszystko jest tutaj opisane - dodała, pokazując im wyciągniętą z teczki kartkę.

Molly poczuła, jak cała kuchnia wiruje jej przed oczami.

Co tu się dzieje?

Sińce na ciele ich synka?

A więc znęcał

212

się nad nim ten kryminalista?

Przecież już odsiadywał wyrok za przemoc w rodzinie!

Czy świat oszalał?

Joey, nigdy nie będzie bezpieczny w domu takiego człowieka; - nigdy!

Gorączkowo próbowała uspokoić myśli.

Tymczasem odezwał się Jack:

- Czy ktoś pytał Joeya o to, co naprawdę się stało?

- Porterowie opowiedzieli mi wszystko w jego obecności - pokręciła głową, jakby chciała powiedzieć, że nie tak miało się to ułożyć.

- Oczywiście wzięłam Joeya na stronę i zapytałam, czy rzeczywiście w takich okolicznościach nabawił się siniaków.

- I co powiedział?

- Molly z trudem opanowywała, emocje.

W jednej chwili czuła rozszalałą ją wściekłość, a moment później wzięła Joeya na rękę, ukołysać go i sprawić, że znów poczuje się bezpieczny.

Opiekunka pokręciła głową bez przekonania.

- Powiedział, że to prawda.

Nie podobała mi się jednak, że przez cały czas, gdy do niego mówiłam, oglądał się przez ramię - zawahała się.

- Sądzę, że boi się Ripa Portera, a lenie mogą niczego udowodnić.

- Czyżby to nie wystarczało?

- Jack ledwie panował nad sobą.

Facet siedział w pace zaprzemoc w rodzinie.

Te sińce na ramieniu mojego syna wzięły się z niczego.

Z pewnością sędzia nie przyzna mu teraz opieki nad dzieckiem.

Pani Bower zacisnęła usta.

- Gdyby był pan na spacerze z Joeyem i chłopiec się potknął, na pewno próbowałby pan złapać go za rękę, żeby nie upadł.

I mogłyby z tego powstać sińce - stwierdziła, wzruszając ramionami.

- Nie mam wyboru i muszę wierzyć w tę historię.

Bez zeznań Joeya nie ma podstaw, by obwiniać Ripa Portera o tych kilka siniaków.

213.

Molly, dostrzegając drugie dno w słowach opiekunki, zapytała:

- Co to dokładnie oznacza?

Oznacza to ni mniej ni więcej, że potrzeba o wiele mocniejszych dowodów, by oskarżyć Ripa Portera o znęcanie się nad swoim biologicznym synem oznajmiła Allyson, bacznie im się przyglądając.

- Dzieci rzadko zeznają przeciwko dorosłym, pani Campbell.

Ale jeśli Porterowie kłamią - umysł Jacka zmierzał dokładnie w tym samym kierunku, co myśli Molly - igdyby udało nam się skłonić Joeya, by wszystko powiedział, czyż sędzia nie wysłałby Portera z powrotem do pudła i nie pozwolił nam zatrzymać chłopca?

- Nie.

- Allyson, choć była kobietą silną i niełatwo poddawała się emocjom, wyraźnie posmutniała.

System prawny tak nie działa.

Dokumenty zostały sfałszowane, więc punktu widzenia sądu adopcja Joeya nigdy nie została sfinalizowana, nigdy nie nabrała mocy prawnej. Gdyby Rip Porter dokonał w biały dzień napadu na bank z bronią w ręku i fakt ten znalazł potwierdzenie w zeznaniach kilkunastu naocznych świadków, mogliby go zato wsadzić do więzienia na resztę życia, a mimo to Joey nie wróciłby do państwa.

- Zastukała palcami w teczkę i przeniosła spojrzenie z Molly na Jacka.

- Do adopcji Joeya nigdy nie doszło.

W każdym razie nie w sensie prawnym.

Powyciągnęła Allyson Molly i Jack usiedli na kanapie z Joeyem i Gusem, tuląc się do siebie.

Oglądali w telewizji Disneyowską komedię familijną "Największy sportowiec świata" i śmiali się z fajtłapowatych futbolistów trenowanych przez głównego bohatera.

Gdy Nanu, chłopiec z buszu, przyjechał do Ameryki, by pomóc nieszczęsnemu

214

trenerowi, rozemocjonowany Joey dosłownie nie mógł usiedzieć w miejscu.

Z na wpół otwartą buzią podziwiał, jak chłopiec z filmu potrafił szybko biegać, wysoko skakać, celnie i mocno rzucać.

Jednak pod koniec filmu oczu Joeya niespodziewanie pociekły łzy.

- Nanu nie chce wygrać.

On tylko chce wrócić do domu.

Toprawda, Joey.

Molly czule pocałowała synkaw czoło.

-Bo w domu jest najfajniej powiedział chłopiec, podnosząc na nią wzrok.

Jack i Molly tylko spojrzeli po sobie.

Po filmie Mollyoznajmiła, że pora iść spać.

Poszli więc na górę, do pokojuJoeya, by przebrać go w piżamę.

Gdy Molly zdjęła mupodkoszulek, zobaczyła sińce w całej okazałości.

W żadnym wypadkunie mogły być wynikiem przypadkowegozłapania za ramię.

Przesunęła po nich placamii zapytała:

- Joey.

co ci siętamstało?

Chłopiec milczał.

Już dobrze, najdroższy.

- Molly pocałowała go w policzek.

-Możesznam powiedzieć.

Nie musiszsię niczegoobawiać.

Joeyprzygryzł wargę.

Do pokoju wbiegł GUS i na kilkasekund odwrócił uwagę malca, który zajął się głaskaniemswójego czworonożnego przyjaciela.

-Joey, opowiedz nam otych sińcach.

Co ci się przydarzyło, kolego?

tym razem Jack spróbował coś od niego wyciągnąć.

Ale nie p-po-powiesz temu drugiemu tatusiowi, dobrze?

Molly miała ochotę się rozplakać.

Kiedy on zaczął się Jąkać?

Czy to ze strachu, z obawy, że ten "drugi tatuś" zrobi

215.

mu krzywdę?

Po zaledwie jednej krótkiej wizycie?

Jak wyglądałoby życie z takim człowiekiem?

- Nie, synku - powiedział Jack swoim najłagodniejszym tonem, by jakoś uspokoić małego.

- Pan Porter się nie dowie.

Obiecuję.

Joey dotknął rączką sinych śladów na ramieniu, a dooczku napłynęły mu łzy.

- T-t-ten p-p-pan się na mnie ze-złościł.

L-leżałem sobie, a on chciał z-ze m-mną po-porozmawiać.

- Z każdym zdaniem jękanie się nasilało.

- Z-złapał mnie i ka-kazał mi usiąść.

P-p-potem na mnie nakrzyczał.

M-m-mówił, że da min-na-nauczkę.

Jack jęknął i oparł się o ścianę.

Molly mogła sobie wyobrazić, co działo się w środku, bo w jej głowie i sercu kipiała taka sama wściekłość.

Gdyby Rip Porter stał teraz przed nią, zdzieliłaby go pięścią prosto w twarz.

Jak śmiało dotknąć jej syna?

Niemiało znaczenia, że Rip był biologicznym ojcem Joeya.

Był dla chłopca obcym mężczyzną i w dodatku tym człowiekiem.

Ponownie przejechała palcami po ścianach na rączce dziecka.

- Kochanie, dlaczego nie powiedziałaś o tym pani Bower?

- B-b-bo.

ten wstrętny tatuś się na nas patrzył.

G-gdybym powiedział p-p-prawdę, mógłby mi znowu zrobić krzywdę.

Roz-rozmawiałem za to z Panem Bogiem.

Przeżyły czas był ze mną.

Jack tylko przewrócił oczami.

Molly w gruncie rzeczy go rozumiała.

Co takiego zrobił Bóg, żeby im pomóc?

Joey pojechał do Ohio pomimo jej modlitw i modlitw Beth.

Do domu wrócił fizycznie i emocjonalnie skrzywdzony.

216

A jednak Molly broniła się przed taką cyniczną postawą, przynajmniej wtedy, gdy chodziło o Joeya.

Pochyliła się ku niemu i szepnęła:

- Ciesz się, że Pan Bóg był przy tobie.

Ciesz się, że nie byłeś sam.

Jack zaprowadził Joeya do łazienki i pomógł mu wyszczotkować zęby, a w tym czasie Molly rozpakowała torbę.

Znalazła w niej pluszowego misia.

Podniosła go i zawołała:

- Joey?

Co to jest?

- Co?

- Chłopiec wychylił głowę zza drzwi do łazienki.

- A, to jest Pan M-m-misiek.

Nowy przyjaciel Pana Małpki.

Chociaż od rozmowy o siniakach nie minęło nawet dziesięć minut, chłopiec już jakby mniej się jąkał.

- T-tendrugi.

t-tatuś mi go podarował.

W tym momencie Molly zrozumiała, co pani Bower miała na myśli, kiedy mówiła o dzieciach i znęcaniu się.

Oczywiście, że nie chciały składać zeznań.

Coś w ich wnętrzu nakazywało im zapomnieć o

traumatycznych przeżyciach; miały w sobie mechanizm bezpieczeństwa.

W jednej chwili Joey panicznie bał się Ripa Portera, by zaraz potem cieszyć się z otrzymanego od niego prezentu.

Pół godziny później, gdy wszystkie rzeczy zostały już rozpakowane, a Joey spał smacznie w swoim łóżku, mając przytulonych do siebie po obu stronach Pana Małpkę, Pana Miśka i Pana Groźnego, a w nogach zwiniętego w kłębek Gusa, Molly i Jack zeszli do salonu.

Molly zatrzymała się i obróciła twarzą do męża.

- Jack.

- Tak nie może być, Molly.

- Jack miotał się, na przemian przytykając dłonie do skroni i opuszczając je w dół.

217.

Chciałbym choć na chwilę dorwać tego drania!

Jak mógłto zrobićmałemu chłopcu, przestraszonemu, z dala oddomu i w ogóle.

-Jack.

- Nie, mówię poważnie, Molly.

To nie w porządku.

Musibyc jakieś prawo,które chroni dzieci przed czymś takim.

W każdymrazie ja nie zamierzam stać i czekać bezczynnie,aż taki sukinsyn zrobi jakąś krzywdę mojemu synowi.

-Jack!

Zatrzymał sięw pół kroku.

- Co jest?

Spojrzała mu głęboko w oczy.

Gdy już była pewna,żezwróciłana siebie całąuwagę męża, otwarłausta i wypowiedziała słowa, których nigdy nie spodziewała sięwypowiedzieć:

- Zgadzam się!

Trzeba zniknąć.

Zdarzyło się to zaledwie poprzedniego wieczoru.

Terazsiedzieliw parku, zdecydowani zrealizować pomysł,któryzmusi ichdo zerwania więzi ze wszystkim i wszystkimi,którychznali w Stanach Zjednoczonych, i rozpoczęcia życiana nowo.

Sama myśl o tym napełniała Molly przerażeniem.

Cokolwiekzrobiją, ich życieprzybierze zupełnie nowy,nieznany i niebezpieczny obrót.

Plan Jacka wartbył ryzyka,bo w ten życiowy zakręt mieli wejść razem z Joeyem.

Z nimi dlaniego.

Na końcu długiego mrocznego tunelutliło sięjedynęswiatełko nadziei.

Jack zostawił Joeya na placuzabaw i zajął miejsce naławce obok Molly.

Obrócił się do niej iniespodziewaniepowiedział:

- Kochamcię.

Ujął jej twarz w swoje dłonie i uważnie się jej przyglądał, poczym z największą czułościapocałował jąw usta.

218

Zanim to zrobimy, muszę ci cośwyznać.

Kocham cięod dnia, w którym po raz pierwszy się spotkaliśmy.

Molly poczuła, jak coś ją ściska w gardle.

Skąd wiedział, że właśnie w tym momencie tak bardzo potrzebowała usłyszeć te słowa, to wyznanie miłości?

To zapewnienie, że cokolwiek ich spotka, stawia temu czoła razem, jak ludzie połączeni mocnymi więzami miłości i przyjaźni.

Odwzajemniła pocałunek.

- Jesteś dla mnie wszystkim, Jack.

- Zatonęła w jego spojrzeniu.

- Ufam ci bezgranicznie.

Cokolwiek musimy zrobić, zrobimy to razem.

Opadli na oparcie ławki i patrzyli na bawiącego się Joeya.

No dobrze, Molly.

Jack objął żonę i przytulił jej głowę do swojego ramienia.

- Pod żadnym pozorem niewolno nam choćby słowem wspomnieć komukolwiek tym, co zamierzamy zrobić, o naszych planach, rozmowach i wszystkim, co z tym związane.

Molly chciała mu odpowiedzieć, że takie przestrogi są zbyt częste.

W końcu zamierzali potajemnie wyjechać z kraju, stworzyć dla siebie nową tożsamość.

Nie odezwała się jednak, tylko popatrzyła na męża smutnymi oczami.

- Nawet Beth?

Molly na chwilę zapomniała o otaczającym ją świecie.

O śpiewie ptaków, delikatnie powiewającym wietrze, Joeyu na huśtawce, a nawet o biciu własnego serca.

Beth.

Dlaczego wcześniej nie pomyślała o swojej siostrze?

Molly osunęła się na oparcie ławki i zapatrzyła się przed siebie.

Przypomniała jej się, jak kiedyś w pierwszej klasie liceum grała na przerwie w koszykówkę z kolegami i koleżankami z kółka dramatycznego.

Żadne z nich nie potrafiło dobrze grać w kosza i jeden z chłopców mocno rzucił

219.

ku niej piłkę, gdy się tego nie spodziewała.

Dostała prostow żołądek i na kilkanaście sekund straciła oddech.

Teraz czuła się dokładnie taksamo.

Wyjazd z Florydy, porzucenie życia, jakiedotąd prowadzili, rozstanie się z Jackiem i Molly Campbellami

na towszystko była gotowa.

Ale rozstaniez Beth.

Nazawsze.

Molly zgięła się w pasie i objęła rękami kolana.

Znowu mogła oddychać, aleserce biło jej jak szalone.

Bethod zawsze była jej najlepszą przyjaciółką.

Nie miały przedsobą tajemnic.

- Molly.

- powiedział Jack, kładąc jej rękę na plecach.

Chyba nie myślałaś Beth?

Zamknęła oczy na kilka sekund i powoli się wyprostowała.

Obróciła się stronę męża i pokręciła głową.

Chyba nie.

- Nie możesz jej nic powiedzieć.

-Wiem.

- Właściwe słowa przychodziły tak łatwo.

Gorzej z zastosowaniem ich w praktyce.

Stałau progunajtrudniejszego, najbardziej bolesnego okresu w życiu niewolno jej było powiedzieć o tym Beth.

Mało tego, jeśli plan się powiedzie, będzie musiała dokonaćrzeczy niemożliwej.

Bez pożegnania zniknie zżycia rodzonejsiostry, wiedząc, że nigdy więcej się nie zobaczą.

Molly jeszcze raz zapatrzyła się przed siebie, zatrzymując spojrzenie naJoeyu, który huśtał się coraz wyżej wyżej.

Kosmyki jegojasnych włosów tańczyły na wietrze.

Jeśli chodziło o Beth, nie miała wyboru.

Za kilka miesięcyMolly Campbellprzestanie istnieć, podobnie jak jej związek zrodzoną siostrą.

Molly przygotowywała się na związany z tym ból.

Przecież to dla dobra Joeya.

Nie było innego wyjścia.

- Rozumiem - skinęła głową.

- No to dobrze - w głosie Jacka dała się słyszeć ulga.

Obrócił się nieco, by lepiej ją widzieć.

- Posłuchaj, co zrobimy.

- Tak?

- Serce waliło jej jak młotem.

Czuła się tak, jakby stała w otwartych drzwiach samolotu i zaraz miała wyskoczyć.

Tyle że nie była pewna, czy zabrała ze sobą spadochron.

- Będziemy musieli wyjechać z kraju, prawda?

- Tak jest.

- Wyjaśnienia Jacka nabrały tempa.

- To najtrudniejsza część planu, ponieważ musimy jakoś wytłumaczyć się przed Allyson Bower.

- Niekoniecznie.

- Słowa te obudziły w Molly duchawalki.

Nagły przyływ energii sprawił, że poczuła się lepiej; nie była już tylko ofiarą złego losu.

- Aż do ostatnich odwiedzin dzielimy się opieką nad Joeyem.

Czyż nie tak powiedziała?

- To prawda.

Jack zamyślił się przez chwilę.

W takim razie możesz udać.

- Kilka razy poklepał się po kolanie, jak zawsze, gdy był zdenerwowany.

- Szperałem trochę w Internecie w poszukiwaniu wyjazdów wolontaryjnych na Haiti.

No wiesz, takich jak ten, na który wybierają się Beth i Bili.

Molly poczuła dreszcz przechodzący jej wzdłuż kręgosłupa.

Czy oni naprawdę to robią?

Czy naprawdę rozmawiają ucieczkę z kraju?

Choć temperatura powietrza wynosiła tego dnia około 26 stopni, było jej zimno.

- Noi?

- W pierwszej kolejności przeglądałem strony organizacji humanitarnych, takich jak Czerwony Krzyż czy rozmaite grupy na rzecz pomocy krajom Trzeciego Świata.

Mogłoby się przecież wydać podejrzane, gdyby dwoje ludzi, którzy dotychczas trzymali się z dala od religii, nagle zainteresowało się działalnością prowadzoną przez organizacje kościelne.

- Słusznie.
221.

- I tu właśnie pojawił się problem.
- Jack z zakłopotaniem oglądał sobie dłonie.
- Nie znalazłem w naszej okolicy żadnej organizacji, która przygotowywałaby coś takiego w ciągu najbliższych kilku miesięcy. Jedyne wyjazdy, które by nam pasowały, organizowane są przez kościoły

Hm..

z niewiadomego powodu Molly poczuła się niesprawiedliwie. Przynajmniej w oczach Beth.

- Może myliliśmy się co do kościoła.
- Pomyślała o niedawnych rozmowach Joeya z Panem Bogiem.
- A może i do Boga?

- Być może.

- Jack machnął ręką, nie chcąc tracić czasu na takie rozważania.
- Możemy o tym pomówić później.

Gorzej, że w przypadku większości wyjazdów wolontaryjnych uczestnikom nie wolno zabierać ze sobą dzieci poniżej dwunastego roku życia.

- No więc niby w jaki sposób miałyby nam to pomóc?

- Molly nie miała pojęcia, do czego Jack zmierza.

Znalazłem jednak pewną parafię, która organizuje taki wyjazd w okolicach Święta Pracy.

Ma to być pomoc dla sierocińca na Haiti.

- W jego oczach tliły się zawadiackie iskierki.

Ściszył głos i mówił dalej: - Uczestników zachęca się do zabrania ze sobą całych rodzin.

Dzięki temu amerykańskie dzieci będą mogły bawić się ze swoimi haitańskimi rówieśnikami, podczas gdy w budynku sierocińca trwać będą prace remontowe.

Serce Molly znów zaczęło bić szybciej.

Jack nigdy wcześniej niewyglądał na równie poważnego.

Która parafia?

Popatrzył na nią uważnie i wypalił:

- Ta, do której należą Bili i Beth.

Zmroziła ją na chwilę:

Żartujesz?

222

- Skąd!

- Pokręcił głową.

-Zaraz po powrocie do domu uszysz zadzwonić do Beth i powiedzieć, że w najbliższą niedzielę chcielibyśmy wybrać się razem z nimi do kościoła.

Położył jej palec na ustach, zanim zdążyła coś odpowiedzieć.

- Wiem, że jesteście ze sobą blisko, ale uszysz odegrać przed nią tę rolę, Molly.

Nie możesz jej dać najmniejszego powodu do podejrzeń.

- No, pewnie.

- roześmiała się sarkastycznie.

-Prostu doniejzatelefonuję i powiem, że zmieniliśmy zdanie.

Przez ponad dziesięć lat uważaliśmy ich za dziwaków tracących czas na chodzenie do kościoła i czytanie Biblii, a teraz, ni stąd ni zowąd, zapragnęliśmy uczestniczyć w niedzielnej mszy?

W odległości kilkunastu metrów Joey machał do nich zawzięcie.

-Hej!

Wiecie co?

- Co jest, stary?

-Jack niezwłocznie skupił uwagę na synu.

- Wyląduję tym samolotem i przesiądę się do tamtej rakiety - oznajmił Joey, pokazując na drabinkę z dwiema jeżdżalniąmi.

-Świetny pomysł!

-Jack starał się, by jego głos brzmiał radośnie.

Gdyby ktoś im się teraz przypatrywał - nawet ktoś znający ich bardzo dobrze - do głowy by mu nie przyszło, że planują potajemny wyjazd z kraju, ucieczkę przed władzami i rozpoczęcie życia od nowa.

Joey wyhamował huśtawkę, zeskoczył z niej i popędził w stronę drabinek.

Miał zajęcie co najmniej na następne piętnaście minut.

- Tak, Molly Jack ponownie zwrócił się do żony.

Głósł pozornie spokojny, ale skrywał się w nim napięcie.

223.

- Tak właśnie zrobimy.

Przechodzimy największy kryzys w naszym życiu.

Ludzie w takiej sytuacji zwracają się stronę kościoła, czyż nie?

Co, nie robią tak?

Molly zastanowiła się nad jego słowami i w myślach przyznała mu rację.

Po jedenastym wrześniu kościoły zanotowały rekordowy napływ wiernych.

Przypomniała sobie jej, jak ktoś w telewizji stwierdził, że tragedia otwiera drzwi do odnalezienia wiary.

Od dnia, w którym poraz pierwszy dowiedziała się o sfałszowanych dokumentach adopcyjnych, wielokrotnie rozmawiała na ten temat z Beth.

Siostra modliła się w jej intencji, a także razem z nią.

Może nie uznaje za dziwne tego, że Molly i Jack chcą teraz chodzić do kościoła.

- No dobra, zadzwonię do Beth powiedziała, choć wciąż dręczyły ją wątpliwości.

- Czyli tego samego popołudnia zaczniemy chodzić do kościoła i zapiszemy się na wyjazd?

Nie mamy zbyt wiele czasu.

- Wiem.

- Jack nie wyglądał na zmartwionego.

Cokolwiek skrywał w myślach, najwyraźniej wszystko wcześniej starannie zaplanował.

- Wspominałaś, że rodzina Beth wybiera się na ten wyjazd?

- Podobno.

Z tego co słyszałam.

- Świetnie.

Zapytajmy ich więc o to.

To będzie ostatnia okazja, by nasze rodziny mogły razem spędzić trochę czasu, zanim będziemy musieli oddać Joeya - o ile sędzia zmieni decyzję powiedział, odchylając się nieco.

Nie będzie w tym nic dziwnego.

Możemy nawet pomknąć, że nosimy się z zamiarem kolejnej adopcji - tym razem jakiegoś dziecka z innego kraju.

Powiemy też, że chcemy aby Joey w tym uczestniczył.

- A sędzia pozwoli nam pojechać?

Wyjechać zagranicę?

Wyjazdy wolontaryjne na Haiti odbywają się cały czas.

- Jack zacisnął usta w geście determinacji.

- Od zawsze angażowaliśmy się w działalność społeczną, Molly.

Możemy, aby ten wyjazd stał się jednym z naszych ostatnich wspomnień związanych z Joeyem?

Poza tym, nic nie powiemy Allyson Bower.

Jack pochylił się i oparł łokcie na kolanach.

- Nic nie wspominała o wyjazdach zagranicznych ani sądowych zakazach i nakazach w tej kwestii.

Przez chwilę wpatrywał się w ziemię.

Przecież nas nie sprawdzają, prawda?

Pani Bower nie kontaktowała się z nami od czasu ostatnich odwiedzin Joeya.

Ponownie usiadł prosto.

Mówię ci!

Pojedziemy, a zanim ona i sędzią się zorientują, nas od dawna tu nie będzie.

Molly słyszała rozgoryczenie w głosie Jacka, niemniej jednak jego plan miał sens.

Zawsze lubili podróżować i angażowali się w działalność charytatywną. Pomagali w zbiorce funduszy na budowę centrum YMCA w West Palm Beach i brali udział w kilku biegach długodystansowych połączonych ze zbieraniem pieniędzy dla bezdomnych.

Wyprawa na Haiti, by pomóc w remoncie sierocińca, zdawała się wpisywać w ten schemat.

Z pewnością Beth i Bili nie uznają tego za coś dziwnego.

To całkiem naturalne, że chcą się podjąć pracy jak wolontariusze.

Wyjazd daim zajęcie i pozwoli jaśniejsze spojrzeć w przyszłość naznaczoną wysiłkami związanymi z poszukiwaniem adwokata, który w ich imieniu podjąłby się walki o odzyskanie praw rodzicielskich do Joeya.

No dobrze.

- Molly wciąż drżała, ale nadążała z tokiem myśli Jacka.

- A co potem?

225.

Zanim wyjedziemy na Haiti, musimy mieć wszystkoprzygotowane w najdrobniejszych szczegółach.

Naszypunktem docelowym przynajmniej na najbliższych paręlatbędą Kajmany.

Kajmany?

- Molly musiała chwycićsię brzegu ławki.

i;Znowu się czuła, jakby była w jakimś dziwnym śnie lub odgrywała rolę innej osoby.

Była już raz z Jackiem na Wielkim Kajmanie.

To przepiękna wyspa z cudownymi,niekończącymisię plażami i niebieskozielonąwodą.

Aleczy można tam spędzić całe lata?

Próbując zapanować nad myślami, zapytała:

Gdzie będziemy mieszkać?

Zajmęsię tym.

- Jack wciąż był opanowany; bardzochciał przedstawić jejcały plan, ze wszystkimi szczegółami.

- Będziemy potrzebować fałszywych paszportów i już sięwokół tego zakręciłem.

Jest takifacet w Miami, któregoznam z pracy.

Sądzi, że jesteśmy misjonarzami.

A po cóż misjonarzom fałszywe paszporty?

Mollykręciło się w głowie jeszcze bardziej niż przedtem.

Ledwienadażała zaprzebiegiem rozmowy.

Jakby to wyczuwając, Jack zaczął mówić wolniej:

Niektórzy misjonarze odwiedzająkraje wrogo nastawione do chrześcijan.

Jeśli szykany ze strony władz stająsię dlanich zbyt niebezpieczne, czasami musząuciekać takiego kraju pod przybranym nazwiskiem - oznajmił, wruszając ramionami.

Ten facet, zktórym rozmawiałem, mówi, że wierzy w wolność słowa.

Jeśli potrzebujemylewych paszportów w celu szerzenia wolności słowa, załatwi je nam za pół ceny.

Molly schowała twarz w dłoniach.

Nie mogę uwierzyć, że.

226

- Hej, patrzcie na mnie!

- Joey siedział na szczycienajwiększej zjeżdżalni.

Jestem strażakiem!

Wcisnął na głowę wymaglinowany kask, odepchnął się mocno i z impetem zjechał na dół.

Wstał i rozglądając się; na boki, polewał niewidzialne płomienie niewidzialnym strumieniem wody.

- Jesteś bohaterem, Joey!

- krzyknął Jack i po krótkiej pauzie dodał: - Mamusia i ja chcemy jeszcze chwilę porozmawiać, dobrze?

- Dobrze!

- głośno odkrzyknął Joey, biegnąc w stronę drugiej zjeżdżalni.

- Teraz polecę na Księżyc!

Alejką nadchodziła kolejna para spacerowiczów.

Jack poczekał, aż przejdą, i kontynuował:

- Tak więc, mając już lewe paszporty, w przeddzień wyjazdu przelewamy pieniądze na konto w banku na Kajmanach.

To jeden z największych na świecie rajów; podatkowych.

Dalej.

Jack zawiesił głos - .

.powiedzmy,; że w trzecim dniu pobytu na Haiti, wybieram się na wycieczkę do miasta i znikamy. Zanim się zorientują, żenas!

nie ma, będziemy już na pokładzie samolotu w drodze do Europy, w dodatku pod nowym nazwiskiem.

W Europie zostaniemy przez kilka tygodni, żeby się upewnić, czy nas nie ścigają, a potem polecimy na Kajmany.

Co ty na to?

Cóż miała o tym sądzić?

W głowie kłębiły się jej tysiące pytań.

Otworzyła usta i zadała pierwsze, jakie jej się nasunęło:

- Nie wytropią nas?

-Będziemy się posługiwać nowymi dowodami tożsamości.

Władze haitańskie wypuszczą nas bez problemu, a wtedy rozplniemy się wśród milionów Europejczyków.

Przecież nie roześlą za nami listów gończych po całej Anglii,; Francji i całej reszcie.

Władze nie będą miały pojęcia, gdzie

nasz szukać.

Wyraz twarzy Jacka potwierdzał jego całkowite przekonanie, że tak właśnie będzie.

- Samawidzisz, wyjeżdżamy na parę dni i znikamy bez śladu.

- Zawahał się na chwilę.

Po pewnym czasie mogą nawet zacząć przypuszczać, że padliśmy ofiarą jakiejś zbrodni.

- Znikniemy na tydzień przed utratą prawa do opieki nad Joeyem.

Trafimy na pierwsze strony gazet!

- Z czasem pewnie tak - Jack znowu mówił szybciej, wszystko wcześniej szczegółowo przemyślał ale wtedy będziemy już w Europie, posługując się przybranym nazwiskiem.

Turyści wśród milionowej rzeszy innych turystów.

Gdy sprawa w mediach ucichnie, polecimy na Kajmany.

Plan wydawał się sensowny, ale wciąż było więcej pytań niż odpowiedzi.

- Dlaczego mielibyśmy wybierać się na spacer ulicami stolicy Haiti z czteroletnim synem?

Czy tonie jest niebezpieczne?

- Tak, też o tym myślałem.

Te wyjazdy wolontaryjne obejmujące dzienne wycieczki, wyprawy do okolicznych wiosek połączone z rozdawaniem żywności i różnych darów - Jack nie dawał się zbić z tropu.

Nie martw się, znajdę jakiś powód, by wyjść do miasta.

Potem pojedziemy na lotnisko.

Gdy już będziemy na Haiti, to będzie akurat najmniejsze z naszych zmartwień.

- No dobrze.

- Musiała mu zaufać.

Cóż jej pozostawało.

Do głowy przyszło jej kolejne pytanie.

Może myliła się co do swojej siostry, może Beth mimo wszystko zaczęła coś podejrzewać.

- A co, jeśli Beth pomyśli, że to dziwne.

taki wyjazd tuż przed oddaniem Joeya?

Jack uniósł brwi.

- To już zadanie dla ciebie; musisz sprawić, żeby widział wszystko tak, jak tego chcemy.

- Dasz sobie z tym radę, prawda?

-zapytał, kładąc dłoń na jej kolanie.

228

Z drugiej strony nadchodził alejką jakiś mężczyzna z małym chłopcem.

Nieśli kij do bejsbola i dwie skórzanerękawice.

Jack poczekał, aż przejdą, poczym jeszcze bardziej ścisząc głos, powiedział:

- Oczywiście, że będzie to wyglądać podejrzanie, ale Beth uwierzy we wszystko, co jej powiesz.

Nie sądzisz?

- Być może.

Molly znowu znowu poczuła narastający strach i toczącą się w niej wewnętrzną walkę.

- Ale może nie.

Być może zrobimy coś, co wzbudzi podejrzenia Allyson Boweri wtedy mogą nas złapać - ruchem głowy wskazała na Joeya.

- Oddadzą naszego małego Porterom, a my pójdziemy prosto do więzienia. Pomyślałeś o tym?

- Oczywiście - odpowiedział Jack wyraźnie gniewnym tonem.

- Posłuchaj, Molly.

Nie będziemy podróżować pod własnym nazwiskiem.

Będziemy mieć nową tożsamość, nowe paszporty.

Wyjedziemy z Haiti jako inni ludzie, polecimy do Europy i kupimy sobie bilety Eurail.

Będziemy jeździć po całym kontynencie, jak zwykła rodzina na wakacjach, i w każdym hotelu, w którym się zatrzymamy, będziemy sprawdzać wszystkie wiadomości w telewizji i Internecie.

Gdy szum wokół całej sprawy ucichnie, polecimy na Kajmany.

- A co z pieniędzmi?

- Molly trzęsa się cała od stóp do czubka głowy.

- Czy nie są w stanie wyśledzić pieniędzy?

Mówiłeś, że dokonasz przelewu na Kajmany.

Jeśli to odkryją, zamrożą nam konto i będzie po wszystkim.

Nienawidziła się za to, że piętrzyła przed Jackiem potencjalne kłopoty, ale gdyby teraznie wyartykułowała swoich wątpliwości, nie dawałoby jej to potem spokoju.

- Jeśli wytropią pieniądze, znalezienie nas będzie tylko kwestią czasu.

- To też przewidziałem.

- Jack pochylił się nieco.
Jego spojrzenie było przenikliwe i inteligentne.
- Dokonamy serii
229.

przelewów.

To trochę skomplikowane, ale w efekcie pieniądze wpłyną na konto założone na Kajmanach na zupełnie inne nazwisko.

Porozumiewawczo kiwnął głową dorzucił:

- Zostaw to mnie.

Molly poczuła mdłości.

Czy oni naprawdę to robią?

Zdawało się to ponad jej siły; z trudem mogła sobie to wszystkowiobrazić.

Wsunęła rękę pod ramię Jacka i spytała: '

- Ile mamy pieniędzy?

W

- Trzeba będzie trochę pokombinować - oznajmił i pocałował ją w policzek.

- Ale nad tym też już się zastanawiałem.

Sprzedamy akcje i pożyczymy pieniądze pod hipotekę.

Powinno być tego nieco ponad milion.

- Milion dolarów?

Kwota ta zrodziła kolejną listę pytań, ale nie miała już siły ich zadać.

- Tak.

- Jack wziął ją w ramiona i czule pogładził powłochach.

- Będzie dobrze, Molly.

Zobaczysz.

Po kilkulatach spędzonych na Kajmanach, gdy już przestaną nas szukać, będziemy mogli podróżować pod nowym nazwiskiem.

Będziemy mogli pojechać, dokądkolwiek zechcemy, naprawdę.

Tylko nie do Stanów.

- Ani do Jacka i Molly Campbellów.

- Zgadza się - potwierdził z ociąganiem.

Molly zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech przez nos. - Jack.

- Wczepiła się w męża kurczowo.

- Nie wierzę, że to robimy.

- Ja też.

- Jack objął ją mocno i przez długi czas nic nie mówili.

Cóż mogli powiedzieć?

Sędzia podjął decyzję, oni też.

Wprowadzą swój plan w czyn i będą musieli często odbywać podobne rozmowy, by dograć wszystkie szczegóły.

Będą musieli pożegnać się z wszystkimi, których znali i kochali jako Jack i Molly Campbellowie, i w ogóle zmuszeni będą

230

(zacząć wszystko od początku.

Jeśli dla sądów drugorzędne(Znaczenie ma dobro ich dziecka, muszą wziąć sprawy w swoje ręce.

Niezależnie od ceny, jaką przyjdzie im za to zapłacić, będzie warto.

Przez wzgląd na Joe'ego, którego kochają ponad wszystko.

Rozdział XVI

Molly zadzwoniła do Beth zaraz po południu, spodziewając się, że wrócili już z Billem z kościoła.

Tylerazy przeciwczyła wmyślach swojakwestię, że gdy Beth odebrała telefon, jej głos brzmiał zupełnie zwyczajnie.

Zaczęły rozmawiać o Joeyu i jego pierwszej wizycie Porterów.

-Joey czuje się dobrze, alecoś z tym trzeba zrobić- Mollymówiła podenerwowanym głosem: tak właśnie zachowywałaby się, gdyby nie planowała opuszczać kraju.

-Jutro samego rana będę dzwonić doróżnych polityków.

- Dobry pomysł.

- Beth była gotowa ze wszystkich sił wspierać siostrę i jej męża.

Ja też podzwonię.

Zrobię, co się da, byle wam pomóc.

- Westchnęła ciężko.

-To śmieszne, Molly, przecież ten chłopak jest wasz!

- Wiem - Molly wciąż mówiła głosem pełnym bólu.

Uzgodnili z Jackiem, że nikomu nie wspomną siniakach na ramieniu Joeya.

Nie trzeba, by Beth zaczęła podejrzewać, że szaleją zniepokoju.

Uspokoila głos.

Jack ma jutro

232

poszukać nowego adwokata.

Muszę przecież wierzyć, że ktoś nam pomoże.

Molly, tak bardzo ci współczuję.

Nawet sobie niewyobrażam, jak to jest przeżywać coś takiego.

- Umilkła chwilę.

-Może to nie ma dla ciebie żadnego znaczenia.

ale w naszej szkółce niedzielnej wszyscy modlą się za was.

Nikom w głowie się nie mieści, że po pięciu latach sędziomógł oddać dziecko jego biologicznym rodzicom.

To ma dla mnie znaczenie, i to duże.

- zaczęła Molly.

- A propos, coś mi się przypomniało.

Nie uwierzysz, jak ci opowiem.

Rozmawiałam dzisiaj z Jackiem.

Potarł koniuszek nosa.

Jeszcze nigdy nieokłamała Beth.

Miała ochotę podzielić się nią wszystkimi szczegółami planu, ale przecież nie mogła zdradzić się ani słowem.

- No, w każdym

; razie chodzi o to, że Joey się modli zaśmiała się smutno.

- Chyba Jonah nauczył.

Naprawdę?

- W głosie Beth zabrzmiało prawdziwe rozczulenie.

Jak to dobrze.

Też tak sądzimy.

- Molly zmusiła się do kolejnego kroku.

Jack chciał, żeby im powiedziała, że.

chcielibyśmy pójść z wami w niedzielę do kościoła.

Beth westchnęła cicho.

Mówisz poważnie?

Tak.

Molly wydała dziwny dźwięk: trochę śmiech, trochę płacz.

Wszędzie szukamy pomocy.

Molly.

tak się cieszę!

Głos Beth tchnął absolutnym, czystym szczęściem.

Wcalenie wydało jej się to podejrzane.

Bóg ma wobec Joeya swoje plany, jestem o tym przekonana.

Bez względu na to, jak źle wszystko teraz wygląda, jeśli tylko będziecie szukać Jego pomocy.

jeśli Mu naprawdę zaufacie, to jestem pewna, że i dla was te plany staną się czytelne.

233.

Molly w tym momencie nienawidziła samej siebie; byławściekła, że musi okłamywać Beth, ale powiedziała tylko:

- Właśnie zaczynamy w to wierzyć.

-Wiesz co?

Nie czekajmy na niedzielę, to dopiero zatydzień.

Bili i ja możemy spotkać się z wami kilka razy,żeby wspólniesiępomodlić.

Mówię ci,Molly, w modlitwiewię potężna siła!

Tak się cieszę,żewreszcie to dostrzegłaś!

- Beth mówiła szybko, z wielkim zapałem i podnieceniem.

Porozmawiaj o tym z Jackiem, dobrze?

-Dobrze.

- Kolejne kłamstwaz trudem przechodziłyMolly przez gardło.

Aprzecieżto dopieropoczątek.

Słuchaj, Beth, muszę kończyć.

Ale dzięki za wszystko.

Gdyby nie ty, pewnie w ogóle nie pomyślelibyśmy o tym,żeby zwrócić się do Boga.

- Och, Molly!

- Beth łamał się głos.

-Tak bardzo ciękocham!

Dlatego właśnie zawsze pragnęłam, żebyście tyitwoja rodzina odnaleźliwiarę.

- Wiem.

- Mollyzacisnęła pięści.

Czuła, że musi sięrozłączyć, musinatychmiast zakończyć tę rozmowę, zanimsię złamie iprzyzna do wszystkiego.

Ja też ciękocham.

Bethmówiła jeszcze przez chwilę o dobrodziejstwachpłynących z mocnej wiary, ale Molly prawieje nie słuchała.

Za to zrobiła coś,co zrobiłby Joey: zaczęła rozmawiać z Bogiem, tak tylko troszeczkę.

To nie jest do końca kłamstwo,Boże.

Naprawdę chciałabym więcej się o Tobie dowiedzieći naprawdę uważam, że dobrze, jeśli ktoś się za nas modli.

Usłyszała, że Beth kończy rozmowę:

- No, dobrze.

Więcogadaj z Jackiem, apóźniej ustalimy szczegóły.

- Świetnie.

- Pożegnał się i Molly odłożyła słuchawkę.

Cały tydzień przebiegł dokładnie tak, jak zaplanowali.

Dwukrotnie spotkali się z Beth i Bille, żeby porozmawiać

o Bogu, Jego planach wobec nich wszystkich i Jego Uzbawieniu.

Czytali fragmenty Biblii, a Molly ze zdziwieniem stwierdziła, że naprawdę słucha irzeczywiście odnajduje prawdę w tym, czym dzielili się z nimi Beth i Bili.

- To ma sens - powiedziała któregoś wieczoru do Jacka.

- Najważniejsze, że dzięki temu nasz plan się powiedzie.

- Jack uśmiechnął się do niej.

- Tylko to się liczy.

Nie naciskała.

Gdy nadeszła niedziela, Beth traktowała ich miło i delikatnie.

Dała Molly kopertę podpisaną jej imieniem.

- Znalazłam to - uścisnęła siostrę - ale otwórz dopiero później.

Molly nie wiedziała, co powiedzieć.

Miała wrażenie, że z każdym uderzeniem serca słyszy w myślach głos wołający:

"Kłamczucha.

Kłamczucha.

Kłamczucha!

". Odwzajemniła uścisk Beth.

- Dobrze, że tutaj przyszliśmy.

- Cudownie, że przyszliście!

- Trzymając ręce na ramionach Molly, Beth popatrzyła jej w oczy.

Myślę, że Bóg działa jakiś cud, Molly.

Czuję to.

Wszyscy czworo odprowadzili dzieci do szkółki niedzielnej, po czym zajęli miejsca w kościelnej ławce.

Jack z rozmysłem otworzył leżącą przed nim ulotkę i zaczął czytać.

Potem, jakby coś przyszło mu do głowy pod wpływem tego, co przeczytał, pochylił się nad kolanami Molly i zapytał Billa:

- Wybieracie się z dziećmi na ten wyjazd na Haiti?

- Tak.

Bili patrzył na niego z mieszaniną szczerzej przyjaźni i czystego lęku.

Molly dobrze go rozumiała: prawdopodobnie odkąd oboje zostali chrześcijanami, wspólnie

235.

z Beth modlili się o taki dzień jak dziś.

Bili otworzył swoją ulotkę i wskazał na informację o wyjeździe.

- Dzisiaj po nabożeństwie jest spotkanie informacyjne w tej sprawie.

Jack spojrzał porozumiewawczo na Molly.

- Mówiłaś Beth?

Beth siedziała pomiędzy Molly i Bille.

Popatrzyła na siostrę z zaciekawieniem.

- O czym?

Teraz przyszła kolej na partię Molly.

Miała tylko nadzieję, że cała ta rozmowa sprawia wrażenie kiepsko odegranego scenariusza.

- O wyjeździe wolontaryjnym.

- Spojrzała na Billa, a potem znów na Beth.

- Też myślimy o tym, żeby jechać.

- Żartujesz!

Beth prawie krzyknęła.

Ja sama dopiero osuwam się z tą myślą.

- Zachichotała i zniżyła głos.

Rozejrzała się dookoła, przeproszając wzrokiem sąsiadów za zbyt głośne zachowanie w kościele.

Nagle uśmiech zniknął jej z twarzy.

A co z Joeyem?

Jack ścisnął kolano Molly.

- Wierzymy, że wszystko się ułoży.

Musimy wierzyć.

Uśmiechnął się smutno do Billa.

Ale w tym momencie potrzebujemy czegoś, co na chwilę odwróci uwagę, naszą uwagę, od wszystkiego, co się dzieje.

Bili pokiwał głową.

- Rozumiem.

- Kilka dni temu przeczytałem w Internecie o tych wyjazdach.

Wydaje się, że.

- spojrzał na Molly.

Że to całkiem niezły pomysł.

- I okazja, żeby nasze rodziny spędziły wspólnie czas

- pośpieszyła z pomocą Beth.

Bez wątpieniaczyła ją tą myślą.

Już-już miała dodać, że będzie to także ich ostat

nia szansa na wspólną podróż z Joeyem, jeśli zostanie im odebrany, ale w porę ugryzła się w język.

Byłoby świetnie, gdybyście pojechali.

-Myślisz, że możemy się zgłosić?

No wiesz, jesteśmy przecież nowi.

Jack starał się, żeby jego pytanie zabrzmiało niepewnie.

-Myślę, że tak.

- Bili popatrzył na Beth, a potem przeliósł wzrok z powrotem na Jacka.

-Zgłosicie się z nami.

Ludzie często zabierają na te wyjazdy przyjaciół lub rodzinę.

Co innego, gdyby to był wyjazd misyjny.

Ale podczas wyjazdów wolontaryjnych nie obowiązują tak ścisłe zasady.

- Racja!

- Oczy Beth rozbłysły.

-To zupełnie inny wyjazd.

Na pewno będą się chcieli czegoś o was dowiedzieć, ale poza tym.

Jeśli tylko potraficie wbijać gwoździe, to z pewnością was przyjmą.

- Popatrzyła najpierw na Billa, potem na Molly.

Przyjdziecie na spotkanie po nabożeństwie?

- Pewnie tak.

- Molly napotkała wzrok Jacka.

Zdumiała fakt, że w jego spojrzeniu nie dostrzegła ani śladu obłudy.

A może Jack odnalazł właśnie swoje powołanie okazał się doskonałym aktorem.

-Zdążymy?

- Oczywiście- odpowiedział, po czym zwrócił się do Billa:

- Można zabrać ze sobą dzieci, prawda?

Będziemy mogli pojechać z Joeyem?

- Tak - w głosie Billa dało się słyszeć troskę.

- Myślisz, pozwolą wam go wziąć, skoro toczy się spór o opiekę nad nim?

Jack wydawał się uosobieniem niewinności -tak jak

Jego syn.

Popatrzył na Molly.

-A dlaczego by nie?

Oczywiście powiadomimy o wszystkim pracownicę opieki społecznej - kłamstwo przyszło łatwo, jakby przez całe życie nie robił nic innego.

Będziemy musiały wyrazić zgodę.

236237.

Molly potwierdziła spojrzeniem.

- I tak na razie mamy przyznane prawo do wspólnej opieki nad Joeyem.

Beth wyciągnęła rękę i uścisnęła Molly.

- Może już wkrótce będą to pełne prawa rodzicielskie.

- Oby!

Umilkli, gdyż na przedzie kościoła grupa ludzi zaczęła grać na instrumentach, zaraz miało się rozpocząć nabożeństwo.

- Pogadamy jeszcze na spotkaniu po kościele - wyszeptała Beth.

- Okej.

Po raz kolejny Molly przekonywała samą siebie, że nie jest to kłamstwo, ale i tak czuła niesmak z powodu tego, co właśnie robiła.

Beth i Bili bez żadnych zastrzeżeń uwierzyli w szczerą ich intencję.

Uśmiechnęła się do Beth.

- Dzięki za wszystko!

Siostra objęła ją ramieniem i uścisnęła.

- Mówiłam ci, że kiedyś obydwoje się tutaj znajdziemy.

Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, Molly.

Naprawdę.

Podczas nabożeństwa Jack wypełnił kwestionariusz parafialny.

Molly widziała, jak odwraca kartkę i pisze: "Módl się za naszą rodzinę".

Na awersie wypisał ich imiona, nazwisko, adres i numer telefonu.

Kościół, do którego uczęszczali Bili i Beth, był duży, odbywało się tam kilka nabożeństw, wspólnota liczyła sześć tysięcy członków.

Molly domyślała się, że nikt tam nie zwraca szczególnej uwagi na przypadkowych uczestników nabożeństw.

U dołu kwestionariusza trzeba było zaznaczyć jedną z opcji: "gość" bądź "członek zgromadzenia".

Jack zakreślił drugą z podanych możliwości, złożył kartkę i rzucił na tacę. I tak oto ich plan został wprowadzony w życie.

Rozdział XVII

Samolot miał zaraz wylądować na Wielkim Kajmanie.

Jack nie mógł się już doczekać tej chwili.

Wyprawa na Kajmany nie była dla niego niczym niezwykłym, udawał się tam co kilka lat.

Firma prowadziła tam sporo interesów, ale większość z nich nie wymagała jego obecności, załatwiał je przez telefon.

Jednakże od czasu do czasu wysyłano go na wyspy, żeby spotkać się z tamtejszymi pracownikami, wykazując w ten sposób dbałość o dobre stosunki i wzmacniając więzi poprzez wydawanie luksusowych obiadów.

Ostatni raz odwiedził Kajmany przed czterema miesiącami, kiedy więc zaproponował swoim przełożonym, że uda się tam ponownie, zgodzili się bez wahania.

Szef spojrzał tylko na kalendarz i uśmiechnął się do Jacka:

- Świetny pomysł!

Zabierzesz ze sobą Molly i Joeya?

Nie tym razem.

Jack uśmiechnął się swobodnie.

Przynajmniej w tej kwestii był całkowicie szczery.

- Może kiedy indziej.

W firmie nikt nie wiedział o walce o przyznanie praw do opieki nad Joeym, którą toczyli.

Od samego początku

239.

Jack uważał, że tak będzie lepiej.

Teraz cieszył się, że nigdy nie poruszył tego tematu.

Nie chciałby na każdym kroku spotykać ludzi, którzy by mu współczuli, a przy okazji zastanawiali się, jaki też będzie jego kolejny ruch.

Wyjazd doszedł do skutku w ciągu kilku dni i oto zachwilę Jack miał wylądować na Wielkim Kajmanie.

Wygłądając przez okno, chłonał piękny krajobraz, pozwalając, by działał on kojąco na jego skołatane myśli.

Niekiedy uświadamiał sobie z całą jasnością, że to, co zamierzali właśnie zrobić, jest przestępstwem.

Gdyby ich złapano, straciliby wszystko: i wolność, i reputację, i - co najgorsze - Joeya.

Jack starał się nie dopuszczać tych myśli do siebie zbyt często.

Niedługo, że on i Molly pogodzili się z myślą, że zostaną przestępcami.

Sumienie mówiło mu, że to, co zamierzają zrobić, jest nie w porządku - ludzie nie powinni brać prawa we własne ręce.

Ale jeśli dzięki temu Joey mógł uniknąć życia pośród przemocy i zostać z nimi, takie postępowanie znajdowało w oczach Jacka całkowite usprawiedliwienie.

Zrobiliby wszystko, by zapewnić synowi bezpieczeństwo.

Absolutnie wszystko.

Przypomniały mu się opowieści o ojcach, którzy w czasie wielkiego kryzysu kradli pieniądze, byle tylko wyżywić swoje dzieci.

Nigdy nie poświęcał tej kwestii zbyt wiele czasu ani nie zajmował jakiegokolwiek stanowiska w tej sprawie - aż do tej pory.

W świetle tego, co działo się z Joeyem, nie miał żadnych wątpliwości, co on zrobiłby w takiej sytuacji.

Jeśli jego rodzina nie miałaby co jeść, znalazłby jakiś sposób, aby ją wyżywić, nawet gdyby oznaczało to degradację z porządnego obywatela do pospolitego złodzieja wszystko, byle tylko ocalić rodzinę.

Z góry widać było wodę przybierającą bladą odcień w miejscu, gdzie rozbijała się ląd.

Plaże na Kajmanach są

240

przepiękne - prawdziwy raj.

Jack czuł, że sam ich widok go uspokaja.

Kiedy tylko osiądą tu na dobre, kupi starą gitarę i będzie na plaży komponował piosenki.

Zawsze o tym marzył.

Owszem, bierze prawo w swoje ręce i - owszem
- jest to zupełnie niezgodne z jego naturą.

Ale plan, który opracował, jest całkiem dobry.

Zadziała na pewno.

I nikt natymnie ucierpi.

Naturalni rodzice Joeya nie zasługiwali na niego.

Przedewszystkim, jego matka wcale go nie chciała, a co do jego ojca - był to po prostu kryminalista.

Jeśli uda im się kiedyś uporządkować swoje życie, to niech sobie mają więcej dzieci.

Joey jednak należał do niego i Molly.

I kropka!

Jack przycisnął czoło do szyby i spróbował usiąść wygodnie w ciasnym fotelu.

Nikt nie skrzywdzi Joeya ani go nie zabierze, dopóki jemu, Jackowi, starczy sił.

Zamknął oczy i pozwolił, by ciepło promieni słonecznych uspokoiło mu serce.

Jego miłość do synka była gwałtowna i bardziej intensywna niż inne uczucia, których w życiu doświadczył.

Dowodziło to, że sędzia się mylił; tonie Porterowie są rodzicami Joeya, lecz on i Molly.

Po kilku minutach samolot wylądował.

Gdy Jack wysiadł z samolotu - z jedną tylko torbą podróżną

- i szedł po płycie lotniska, chłonał otaczający go bajkowy krajobraz: palmy chwiejące się w lekkiej bryzie, niebotak błękitne, że oczy bolały, gdy się na nie patrzyło, oraz słony zapach pobliskiego oceanu.

Wyobraził sobie, jak będą tu żyli.

Molly będzie pomagać Joeyowi w nauce, żeby był przygotowany do szkoły, kiedy przyjdzie pora wyjazdu do Europy na stałe.

On sam zaś będzie się zajmował robieniem zakupów w pobliskim miasteczku, a w leniwe letnie popołudnia będzie siedział nad brzegiem oceanu i grał na gitarze.

Będą pływać w oceanie.

anie i biegać po plaży.

Nocami nad ich głowami rozbłysną miliony gwiazd, a oni będą spędzać niezliczone godziny na długich rozmowach.

Joeyowi na pewno zaszkodzi taki tryb życia przez kilka lat.

A kiedy już przestaną ich szukać, będą mogli zacząć nowe życie w Anglii, Irlandii lub Niemczech; zapisać Joeya do prywatnej szkoły, żeby mógł otrzymać jak najlepsze wykształcenie, poznając przy okazji odpowiednich kolegów.

Dwa lata na Kajmanach da się wytrzymać.

Z pewnością istnieją znacznie gorsze miejsca na zaczynanie wszystkiego od nowa.

Jack przyspieszył kroku.

Czekały go trzy dni szalenie wypełnione zajęciami.

Na pierwsze dwa zaplanował spotkania ze wszystkimi ludźmi, których miał tu służbowo odwiedzić.

Potem złapie samolot na Mały Kajman, gdzie na zacisznych plażach było pod dostatkiem domów do wynajęcia.

Jeśli wszystko pójdzie dobrze, znajdzie dom przy plaży i wpłaci zaliczkę, posługując się swoim nowym nazwiskiem: Walt Sanders.

Pierwszy dzień minął według planu.

Jack oparł się na pokusie, by podczas lunchu wypytać o najbardziej odległą plażę.

Nie chciał zrobić niczego, co mogłoby im zaszkodzić.

Kiedy policja się zorientuje, że uciekli, na pewno przesłucha jego szefa, a wówczas mogłaby wpaść na ich trop na Kajmanach.

Należało więc zadbać o to, by podczas wyjazdu niczym się nie zdradzić.

Swoich rozmówców poinformował tylko, że całe trzy dni wypełnią mu interesy.

Kajmany podlegają rządowi brytyjskiemu, ale położone są dokładnie pośrodku Karaibów.

W ich skład wchodzi tylko trzy wyspy, handel i turystyka skupiają się jednak w większości na Wielkim Kajmanie.

Plan Jack zakładał, że zamieszkają jak najdalej stamtąd zbyt wielu

242

ludzi trzeba by unikać, zbyt duże byłoby też ryzyko, że ktoś ich tam rozpozna.

Następnego popołudnia poleciał na Mały Kajman.

Również tutaj jego firma prowadziła interesy, wyjazd był więc w pełni

uzasadniony.

Spędził pół godziny z klientem, a potem taksówką udał się do najbliższego biura nieruchomości.

Pomieszczenie było małe, puste i zakurzone, jakby pośrednicy całe dni spędzali tutaj, lecz na plaży jak zresztą wszyscy pozostali mieszkańcy tej oderwanej od świata wyspy.

Szukam domu przy plaży do wynajęcia na dłuższy czas - zwrócił się do starszej kobiety zabiurkiem.

Wcześniej omówili z Molly wszystkie szczegóły.

Nie chcieli kupować domu.

Mieli nawet zamiar zamknąć swoje konta w banku i wybrać całą gotówkę zaraz po przyjeździe na Kajmany.

Mając paszporty na nowe nazwisko, musieli mieć możliwość swobodnego poruszania się w każdej chwili.

Jeśli z jakichś powodów ludzie nabraliby co do nich podejrzeń lub policja skierowała swoje poszukiwania na Kajmany, Jack i Molly musieliby natychmiast wyjechać, lepiej więc, żeby ich pieniądze były wówczas zamrożone na rachunku bankowym lub w nieruchomości.

Kobieta się uśmiechnęła.

Mamy dla pana mnóstwo ciekawych propozycji mówiła z wyraźnym brytyjskim akcentem.

Czy znajdzie pan chwilkę, żeby się im przyjrzeć?

Właśnie o to mu chodziło!

Jack natychmiast wszedł w rolę.

Owszem.

- Rzucił okiem na zegarek.

- Mam dziś wolne popołudnie.

Wsiadli do dżipa bez dachu i ruszyli wzdłuż Main Street.

Była torcej drogą niż ulica nie miała chodnika dla

243.

pieszych, a im dłużej jechali, tym bardziej przypominałakiepsko utrzymany polny trakt.

Po chwili minęli wszelkie zabudowania; droga wiała się teraz wśród bogatej roślinności palm.

Popewnym czasie skręciła ostro w prawo, prowadzącu jeszcze węższej dróżce, która wreszcie przywiodła ich doniewielkiej grupki domów. Wszystkie wyglądały ładnie, ale Jack nie chciał żadnego sąsiedztwa w promieniu mili.

- Ma pani może coś bardziej ustronnego?

Owszem.

- Spojrzenie kobiety wyraźnie mówiło, żeżyciana odludziu nie uważa za dobry pomysł.

- Ale imdalej od centrum, tym dalej po zakupy.

- To prawda.

- Jack uśmiechnął się do niej.

- Ale mnieto nie przeszkadza.

Kobieta wycofałażypa na główną drogę.

Przez następne piętnaście minut jechali w milczeniu.

Gdy wreszcie skręciław prawo, Jack domyślił się, że znajduję się na przeciwległym końcu wyspy.

Podjazd różnił się od tych, które widział wcześniej - miało najmniej dwie mile długości.

Kiedy wreszcie wyjechałinawolną przestrzeń, oczom Jacka ukazał się ocean,któryrozpościerał się przed nim jak cudowny dywan.

W górze po lewej stronie stał mały biały dom.

Wyglądał prawie tak samo, jak niektóre domy przy plaży na południu Florydy.

Był dosyć stary i nijaki, właściwie nieomal zlewał się jedno z białą piaszczystą plażą.

Ten jest wolny; w ogóle nie ma na niego chętnych.

- Kobieta spojrzała na dom z pogardą.

- Większość klientów życzy sobie większego komfortu.

Z pewnością nie jest to najlepsza oferta Małego Kajmana.

Rzeczywiście, pomyślał Jack.

Dla niego dom nadawał się idealnie już to widział.

Wyskoczyli z dżipa i Jack ruszył w kierunku wody.

244

- Może chciałby pan najpierw zobaczyć dom wewnątrz?

-Kobieta patrzyła na niego zdezorientowana.

- Nie.

to znaczy.

najpierw chcę popatrzeć napłażę.

- Nigdy nie zrozumiem.

- Pomachała do niego ręką.

Zwariowani Amerykanie.

Jack roześmiał się i przyspieszył kroku.

Kiedy dotarł do brzegu, widok, jaki ujrzał, zaparł mu dech wpiersiach:

zupełnie jak z reklamy biura podróży lub jakiegoś filmu.

Nic nie zakłócało spokoju mogło się wydawać, że jest tutaj jedynym człowiekiem na świecie.

Nie było stąd widać żadnych innych domów.

Na plaży, niedaleko kępki palm, ktoś zostawił stary plastikowy stolik piknikowy.

Jack zapatrzył się na niego i wyobraził sobie ich troje przy tym stole za kilka miesięcy.

Będą tutaj siedzieć i podziwiać fantastyczne zachody słońca.

Będą grać w karty i śmiać się z tego, co powiedział czy zrobił Joey.

Szybko pobiegł powrotem do czekającej na niego kobiety.

- Bioręgo.

Nie mógł złapać tchu, serce mu waliło -nie tyle z powodu szybkiego biegu, ile z ekscytacji całą sytuacją.

Dośpelniał wszelkie jego oczekiwania.

Z kieszeni spodni wyciągnął aparat cyfrowy i zrobił kilka zdjęć.

- Ale proszę pana, nie został pan jeszcze dokładnie wszystkim poinformowany.

- Kobieta ściągnęła brwi.

Jack pomyślał, że zaraz zacznie na niego krzyżeć.

- Musimy rzucić okiem na to, co jest w środku.

Wtedy dopiero uzmysłowił sobie własne zachowanie.

Nie chciał przecież wydawać się dziwakiem.

Prawdopodobieństwo, że ktokolwiek będzie wypytywał pośredniczkę nieruchomości dzisiaj popołudnie było znikome, ale.

245.

Zaśmiał się krótko, schował aparat do kieszeni i otrzepał dłonie o spodnie.
- Rzeczywiście, rzućmy okiem.

Wewnątrz znalazł trzy sypialnie i salon.

Gdzieś niedawno było drobneusterki, ale byłyto rzeczy, z którymi z łatwością sobie poradzi.

Kuchnia była skromnie wyposażona, pralnia - mniejsza niż w ich obecnym domu, ale to drobiazgi.

Trzeba tylko dokupić trochę mebli i dom będzie urządzony.

W drodze powrotnej do biura nieruchomości Jack prawie się nie odzywał; chłonał piękny krajobraz - bujną roślinność, drzewa i specyficzny zapach tropików.

Trudno mu było uwierzyć, że za niecałe dwa miesiące tutaj właśnie będzie ich dom.

Owszem, będzie to wymagało przystosowania się, zwłaszcza dla Molly.

On sam nie miał nic przeciwko porzuceniu świata wielkiej korporacji.

Pewnego dnia, kiedy przeprowadzą się do Europy, żeby Joe mógł pójść do szkoły, Jack znajdzie inną pracę, ponownie nawiąże kontakty z przemysłem farmaceutycznym.

Jednakże dla Molly przeprowadzka oznaczała zerwanie kontaktów z przyjaciółmi, zarzucenie życia towarzyskiego i wszystkiego, co dotychczas składało się na ich życie.

A co najgorsze, straci kontakt z Beth.

Gardło mu się ścisnęło na samą myśl, ale odetchnął głęboko i dołował się opanować.

Nie mają przecież wyboru.

Tylko w ten sposób zostaną razem.

Molly to rozumiała - ilekroć o tym rozmawiali, powtarzała wciąż to samo: "Ty i Joey, kochanie.

Niczego mi więcej nie trzeba".

Przed odlotem do domu ułatwił całą transakcję: podając fałszywe nazwisko, wypełnił formularz umowy wynajmu i zostawił zaliczkę.

W biurze nieruchomości powiedział, że będą potrzebowali domu przynajmniej na rok oraz że

246

skontaktują się w połowie września, gdy ponownie przylecą na Kajmany.

Konto wolał jednak założyć na Wielkim Kajmanie.

Ten mały kawałek ziemi o długości zaledwie dwóch mil to

wszak największe na świecie skupisko banków i innych instytucji finansowych.

Gdzie zatem łatwiej ukryć pieniądze niż tu?

Można tutaj założyć rachunek i zdeponować pieniądze nawet pod fałszywym nazwiskiem.

Dopóki nie zaciąga się kredytu, bank o nic nie pyta.

Jack założył konto, podając jako właścicieli Walta i Tracy Sandersów, i przelał na nie trzy tysiące dolarów.

Podczas zdawkowej uprzejmej konwersacji z urzędnikiem bankowym wspomniał, że ma zamiar wraz z rodziną spędzić rok na Kajmanach, by w spokoju pracować nad jakimś projektem.

- Doskonały pomysł!

- Mężczyzna z radością przyjął pieniądze.

- Pańskie konto będzie czekało na pana przyjazd.

Jack wsiadł z powrotem do samolotu, zajął miejsce i przymknął powieki.

Dopilnował wszystkiego w najdrobniejszych szczegółach, zapisał nawet nazwę miejscowego sklepu z warzywami i kilku z meblami na Wielkim Kajmanie, gdyż na Małym działały jedynie niewielkie sklepiki z podstawowymi artykułami żywnościowymi.

Nie mógł się doczekać, kiedy porozmawia z Molly i pokaże jej zdjęcia.

Kilka razy poczuł klucie strachu, który jakby próbował zakłócić jego dobre samopoczucie, ale zignorował je.

Robią przecież tylko to, co muszą zrobić.

Wszystkie elementy planu zaczynały coraz lepiej do siebie pasować.

rozdział XVIII

Minęło trzydzieści minut, odkąd Joey opuścił dom w towarzystwie Allyson Bower, by udać się z drugą wizytą do Porterów, kiedy Molly poczuła nagły atak paniki.

Jechali właśnie samochodem, Jack prowadził, ale Molly wydawało się, że jadą zbyt wolno.

Od lotniska dzieliło ich jeszcze jakieś piętnaście minut.

- Pospiesz się!

- Gryzła palce, tupiąc nerwowo w podłogę samochodu.

Szybciej.

muszą jechać szybciej!

- W tym tempie nigdy nie dojedziemy!

Musieli zobaczyć się z Joeyem, zanim wsiądzie do samolotu.

Owszem, tym razem, kiedy przyszła po niego Allyson, zachowywał się spokojniej.

Płakał, ale tylko troszeczkę.

Allyson natomiast zdawała się równie poirytowana co poprzednio.

Powiedziała im, że kilkakrotnie telefonowała do sąsiada, ale nie było możliwości uchylecia jego decyzji.

Wkrótce chłopiec miał zamieszkać z Porterami na zawsze.

Przed samym wyjściem Joey jeszcze raz skorzystał z łazienki.

Kiedy z niej wyszedł, otarł wilgotne ręce o dżinsowe krótkie spodnie.

Na policzkach miał ślady łez, ale nie szlochał ani nie trzymał się kurczowo Jacka.

Molly wyciągnęła

248

do niego ręce i zastanawiała się, czy oto właśnie dokonała się w nim zmiana.

To, co jeszcze niedawno wydawało się strasznie i przerażające, teraz stało się po prostu smutnie i nieprzyjemne, a pewnego dnia być może zostanie całkowicie zaakceptowane.

Stanie się częścią jego życia.

Joey jakąś się przez pierwszy tydzień po powrocie od Porterów i kilka razy zmoczył wtedy łóżko, choć nic podobnego mu się wcześniej nie zdarzało.

Ale teraz mówił już normalnie, a nocami wstawał, by skorzystać z toalety - jak zwykle.

Molly przytuliła synka mocno i wyszeptała mu do ucha:

- Zadzwoń do mnie, dobrze?

Zanim położysz się spać.

Trzymając ją zaszyję, mały odchylił się do tyłu.

- Poprosiłem Pana Boga, żeby tym razem też ze mną pojechał.

- To dobrze - Molly powiedziała to całkiem szczerze.

Wciąż nawiedzał ją szaleńczy strach o niego bała się, że może zginąć w katastrofie lotniczej, zakrztusi się hotdogiem albo zachoruje na nieuleczalną chorobę, a nikt tego nie zauważy.

Kiedy ostatnim razem ona i Jack spotkali się z Beth i Billem, podjęła decyzję.

Dlaczego właściwie miałyby udawać coś tak oczywistego jak modlitwa?

Jeśli Joey może rozmawiać z Bogiem, to czemu nie mogłaby i ona?

Ucałowała synka w nos.

Ja też Go o to poproszę.

Z tą chłopiec pożegnał się już wcześniej.

Jack stał teraz kilka kroków dalej i rozmawiał z panią Bower.

Joey potarł swój mały nos o nos Molly.

- Noski-eskimoski.

Molly zrobiła to samo, a potem zatrzepotała rękami przy jego rękach.

- ...

imotyłkowe całuski!

249.

Joey odwzajemnił gest - zamrugał tuż przy jej oczach, ale w pewnej chwili urwał i oparł czoło o jej głowę.

Będę bardzo za tobą tęsknić, mamusiu.

Joey.

Serce Molly pękało od tego pożegnania, Spróbowała wyobrazić sobie mały domek na Kajmanach; całe to pożegnanie to przecież tylko na chwilę.

Już wkrótce będą razemna zawsze i nikt im nie zabierze Joeya.

Przytulił go.

- Ja też będę za tobą tęsknić.

Obok nich siedział GUS, który z siebie tylko wiadomego powodu wybrał ten właśnie moment, by kilka razy żałośnie zaskomleć.

Joey puścił mamę i objął psa.

- Nielubisz, kiedy wyjeżdżam, prawda, GUS?

- Wtulił warzyczkę w psie futro.

Słyszałaś, mamusiu podniósł nanią wzrok - GUS pyta, czy nie mógłbym jednak zostać.

- Powiedz Gusowi, że wszyscy byśmy tego chcieli.

Molly cofnęła się i stanęła obok Jacka.

Jeszcze raz przytulili się wszyscy troje na pożegnanie.

Pani Bower powiedziała, że jest gotowa, a kiedy ona i Joey wyszli,

Molly zrobiła to, co miała ochotę uczynić już trzy tygodnie temu, gdy Joey po raz pierwszy opuścił dom: padła w ramiona Jacka i się rozplakała.

Kwadrans później spostrzegli, że mały czegoś zapomniał.

- Musimy mu go dać!

Molly wierciła się niespokojnie na siedzeniu pasażera, patrząc co chwilę na zegarek.

- Samolot odlatuje za godzinę, wkrótce będą wsiadać.

Robię, co mogę skrzywił się Jack.

Obydwoje czuli się ostatnio jak w jakimś koszmarnym śnie: chore dni mijały jeden po drugim.

Żadnemu z nich nie mogło się pomieścić w głowie, że Joey miał zaraz wsiąść do samolotu z pracownicą opieki społecznej i udać się do Ohio.

Porterowie, brak pomocy ze strony adwokatów, uparty sędzia, niedorzeczne prawo.

ich plan opuścić

250

nia kraju - wszystko to wydawało się zupełnie nierzeczywiste.

Zwłaszcza w porównaniu z tym, co było zaledwie pięć tygodni temu, gdy

jeszcze wiedli spokojne, wręcz idylliczne życie.

Ale w tym ciągu szalonych wydarzeń obecna chwila wydawała się szczególnie ważna.

- Musimy go dogonić, zanim wyleci.

- Dogonimy.

- Jack zjechał z autostrady w stronę lotniska i zaraz za zakrętem dodał gazu.

Sześć minut później wbiegali już przez drzwi prowadzące do budynku lotniska.

Przy bramce bezpieczeństwa wyjaśnili, że ich nieletni syn ma zaraz polecieć lotem numer 317 do Cleveland i że czegoś zapomniał.

- Musimy mu to dać!

Dostali wejściówkę i zostali podprowadzeni do ochrony.

Na szczęście kolejkanie był tego dnia zbyt długa, więc nie upłynęło nawet pięć minut, gdy biegli w kierunku wejścia.

Dotarli na miejsce dokładnie w chwili, gdy Allyson i Joey ustawiali się w kolejce do samolotu.

Nie wydawało się, żeby Joey płakał, ale już z daleka widać było jego smutne spojrzenie.

- Joey!

- Molly nie poznawała własnego głosu; zachowywała się w tej chwili jak wariatka, ale nie dbała o to.

- Joey, poczekaj!

Usłyszał ją i odwrócił się.

- Mamo!

- wyrwał się pani Bower i zaczął biec ku nim.

- Tato!

Pani Bower wyszła z kolejki.

Niewyglądała wcale na zdenerwowaną ich przybyciem na lotnisko, ale czas naglił

trzeba było wchodzić na pokład.

Pokazała na zegarek.

Jeśli przypomnieli sobie coś, co w ostatniej chwili chcieliby jeszcze powiedzieć dziecku, to lepiej niech się z tym pośpieszą.

251.

Molly wyciągnęła coś z torebki i wyciągnęła w stronę synka.

- Pan Małpka!

- Twarz chłopca się rozjaśniła.

- Zapomniałem go wziąć z łóżka.

- Wiem.

Molly wyprostowała się, patrząc małymu w oczy.

- Właśnie tam go zobaczyłam, kiedy już wyszedłeś.

- Pędziliśmy na złamanie karku, żeby tylko ci go dostarczyć. Jack zagarnął chłopca w ramiona i okręcił się z nim - bo bardzo cię kochamy!

- I Pana Małpkę też kochacie, prawda, tatusiu?

- zachichotał Joey.

- Tak jest!

- Była to jedna z jaśniejszych chwil w ciągu ostatnich dni: stali w troje, przytulając się, a Joey przyciskał do piersi Pana Małpkę.

Z odległości kilku kroków przyglądała się im pani Bower.

W końcu rzuciła przepaszające spojrzenie i ponownie wskazała na zegarek.

Jack zreflektował się pierwszy.

Jeszcze raz uściskał Joeya i postawił go na ziemi.

- Czas na ciebie, kolego.

- Dobra.

- Oczy chłopca posmutniały, ale nie wydawał się tak smutny jak przedtem.

- Wieszco?

- Powiódł spojrzeniem od Jacka do Molly.

- Zawsze jest ze mną Pan Bóg, bo On zawsze towarzyszy temu, kto Go o to prosi.

- Uniósł w górę pluszową małpkę.

Ale miło jest też mieć Pana Małpkę, bo do niego mogę się przytulić - zrobił zabawny minę do Pana Boga przytulić się nie da.

- Toprawda.

- Molly przykucnęła i pocałowała go.

- Idź już, pani Bower czeka.

Pomachał im na pożegnanie, przytulił Pana Małpkę po kilku sekundach wraz z panią Bower zniknął im z oczu.

Molly odetchnęła.

- Cieszę się, że zdążyliśmy.

252

- Ja też.

Jackujął dłońżony i oboje wyszli z budynku
lotniskawstronęsamochodu - jakbynigdy nic.

A przecież ich synek miał ziać spaćw obcym łóżku, w domu, którego nawet
niewidzieli, w towarzystwie dwojga zupełnie nieznanym ludzi.

Był tylko przedmiotem rozprawy o przyznanie praw do opieki - sprawy,
która mogłaby trafić na pierwsze strony gazet, gdyby tylko zechcieli.

Wkrótce zaś miał zostać błyskawicznie przewieziony ze swojego domu na
południu Florydy do niewielkiego domku na plaży na jakiejś odległej
wyspie, nie wiadomo gdzie.

Także jego dotychczasowe imię miało zostać zmienione: zamiast Joey miał
nazywać się Aaron.

Aaron Sanders.

Ale dziś wieczorem przynajmniej będzie miał swojego Pana Małpkę.

Wendy stała przy umywalce.

Podkład, którego używała co dzień, powinien być wystarczyc, żeby
zatuszować siniaka na policzku, ale okazało się, że tak niestety nie jest.

Siniac pozostawał widoczny spod warstw makijażu, a Joey i pani Bower
zaraz tu będą.

Już wcześniej Rip nakazał jej:

- Zasłoń to jakoś albo się nie pokazuj.

Powiem tej Bower, że wyszłaś.

Ale tak być nie mogło; warunkiem były zostały ściśle określone -
zarówno Rip, jak i Wendy mieli być w domu, by powitać Joeya i móc
wysłuchać ewentualnych uwag pracownika opieki społecznej.

Nie można więc było udawać, że Wendy nie ma akurat w domu to
natychmiast wzbudziłoby podejrzenia.

Ale .

siniak też je wzbudzi.

253.

Wendy czuła łzy napływające do oczu; zamrugła szybko, żeby je osuszyć. Nie mogła się teraz rozplakać, łzy zniszczyłyby misterny makijaż. Pociągnęła nosem.

Głowa do góry;

zaraz przyjedzie Joey.

A wtedy wszystko się jakoś ułoży.

Przekopała całą kosmetyczkęw poszukiwaniu kremurozjaśniającego pod oczy.

Był gęsty miał ziemisty odcień, dlatego w sam raz nadawał się do zamaskowania siniaka.

Westchnęła z drzeniem.

Choćby nie wiadomo co sobie wmawiała, zdawała sobie sprawę z tego, że nie dzieje się dobrze.

Przyjazd Joeya nierozwiąże problemów, które ostatnio znów się pojawiły. Problemów z Ripem.

Do czasu pierwszej wizyty chłopca Rip radził sobie świetnie, ale gdy się okazało, że nie potrafi od razu nawiązać kontaktu z synem, zaszła w nim jakaś zmiana.

Zrobił się szorstki wobec Wendy, często tracił panowanie nad sobą i wynajdywał kolejne powody, by się na nią wściekać.

Nie byłoby to jeszcze najgorsze, bo w czasie pobytu w więzieniu nauczył się radzić sobie z tego typu emocjami.

Ale nikt niestety nie nauczył go, jak zachować umiar w picciu.

Odkąd Wendy go znała, zawsze po pijanemu wpadał w niekontrolowaną furję.

Dlatego właśnie po wyjściu z więzienia, gdy na dodatek dowiedział się, że ma syna, że istnieje szansa odzyskania go i że mogą zostać prawdziwą rodziną, Rip obiecał Wendy, że skończy z picciem.

No, może od czasu do czasu wypije małe piwko.

Ale żadnych mocniejszych trunków- przecież ma zostać ojcem.

Złamał obietnicę już pierwszego wieczoru po wyjeździe Joeya.

Zaraz pojechał do monopolowego, kupił dwie butelki Jacka Danielsa i wrócił z nimi do domu.

Pierwszą otworzył jeszcze przed przekroczeniem progu.

Wendy oczywiście nic nie powiedziała.

Wiedziała, że kiedy jest pijany, nie ma co wchodzić mu w drogę.

254

Za to na drugi dzień pokazała mu butelki- jedną całkiem pustą, a drugą

do połowy opróżnioną- i kazała podjąć decyzję:

- Wiesz dobrze, że mogą jeszcze zmienić zdanie co do Joe'ya.

- Potrząsnęła gniewnie butelkami.

- Obserwują nas uważnie i patrzą, czy przypadkiem nie zrobimy jakiegoś fałszywego kroku.

- Sam będę podejmował decyzje!

- Rip wściekał się burzył, ale wiedział, że nie ma właściwie żadnego wyboru.

Tego samego dnia wylał resztę whisky do zlewu.

Wendy bardzo chciała wierzyć, że to ostatecznie załatwiło sprawę.

Od tamtej pory minęło kilka tygodni.

Rip pracował w kinie, był miły i zadowolony z siebie.

Wieczory upływały im na miłych rozmowach, podczas których mąż opowiadał jej, jak ważne zadanie spełnia w swojej nowej pracy.

- Mają dla mnie ważne zadania, Wendy.

- To dobrze, bardzo się cieszę, Rip - odpowiadała, i rzeczywiście tak było.

- Wierzę w ciebie, kochanie.

Zawsze wierzyłam.

Wtedy właśnie zaczął pić piwo - co wieczór więcej.

Ale nocniejszego alkoholu nie brał do ust, aż do przedwczoraj.

Zaczął się od pytań:

- A co, jeśli ten mały znów mnie nie polubi?

- Polubi cię na pewno.

Wendy bardzo pragnęła, by tak się stało.

Daj mu po prostu trochę czasu, żeby mógł do ciebie przywyknąć, Rip.

Po godzinie takiej rozmowy Rip wziął kluczyki.

- Muszę się przewietrzyć.

Po powrocie nie miał ze sobą butelki, ale widać było, że pił.

Wtedy właśnie Wendy uczyniła coś, czego nie powinna była robić: postawiła mu się.

255.

- Gdzie byłeś?

- Wyszła mu na spotkanie i stanęła przy drzwiach wejściowych z rękami wspartymi na biodrach.

- Co?

- Cuchnął czymś mocniejszym niż piwo i nie był w stanie skoncentrować na niej spojrzenia.

Machnął gniewnie ręką w jej kierunku.

- Zejdź mi z drogi!

- Chodź Joeya, prawda?

Boisz się własnego syna, Rip.

Nie widzisz tego?

Rysy jego twarzy wyostrzyły się, malowała się na niej znajomy wyraz napięcia, które mogło znaleźć ujście jedynie w ataku dzikiej furii.

- Nie będziesz mi mówić.

- Zamachnął się na nią, ale zrobiła unik.

- To wszystko twoja wina!

- Dostyc już miała obchodzenia się z nim jak ze zgniłym jajem, dostyc oczekiwania, że może jednak będzie tak miły, że się nie upije.

Nadszedł czas powiedzieć mu kilka słów prawdy.

- To wszystko, co się wydarzyło, gdy Joey był unasostatnio. to wszystko dlatego, że zachowałeś się wobec niego podle!

- Pochyliła się ku niemu, podnosząc głos.

W odpowiedzi Rip zamachnął się jeszcze raz, ale jego pięść ledwie musnęła jej policzek.

Cofnęła się o kilka kroków.

- Co ty wyprawiasz, Rip?

Taksamo zachowałeś się wobec Joeya.

Myślisz, że możesz ludzi zastraszać i w ten sposób sam stajesz się ważniejszy i lepszy, tak?

- Gówniarz nie ma za grosz dobrych manier wybełkotał gniewnie.

Wendy jednak zrozumiała, co mówi, i poczuła, że tym razem to w niej narasta złość.

- Niemów tako Joeyu!

To kochane dziecko!

- Cofnęła się jeszcze trochę.

Mógłbyś spróbować być dla niego miły, a nie szarpać go za ramię.

Traktuj go jak ojciec syna!

- krzyczała już bez żadnego opamiętania.

Nawet jeśli Rip zaraz rzuci się na nią, to przynajmniej najpierw ona powiemu, co myśli.

Zrobił kolejny krok w jej stronę.

Na jego twarzy odbiło się zdumienie, a potem gniew, który ją przeraził. To spojrzeniem mówiło jasno, że cokolwiek teraz zrobi, będzie później utrzymywał, że nie on ponosi za to winę.

Wendy zrozumiała, że to właśnie jeden z jego "gorszych dni".

Odchylił się i uniósł pięść.

Zdażyła tylko odwrócić twarz.

Cios padł na kość policzkową, a siła uderzenia powaliła ją na podłogę.

W tej samej chwili wściekłość Ripa prysła jak bańka mydlana.

Patrzył na nią przerażony i cofał się drobnymi krokami.

- Co.

co ja zrobiłem.

?

Posiniaczyłeś mi pięknie twarz, ot co!

- pomyślała Wendy.

Stojąc teraz przed lustrem, Wendy cmoknęła, wciąż zagniewana na Ripa.

Rozprowadziła kosmetyk po policzku, po czym nałożyła kolejną warstwę podkładu.

No! Cofnęła się o krok i przyjrzała swemu dziełu.

Teraz siniaka nie było wcale widać.

Pędzlem nałożyła na policzki nieco różu.

Proszę bardzo - twarz jak nowa!

Od czasu tamtej awantury Rip zachowywał się wobec niej nienagannie - jak prawdziwy dżentelmen.

Kilkakrotnie przeproszał ją i nawet nie zrzędził.

Zaczął dopiero parę godzin temu.

Ale teraz życzył sobie, żeby bez dyskusji zatuszowała siniaka.

Wydawszy jasne polecenie, siedział w salonie i oglądał telewizję.

Rozległ się dzwonek do drzwi.

Serce Wendy zabiło z radości: Joey!

Miała wrażenie, że chłopiec naprawdę się do niej przywiązał ostatnim razem, może nawet ją polubił.

W głębi duszy musiał wiedzieć, że to Wendy jest jego mamą, tą prawdziwą. Zgasiła światło, zbiegła na dół i otworzyła drzwi.

Tym razem pierwsza godzina wizyty Joeya przebiegła lepiej niż poprzednio.

Joey nie płakał, a Rip ograniczył się do uprzejmego powitania i krótkich, zdawkowych odpowiedzi.

Całą jego uwagę pochłaniał mecz w telewizji.

Allyson Bower poprosiła Wendy, żeby wyszła z nią na moment, zanim odjedzie.

Kiedy były na zewnątrz, Allyson przyjrzała się Wendy uważnie:

- Jaktam Rip?

- Rip?

- Wendy miała nadzieję, że w jej śmiechu brzmi raczej zdumienie niż zdenerwowanie.

- W porządku.

Bardzo chciałby, żeby Joey był już nasz na zawsze, i tyle.

Obojgu ciężko nam przetrwać to oczekiwanie na przekazanie prawa do opieki nad chłopcem.

Allyson spojrzała jej prosto w oczy:

- Czy on dalej cię bije, Wendy?

- Ależ skąd!

- Bezwiednie uniosła dłoń do policzka.

Szybko ją opuściła, ale było za późno.

- Kłamiesz.

- Allyson przyjrzała się jej twarzom.

- Założę się o górę pieniędzy, że pod tą grubą warstwą makijażu znalazłby się dowód, że nie wszystko u Ripa w porządku.

Wendy starała się przybrać oburzony wyraz twarzy.

Cóż to obchodzi panią Bower?

- Dobrze nam się układa; Rip przeszedł terapię, jak radzić sobie z gniewem.

Chyba już pani o tym mówiłam.

- Aha.

- Allyson zmarszczyła brwi.

- I terapię leczenia z uzależnienia alkoholowego także.

Czytałam w jego papierach.

- Pokazała ruchem głowy na dom.

- Ale w lodówce widziałam sześciopak piwa.

- Proszę pani.

- Wendy skrzyżowała ramiona.

-Niema takiego prawa, które zakazywałoby napicia się piwa odczasu do czasu.

Z Ripem jest wszyskcow porządku i między

258

nami też się wszystko świetnie układa - wyprostowała się, usiłując wyglądać na urażoną.

Jeśli pani Bower zacznie coś podejrzewać, mogą nie pozwolić im zatrzymać Joeya.

Na tonie mogła pozwolić.

- Nie podobają mi się pani pytania.

- Pytania należą do moich obowiązków, Wendy.

- Allyson popatrz jeszcze raz na jej policzki.

- Ty potrafiśz sama o siebie zadbać, więc to, co się dzieje między tobą a Ripem, to tylko twoja sprawa.

- Wskazała na drzwi.

- Ale bezpieczeństwo tego dziecka jest moją sprawą.

Jeśli Rip znów zacznie szaleć, masz mnie o tym natychmiast powiadomić, jasne?

Tak, oczywiście.

(Pani Bower weszła z powrotem do domu i powtórzyła Joeyowi to samo, co podczas ostatniej wizyty - że może zadzwonić do niej lub do swoich rodziców, kiedy tylko będzie miał na to ochotę.

Tym razem wyraźnie zaakcentowała słowo "rodzice".

Jakby chciała nie pozostawić żadnych wątpliwości, kto - jej zdaniem - powinien być rodzicami chłopca.

Kiedy wyszła, Wendy wypuściła głośno powietrze.

No, niewiele brakowało.

Pani Bower się myliła.

Rip mógł zasmerdzieć ją, Wendy, ale nigdy nie podniósłby ręki na chłopca.

Pewnie, mógł go szarpnąć za ramię, ale to w końcu byłoby całkiem normalne, no nie?

Zwłaszcza jeśli dzieciak nie chciał słuchać.

Ale na pewno nigdy nie wścieknie się na małego tak jak na nią.

A jeśli jednak.

Wendy usiadła przy kuchennym stole obok Joeya.

Dziś też miała dla niego ciasteczek - tak jak za pierwszym razem - zamoczyła je w mleku.

Ale przez cały czas coś nie dawało jej spokoju.

Słowa Allyson prześladowały ją przez całe popołudnie i aż do późnej nocy.
259.

Rip trzymał się nieco na uboczu, ale to wcale nie rozwiązywało problemu. Wendy i tak nie mogła znaleźć sobiemiejsca idopiero kiedy położyła się spać, zrozumiała, dlaczego, Wmawiając sobie, że Rip nigdy nie uderzyłby dziecka, i tow dodatku własnego syna, nie użyła zdania twierdzącego, tylko zadała pytanie.

I prawdę powiedziawszy, bez względu na to, jak bardzo chciała wierzyć w przemianę Ripa, sama sobie nie potrafiła na to pytanie odpowiedzieć. To z kolei prowadziło do kolejnego pytania, które nie pozwoliło jej zasnąć przez większą część nocy: jak matka wystawiłaby własne dziecko na niebezpieczeństwo?

Rozdział XIX

Beth nieumiała tego sprecyzować, ale coś w zachowaniu Molly nie podobało się jej.

Była zachwycona, kiedy jej siostra i Jack postanowili już poraz drugi pójść z nimi do kościoła.

Owszem, okoliczności były tragiczne, a wiadomo, że najlepiej szukać pomocy w kościele.

Bóg z pewnością miał wobec Joeya swój plan i zamierzał przeprowadzić go dokońca.

Beth i Bili modlili się ot gorąco.

Oboje byli co do tego całkowicie przekonani.

Fakt, że Molly i Jack zdecydowali się modlić wraz z nim o przyznanie im prawa do opieki nad Joeyem, był po prostu cudem. Ale pomimo całego natłoku spraw, które działały ostatnio w jej życiu ciągłych telefonów do senatorowi kongresmanów, a nawet do biura gubernatora Florydy - Molly wydawała się jakaś zmieniona, może - odległa. Dawniej ze wszystkim mierzyły się razem, dlatego z biegiem lat stały się sobie tak bliskie.

Beth podążyła myślą do czasów, kiedy pomiędzy narodzinami Cammie i Blaina trzykrotnie poroniła.

Zastanawiała się wówczas, jak to przeżyje; nie pozna przecież tych trojga dzieci, nie zobaczy ich, aż dopiero w niebie.

Nie

będą dorastały pod jej czułym spojrzeniem i serdeczną opieką Billa.

Nie uporałaby się z tym cierpieniem, gdyby nie to, że na szczęście miała Molly.

Po każdym kolejnym poronieniu Molly przez miesiąc dzwoniła do niego wieczór.

Obydwie odkładały wówczas wszelkie zajęcia i znajdowały czas, by porozmawiać, pośmiać się czy popłakać razem.

Za każdym razem w ciągu kilku tygodni Beth udawało się odnaleźć radość życia i mocną wiarę.

Zrozumiała wtedy, że jeden tylko Bóg wie, jak długi czas jest nam dany.

Nawet jeśli tego czasu jest tak niewiele.

Teraz jednakże, w chwilach tak trudnych dla Molly, prawie ze sobą nie rozmawiały.

Owszem, kilkakrotnie w tygodniu chodziły z dziećmi na basen czy do parku.

Ale przez cały ten czas Molly była jakaś odległa, a każdą rozmowę uciniała krótko.

Tak jak dziś rano w kościele.

Siedzieli w ławce wszyscy czworo: Bili, Beth, Molly i Jack.

Przez chwilę rozmawiali o jakichś drobnostkach, głównie o wyjeździe na Haiti.

Campbellowie już się zapisali i byli bardzo przejęci myślą, że zabiorą Joeya na pierwszy w jego życiu wyjazd wolontaryjny.

Ale Beth wyczuwała, że coś tu nie gra - ich rozmowa była jakaś nienaturalna.

Kiedy Molly się dowiedziała, że może utracić synka, nie posiadała się ze zmartwienia.

Plakała i drżała, prawie nie była w stanie oddychać.

Teraz - choć wciąż pogrążona w smutek - zdawała się mniej zdesperowana.

Z drugiej strony, w jej głosie brzmiała pustka, a w oczach miała coś, czego Beth nigdy przedtem nie widziała; coś, z czym nie potrafiła sobie poradzić.

Organy zaczęły grać; Beth oparła się wygodnie.

Lubiła nabożeństwa, ale dziś nie mogła się skupić: cały czas myślała o Molly.

Czy gnębi ją jeszcze coś innego?

Może

262

ma większe kłopoty, niż przyznaje?

Może nie układa jej się z Jackiem?

Rzuciła okiem na siostręsiedzącą w pobliżu.

Molly śpiewała; trudno było stwierdzić, czy wkłada w toserce, alew każdym razieprzykładała się.

Dobrze, żeprzyszła.

Przy wszystkich jej troskach nie było dla niejlepszego miejsca niż kościół.

A może o to właśnie chodzi?

Może Mollyzmaga się odnalezieniem wiary i stąd ten dystans?

Bethprzeniosławzrok na słowa pieśni wyświetlonena ekranie.

Istniało jeszcze jedno możliwe wytłumaczenie, aleonim Beth nie chciała rozmawiać z nikim ani z Billem,ani tym bardziej z Molly.

Chociaż Molly codziennie informowała ją o telefonachdo różnychVIP-ów, a Jack kontaktowałsię zkolejnymiprawnikami, odnosiło się wrażenie, żeśprawy wcale nieposuwają się naprzód.

Gdyby ktoś chciał odebrać Bethjedno z jejdzieci, już dawno poinformowałaby otymprasę.

Dziennikarze nękaliby sędziego pytaniami, dlaczegowydał tak okropne orzeczenie, skoro możeono skrzywdzićniewinnydziecko będące przedmiotem sprawy.

Natomiast Molly i Jackwydawali się nieomalbierniw tej kwestii.

Może byli w szoku?

Możeparaliżował ichstrach i rozpacz?

Może liczyli najakiś cud w ostatniejchwili?

W końcu o taki cud wszyscy, łącznie z Beth, sięmodlili.

Cud, oczywiście, mógł się zdarzyć.

Na pewno sięzdarzy, co dotego Beth nie miała żadnych wątpliwości.

Niewierzyła jednak, że działania, którepodjęli MollyiJack, to wszystko, na co ich stać.

Cud nie cud, Molly powinna szalećteraz z niepokoju.

Tymczasem rozmowy z nią obracały się głównie wokółtematu jej ostatnich telefonów do rozmaitychpolitykóworaz zbliżającegosię wyjazdu.

263.

- Jakie ubrania zabierasz?

- zapytała w ubiegłym tygodniu.

Apotem jeszcze: - Szczepisz na coś dzieci przedwyjazdem?

Beth miała ochotę wrzasnąć na nią:

- Molly!

Obudź sięwreszcie!

Za chwilę zabiorą ci dziecko, a ty myślisz tylko o tym, czyjoey powinien zabrać naHaiti długie czy krótkie spodnie?

Beth poruszyła sięw ławce niespokojnie.

Jeśli Mollywyjeżdża na Haiti, ślepo ufającOpatrzności, tym lepiejto o niej świadczy.

Bóg jest wszechmocny, jeśli zechce,pozwoi, by Joey pozostał u Campbellów.

W tej samejjednak chwili w rozmyślania te wkradł się niepokój istniała także inna możliwość.

Być może Jack i Molly niemartwili się wcale, gdyżmieliprzygotowany innyplan, odwołujący się do zdecydowaniebardziej drastycznych środków.

Czyżby to dlatego zaczęlichodzićdo kościołai zapisali się na wyjazd na Haiti?

Czyto możliwe, że mają zamiar uciecz kraju, zabierajączesobą Joeeya?

Beth usiłowałaskupić się na słowachśpiewanej pieśni.

Nie,Molly nigdy by tak nie postąpiła.

Nigdy!

Beth nienawidziła samą siebie za takie myśli.

PrzecieżMolly i Jack to porządni, przestrzegający prawa obywatele.

Niemożliwe, żebyw ogóle brali pod uwagę ucieczkę zkrajuiukrywanie się gdzieś postęпки całkowicie sprzeczneprawem.

Oboje bylidobrymi, uczciwymiludźmi, mocnozwiązanymi z otoczeniem, w którym żyli.

Przez chwilę Beth udało się skoncentrować na pieśni.

Nie, to niemożliwe - powróciły nurtujące ją wątpliwości.

Niemożliwe, żeby jejsiostra i szwagier mieli zamiar zabraćJoeeya i wyjechać.

Beth skarciła się za takieprzypuszczeniei przepędziła złe myśli.

Molly ma prawo być roztargniona;

pewniema teraz wrażenie, że życie wymknęło się jej spod

kontroli.

To oczywiste, że nie zachowuje się normalnie - jest przecież w szoku.

Jednakże kiedy nabożeństwo dobiegło końca i udali się na kolejne zebranie w sprawie wyjazdu, Beth odciągnęła Molly na bok.

Uzgodniliście wasz wyjazd z tą pracownicą opieki społecznej, prawda? Skoro sprawa o przyznanie prawa do opieki nad Joeyem jest jeszcze w toku, to na pewno musicie uzyskać jej zgodę, zanim wyjedziecie z kraju.

Na ułamek sekundy na twarzy Molly odmalowała się wyraz absolutnej paniki.

Być może Beth tylko taksję zdawało, ale miała nieodparte wrażenie, że na samą myśl o uzyskaniu zgody pracownika opieki społecznej na wyjazd z kraju Molly zdrętwiała z przerażenia.

Aleszybko odzyskała równowagę, a kąci jej ust uniosły się lekkim uśmiechem.

Oczywiście, Beth.

Dostaliśmy już zgodę.

To dobrze.

- Siostra pokiwała głową.

Poczuła znaczną ulgę.

- Chciałam się tylko upewnić.

Przez całą drogę do domu Beth pozwoliła sobie na komfort uczucia ulgi.

Chyba zwariowała, że zaczęła posądzać własną siostrę o chęć złamania prawa i ucieczkę z kraju.

Pewnie jest roztargniona, bo cały czas myśli, jakby tu znaleźć odpowiedniego adwokata czy polityka, którym mógłby skutecznie pomóc.

Ale przecież w końcu ktoś taki się znajdzie; ktoś im wreszcie pomoże.

I stanie się cud.

Beth święcie w to wierzyła.

Allyson Bower odłożyła słuchawkę i jeszcze raz prześledziła myślą przebieg rozmowy.

Było wtorkowe popołudnie;

265.

właśnie przed chwilą zadzwoniła Molly Campbell, by przedstawić jej szczególną prośbę.

Otóż oboje z mężem pragnęliby zabrać Joeya na pięciodniowy wyjazd wolontaryjny wraz z parafialną wspólnotą na Haiti, gdzie mieli pomagać przy naprawie budynku sierocińca i spędzić trochę czasu z mieszkającymi tam dziećmi.

Czy mogą?

- pytała Molly.

Jako znakomicie wyszkolony pracownik opieki społecznej Allyson potrafiła w porę dostrzec każde niebezpieczeństwo.

Dzieci, którymi się zajmowała, często nie zdawały sobie sprawy z tego, że pakują się w kłopoty.

Dlatego właśnie potrzebowały pomocy dorosłego, który umiałby rozstrzygnąć, czy dana sytuacja jest bezpieczna, czy nie.

Kogoś, kto pracowałby dla nich i w ich imieniu.

Campbellowie stanęli w obliczu groźby utraty jedynego dziecka, które wychowywali przez pięć lat.

Za tydzień zostaną im odebrane prawa do opieki nad nim, a oni właśnie teraz proszą o pozwolenie na wyjazd z kraju?

W każdych innych okolicznościach Allyson nie wahałaby się ani przez chwilę: jej odpowiedź byłaby kategorycznie odmowna.

Niemogła sobie pozwolić na ewentualne kłopoty, gdyby sprawy przybrały zły obrót. Campbellowie nagle zniknęli.

Kiedy już bowiem przybrani rodzice wyjadą z kraju, to nawet jeśli kupili dom w Port-au-Prince i na jego drzwiach wieszili wielką tabliczkę ze swoim nazwiskiem, trudno byłoby ich zmusić do powrotu do Stanów.

Jednakże z pewnych względów pomysł ten spodobał się Allyson: ostatnie wspólne wakacje z dzieckiem, ostatnie chwile na to, by wzmocnić łączącą ich więź i pokazać mu, co jest dla nich ważne.

Może chłopiec zaprzyjaźni się z którymś z dzieci sierocińca, a wtedy Campbellowie adoptują to właśnie dziecko?

Dziecko z Haiti.

Było to całkiem możliwe.

266

Problemem polegał jedynie na tym, że Allyson nie widziała w aktach Campbellów żadnej wzmianki o kościele czy religii; nie było tam nic, co mogłoby świadczyć o tym, że wiara jest dla nich ważna.

Zapytała Molly Campbell o nazwę kościoła, do którego chodzą.

Teraz trzeba tylko sprawdzić, czy rzeczywiście Campbellowie są jego członkami i zamierzają wyjechać wraz z ową wspólnotą.

Jeśli to wszystko prawda, to Allyson przedstawi sprawę sędziemu i wyda pozytywną opinię.

Nakaz sędziego nie był potrzebny.

W czasie wyjazdu Campbellowie sprawują opiekę nad Joeyem wspólnie z Porterami.

Dopiero w piątek, po powrocie z Haiti, na zawsze utracą wszelkie prawa do syna.

Jeśli więc pragną pojechać z dzieckiem na ostatnią wycieczkę, Allyson nie będzie im tego utrudniać.

Oczywiście, jeśli wszystkie informacje na temat wyjazdu będą się zgadzały.

Allyson wyszukała numer telefonu kościoła.

Przełączono ją zaraz do kancelarii, gdzie wyjaśniła, kim jest i w jakiej sprawie dzwoni: chciała sprawdzić, czy kilkoroczni członkowie tego kościoła faktycznie uczestniczyli w życiu wspólnoty.

- Bardzo proszę- sekretarka była bardzo miła.

- Chodzi o Jacka i Molly Campbellów.

Twierdzą, że regularnie uczęszczają do waszego kościoła.

- Chwileczkę, sprawdzę w komputerze.

Sekretarka milkła na chwilę, a w słuchawce dało się słyszeć ciche klikanie.

- Tak, zgadza się.

Jacki Molly Campbell.

- A więc należą do waszego kościoła?

- Już sprawdzam.

Tak, zapisano na ich karcie.

- Jak długo są we wspólnocie?

- No, cóż.

trudno dokładnie powiedzieć.

Nie prowadzimy aż tak dokładnych zapisów.

- Zastanawiała się przez

267.

chwile.

Ale zazwyczaj uznajemy kogoś za członka naszej wspólnoty co najmniej po roku.

Allyson się uśmiechnęła; wszystko się zgadzało.

-A czy istnieje jakikolwiek zapis, który mógłby potwierdzić, że Campbellowie przynajmniej od roku należą do waszego kościoła?

- Nie sprawdzamy obecności na nabożeństwach.

Ale obserwujemy, kto i kiedy składa ofiarę; nasi członkowie w sposób regularny uczestniczą w ponoszeniu kosztów związanych z życiem wspólnoty.

- A Campbellowie?

Czy oni także regularnie składali ofiary?

- Niech spojrzę.

- Znowu chwila ciszy.

- Tak.

Najwyraźniej to wygląda.

Przez ostatnie trzydzieści miesięcy Campbellowie regularnie wpłacali pieniądze.

Allyson szybko zanotowała dane przekazywane przez sekretarkę, po czym zapytała o wyjazd na Haiti.

- To czas szczególny dla członków naszej wspólnoty.

Ten wyjazd przeznaczony jest dla rodzin.

Daje doskonałą okazję, by wraz z dziećmi przeżyć coś niezwykłego, pomagając w jednym z sześciu sierocińców, które wspomagamy w Port-au-Prince i na obrzeżach miasta.

W każdym z ośrodków będzie pracować zespół liczący od dwunastu do piętnastu osób.

- A kto będzie nadzorował te prace z ramienia kościoła?

- Dla każdej z grup zostanie przydzielony opiekun duchowny.

Allyson uśmiechnęła się i zanotowała kolejną informację.

- Dziękuję bardzo.

Do widzenia.

Jeszcze tego samego popołudnia przedstawiła sprawę sędziemu.

Przeczytał uważnie akta i notatkę Allyson, po czym zmarszczył brwi.

268

- Wyjazd na Haiti?

- Proszę zrozumieć, Wysoki Sądzie.

Allyson bardzo zaangażowała się w sprawę.

- Tego typu wyjazdy na Haiti odbywają się regularnie.

Campbellowie będą w grupie, która przez cały czas pozostanie pod nadzorem kogoś kościoła.

Sędzia spojrzął nanią nieufnie.

- Ale przeniesienie prawa do opieki nastąpiła dziś.

- Wysoki Sądzie, mieszkańcy Haiti to przeważająca część ludności czarnoskóra.

Jeśli nawet Campbellowie chcieliby uciec - pieszo, w środku nocy - to natychmiast zostaliby zatrzymani na lotnisku.

Proszę mi wierzyć, będę wyróżniać się z tłumu - westchnęła i wskazała na zegar.

- Chciałabym powiadomić Campbellów o pańskiej zgodzie jeszcze dzisiaj. Ten wyjazd ma dla nich ogromne znaczenie.

A ja nie mam w tej kwestii żadnych zastrzeżeń.

Przez chwilę sędzia w milczeniu stukał palcami w leżącą przed nim stertę dokumentów.

Następnie westchnął głęboko i powiedział:

- Dobrze.

Spojrzał na Allyson surowo.

Wiem, co pani sądzi o tej sprawie, pani Bower.

Ale prawa należy przestrzegać.

- Oczywiście, Wysoki Sądzie.

- Udzielam zgody.

- Sędzia zmrużył oczy.

- Oby się pani nie pomyliła.

Allyson nie mogła się doczekać, kiedy przekaże wiadomość Molly Campbell.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie.

Kwadrans później była już w swoim biurze i dzwoniła do Campbellów.

- Sędzia udzielił zezwolenia.

Wszystko się zgadza, pani Campbell.

- Próbowała zachować oficjalny ton, w który niewkradłaby się nuta triumfu.

Jej rola polegała na zachowaniu

269.

neutralności.

Może pani zabrać Joeya na Haiti, oczywiście przestrzegając terminów, które pani podałam.

-Dziękuję!

- W głosie Molly dało się słyszeć niewyobrażalną ulgę.

Allyson poczuła ucisk w gardle.

- Życzę miłego wypoczynku.

-Dziękuję.

To będą bardzo ważne chwile dla całej naszej trójki.

Porozmawiały jeszcze przez chwilę, po czym Allyson się rozłączyła. Była zbyt doświadczona, by w głębi duszy nieżywić choćby niewielkich podejrzeń co do wyjazdu Campbellów.

Ale walczyła tak zdecydowanie o zgodę sędziego z jednego powodu: policzka Wendy Porter pokryte gołębim naturalnie grubą warstwą makijażu. Rip Porter znów stał się agresywny.

Jeśli którąś z par miałaby podejrzewać kłamstwo, to przede wszystkim Porterów.

A poza tym, wywiązała się z obowiązków - sprawdziła informacje na temat wyjazdu podane jej przez Molly Campbell.

Reszta nie zależała od niej.

Rozdział XX

Jack obiecał Molly, że zajmie się całym przedsięwzięciem, i jak dotąd dotrzymywał słowa.

Najlepszym na to dowodem było załatwienie sprawy w kościele - po prostu majstersztyk!

Początkowo planowali nie informować pani Bower o wyjeździe na Haiti; w końcu co kogo obchodzi, że chcą wyjechać z dzieckiem na wycieczkę.

Ale kiedy ostatnio w kościele Beth poruszyła ten temat w rozmowie z Molly, musieli zmienić plan - trzeba było zadzwonić do Allyson Bower i poprosić o pozwolenie na wyjazd.

Najpierw jednak musieli rozwiać wszelkie podejrzania.

Skoro deklarują swoją przynależność do wspólnoty Bethel Bible Church, muszą być w stanie to udowodnić.

Na szczęście w Bethel Bible Church nie stawiano członkom prawie żadnych wymagań formalnych, a przy tysiącach uczestników niedzielnych nabożeństw praktycznie nie było sposobu sprawdzenia, którzy członkowie

wspólnoty faktycznie biorą aktywny udział w jej życiu.
Chyba że na podstawie listy darczyńców.

271.

Tamtej niedzieli po powrocie z kościoła Jack wypisał kilkanaście czeków, każdy na kwotę dwustu dolarówi każdy datowany pierwszego dnia jednego z kolejnychtrzynastu minionych miesięcy.

Każdyczek włożył doosobnej koperty.

Koperty zakleił i opisał odpowiednimidatami, a następnie włożyłje wszystkie do jednej większeji pospieszył zpakunkiemz powrotem do kościoła.

Właśnie przed chwilą rozpoczęło się ostatnie nabożeństwo.

Jack udał się do przykościelnej księgarni ipoprosiło spotkanie z sekretarką, gdyż ma pilną sprawę wymagającą osobistejrozmowy.

Powiedziano mu, że wyszła.

Wówczas Jackwyjawił, że chciałbyprzekazać чеки, na cokierownikksięgarni natychmiast znalazł jednego z pracowników kancelarii.

Była to młodziutka dziewczyna, jaksię okazało -praktykantka.

Jack z trudem ukryłzadowolenie.

- Popelniliśmy błąd i strasznie mi z tego powodu przykro - powiedział dodziewczyny.

Nie wyglądałana więcejniż jakieś dwadzieścia lat.

Jack użył całego swojego urokuosobistego.

- Ponad rok temuzdecydowaliśmy z żonąwpłacaćregularnie comiesięc określoną kwotę nacelekościelne.

-Uniósłszarą kopertę.

- Wypisywaliśmy czekii wkładaliśmy je tutaj.

Iwie pani, co się stało?

- Zrobiłgłupią minę.

-Ja myślałem, że żona je co miesiąc przekazuje, a ona była pewna, że ja torobię.

- Rozumiem.

- Dziewczyna wydawałasiędezorientowana.

-Może więc wrzuci je pan na tacę umieszczonąna tyłachkościła?

Każdyprzecież może się pomylić.

- Cóż.

widzi pani, to niejesttakie proste.

- Jackskrzywiłsię i obejrzał przez ramię.

Moja żona bardzosiętego wstydzi.

Uważa, że teraz ludzie będą patrzeć na nas jakna pogan, właśnie ze względu na to, że nie składaliśmy co

miesięcofiary.

- Wskazał na siebie.

- To moja wina, więc powiedziałem jej, że wszystko naprawię.

Dziewczyna potrząsnęła głową i zrobiła bezradną minę.

- Ale w jaki sposób mogę panu pomóc?

- Gdyby mogli państwo wziąć ode mnie te czekiki i wprowadzić je do waszego systemu komputerowego w kolejności dat, byłbym niezmiernie wdzięczny.

- Jack uśmiechnął się do dziewczyny jednym z swoich słynnych uśmiechów, które zawsze potrafiły zjednać mu ludzi.

- Chcielibyśmy po prostu, aby ten zapis odzwierciedlał nasze dobre intencje i pokazywał, że chcieliśmy wpłacać te kwoty comiesięcznie. Rozumie mnie pani, prawda?

Chodzi o to, żeby nie była to jednorazowa wpłata na łączną sumę wszystkich czeków.

- Dla celów podatkowych?

- Wyglądała na nieco zdenerwowaną.

- Nie możemy zmieniać zapisu dla celów podatkowych.

Jack potrząsnął głową i zamachał gwałtownie ręką.

- Nie, nie!

To nie ma nic wspólnego z podatkami - posłał jej kolejny uśmiech - jest przecież lipiec.

Chciałby tylko, żeby moja żona poczuła pełen komfort, kiedy pod koniec roku otrzyma wykaz naszych ofiar pieniężnych.

Nie chciałbym też, żeby była to jednoduża kwota, ponieważ połowa z tych pieniędzy powinna być przekazana w ubiegłym roku.

Rozumie pani?

- Więc nie chce pan wykazu za zeszły rok?

Pomimo że część czeków wystawiona jest z ubiegłoroczną datą?

- No właśnie, dokładnie o to mi chodzi.

Zeszłoroczny podatek to sprawa całkowicie zamknięta i nie ma do czego wracać.

Nie zależy mi na odpisie od podatku, tylko na tym, żebyśmy w Bethel Bibie mogli spojrzeć ludziom w oczy.

Dziewczyna nadal wydawała się zdumiona.

- Więc mam je po prostu wpisać zgodnie z datą wystawienia?

- Tak jest, bardzo proszę.

Zmarszczyła brwi.

- Ale jeżeli tak zrobię, to znaczki wystawione na zeszły rok kalendarzowy nie dostanie pan ulgi podatkowej.

- Wiem.

- Udał, że się krzywi.

Ale naprawdę niechodzimi o podatki.

Poważnie.

Chciałbym jedynie, żeby moja żona była szczęśliwa.

Okazało się, że słowa te mają magiczną moc.

Dziewczyna uśmiechnęła się iskinęła głową.

- Szkoda, że nie ma więcej takich facetów jak pan.

Zrobimy tak: wpiszę to jako jedną dużą donację na rzecz kościoła, ale w państwowych dokumentach chyba mogę wpisać każdy czek osobno, stosownie do daty wystawienia.

- Dzięki!

- Jack bardzo się starał, by w jego głoszenie dało się słyszeć triumfu.

A mogłaby pani zrobić to od razu?

Żona wstydzi się pokazać w kościele, dopóki ta sprawa nie zostanie załatwiona.

Dziewczyna uśmiechnęła się i spojrzała na zegar wiszący na ścianie.

- Zaraz siadam do komputera - spojrzała na Jacka porozumiewawczo.

- Ale proszę powiedzieć żonie, że niktby jej nie potępił za to, że nie wpłacała pieniędzy.

Wielu ludzi nie wpłaca wcale.

Przecież to jest kościół, a nie jakiś klub.

A poza tym, jedynie garstka ludzi zagląda do naszych dokumentów.

Wzięła od niego kopertę.

Proszę o tym pamiętać.

- Dziękuję.

- Jack patrzył z uśmiechem, jak dziewczyna się oddala.

Uff.

Kolejny punkt planu został zrealizowany.

Teraz wspomnienie tamtego dnia przybladło.

Jack nie wiedział, czy Allyson Bower zapytała sekretarkę o wykaz

ich donacji.

Ale był pewien, że pracownica opieki społecznej zadzwoniła do Bethel Bibie, aby potwierdzić ich przynależność do wspólnoty.

Mówiła o tym wczoraj Molly przez telefon, kiedy przekazywała wiadomość o zgodzie sędziogonaich wyjazd.

Powiedziała, że jego decyzja była po części uzasadniona tym, że wszystkie informacje na temat ich przynależności do Bethel Bibie Church oraz wyjazdu na Haiti zostały potwierdzone.

Jack siedział w biurze Paula Kerkara - jednego z najlepszych pośredników handlu nieruchomościami, jakich znał. Paul zajmował się kupnem i sprzedażą luksusowych domów oraz posiadłości użytkowych.

To on niegdyś sprzedał Molly i Jackowi ich obecny dom, a od czasu do czasu dzwonił do nich z propozycjami korzystnych inwestycji.

Tym razem to Jack zatelefonował do niego.

Słuchaj, Paul, zarobiłem ostatnio trochę kasy.

Słowa Jacka były jak miód na serce Kerkara.

Natychmiast odezwał się radosnym tonem:

A ile tej kasy?

Trochę ponad milion; no, może półtora.

- Nawet nie drgnęła mu powieka.

Rozmawialiśmy o tym z Molly i doszliśmy do wniosku, że dobrze byłoby w coś zainwestować.

Myślmy o kupnie jakiegoś lokalu użytkowego w starym centrum West Palm Beach.

Jack usłyszał w słuchawce odgłos klikania Paul zawsze miał przy sobie kalkulator.

Dobrze: więc szukacie czegoś od czterech do sześciu milionów, tak?

Z dwudziestopięcioprocentowym upustem, bardzo proszę.

Tak to właśnie skalkulujemy.

Dwadzieścia pięć procent to minimum przy posiadłościach użytkowych.

Ale przez 275.

cięż przy twoich możliwościach kredytowych to żaden problem.

Jack się uśmiechnął.

- Też tak sędzę.

Godzinę później Paul zadzwonił trzema propozycjami.

Jack zwolnił się wcześniej z pracy i objechał z nim wszystkie trzy miejsca. Pod koniec dnia gotów był złożyć ofertę na zakup budynku, w którym mieściły się biura firmy medycznej.

Miał on najlepszą cenę za metr kwadratowy w całym centrum West Palm Beach.

- To nieruchomość o ogromnym potencjale - zapewniał Paul.

"Potencjał" było jego ulubionym słowem.

Potencjał inwestycyjny tego budynku jest po prostu nieporównywalny.

Jack dał się przekonać.

Zatelefonował do Molly i poprosił, żeby przyjechała do biura Paula, gdzie siedział ponad godzinę, studiując rozmaite dane, zanim podpisali ofertę.

Jack wystawił czek na dziesięć tysięcy dolarów zaliczki.

Jeszcze tego samego dnia zadzwonił do swojego doradcy finansowego.

- Jak wygląda moja zdolność kredytowa?

- Świetnie!

- Facet zachichotał.

- Nie codzień mówię klientowi, że może liczyć na milion dolarów.

W słuchawce znów rozległ się śmiech.

- Zaraz ci wyliczę dokładnie.

- Dobra.

Jack niecierpliwie stukał ołówkiem w blat biurka.

- Chciałbym wiedzieć, ile dostanę pod zastaw wszystkich moich nieruchomości?

- Odrobinę poniżej miliona dolarów.

- W tle słychać było szelest wertowanych papierów.

- Dokładnie dziewięćset siedem tysięcy.

Nic więcej nie wyciągniemy.

- Tyle mnie urzęda.

To nawet więcej niż się spodziewałem.

276

- Ceny nieruchomości niewyobrażalnie poszły w górę.

- W głosie brokera brzmiała autentyczna duma.

- Dobrze jest pracować teraz w tej branży.

Domyślam się.

- Eee.

Jack, nie obraż się, ale.
po coci tyle forsy?

Nie mówiłem ci?

Nie.

Mężczyzna zaśmiał się, bypokryć mieszanie.

- To znaczy.

to nie mój interes.

ale milion dolarów?

Otwieracie z Molly jakąś firmę czy co?

Swobodnie, Jack.

to musi brzmieć swobodnie.

- Mamy na oku nieruchomość przeznaczoną na cele użytkowe.
Znaleźliśmy w centrum budynek, w którym mieściły się biura firmy
medycznej; w doskonałym stanie.

- Naprawdę?

Ciężko cokolwiek znaleźć w tamtej okolicy.

- Mężczyzna był pod wrażeniem.

- Mam pewne znajomości.

- zaśmiał się Jack.

- Tajemstycjato będzie kura znosząca złote jajka.

Świetnie.

Tamten zawahał się przez chwilę.

Czyli wygląda na to, że dochód z wynajmu wystarczy ci na spłatę kredytu.

- Tak.

- Jack odchylił się na krześle i odłożył ołówek na biurko.

To czysty zysk dla wszystkich.

Nie chciał, by w jego głosie dał się słyszeć niepokój.

- Kiedy możesz podziwiać pieniądze?

Za tydzień wszystkie dokumenty powinny być gotowe do podpisania.

Pieniądze przelejemy w ciągu następnych kilku dni.

Doskonale.

Rozmawiali jeszcze przez kilka minut, po czym Jack się rozłączył.

Nie mógł uwierzyć, że wszystko poszło tak gładko.

Potrzebował jakiejś nieruchomości gdyby opieka społeczna lub sąd
wykryły, że na konto Campbellów wpłynęły 277.

nał ostatnio milion dolarów, mogłoby to wzbudzić ich czujność; zaczęłyby baczenie ich obserwować albo odmówiłyby zgody na wyjazd z kraju. Zakup nieruchomości całkowicie uzasadniał posiadanie tak dużej kwoty. Tak więc, przy założeniu, że noszą się z zamiarem inwestowania w nieruchomości, cała sprawa nabierała sensu.

Wyjazd na Haiti zbliżał się wielkimi krokami na każde wspomnienie o tym Jack miał ochotę poddać się panice.

Bywało, że nie spał po nocach, wypatrując luki w przygotowanym planie, jakichś niedopracowanych szczegółów.

Mieli tylko jedną, jedyną szansę na ucieczkę.

Wystarczy niewielki błąd, a stracą wszystko.

Na szczęście ostatnie rozmowy zupełnie dobrze załatwiały finansową stronę planu.

Teraz trzeba tylko w ostatniej chwili przelać fundusze na kilka oddzielnych rachunków, tak by ostatecznie wszystkie trafiły na ich konto na Kajmanach.

Jack zorganizował wszystko tak, by pieniądze zostały przelane na Kajmany na kilka dni przed ich przyjazdem.

Wtedy natychmiast będą mogli podjąć całą kwotę w gotówce; zanim policja się zorientuje, gdzie podziały się fundusze, rachunek już dawno będzie zamknięty, co zaprowadzi śledztwo w ślepią uliczkę.

Tak, wszystko układało się jak najlepiej.

Jeszcze tylko raz będą musieli rozstać się z Joeyem, gdy wyjedzie do Ohio w drugim tygodniu sierpnia.

Potem, jeśli plan się powiedzie, już nigdy nie będą się żegnać.

Beth nienawidziła samej siebie za miotające ją uczucia, ale nie mogła się ich pozbyć.

Martwiła się o Molly i Jacka.

Obawiała się, że mogą planować coś szalonego.

278

Molly wciąż wydawała się zamknięta w sobie, nawet kiedy Beth na wszelkie sposoby próbowała ją wy badać.

W pierwszą środę sierpnia obydwie wybrały się z dziećmi na pobliski basen.

Po całym dniu wróciły do domu Molly, gdzie dzieci zebrały się wokół stołu i zajadały winogronami i żółtym serem.

Molly zmywała naczyń, a Beth stała obok, dotrzymując jej towarzystwa.

- Więc nadal nie ma żadnych wiadomości?

- mówiła przyciszonym głosem.

Joey wciąż jeszcze nie wiedział, co go czeka.

- Żadnych.

Molly zeszkrobywała szklą jajecznicę z talerzyka śniadaniowego.

Odrzuciła włosy na plecy tak, żeby nie opadały jej na twarz.

- W biurze każdego z kongresmanów, do których dzwoniłam, powiedzieli mi, że napiszą do sędziego list z prośbą o ponowne rozpatrzenie sprawy.

Musimy wierzyć, że to coś pomoże.

Beth była zdezorientowana.

- Żeto coś pomoże?

Ale kiedy?

- Oparta biodrem o blat kuchenny, uważnie przyglądała się siostrze.

- W przyszłym tygodniu Joey jedzie tam poraz ostatni; wraca do domu na trzy tygodnie, a potem znika na zawsze!

- Wiem.

- Molly przestała zmywać.

Odwróciła głowę i wbiła wzrok w Beth.

W jej głosie wyraźnie brzmiało przygnębienie.

- Dlatego właśnie wciąż próbuję.

- Wróciła do skrobienia talerzyka.

- Dobra!

- Beth uniosła obie ręce, jakby się poddawała.

- Nie chcesz o tym rozmawiać, tonie.

Rozumiem - opuściła dłonie - ale zachowujesz się, jakbyś polewała płonący dom szklanką wody.

Molly wrzuciła gąbkę do zlewu i zmarszczyła brwi, patrząc na siostrę.

- Chcesz powiedzieć, że nie przejmuję się utratą Joeeya?

Że nic nie próbuję zrobić?

Przeniosła wzrok na dzieci siedzące

279.

w jadalni i zniżyła głos.

- Robimy wszystko, co w naszej mocy.

Poprosiliśmy o przesłuchanie w trzecim tygodniu sierpnia.

Wtedy właśnie sędzia zapozna się z listami od polityków i wysłucha naszych argumentów.

- Gwałtownie chwyciła gąbkę.

Z płaczem kładę się spać i z płaczem wstaję, Beth.

- Umilkła.

- Nie masz pojęcia, jak bardzo się staramy.

Życie bym oddała, gdyby to mogło pomóc mi zatrzymać Joeeya.

Co jeszcze, twoim zdaniem, powinnam zrobić?

Beth natychmiast pożałowała swych słów.

Przez chwilę stała cicho w bezruchu, pozwalając Molly się uspokoić.

Potem delikatnie dotknęła ramienia siostry.

- Molly.

wybacz mi.

Nie mam pojęcia, co bym zrobiła na twoim miejscu.

- Tak, jakby.

- Ręce Molly opadły bezwładnie.

Spojrzała Beth w oczy; ból w jej spojrzeniu był niemal namacalny.

- To tak, jakby Joey umierał.

- Drżały jej wargi.

- Jakbyśmy wszyscy troje umierali.

- Na jej twarzy malowała się wyraz zagubienia i bólu.

- Nie wiem, co mam robić, Beth.

Nigdy wcześniej niczego takiego nie robiłam.

Zadzwonił telefon, Beth uniosła rękę.

- Ja odbiorę.

Telefon stał na małym stoliku obok spizarni.

Beth odebrała po trzecim dzwonku.

- Halo?

- Cześć, miałem nadzieję, że cię tutaj znajdę.

Dzwoniłaś do mnie?

- To Bili.

- Tak.

- Beth pokazała Molly namigi, żeto do niej.

- Cześć, kochanie.

Odwróciła się plecami do siostry i patrzyła bezmyślnie na drobiazgi

rozrzuconena stoliku: kilka wizytówek, zaproszenie na ślub, zawiadomienie o narodzinach dziecka.

Nieco dalej, z boku, leżała kupka papierów z Bank of America.

Słuchaj.

- Beth przyjrzała się uważnie.

- Czy możesz kupić puszkę oliwek w drodze do domu?

Potrzebuję ich do zapiekanki.

280

- Jasne.

Jak było na basenie?

- Dobrze.

- Beth próbowała gawędzić swobodnie, ale nie mogła się skupić.

Pochyliła się nad stolikiem i przeczytała pierwsze zdania na jednym z dokumentów: "Informujemy przyznaniu kredytu w wysokości 987 000 dolarów, o który się państwo ubiegali.

Zgodnie z umową dokumenty podpiszą państwo w przyszłym tygodniu, a kwota zostanie przelana na państwa rachunek bankowy wkrótce po.

".

- Rozumiem, że musisz już kończyć?

- Przepraszam.

- Beth mocno chwyciła się oparci krzesła, żeby nie upaść.

Po co, na Boga, Jackowi i Molly prawie milion dolarów?

- Taak.

- Próbowała się skoncentrować na rozmowie z Billem.

Zadzwoń do ciebie za chwilę, dobrze?

- Jasne, pogadamy później roześmiała się Bili.

Odłożyła słuchawkę i popatrzyła na Molly.

Czy zauważyła, że Beth myszkowała w jej dokumentach?

Nie, chyba nie.

Pochyliła się nad zlewem, nadal zmywała naczyń.

Beth powstrzymała się od zadawania pytań dotyczących kredytu, chociaż paliła ją ciekawość.

Ale jeszcze tego samego wieczoru podzieliła się nowinami z Billem.

Dotychczas oczywiście stworzyła w myślach setki scenariuszy tłumaczących, dlaczego ma wrażenie, że Molly i Jack nie walczą z Joeya wystarczająco zażarcie.

- Bili.

- Oparła ręce na biodrach.

- Wydaje mi się, że oni chcą uciec.

- Kochanie.

Naoglądałaś się za dużo telewizji.

Siedzieli właśnie w sypialni, dzieci spały w swoich pokojach.

Bili oglądał program sportowy.

Beth stanęła przed

telewizorem, zasłaniając ekran.

- Nie, nie naoglądałam się telewizji, Bili.

Mówię poważnie.

Niezbyt się przykładają, by znaleźć kogoś, kto pomógł281.

by im w sprawie Joeya, a czas ucieka.

-Zaczęła gestykulować.

Molly jeszcze nawet nie powiedziała nic Joeyowi.

Ipo co im kredyt na milion dolarów?

Towszystko nie ma
sensu.

- Może na prawników.

- Bili usiłował coś dojrzeć naekranie.

-Może Jack znalazł jakiegośprawnika z najwyższej półki, który wie, jak wygrać tę sprawę.

Popatrzyła na żonę.

- Czy to niejest prawdopodobne?

- Za milion dolarów?

- Beth zmarszczyła brwi.

-Tochyba musiałby być jakiś cudotwórca!

- Mówię tylko - desperacko dowodził Bili - że Mollynie musi cię informować o wszystkim.

-Zawszetak robiła.

- Beth podeszła do okna.

Nazewnątrz byłociemno, tylko księżyc srebrnym światłemzalewał kępę dębów oddzielającą ich dom od sąsiadów.

Odwróciła się i westchnęła.

- Nie rozumiesz.

Bili?

Znamswoją siostrę; coś się znią dzieje.

Dokumenty z banku tylko to potwierdzają.

Bili wyciągnął do niejramiona.

- Chodź do mnie.

Beth nie chciała podejść.

Bili najwyraźniej chciał się jejpozbyć, bagatelizując jej odczucia.

Ale jednak potrzebowała przytulenia.

Podeszła wkońcu.

Wsunęła się powoli do łóżkai skuliła obok męża, kładąc głowę na jego ramieniu.

- Cud może działać dla Joeya tylko Bóg.

- Bili ucałował ją w głowę.

-Zapomniałaś?

Bóg..

- zamyśliła się Beth.

Bili ma rację.

Powoli wciągnęła powietrze głęboko do płuc.

- Modlę się o to -odprężyła się - ale chyba właśnie zapomniałam.

-Wydaje mi się, że Jack i Molly naprawdę wierzą w Boże działanie w tej sprawie.

- Bili zadumała się na chwilę.

282

- W przeciwnym razie nie chodziliby przecież do kościoła i nie modlili się z nami.

- To prawda.

- Spuściła wzrok.

-Może po prostu nie potrafię się zdecydować: z jednej strony proszę Molly, żeby zaufała Bogui Jego planowi wobec Joeya, ale potem powątpiewam w jej działania, bo nie dostrzegam, żeby wpadała w panikę.

- No właśnie.

- Bili wyłączył telewizor.

George Brett wpadła wielkimi susami do pokoju i stanęła, machając ogonem.

- Dzięki za rozmowę.

Beth ruszyła w stronę drzwi, ale zatrzymała się przy psie.

- A ciebie ktotutaj wpuścił?

- Z dezaprobatą cmoknęła językiem.

- Niedobry piesek!

Chodź, wyjdziemy na zewnątrz!

Wyprowadziwszy psa na dwór, Beth przymknęła powieki i usiłowała złożyć wszystkie elementy tej dziwnej układanki.

Owszem, Molly i Jack próbowali być aktywni

- dzwonili do różnych osób, prosili o wyznaczenie przesłuchania, błagali Boga o cud.

Kiedy myślała o tym z tej perspektywy, jej obawy stawały się kompletnie nieuzasadnione.

Molly i Jack z pewnością nie mieli zamiaru uciec - czekali po prostu na objawienie woli Bożej.

To, co powiedział Bili, miało sens, z wyjątkiem jednej oczywistej rzeczy - tak oczywistej, że Beth aż do rana nie zmrużyła oka.

Po co mianowicie Molly i Jack potrzebowali milion dolarów?

Możenie powinna była myszковать w rzeczach Molly ani czytać jej dokumentów, ale pytanie to domagało się odpowiedzi.

Nie minęło południe następnego dnia, a Beth podjęła decyzję: gdy tylko nadejdzie właściwy moment

- bez względu na to, czy Molly wścieknie się na nią, czy nie

- zapyta ją o to.

283.

Rozdział XXI

Molly oparła się o zamknięte drzwi.

Wyciągnęła ręce do Jacka.

GUS podskakiwał w pobliżu.

- Nienawidzę tego.

Nie zrobię tego więcej.

- Wiem.

Joey właśnie po raz trzeci wyjechał do Ohio.

Tym razem nie płakał tak bardzo, ale wyraźnie się bał.

Z drugiej wizyty u Porterów wrócił bez siniaków, ale znów się jąkał nie chciał rozmawiać o Ripie Porterze.

- On mnie nie lubi, mamó - nie chciał powiedzieć nic więcej; szybko zmienił temat.

- Czy on cię krzywdzi?

- Nie!

- Joey szybko potrząsnął głową.

- Nie krzywdzi mnie wcale!

S-s-słowo.

Nigdy wcześniej chłopiec jej nie okłamywał.

Szybka odpowiedź i pełne przerażenia oczy martwiły ją.

Mniejsza o ich plan; Molly postanowiła, że nie pozwoli synkowi wrócić do Porterów, jeśli tenczłowiek robi małemu jakąś krzywdę.

Już wystarczająco ciężko było puścić go do nich po raz drugi, kiedy z pierwszego wyjazdu wrócił z siniakami na ramieniu.

284

Czuła ucisk w żołądku, serce biło jej niespokojnie.

- Za każdym razem, kiedy się z nim rozstaję, czuję się tak, jakby jakaś część mnie umierała na czas jego nieobecności.

Jack potarł kark; wyglądał na wykończonego.

- A potrafisz sobie wyobrazić rozstanie z nim na zawsze?

Już za trzy tygodnie?

- Nie.

- Podeszła do męża i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Powiedziałam Beth, że to tak, jakby miał umrzeć, albo jakbyśmy wszyscy mieli umrzeć.

Popatrzył na nią uważnie.

- Nie powiedziałaś Beth nic więcej?

- Oczywiście, że nie!

-A jesteś pewna, że niewidziała dokumentów z bankuna stoliku w kuchni?

Mówił powoli, wyraźnie znużony, jakby wciąż koncentrował się na przewidywaniu możliwych scenariuszy wydarzeń.

-Jestem całkiem pewna.

- Nagle puknęła się pięścią w czoło.

-Ale głupio zrobiłam, zostawiając je tam!

Przyszły rano pocztą.

Otworzyłam kopertę i wtedy przyszedł Joey; musiałam posmarować mu plecy kremem przeciwsłonecznym.

Odłożyłam papiery i pomyślałam, że przed wyjściem muszę je schować.

- Uniosłam bezradnie ręce.

- Nie wiem, jak to się stało, że zapomniałam.

-Ale wydajecie się, że nie widziała?

- Sądzę, że nie widziała.

- Molly przebiegła myśląc cały dzień.

-Zadzwonił do niej Bili, ale szybko skończyli.

Poza tym, sądzą, że gdyby je zobaczyła, zapytałaby nie.

Nie mamy przed sobą tajemnic.

- No, cóż.

- Jack przyciągnął ją bliżej i przytulił jej głowę do swej piersi.

Po chwili odezwał się smutnym tonem.

- Teraz już macie, kochanie.

285.

Poczuła gwałtowne ukłucie w sercu, przymknęła powieki.

- Tak.

- Odliczała już dni: czternaście.

Jeszcze czternaście dni do wyjazdu na Haiti.

Czternaście dni do chwili, kiedy po raz ostatni wyjdą ze swojego domu.

Czternaście dni do momentu, gdy przyjdzie jej założyć blond perukę i wystąpić jako Tracy Sanders.

A co najgorsze, czternaście dni do pożegnania z Beth - siostrą inajlepszą przyjaciółką.

Przy życiu trzymała ją tylko wiara w to, że kiedyś dołączy do nich i powróci.

Może Porterowie umrą albo cała sprawa pójdzie w zapomnienie.

Mogliby wówczas wpaść na krótko do Stanów, spędzić weekend z Beth i jej dziećmi, a potem znów ruszyć swoją drogą.

Ale rzeczywistość była, niestety, całkiem odmienna.

Jack tulił ją do siebie.

- W porządku?

- Tomnie przerasta.

- Molly pozwoliła sobie zatonać w męzkim uścisku.

W chwilach takich jak ta miała wrażenie, że Jack ma siłę za nich oboje.

Szkoda, że kiedy się boję, nie potrafię rozmawiać z Bogiem tak jak Joey.

Poczuła, że zeszywniał.

Chociaż tyle czasu spędzali na spotkaniach modlitewnych z Beth i Billem i uczestniczyli w tylu nabożeństwach w kościele, Jack nie był ani o krok bliżej prawdziwej wiary.

Dla niego była to jedynie niezbędna część ich planu.

- Możesz przecież rozmawiać z Bogiem, kiedy tylko chcesz - w głosie męża słyszała lekki sarkazm.

Poproś go, żeby załatwił nam fałszywe paszporty na tyle wiarygodne, by nie wzbudziły żadnych podejrzeń.

- Jack.

- Nie lubiła, kiedy żartował z Boga czy z wiary.

- Nie zaszkodziłoby, gdybyś ty też czasem z Nim porozmawiał.

286

Wypuścił ze świstem powietrze, ujawniając całą swoją frustrację.

- Może kiedyś tak zrobię, gdy już będziemy siedzieć napłaży na Kajmanach i nie będzie co robić z wolnym czasem.

-Powoli, czule pocałował ją w usta.

- Ale w tej chwili zbyt jestem zajęty, by prosić Boga o cokolwiek.

Molly chciała coś jeszcze dodać, przypomnieć mu, że Bethi Bili modła się o Bożą pomoc i że być może to oni oboje złałatwiają całą tę sprawę może rzeczywiście powinni zadrećczać polityków i prawników telefonami oraz upominać się o przesłuchania.

Ale było już za późno na takie działania.

Odchyliła się do tyłu.

- Jak tam nasze plany?

-Dobrze.

Z pieniędzmi już wszystko załatwione, w przyszłym tygodniu odbieram paszporty - głos Jacka brzmiał poważniej niż zazwyczaj, przepełniał go smutek.

Ale musimy jeszcze o czymś porozmawiać.

- O czym?

- GUS podbiegł do nich i usiadł przy ich nogach.

Molly odepchnęła go lekko.

Leżeć, Gus!

Pies posłusznie wykonał polecenie i Molly spojrzała na Jacka.

- O czym musimy porozmawiać?

-O nim Jack spojrzał na Gusa.

Nie możemy go zabrać, Molly.

Wiesz o tym.

- Co takiego?

Przerażona cofnęła się o krok.

Dlaczego wcześniej nie przyszło nam to do głowy?

Jack, musimy go wziąć!

Joey byłby zdruzgotany.

- Już tym myślałem; nie ma innego wyjścia.

Molly wydała okrzyk rozpacz.

Podeszła do psa i usiadła obok niego na podłodze.

- Zostawimy go w schronisku, tak?

Gdy wyjedziemy na Haiti?

287.

-Tak.

- To może zapłaćmy komuś ze schroniska, żeby goprzesłali na Kajmany pod koniec tygodnia?

Jackpodszedł do niej.

Osunął się na kolana obok niej i podrapał Gusa za uchem.

- Wtedy już cały stan będzie nas szukał, a może nawet cały kraj. To będzie głośna sprawa, Molly.

- Ale przecież celowo nie podawaliśmy niczego do prasy?

- Zgadza się -my nie.

Ale kiedy okażesz się, że nie mamy zamiaru wracać, Porterowie będą rozmawiać z każdym reporterem, który zapuka do ich drzwi.

GUS ziewnął i potarł białym o dłoń Jacka.

- Dobry piesek, GUS.

Przez kilka sekund Molly wpatrywała się w sufit.

- Chodzi ci o to, że ludzie ze schroniska mogliby powiadomić policję i powiedzieć, że zostawiliśmy psa, prosząc o przesłanie go na Kajmany?

- Właśnie to chodzi.

Nie możemy ryzykować powodzenia całej sprawy tylko ze względu na Gusa, kochanie.

Nie możemy.

- Jeśli rzeczywiście rzecz trafi do gazet, jak uważasz.

-ich spojrzenia się spotkały-

.policja będzie szukać Molly i Jacka Campbellów.

-Tak.

- To możesz skorzystać z innego schroniska.

Założę swoją blond perukę i powiem im, że przeprowadzam się na Kajmany i potrzebujemy, żeby ktoś przesłał tam naszego psa za tydzień.

- Nie rozumiem.

I coto zmieni?

Molly ujęła Jacka za ramiona.

288

- To proste.

- Czują, że z emocji płonie jej twarz.

- W schronisku podamy nasze nowe nazwisko: Walti Tracy Sandersowie.

-Molly.

- Łzy napłynęły mu do oczu.

Pogłaskał Gusa i wtulił twarz w jego sierść.

Kiedy ponownie spojrzął na Molly, stało się dla niej jasne, że nie zmieni zdania.

- Nie zaryzykuję naszej przyszłości, naszego życia, tylko po to, żebyśmy mogli go zatrzymać.

Zagryzł wargi.

- Oddamy go do tego samego schroniska co zawsze.

Jeśli nie wrócimy, Beth i Bili wezmą go stamtąd do domu.

Beth i Bili?

Przecież GUS nawet ich nie zna.

Nagle doniektakże dotarło z całą wyrazistością: bez względu na to, co zrobią i jakich nazwisk użyją, za telefonowaniem do wszystkich schronisk w okolicy i sprawdzenie, czy nie wysyłano stamtąd za granicę żółtego labradora, nie zajmie policji nawet godziny.

Jack ma rację.

Z Gusem także muszą się pożegnać.

Molly objęła ramionami szyję psa i się rozplakała.

GUS był najlepszym przyjacielem Joeya.

Dlaczego nie pomyślała o tym, co się z nim stanie?

Był to cios zapierający dech w piersiach.

Biedny GUS.

Będzie mu brakowało rodziny, nawet jeśli Beth i Bili zabiorą go do siebie.

Pod wpływem kolejnego ciosu Molly załamała się zupełnie.

Straty, które mieli ponieść, były tak wielkie, że nie wyobrażała sobie, jak zniesie je wszystkie naraz.

Szloch wstrząsał jej ciałem, a łzy spadały na sierść Gusa.

Pies zaskomlał i spojrzął na nią wrażliwymi, ufnymi oczyma.

Jack siedział obok niej i głaskał jej plecy.

Żadne z nich nie miało słów na poprawienie sytuacji.

Będą musieli pożegnać się ze wszystkim, co znali, i ze wszystkimi, których kochali - i zrobią to, oczywiście ze względu na Joeya.

289.

A potem zrobią coś, co zabolą Joeya najbardziej; coś, czego nigdy nie zrozumie: pożegnają się z Gusem.

Joey wreszcie zasnął, a Rip wyszedł do baru - tego samego, do którego od tygodnia chadzał co wieczór.

Wendy siedziała na brzegu dziecięcego łóżka, patrząc, jak małe ciało wreszcie odprężyło się we śnie.

Traciła głowę dla swojego synka co do tego nie miała żadnych wątpliwości.

Kiedy wszedł do domu, trzymając za rękę Allyson Bower, uśmiechał się. Nie podbiegł, co prawda, i nie rzucił się jej w ramiona, ale nie płakał, a to już dobry znak.

Nadal mówił, że tęskni za swoimi rodzicami.

Wendy to zastanawiało - Campbellowie powinni już byli wyjaśnić chłopcu, czego czeka, tak się umawiali.

Do czasu trzeciej wizyty Joey miał się dowiedzieć, że będzie mieszkał z Porterami w Ohio i że to oni będą jego nową rodziną.

Niemiało to jednak żadnego znaczenia.

Rip i tak powtarzał to chłopcu przy każdej okazji, dziś też.

Właśnie jedli obiad - pulpeciki drobiowe z makaronem i żółtym serem.

Wymachując widelcem, Rip odezwał się do Joeya:

- Już możesz mówić do mnie "tatusiu".

Tak powiedział sędzia.

Joey zamrugał; wyglądał na zdumionego i przestraszonego.

- Mój tatuś mieszka z żoną w Florydzie.

- Wbił widelec w kolejną porcję makaronu.

- To on jeszcze nie wie?

- Rip spojrzał na Wendy.

Nawet nie był wściekły, tylko zdziwiony.

290

- Widocznie nie.

- Wendy nie mogła jeść.

Odsunęła talerz i uśmiechnęła się do męża, byle tylko go nie zdenerwować.

- I tak wkrótce będzie to oczywiste.

Rip przeniósł spojrzenie na chłopca.

- Słuchaj no, mały.

- Zawiesił głos, czekając, aż Joey na niego spojrzy.

- Ja jestem twoim PRAWDZIWYM tatą, a to - gestem wskazał kuchnię i salon - jest twój PRAWDZIWY dom.

- Nachylił się nad stołem, zbliżając swoją twarz do twarzy chłopca.
- Campbellowie cię adoptowali, ale zaszła pomyłka.
- Wskazał na Wendy.
- My jesteśmy twoimi prawdziwymi rodzicami i sędzia mówi, że niedługo zostaniesz z nami na zawsze.

Już za trzy tygodnie.

a to

Joeyowi łzy napłynęły do oczu.

Potrząsnął głową.

- Moja mamusia i mój t-t-tatuś są na Florydzie.

- Upuścił widelec.

- To jest moja prawdziwa r-r-rodzina.

Wściekłość Ripa rosła z sekundy na sekundę.

W chwili, gdy wydawało się, że zaraz rzuci w chłopca szklanką mleka, gwałtownie odsunął krzesło i chwycił kluczyki od samochodu.

- Będę w barze.

Wyszedł, a Wendy przez godzinę uspokajała chłopca;

wreszcie zgodziła się z nim: tak, jego prawdziwi rodzice są na

Florydzie.

Tak, tam właśnie znajduje się jego prawdziwy dom.

- Ale my też jesteśmy twoimi rodzicami.

tłumaczyłam.

Jeśliby mu teraz tego nie powiedziała, to w jaki sposób miałyby mu wyjaśnić całą sytuację za trzy tygodnie, kiedy przyjedzie, by zamieszkać z nimi już na zawsze?

Joey zdawał się zupełnie dezorientowany.

Niedokończył obiadu i dłużej niż zwykle rozmawiał z Campbellami przez telefon.

Odprężył się nieco dopiero kiedy Wendy

291.

zaprowadziła go do salonu i włączyła telewizor.

W połowie bajki nawet się roześmiał.

Na ten dźwięk Wendy sięrozmarzyła - wyobrażała sobie czekające ich dni, kiedywreszcie zakończy się proces o opiekę nad małym i jegoobecność tutaj będzie czymś zupełnie naturalnym.

Kiedyprogram się skończył, Joey chciał dalej oglądaćkreskówki.

Znaleźli "Misia wdużym niebieskim domku" i kiedybajka się zaczęła,

Wendyzrobiła coś, na co miała ochotęod pierwszejwizyty Joeya:

wyciągnęła rękę.

i ostrożnie,żeby nie zaniepokoićsynka.

ujęła jego paluszki.

Spojrzał nanią i uśmiechnął się, a potembez wahaniawsunęłałą dłońw jej rękę.

Wendy poczuła się wówczas tak cudownie, tak dobrze, że odczucie to towarzyszyłojej przezcały wieczór.

Nawetkiedy Joey modlił się przedpójściem spać:

Proszę Cię, Panie Boże, pozwól mi prędkoi bezpieczniewrócić do domu, bo tęsknię za mamą, tatą i Gusem - bardzo,bardzo, bardzo!

Miej nas w swojejopiece, amen.

Wendyjeszcze raz spojrzała na śpiącego synka i jeszcze raz delikatnie go pogłaskała.

- Dobranoc, Joey.

Mama cię kocha.

Weszła dokuchni, po drodzebiorąc swojąBiblię.

Byłato właściwie Biblia jej babci, ale ostatnio Wendy często ją czytywała - brała ją ze sobą do kościołana niedzielnenabożeństwai próbowałaodnaleźć w niej sens: siłę, pokój lub mądrość - coś, co pomogłoby jej stać się matką, jakiejpotrzebował Joey.

Ostatnio czytała Pierwszą Księgę Królewską, to wniejbowiem Salomon musiałpodejmować wiele decyzji - takkilka tygodni temu powiedział pastor.

A żadnaz postaciStarego Testamentu nie mogła się równać mądrościąz królem Salomonem.

Oczywiście, Ripowi nie podobało się, że

292

Wendy czyta Biblię.

Denerwowało go to, jaksam mówił.

Ale dziś Ripniewróci do domu przed północą.

Wyrzła przez okno i westchnęła.
Przedwczoraj znową uderzył, tym razem w plecy.
Nie sprawdzała, ale była niemal pewna, że ma tam siniaka.
Później ją przeprosił.
Biorąc pod uwagę całe jego zachowanie, Wendy itak miała wrażenie, że jej
mąż lepiej sobie radzi z ujarzmianiem gniewu niż przed pójściem do
więzienia.

Ale sprawy wcale nie miały się dobrze.
Rip rzucił pracę kinie; powiedział, że byłaby stresująca - nie
mógł przecież pracować wieczorami, kiedy musiał uczyć się, jak być ojcem.
Wendy nie miała pojęcia, w jaki sposób włożyć się po barach mogło
pomóc w tej edukacji, ale nie pytała.

Otworzyła Biblię.
Czytała teraz trzeci rozdział, część opatrzoną nagłówkiem "Wyroki
sądowe Salomona".
Była to historia o dwóch kobietach, które mieszkały w jednym domu i
każda z nich urodziła dziecko - fascynująca opowieść natychmiast przykuła
uwagę Wendy.

Pewnego dnia jedno z niemowląt umarło, a kobiety zaczęły się
kłócić, która z nich jest matką dziecka pozostałego przy życiu.
Przyniosły dziecko przed oblicze Salomona i poprosiły go, by rozsądził
spór.
Król kazał przynieść mieczy rozciąć dziecko na dwoje.
Powiedział, że skoronie potrafią zgodzić, która z nich jest matką, każda z
nich dostanie połowę dziecka.

Jedna z kobiet natychmiast zawołała: "Niech dadzą tamtej dziecku żywe,
abyście tylko go nie zabijali!"
". Druga kobieta zachowywała się zupełnie inaczej bezskrupułowzgodziła
się, by dziecko przecięto.
Wtedy król przyznał niemowlę tej pierwszej.
Powód był oczywisty: jedynie prawdziwa matka kocha dziecko tak
bardzo, że gotowa jest je oddać, byle tylko nie zginęło.

Wendy skończyła czytać i szybko zamknęła Biblię.

O czym naprawdę jest ta historia dwóch matek, dwóch kobiet roszczących sobie prawo do tego samego dziecka.

Czyż to nie ona sama i Molly Campbell, przybrana matka Joeya?

Obydwie kochają chłopca i obydwie pragną zatrzymać go przy sobie.

Odsunęła od siebie księgę.

Przeczytana historia poruszyła ją, ale nie tak, jak się tego spodziewała.

Jaką radę może z niej wysnuć?

Przecież to ona jest prawdziwą matką, a jednak wcale nie ma zamiaru oddawać Joeya, nawet gdyby takie właśnie rozwiązanie miało być dla niej najlepsze.

Zbyt go kocha, zwłaszcza teraz.

Dosyć już tych biblijnych opowieści powiedziała do siebie.

Odłożyła księgę i włączyła telewizor; nadawał właśnie powtórkę Amerykańskiego idola.

To jej pomoże zapomnieć o dziwacznej historii z Salomonem.

W dzisiejszych czasach sędziowie nierozstrzygają spraw o opiekę nad dzieckiem, grożąc, że je rozetną na pół, tylko wydając czułe osądy.

Nawet jeśli ich decyzja wydaje się chwilowo do przyjęcia.

Wendy była nader zadowolona.

Kiedyś, gdy jeszcze nie знаła Joeya, mogła go oddać.

Ale teraz, poznawszy uczucie, jakie wywoływało utrzymanie go zarękę, podawanie mu obiadu i siedzenie tuż obok niego, jednego była pewna: nigdy go nie odda.

Nigdy!

Rozdział XXII

Pomieszczenie było równie małe, co obskurne.

Jack usiadł na jednym z dwóch stojących tam krzeseł.

Nad drugim piętrzyły się opakowania toneru do kserokopiarki.

Dwie biurowe szafki na akta wypełniały pojemniki z tuszem do drukarki.

W powietrzu było aż gęsto od dymu papierosowego i zapachu tuszu.

Angelo St.

Pierre pracował przy jakiejś maszynie w kącie natyłach swojego biura, przystoliku oświetlonym dwiema lichymi, zakurzonymi lampkami.

Jack pomyślał, że całe pomieszczenie ma niewiele więcej niż dziesięć metrów kwadratowych.

Angelo wcisnął jakiś guzik w swojej maszynie i odsunął się od niej.

- Pan Sanders?

- zwrócił się do Jacka.

Pochodził z Dominikany i mówił z tak kiepskim akcentem, że trudno go było zrozumieć.

- Potrzebuje je pan na dziś, tak?

- Tak.

- Jack oparł ręce na małym biurku, którego nierówne nóżki sprawiały, że całe niebezpiecznie przechylało się na prawo.

- Tak byłoby najlepiej.

- Niech mi pan jeszcze raz o sobie opowie.

295.

Facet wydawał się lubić opowieści.

Jack postanowił jednak znieść wszystko cierpliwie, ze względu na zadanie, jakie tamten miał wykonać.

- Oboje z żoną jesteśmy misjonarzami.

- Uśmiechnąłem się, jednak nie w sposób, w jaki zwykle robił, lecz tak, jak podpatrzył u członków Bethel Bibie Church: skromnie.

- Jedziemy z naszym synkiem do Indonezji.

Zmarszczył brwi.

- To bardzo niebezpieczne.

- Tak - Angelo St.

Pierre podkreślił wagę tej wypowiedzi wymachiwaniem palca w stronę Jacka.

Znam to miejsce.

Bardzo niebezpieczne.

Jack znalazł informacje o usługach Angela w internecie.

Długo szukał, aż trafił na stronę, gdzie łamaną angielszczyzną ludzie pisali coś w rodzaju szyfru.

Po dwóch wieczorach spędzonych na czacie Jack zdał sobie sprawę z tego, że prawie każdy jego uczestnik jest (lub utrzymuje, że jest) nielegalnym imigrantem.

Dlatego też fałszywe paszporty były tematem bardzo na czasie.

Kiedy tylko ktoś go podjął, Jack natychmiast włączył się w dyskusję.

"Pilnie potrzebuję dokumentów.

Mieszkam na Florydzie.

Czy ktoś może coś zasugerować?

". "Pilnie" oznaczało w tym szyfrze "nielegalnie", tyle już Jack zdążył się nauczyć.

Ktoś odpisał: "Znam dobre miejsce: AAA Copiers".

Dwie inne osoby potwierdziły tę informację.

Następnego dnia Jack zadzwonił do Angela St.

Pierre.

Powiedział, że potrzebuje szybko paszportów, a Angelo odparł, że to żaden problem.

Dodał, że popiera amerykańską wolność - cokolwiek to miało oznaczać.

- Pan tylko przynieść zdjęcia, a wszystko szybko załatwimy.

Umilkł na moment.

Oczywiście szybkie załatwienie będzie kosztowało ekstra.

Jack zgodził się i tak właśnie zrobili: przyszedł do biura Angela i wypełnił coś w rodzaju formularza dla wszystkich trojga, wpisując nowe nazwisko i imiona oraz podając inne niezbędne informacje.

Angelo nie prosił o żadne potwierdzenie tożsamości; spojrzawszy tylko na formularze, wziął zdjęcia i zabrał się do roboty.

Maszyna za plecami Angela wyłączyła się.

Mężczyzna złożył dokumenty i wsunął je do innego urządzenia.

Następnie posłużył się czymś w rodzaju pieczęci oraz specjalnym długopisem.

Po dziesięciu minutach z uśmiechem położył przed Jackiem gotowe paszporty.

- Proszę.

Ekspresowe wyrabianie paszportów!

W rzeczy samej.

Jack wziął ich nowe paszporty i zaczął je przeglądać.

Tak często korzystał ze swojego prawdziwego paszportu, że był w stanie ocenić, iż te - przynajmniej jego -

- niczym się od tamtego nie różniły.

Angelo wykonał naprawdę dobrą robotę.

Urzednicy na Haiti z pewnością dadzą sięabrać, a kiedy już tak się stanie i w paszporcie pojawią się prawdziwe pieczęcie, tym łatwiej będzie oszukać urzędników w Europie i na Kajmanach.

- Dobrze się spisałeś, Angelo.

- Jack wyjął z portfela uzgodnioną kwotę.

Ekspresowe wyrabianie paszportów było drogie: dwieście dolarów za każdy, wyłącznie gotówką.

Zapłacił.

Angelo się uśmiechnął.

- Angelo St.

Pierre popiera amerykańską wolność.

- Skinął głową.

- Miłego dnia!

Tutaj niedostawało się pokwitowania.

Jack zabrał paszporty, skinął mężczyźnie głową i wyszedł.

Ledwie uszedł kilka kroków, ledwie zdążył schować paszporty do kieszeni

297.

marynarki, a do krawężnika podjechał samochód łudząco podobny do auta Beth i Billa.

Jack miał ochotę rzucić się do ucieczki lub się gdzieś schować, ale nie było już czasu.

Nie możliwe, żeby to byli oni - tutaj, w Miami, w samym środku tygodnia? Odczasu do czasu Bili załatwiał jakieś sprawy w Miami, ale biura jego firmy znajdowały się o kilka przecznic dalej.

Jack musiał się do zwykłego tempa.

Biuro Angela mieściło się przy ruchliwej ulicy, w samym środku najgorszej z dzielnic miasta, gdzie rządziły gangi narkotykowe, mafia i oszuści z Dominikany wierzący w amerykańską wolność.

Nie była to dzielnica, w której mogliby pojawić się Beth i Bili.

Kiedy jednak auto podjechało bliżej, Jack nie miał wątpliwości: samochód należał właśnie do nich, a zakierownicą siedział nikt inny jak Bili.

Oprócz niego w samochodzie było jeszcze przynajmniej trzech biznesmenów.

Jack szedł, nie patrząc naboki.

Kiedy auto przejechało, odetchnął głęboko.

Jeszcze dziesięć kroków i dotarł do swojego samochodu.

Na szczęście Bili go nie widział, był zbyt zajęty rozmową ze swoimi towarzyszami podróży.

Ale co on robił w takiej dzielnicy?

A jeżeli jednak spostrzegł Jacka?

Chyba by się zatrzymał i zagadnął go?

W końcu to on siedział za kierownicą, mógł więc zjechać na bok i stanąć.

Jack czuł, jak nagły przypływ adrenaliny powoli z niego uchodzi.

Gdyby Bili go zobaczył, na pewno by się zatrzymał, to oczywiste.

Wyrzucił z myśli rozważania o Billu, Angelu St.

Pierzeo tym, czego się przed chwilą dopuścił, kupując fałszywe paszporty, i skoncentrował się na czekających go zadaniach.

Już się uwikłał w coś, co jeszcze niedawno wydawało mu się nie do pomyślenia: kłamał i wdał się w nielegalny proceder.

Teraz to wszystko musiało zostać doskonale dopracowane.

298

Wyjazd miał nastąpić za dziesięć dni - nie było czasu na pomyłki.

Siedziały właśnie nad basenem, kiedy Beth poczuła, że dłużej już tego nie wytrzyma.

Za osiem dni mieli wyjechać na Haiti; już najwyższy czas zapytać

Mollywprost.

Dzieciaki chlapały się w basenie; chłopcy, skupiwszy się w jegopłytkiej części, grali w jakąś zwariowaną odmianę siatkówki wodnej, a Cammie wraz ze swoim koleżanką z sąsiedztwa zaszła się w najodleglejszym zakątku pogłębokiej stronie.

Wszystkie dzieci były z pewnością zbyt daleko, by usłyszeć rozmowę mam.

Beth i Molly siedziały na brzegu basenu, mocząc stopy w wodzie.

Molly z daleka pilnowała Joeya, a Beth bezmyślnie chlapała nogami.

Rozmowa jak dotąd się nie kleiła.

Beth postanowiła zacząć od prostego pytania:

W

- Kiedy będzie rozprawa?

- Co? - Molly nawet nie odwróciła głowy.

Siedziała, podpierając się rękami.

- Rozprawa.

W Ohio.

Ta, podczas której będziecie się starać o zmianę postanowienia sądu co do Joeya.

- Beth starała się, żeby jej słowa nie brzmiały zbyt szorstko.

- Już

; kojarzysz?

\- Aaa.

tak.

- Molly skinęła głową.

- Jack mówi, że w poniedziałek lub wtorek.

Beth zawahała się.

To kiedy wyjeżdżacie?

- Kiedy wyjeżdżamy?

- Molly zamrugała szybko i obróciła się do siostry.

- W piątek, tak jak wy.

- Znow odwróciła się, by patrzeć na Joeya.

299.

Było to absurdalne; gdyby Beth nie znała swojej siostry, mogłaby sądzić, że jest na prochach.

- Ale nie na Haiti.

Kiedy wyjeżdżacie do Ohio?

Boprzecież ty i Jack tam będziecie?

Po drugiej stronie basenu Joey wyszedł na brzegi ociekając wodą, pomachał do Molly.

Odpowiedziała mu tym samym gestem i dopiero wtedy zwróciła się do Beth.

- Jack znalazł adwokata, który mówi, że nie musimy tam jechać.

On sam tak załatwi odroczenie, żeby zyskać na czasie.

Wzrokiem odszukała synka.

Wydawało mi się, że ci mówiłam.

Beth sama nie wiedziała, czy ma odczuwać ulgę, czy raczej nazwać swoją siostrę kłamczuchą.

Bili opowiadał jej, że widział Jacka na jednej z ulic w Miami.

Powiedział, że wydawało mu się, że Jack go rozpoznał, ale szybko odwrócił wzrok, więc Bili pomyślał, że Jack nie chciał, aby go tam widziano.

Wzbudziło to podejrzenia nawet u Billa.

Ale Beth nie miała czasu zadzwonić do Molly w tej sprawie.

Blaini i Jonah złapali tamtego dnia grypę żołądkową i cały czas ją była pilnowaniem, żeby się nie odwodnili.

Teraz, podwudziestu czterech godzinach, chłopcy byli już zdrowi, a Beth rozpaczliwie pragnęła usłyszeć odpowiedź Molly.

Zamieszała stopą w wodzie.

Odroczenie?

Czyli że nie będziecie musieli oddać Joeya tydzień po naszym powrocie z Haiti?

Nie.

Molly uśmiechnęła się, ale jakoś mało radośnie.

Zdawało się, że śmiech dzieci i odgłosy rozchlapywanej wodycichną w tle.

- Miałaś rację Beth.

Bóg zdziałał dla nas cud.

Adwokat pomoże nam odwlec całą sprawę.

o miesiąc, może trochę dłużej.

Mówi, że jest w stanie pomóc nam zachować prawa do opieki nad Joeyem.

300

- To gdzie radosne okrzyki i wiwaty?

zaśmiała się Beth.

- Sądziłam, że z taką wiadomością zadzwoniłbyś natychmiast, jak tylko się dowiesz.

Molly spojrzała na nią.

- Niemożę dzwonić do ciebie z każdą najdrobniejszą wiadomością.

Beth poczuła się dziwnie.

Miała wrażenie, że Molly chce jej coś powiedzieć, ale nie chce lub nie może.

- Dawniej tak robiłaś.

- Tak, wiem.

- W spojrzeniu Molly pojawił się smutek.

Ale nie jest jeszcze załatwione na sto procent, dlatego właśnie nie dzwoniłam.

Teraz!

Beth wiedziała, że jeśli nie zapyta w tej chwili, to już nigdy nie zdobędzie się na odwagę.

Przysunęła się do Molly i zadrżała jej głęboko w oczy.

- Czy mogę cię o coś zapytać?

- Jeśli chodzi o Joeya, to niewiele mogę dodać.

Molly wzięła tubkę kremu przeciwsłonecznego i wycisnęła sobieniewielką ilość na dłoń.

Zacząła powoli wcierać kosmetyk w kolana.

- Popatrz na mnie, Molly.

Chcę widzieć twoje oczy.

Molly zrobiła minę mającą wyrażać zdumienie, ale popatrzyła siostrze w oczy.

- No..

- Dlaczego wzięliście prawie milion dolarów pożyczki?

No i proszę.

W momencie kiedy padło pytanie, w oczach Molly przysły wszelkie bariery, którymi próbowała się odgradzić od Beth, a w ich miejscu pojawił się czysty, paraliżujący strach.

Spojrzenie siostry mówiło Beth, że oto ją przyłapała.

Ale już po sekundzie spojrzenie Molly było takie samo jak dawniej.

Uniosła brew.

301.

- Pięknie.

Myszkowałaś w naszej poczcie, tak?

- Oczywiście, że nie!

- wysyczała Beth.

Nie chciała się kłócić, ale też nie mogła się wycofać i z założonymi rękami patrzeć, co się dzieje.

Zwłaszcza jeśli Molly i Jack naprawdę planowali ucieczkę.

Listy leżały na wierzchu.

- Właśnie!

- Molly przysunęła twarz do jej twarzy.

Była wściekła, słysząc tobyło w jej głosie.

- A jak sądzisz, Beth, dlaczego leżały na wierzchu?

Powiem ci: bo ja i Jack nie mamy nic do ukrycia!

- Wyprostowała się, oburzona.

- Jeśli już koniecznie musisz wiedzieć, kupujemy budynek, w którym mieszczą się biura pewnej firmy medycznej w centrum West Palm.

Zadowolona?

Jeszcze jakieś pytania?

- W centrum.

Beth miała ochotę się rozplakać.

Ostatnią rzeczą, jakiej by pragnęła, było wyprowadzenie Molly z równowagi, ale nawet kiedy usłyszała z ust siostry wyjaśnienie, nie była do końca przekonana.

Przełknęła ślinę i zebrała całą odwagę, najaką było ją stać.

- Tak, jeszcze jedno.

- Dobra, dawaj.

Chcesz wiedzieć, ile ten dom kosztuje?

Cztery miliony.

Chcesz wiedzieć, jak go znaleźliśmy?

Przez znajomego pośrednika handlu nieruchomościami; dokładnie przez Paula Kerkara.

Prowadzi legalną działalność, możesz sprawdzić.

- Zaciśnęła wargi.

Proszę bardzo, Beth.

Co jeszcze chciałabyś wiedzieć?

Atmosfera się zageściła; Beth odnosiła wrażenie, że wszystkie głosy wokół umilkły.

Nie spuścił jednak wzroku.

- Chcę wiedzieć.

czy zamierzacie uciec.

Zdumienie Molly było szczere, albo tak doskonale udawane.

- Beth!

Pytasz, czy jai Jack zamierzamy uciec z Joeyem?

302

- Tak.

- Było zbyt późno, by się wycofać.

Bili powiedział mi, że widział Jacka w centrum Miami, w pobliżu miejsca, gdzie można kupić fałszywe paszporty.

Oczywiście jej łzami.

- Musiałamo to zapytać, ponieważ niemożecie uciec, Molly!

Jeśli was złapią, resztę życia spędzicie w więzieniu!

Nie wspomniała nawet o innej oczywistej konsekwencji takiego czynu: ich więź zostałaby zerwana.

Beth usiłowała nie myśleć o takiej możliwości samo wspomnienie o tym raniło jej serce.

Co innego pragnęła chronić Molly przednią samą przed czymś, za co mogła wylądować w więzieniu.

Ale zupełnie co innego skupiać całą uwagę na sobie samej, ponieważ za bardzo kochała Molly, by ją utracić.

Molly wyciągnęła stopy z wódki i wstała.

Popatrzyła na Beth z góry, wyraz jej twarzy świadczył o tym, że czuła się zraniona.

- Nie mogę uwierzyć, że w ogóle mogłaś tak pomyśleć!

Beth podniosła się także; stały teraz twarzą w twarz.

- A co Jack robił w Miami?

W tej samej chwili, jakby nagle coś ją odmieniło, twarz Molly złagodniała.

- Beth.

- odezwała się miło, prawie przepraszająco.

Przepraszam.

Od jak dawna cię to gryzie?

- No.

na pewno od wczoraj.

- Beth odeszła kilkakrokiem dalej i usiadła na leżaku.

Molly zajęła leżak obok niej.

- Jack załatwił akt własności budynku, który kupujemy.

Wszystkie dotyczące dokumenty sporządzone w Miami.

Jej wyjaśnienia nie przekonały jednak Beth ani w tamtej chwili, ani po południu, kiedy siedząc w domu, analizowała usłyszanewieści. Przecież wszystko,co wiązało się
303.

z transakcją dotyczącą zakupu nieruchomości w West Palm Beach, powinno odbywać się na miejscu, a nie w Miami. Z pewnością wszelkie dokumenty można było tu sprowadzić.

..

Beth nie mogła zignorować swoich podejrzeń; kończył się także czas, kiedy mogła jeszcze coś zrobić.

Kredyt, szmerane lokale, gdzie wyrabia się fałszywe paszporty, bez troski wręcz podejście do sprawy Joeya.

Wszystko to pasowało do siebie, jak kawałki układanki, a wyłaniający się obraz wyglądałby poważnie, by można go było zignorować.

Ucieczka z Joeyem byłaby wbrew posłuszeństwu woli Bożej, wbrew prawu, wbrew wszystkiemu, co dobre i prawe.

Molly i Jack mogliby nawet zginąć lub trafić do aresztu.

Za jednym zamachem mogli na zawsze utracić zarówno Joeya, jak i wolność.

Beth bardzo chciała wierzyć, że jej podejrzania są niesłuszne - że jej siostra nigdy nie dopuściłaby się takiego czynu.

Ale jednego szczegółu nie mogła zignorować.

Kilka tygodni temu Molly powiedziała, że gdyby to było konieczne, oddałaby życie za Joeya.

A czy ucieczka nie oznaczała właśnie tego: oddania życia, do jakiego przywykła, oddania całej przeszłości Molly Campbell?

Awszystko po to, by móc nadal być matką Joeya.

Istniał tylko jeden sposób upewnienia się, że tak się nie stanie, i zyskania pewności, że zrobiła wszystko, co tylko było możliwe, by powstrzymać ukochaną siostrę od popełnienia największego błędu w życiu.

Beth zapamiętała, jak nazywa się pracownica opieki społecznej; w ciągu ostatnich kilku miesięcy Molly wielokrotnie o niej wspominała.

Allyson Bower.

Pani Bower pracuje w Cleveland w Ohio, w Dziale Opieki nad Dziećmi; tym także Beth wiedziała.

Dyspo304

nując tymi dwiema informacjami, szybko zdobyła numer telefonu i połączyła się z biurem Allyson.

Po czwartym sygnale odezwała się automatyczna sekretarka.

Beth wzięła głęboki oddech i po sygnale zaczęła mówić zdecydowanym tonem:

- Dzień dobry, pani Bower, mówi Beth Petty.

Nie znamnie pani, jestem siostrą Molly Campbell.

- Umilkła nachwilę.

-Niełatwobyło mi zdecydować się na tę rozmowę,ale myślę, że powinna pani o czymś wiedzieć.

Martwię się,gdyżwydaje mi się, że moja siostra i jej mążplanują ucieczkęz kraju,z Joeyem.

Jak pani wie, za tydzień wyjeżdżamy naHaiti.

Podejrzewam, że Campbellowie zamierzają zabraćzesobafalszywe paszporty.

Dysponują też dużą kwotą pieniędzy.

.. - Łzy nie pozwalały jej mówić, ręce jej drżały.

JeśliMolly dowie się otym telefonie, nigdywięcej się do niejnieodezwie.

Odchrząknęła.

- Bardzo proszę o kontakt.

Zostawiłaswój numer telefonu i się rozłączyła.

Już! Zrobiła wszystko, co mogła.

Pani Bower odsłuchawiaadomość, jeśli więc Molly kłamie, to wkrótce wszystkosię wyjaśni.

Allyson Bower zatrzyma ich, zanim zdążązrobić jakieś głupstwo, którego żałowaliby do końca życia.

Nie muszą rezygnować z Joeya.

Jest jeszcze czas na legalneprocedury oraz naintervencję Boską.

Ale jeżeli MollyiJack uciekną, nie będzie odwrotu - już nigdy.

Bethczuła, że głowa pęka jej z bólu.

Zażyła dwie tabletkii położyła się na kanapie.

Dziecibawiły się w dziecięcymbasenikuna podwórku,obiad dopiero za godzinę.

Nie miałażresztānanic ochoty, a w żołądku czuła jeden wielki węzeł.

Ta rozmowa telefoniczna wiele jąkosztowała- była najtrudniejszą czynnością, jaką Beth kiedykolwiek wykonała.

Teraz mogła się tylko modlić,żeby Molly nigdy, przenigdy nie dowiedziała się o niej.

Gdyby się dowiedziała,

305.

nie byłoby już potrzeby się martwić, czy ich przyjaźń się skończy, ponieważ Molly wylądowała w więzieniu lub w jakimś obcym kraju.

Gdyby Molly odkryła prawdę o tej rozmowie, Bethsama zerwałaby łączyącą je więź.

Rozdział XXIII

Molly i Joey byli w pokoju dziecięcym.

Molly otuliła chłopca kołderką i sprawdziła, czy przedjutrzejszą wyprawą walizka została dobrze zapakowana.

Aż kręciło się jej w głowie; ledwie była w stanie sensownie rozmawiać.

Już tylko kilka godzin dzieliło ich od wprowadzenia w życie ich szalonego planu.

- Natej wycieczce nie będzie tej drugiej mamy i taty, prawda?

- Joey miał na sobie ulubioną piżamkę w dinozaury:

krótkie spodenki i koszulkę z krótkimi rękawami.

Typowa dla Florydy wilgotność powietrza dawała się we znaki i nawet przy włączonej klimatyzacji w pokoju było duszno.

- Nie, kochanie.

- Molly usiadła na skraju łóżka i odgarnęła mu ze spoczonego czola kosmyki włosów.

To tak szczególnie wycieczka: tylko my i ciocia Beth z rodziną.

- A GUS?

- W ciągu ostatnich kilku miesięcy GUS nabrał zwyczaju sypiania na łóżku Joeya.

Siedział teraz na podłodze, cierpliwie czekając, aż Molly wstanie i będzie mógł zająć swoje zwykłe miejsce.

Molly czuła, że pęka jej serce.

307.

- Nie, GUS nie pojedzie.

Nachyliła się i pogłaskała psaza uchem.

- Będzie w tymczasie w schronisku dla psów.

- Założę się, że będziesz tam dobrze bawił zachichotał Joey.

Molly miała ochotę się rozplakać.

- Teżmi siętak wydaje.

Jack, który przed chwilą wyszedł po coś, wrócił własniezgitara.

Zanim w ich życie wkradło się całeto zamieszanie, często przychodził wieczorami do pokoju Joeya.

Gasiliświatła i Jack grałjakąś delikatną, spokojną melodię, którąsamskomponował, albo cośz repertuaru The Eagles.

Popatrzył na walizkę.

- Wszystko spakowane?

-Tak.

- Molly nachyliła się i zrobiła z Joeyem motylkowecałuski.

Pomasować ci plecki?

-Tak.

- Uśmiechnął się do niej.

-Ta druga mama teżmi masuje.

- Zaczął przewracać się na brzuch, ale jesczepopatrzył na nią.

Ona jest dla mnie miła.

Mollyprzełknęła ślinę.

Ta druga mama jest miła?

Szybko ukryła swojezdziwienie.

- To dobrze, kochanie.

Bardzo się cieszę.

- Ale ten pan.

on jest naprawdę podły.

- Na pewno.

- Spojrzała na Jacka; słyszał wszystko- widziała to po jego minie.

Jack zagrał trzy kołysanki, które sam ułożył dla synka.

Kiedy Joey zasnął, wyszli na palcach z pokoju.

Musieli jeszcze wiele sprawomówić wciągu tych kilku godzin przedodlotem na Haiti.

Jack odłożył gitarę namiejsce i wyszedł wraz zMollyna ganek.

Choć noc była parna, na zewnątrz było o wieleprzyjemniej niż w domu.

Powietrze pomagało Mollyopanowaćskołowane myśli i jakoś je uporządkować.

Usiedli

308

na huśtawce.

Świerszcze grały głośniejsze niż zazwyczaj; Jack odchylił głowę do tyłu i zapatrzył się wrozgwieżdżone niebo.

- To nasza ostatnia noc tutaj.

- Tak.

- Molly wciągnęła stopy na siedzenie i objęła kolana ramionami.

- Ale mam tyle wątpliwości.

Opowiedz mi jeszcze raz, co dziś załatwiłeś.

Jack wydawał się bardzo spokojny.

- Załatwiłem wszystko.

Objął ją ramieniem.

Przelałem pieniądze.

Przeszły przez kilka kont tak, żeby nie zostawiać żadnych śladów.

- I wszystko znajdziesz na naszym rachunku na Kajmanach dzień przed naszym przyjazdem, tak?

- Mhm.

Oparł stopy o poręcz ganku.

Wszystko dokładnie sprawdziłem.

Dałem bardzo wyraźne wskazówki bankowi w Szwecji: mają odczekać dwanaście dni, a potem przelać pieniądze.

- A jesteś pewien, że pieniądze dotarły do Szwecji?

- Tak; jeszcze dziś przed południem.

- I tak to załatwiłeś, żeby wyglądało, że jest to nasz rachunek depozytowy, prawda?

Z naszej oszczędności?

- Dokładnie tak.

W ten sposób, jeśli policja będzie wypytywać Beth, a ona powie im, że nosiliśmy się z zamiarem kupna budynku użytkowego, wszystko będzie się ładnie gadało.

Przynajmniej przez chwilę.

- A co z pośrednikiem nieruchomości?

- Zorientuje się, że zniknęliśmy, i uzna, że w takiej sytuacji transakcja została odwołana.

- Jack wydawał się przygotowany na każde pytanie.

- Nie będzie miał żadnego powodu do kontaktowania się z kimkolwiek tylko dlatego, że nie doszła do skutku jedna z wielu transakcji.

To się często zdarza.

309.

No, dobrze.

Co jeszcze?

Serce biło jej szybko.

Całe topłanowanie i omawianie szczegółów planu nagle śmiertelnie ją przeraziło.

Tak jak wtedy, gdy Beth otwarcie zapytała ją, czy mają zamiar uciec kraju.

- Nagrałam wszystkie nasze zdjęcia na płytę i na pendrive'a i spakowałam do walizki.

Dobrze.

To był jej pomysł - nie mogłaby porzucić swojego dotychczasowego życia, niezabrawszy fotografii.

Początkowo chciała wziąć wszystkie albumy, ale na szczęście przypomniała sobie, że odkąd adoptowali Joeya, wszystkie zdjęcia robili aparatem cyfrowym, więc teraz potrzebne były jedynie płyty i zapasowa kopia na pendrivie.

Gdy już siadają na Kajmanach, ponownie je wywołają.

Późno w nocy, niemogąc zasnąć, zeskanowała wybrane zdjęcia z czasów przed adoptowaniem Joeya, a potem starannie i dokładnie odłożyła każde z nich na swoje miejsce, aby nie wzbudzić żadnych podejrzeń, że ich ucieczka została dużo wcześniej zaplanowana w razie gdyby przeszukiwano ich rzeczy.

Tylko jeden album Molly zapakowała do walizki ten, który zrobiła dla niej Beth.

Wzięła również rysunki Joeya;

poza tym wszystko musiało zostać.

Jack pochylił się i oparł łokcie na kolanach.

- Zlikwidowałem także nasze ubezpieczenie na życie.

- Dobrze, to był dobry pomysł.

- Omówili tę kwestię już kilka tygodni temu.

Jeśli nie zlikwidowali by swoich polis ubezpieczeniowych i jeśli ostatecznie uznano by, że tonęli, zostali porwani albo zabici przez gang uliczny w Port-au-Prince, pieniądze z ich ubezpieczeń musiałyby zostać wypłacone przynajmniej w połowie trafiłyby do Beth i Billa, ponieważ rodzice Molly już nie żyli.

310

- Tak, mnie też się to podoba.

Nie mamy przecież zamiaru wyłudzać odszkodowania.

Chcemy tylko naszego synka, nic więcej.

- Oczywiście.

- Molly mocniej objęła kolana ramionami.

Co jeszcze?

- O siódmej rano zabierzesz Gusa do schroniska.

Dzwoniłaś już do nich i omówiłaś szczegóły, tak?

- Tak, już w zeszłym tygodniu.

- Poczula, że drży.

Co oni wyprawiają?

Wciąż miała wrażenie, że bierze udział w jakiejś kiepskiej sztuce granej w podrzędnym teatrze.

Przecież czasem się zdarza, że ludziom zostają odebrani dzieci - może niezbyt często, ale tak bywa.

Ale ilu rodziców zdecydowało się uciec ze swoim dzieckiem?

I jak to jest, że nigdy nie słyszała, by im się to udało?

Zacisnęła zęby, żeby nimi nie szczekać.

- Co jeszcze?

- Beth nie zadawała ci już ostatnio żadnych dziwnych pytań?

- Od czasu naszej ostatniej rozmowy nad basenem nie.

Molly opowiedziała mężowi o tamtej rozmowie.

- Wydajemy się, że uwierzyła.

- Dobrze.

W takim razie wszystko ustalone.

Sposób wyjazdu z Haiti wymyślimy już w Port-au-Prince.

- Jack wstał i oparł się o poręcz.

Molly nie była w stanie usiedzieć spokojnie.

Podeszła do Jacka i oparła się o jego ramię, zapatrzyła się przed siebie na ich podwórkę przed domem.

Podwórko, którego już więcej nie zobaczą.

Splótł swoje palce z jej palcami.

- O czym myślisz?

- O wielurzędach.

- Spuściła głowę, czując, że cała się trzęsie z zimna, a przecież musiałybyć prawie trzydzieści.

dzieści stopni.

Po chwili podniosła głowę i popatrzyła nagwiazdy.

Coś mi się niedawno przypomniało.

Oglądaliśmyw Joeyem w ubiegłe Boże Narodzenie.

-Mmm.

- ...

takipółgodzinny filmrysunkowy o narodzeniuChrystusa.

- I właśnie teraz przypomniałcisię ten film?

- Jackuśmiechnąsię do żony najbardziej ujmującym ze swoichuśmiechów.

Pod jego spojrzeniemniepokojne serce Molly z wolności uspokajało.

W nowymżyciu, które rozpoczniejuż jutro,będzie przecież miała Jacka i Joeya.

Ichociaż utraci wszystkoinne, to ich obecność stokrotnie jej to wynagrodzi.

Byle tylkoprzeżyli jakoś następny tydzień.

Skinęła głową.

- Tak.

Jezus urodził się za panowania tego złegokróla.

I tenkról chciał zabić maleńkiego Jezusa.

- I co z tym złymkrólem?

-Nowięc,do Maryi i Józefa przyszedł we śnie aniołi ich ostrzegł.

Wstali i uciekli do innego kraju.

Musieliwszystko porzucić inatychmiastuciekać.

- Aha.

Jack patrzył naMolly roześmianymi oczyma.

To trochę jak my.

- Właśnie.

Przez chwilę milczeli, słuchając grania świerszczyi kumkania żab na pobliskich bagnach.

- Wciąż przypomina mi się, jak Joey zdmuchiwałdmuchawce.

- Jackpowoli wciągnął powietrze.

-Wtedy,w parku.

Też miałem ochotę rozplynać się w powietrzu.

- Jak puch z dmuchawca.

?

-Tak.

Znów umilkli.

Molly zastanawiała się, czyJacksłyszyl,jak głośno bije jej serce.

Choć już wiele razy omówili szcze-

góły planu, nadal była przerażona tym, na co się porywali. Nie należeli do ludzi, którym tego typu akcje przychodzą łatwością. Byli przyzwoici i przestrzegali prawa.

A jeśli okaże się, że nie są wystarczająco dobrzy w jego łamaniu?

Oparła się mocniej oporęcz.

- A co wola Bożą?

Jack uśmiechnął się do niej tak, jak uśmiechał się do Joeya, kiedy ten opowiadało Nibylandii.

- Wola Bożą?

- Beth powiedziała, że modlisz się, byśmy poznali wolę Bożą.

I Bili też się o to modli.

A jeśli wola Boża jest, żeby Joey został z nami, toczy tak się nie stanie nawet bez żadnych działań z naszej strony?

Czy nie może się tak stać prosto samo z siebie?

- Przerwała, ale Jack nie zdążył jej odpowiedzieć, bo natychmiast podjęła myśl:

- A jeżeli Jego wola jest, żeby zamieszkał z Porterami?

- Chodzi o to, że jeśli Bóg chce, żeby Joey wrócił do Porterów, to wszystkie nasze poczynania i tak na nic się nie dadzą?

To chciałaś powiedzieć?

- Tak - Molly mówiła cichym, smutnym głosem; już się nawet nie bała.

- Co wtedy?

Jack pomyślał przez chwilę, zanim odpowiedział:

- Nie wiem, jaka jest wola Boża, Molly.

Mówiłem ci, że możemy tym rozmawiać, ale później.

- Objął ją ramieniem i pomógł jej się wyprostować.

Przytulili się mocno.

- Wiem tylko, że mój plan się uda.

- Trzymał ją stanowczo za ramiona i z napięciem patrzył w oczy.

Napewno, Molly.

Nic nam się nie stanie!

Tą myślą pokrzepiała się przez całą noc, aż do wschodu słońca - tylko to podtrzymywało ją na duchu: nic im się nie stanie.

Nic.

Plan zadziała.

Musi!

Joey nie spał.

Leżał, głaszcząc Gusa i wpatrując się w sufit.

Nie powiedział oczymś mamie i tacie, iteraz gryzły gowyrzuty sumienia.

Kiedy ostatnimrazem był w tamtyndomu, w Ohio, gdzie Indianie grali w bejsbol, ten podłyczłowiek powiedział mu straszne rzeczy.

Mówił, że Joey tak naprawdę jest jego synkiem, a on- jego prawdziwym tatusiem.

Joey powiedział temu podłemu facetowi, że tonieprawda; że jego prawdziwa rodzina mieszkatutaj, na Florydzie.

Wtedy stało się coś jeszcze gorszego:

mężczyzna nachylił się nad nim i wysyczałmu wprost doucha:

- Jeżeli jeszcze raz to powiesz, mały, to tak cię zleję, że popamiętasz do końca życia!

Apotem wcisnął mu głowęw poduszkę i trzymał przezdługą chwilę.

To było straszne.

Joey nie mógł złapać oddechui miałytylko nadzieję, że przyjdzie ta miła pani ipowstrzyma swojego męża.

Kiedy rzeczywiście za chwilę nadeszła, strasznie wrzasnęła na tego mężczyznę.

Joey spojrzał na Gusa.

Pies leżał zotwartymi oczyma, ponieważ był naprawdę dobrym przyjacielem.

- Hej, GUS.

wieszco?

"Co?" - pytały psie oczy.

- Nie chcę już więcej widzieć tego podłego faceta.

Imoże nie będę musiał.

Wiesz, dlaczego?

"Dlaczego?"

" - zapytał GUS.

-Ponieważ poprosiłem o to Pana Boga.

- GUS zapominał niekiedy różnerzeczy, nawet jeśli mówiło się mu tysiścrazy.

-Nie pamiętasz, GUS?

Poprosiłem Boga, żeby pojechał ze mną do Ohio, itak zrobił.

Więc potempoprosiłem

Go, żebyś mógł już nie jeździć na te wycieczki i żebyś zawsze już był w domu z mamą, tatą i tobą.

"Nie zapominaj o Panu Małpcie i misiach".

- Wiem, GUS, nie zapominam.

- Joey wyciągnął rękę i przysunął Pana Małpkę.

Ale Pana Misia niestety niema, bo go zostawiłem w tamtym domu, w Ohio. Podłóżkiem.

Wiesz, dlaczego?

"Dlaczego?"

" - zaskomlał GUS.

- Bo ile razy na niego spojrzałem, zawsze przypominał mi tego złego faceta.

GUS ziewnął i przymknął powieki.

Nie przepadał za nocnymi pogawędkami.

Nic nie szkodzi.

Dzięki temu Joey mógł znów porozmawiać z Bogiem, ponieważ Bóg nigdy, przenigdy nie sypia.

Joey zapytał o Jonaha, kiedy ostatnio razem pływali, i Jonah tak właśnie mu powiedział.

Bóg nigdy nie śpi na wypadek, gdyby ktoś chciał z Nim pilnie porozmawiać.

- Panie Boże.

to ja, Joey.

Już Cię o to prosiłem, ale poproszę jeszcze raz.

Bo może ostatnio byłeś zajęty.

- chłopiec wyjrzał przez okno.

- Panie Boże, proszę Cię, czy możesz powiedzieć sędziemu, że ja nie chcę wracać do Ohio?

Chcę być tutaj, z moją rodziną.

Z mamą, tatą, Gusem, Panem Małpką i Panem Groźnym.

Ityle.

Pomyślał przez chwilę.

- Aha, jeszcze z ciocią Beth, wujkiem Billem i moimi kuzynami.

Zwłaszcza z Jonahem.

- Zamknął oczy.

Zawsze po rozmowie z Bogiem dobrze mu się zasypiało.

Dziękuję Ci, Panie Boże.

Miej nas w swojej opiece, amen.

Rozdział XXIV

Beth niczego w życiu nie była tak pewna jak tego, że Campbellowie coś knują.

Pracownica opieki społecznej nie oddzwoniła do niej.

Teraz była już dziewiąta wieczorem, a nazajutrz mieli wyjechać na Haiti.

Nie pytała więcej Molly, czy czasem nie planują ucieczki, ale i tak w jej stosunkach z siostrą dawało się wyczuć napięcie.

W ciągu ostatnich kilku dni Beth kilkakrotnie usiłowała dowiedzieć się od Molly, co z rozprawą, która pozwoli odwrócić moment rozstania z Joe'em.

Sądziła, że siostra będzie bardzo przejęta jej ostatecznym rezultatem, ale Molly pokręciła tylko głową:

- Została przesunięta na przyszły tydzień.

- To chyba źle, co?

- Nie, nasz adwokat jest zdania, że uda się zyskać na czasie.

Wierzymy mu, bo cóż innego możemy zrobić.

Prawda, Beth?

Właściwie niczego, co Molly opowiadała jej w ciągu ostatnich miesięcy, nie dało się sprawdzić.

Dlatego Beth poprosiła Billa, żeby trochę się rozejrzył, i Bili zadzwonił

316

do Paula Kerkara z biura sprzedaży nieruchomości.

Podczas rozmowy wspomniał, że szwagier kupuje budynek na cele medyczne, i zapytał, czy Paul nie słyszał o innych tego typu nieruchomościach na sprzedaż.

- Owszem.

- Paul był, jak zwykle, uprzejmy; telefon do Billa nie wzbudził w nim żadnych podejrzeń.

- Jack mówił mi, że za kilka dni sfinalizuje transakcję.

Czy rzeczywiście?

- Z pewnością w ciągu najbliższych kilku tygodni.

Kontrola budowlana wykazała, że dach wymaga naprawy, trzeba więc najpierw dopilnować remontu.

Bili szybko zakończył rozmowę, po czym spojrzał na Beth i uniósł w górę rękę.

- Wszystko się zgadza; Jack i Molly kupują budynek w West Palm.

A jednak Beth była niespokojna.

Nigdy nie dostrzegła u Molly ani jednego listu z biura

jakiegokolwiek polityka, nie widziała też powodu, dla którego miałyby uwierzyć, że Jacki Molly rzeczywiście zatrudnili adwokata. Molly nie chodziła na żadne spotkania, przynajmniej o niczym takim nie wspominała.

Jack również nigdy nie wspomniał, kogo zaangażował do prowadzenia sprawy - nie padło ani nazwisko prawnika, ani nazwa kancelarii adwokackiej; nie tłumaczył też, jak to możliwe, że ten właśnie prawnik będzie w stanie im pomóc, chociaż nikt inny nie chciał podjąć się tego zadania.

Samolot na Haiti miał wystartować za dwanaście godzin.

Beth była przerażona myślą, że jej siostra zamierza zniknąć.

Nie potrafiła nic udowodnić, ale przeczucie podpowiadało jej, że tak się właśnie stanie.

Zawsze potrafiła wyczuć, co Molly zamierza zrobić, jak się czuje albo czy nie wpakowała się w jakieś kłopoty.

317.

Właśnie dlatego już wcześniej zadzwoniła do informacji telefonicznej z pytaniem o numer telefonu Wendy Porter z Cleveland w Ohio. Pamiętała to nazwisko, gdyż od pierwszego kontaktu tej pracownicy opieki społecznej, Allyson Bower, z Molly i Jackiem w nieomal każdej ich rozmowie pojawiały się szczegóły dotyczące całej sprawy. I chociaż w ciągu ostatnich kilku tygodni Molly niewspominała nazwiska małżeństwa z Ohio, Beth dobrze je zapamiętała.

Bili zajęty był pakowaniem ostatnich rzeczy. Beth poszła na górę i z kieszeni dzinsów wyciągnęła małą karteczkę. Dzieci, już wcześniej spakowawszy swoje walizki, spały teraz smacznie, gotowe na spotkanie jutrzejszej przygody.

Beth była całkiem pewna, że Bili odradzałby jej mieszanie się do spraw Molly i Jacka. Poranna rozmowa z pośrednikiem handlu nieruchomościami wystarczyła, by go przekonać, że Molly i Jack nie zamierzają nigdzie uciekać. A jeśli jednak mają taki zamiar.

Beth pomyślała, że jeżeli nie zadzwoni teraz, to podobna okazja już się nie powtórzy.

Serce biło jej szybko, kiedy podniosła słuchawkę i wystukała numer. Po długiej przerwie usłyszała sygnał - jeden, potem drugi - po czym w słuchawce odezwał się kobiecy głos:

- Halo?

Beth wstrzymała oddech, pragnąc nieco uspokoić tłukące się w piersi serce, aby mogła się skupić na tym, co miała do powiedzenia.

Eee.

halo.

Przymknęła powieki.

Dlaczego to robi i co chce przez to osiągnąć?

Sama nie wiedziała, ale teraz nie było już wyjścia.

Wzięła się w garść.

Nazywam się Beth Petty, jestem siostrą Molly Campbell.

W słuchawce nastąpiła pełna wahań cisza.

318

- Jest pani siostrą przybranej matki Joeya?

- Kobieta wydawała się skonsternowana; mówiła przerywanym zezdumienia głosem.

- Dlaczego pani domnieza?

Stało się.

Beth wypuściła głośno powietrze i z determinacją podjęła rozmowę.
Od tej chwili nie ma już odwrotu.

- Pani Porter, chodzi o to, że.

Kiedy zadzwonił telefon, Wendy była w domu sama.

Mocno przycisnęła słuchawkę do ucha, starając się zrozumieć,
dlaczego dzwoni do niejsiostra przybranej matki Joeya.

Kobieta rozwodziła się nad tym, jak bardzo Campbellowie kochają Joeya i
jakie wspaniałe życie wiódł na Florydzie.

- Nie bardzo rozumiem.

Wendy usiadła przy kuchennym stole i oparła głowę na rękach.

- Wiem, że państwo Campbellowie byli bardzo dobrzy dla mojego syna, ale
mój mąż i ja świetnie sobie teraz radzimy, pani Petty.

I uważamy, że należy nam się szansa, by zostać rodzicami Joeya, zwłaszcza
że mój mąż dowiedział się o jego istnieniu dopiero kilkamiesiące temu.

- Tak, właśnie.

Dlatego dzwonię.

- Kobieta pod drugiej stronie wydawała się zdenerwowana.

Widzi pani, wydarzyło się coś, o czym powinna pani wiedzieć.

W tej samej chwili drzwi otworzyły się z trzaskiem i do domu wszedł

Rip.

Niósł torbę, z której wystawały butelki z alkoholem.

Wendy pokazała mu na migi, żeby był

cicho.

Wskazała na telefon i zakrywając dłonią słuchawkę, wyszeptała:

- Chodzi o Joeya.

319.

Rip przewrócił oczyma, odłożył torbę na blat kuchenny i wyciągnął jedną butelkę.

Pochwili nalewał sobie już drugą szklaneczkę.

Wrzucił do niej garść lodu i podszedł do Wendy.

- Kto dzwoni?

Wendy usiłowała dosłyszeć słowa kobiety wsłuchawce.

Kobieta mówiła coś o wycieczce na Haiti o tym, że ona uważa, że Campbellowie być może wcale nie mają zamiaru wracać z tej wycieczki do Stanów.

- Pytałem, kto dzwoni!

- ryknął Rip.

Wendy nie miała pojęcia, skąd wrócił, ale widać było, że już jest pijany.

Ledwietrzymał się na nogach.

Ponownie machnęła nim, żeby się odsunął.

Mocno przycisnęła słuchawkę do ucha, a drugie zakryła dłonią, usiłując dobrze słyszeć.

- A więc wyjeżdżają z kraju?

Jak to możliwe, żenico tym nie wiem?

Rip wykrzywił twarz.

Podszedł bliżej, zataczając się, i odstawił drinka na stół.

- Kto wyjeżdża z kraju?

- Proszę posłuchać.

- Wendy była przekonana, że kobieta słyszy pytania Ripa.

Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, było to, żeby siostra Molly Campbell dowiedziała się, że w domu Porterów sprawy wymykają się spod kontroli.

Czy mogę do pani oddzwonić?

Mam coś pilnego do zrobienia.

- Proszę nie zwlekać.

Bardzo się tą sprawą martwię.

- Dobrze.

- Wendy zanotowała numer telefonu kobiety.

Zadzwoń za pięć minut.

Rozłączyła się w tej samej sekundzie Rip znalazł się tuż przy niej.

Ścisnął jej ramię i rzucił ją o ziemię.

- Dowiem się wreszcie, o co chodzi?

320

- Rip, puść, proszę.

- Spróbowała go odepchnąć, ale on tylko mocniej wbił palce w jej ramię i

nie zwalniał ucisku.

Próbując zignorować ból, Wendydezwała się przyciszonym głosem, byle tylko się uspokoił.

- Posłuchaj, wszystko się ułoży musiała skłamać, w tej sytuacji było to jedyne wyjście.

Nikt nie wyjeżdżaz kraju.

Pozwól mi zadzwonić.

Rip popchnął ją mocno i spojrzałgniewnie.

- To przez ciebie taksję zachowuję, wiesz?

To było w jego picciu najgorsze: wściekał się, a jednocześnie zaczynał się nadsobą uzalać i o wszystko obwiniać żonę.

- Nie mówtak, Rip.

Machnął tyłkoręką, ignorując jej słowa, przy czymnieomal stracił równowagę.

Odwrócił się, wziął szklaneczkęz drinkiem iosuszył ją jednym haustem, po czymbeknął głośno.

Zaśmiał się iwszedłdo kuchni.

Obserwowała go - jak zawsze, gdy był w takimnastroju.

Musiała torobić, nawypadek, gdyby nagle sięodwrócił i zamachnął na nią.

Rip uniósł butelkę z trunkiem podświetło i wyszczerzył ku niej zęby w uśmiechu:

- Ty masz dla mnietylko to, co najlepsze.

- Nalałsobietrzecią szklaneczkę i z hukiem odstawił butelkę nastół.

Nagle znów ogarnęłago furia.

Spojrzał na Wendyz wściekłością.

- To wszystko twojawina!

Takchwiał się na nogach, że musiała się oprzeć o blat kuchenny.

- Zasługujesznawszystko, co cię spotyka z mojej ręki.

Wendy poczekała, aż mąż skończy tyradę.

Nie byłosensu dyskutować z nimteraz, kiedy był kompletnie pijany.

321.

Porozmawia z nim jutro; spróbuje go namówić, by wrócił na terapię i spotkania anonimowych alkoholików.

Stracą Joeya, jeśli Ripnie zrobisz coś ze swoim pićciem.

Albo popełni jakiś czyn, za który znów pójdzie siedzieć.

Mniej więcej po minucie Rip zabrał swojego drinka i chwiejnym krokiem ruszył w stronę salonu.

Opadł ciężko na fotel, pstryknął pilotem i natychmiast zatonął w jakiejś imprezie sportowej.

Dla Wendy była to jedyna okazja.

Podniosła słuchawkę i wystukała numer kobiety z Florydy.

Nie pamiętała dokładnie, co tamta mówiła coś o Haiti i wyjeździe z kraju ale wydawało się to ważne.

Na tyle ważne, że zadzwoniła do Wendy.

Nie chodziło przecież tylko o to, by opowiedzieć, jak bardzo

Campbellowie kochają Joeya, ale o to, by ostrzec Wendy przed czymś, co być może Campbellowie zamierzają uczynić.

W pełni zasłużone wakacje udały się Allyson Bower z rodzicami.

Zarówno ona sama, jak i jej dzieciu wielbiali coroczne letnie wyjazdy do Walton Beach na Florydzie, gdzie pławili się w słońcu, surfowali i wypoczywali.

Allyson czuła się cudownie, siedząc na plaży i wpatrując się w wodę - nie chciałyby wówczas znajdować się w jakimkolwiek innym miejscu na świecie.

Wyjazd wypadł w tym roku w wyjątkowo pomyslny porządek: sprawa Campbellów gryzła ją przez całe lato, a lenie w ciągu ostatniego tygodnia. Przez ostatnie siedem dni dołała zapomnieć o pracy - przynajmniej na tyle, żeby cieszyć się towarzystwem dzieci.

Teraz jednak wróciła już do pracy i zrobiło się jej ciężko na sercu - za

322

kolejne siedem dni Campbellowie utracą swojego syna na zawsze.

Sąd tym razem nie miał racji: bez względu na przepisy prawa Joey należał do Molly i Jacka Campbellów.

Allyson nie miała co do tego żadnych wątpliwości.

Nie mogła udowodnić, że Rip powrócił do swoich agresywnych praktyk - niewielkie siniaki w miejscu, gdzie chwycił Joeya, z łatwością dało się wytłumaczyć, nie stanowiły więc wystarczającego powodu, by wstrzymać przeniesienie praw do opieki nad dzieckiem.

Ale Wendy Porter mogła kryć męża tylko do pewnego stopnia.

Z pewnością ciężko było z nim wytrzymać; Allyson martwiła się o Joeya i jego przyszłość, kiedy już pracownicy opieki przestaną doglądać sytuacji w domu Porterów.

Rozejrzała się po swoim gabinecie - jak zwykle wszystko było doskonale zorganizowane, a każdy dokument i każda teczka ułożone w porządku alfabetycznym.

Allyson czekała mnóstwo telefonów, postanowiła więc zacząć od odsłuchania nagrań z sekretarki.

Po tygodniu nieobecności z pewnością trochę się ich nazbierało.

Mniej więcej w połowie nagrania odezwał się nieznany Allyson kobiecy głos:

- Pani Bower, nazywam się Beth Petty, jestem siostrą Molly Campbell.

Acóż to?

Dlaczego dzwoni do niej siostra Molly Campbell?

Allyson nachyliła się i zwiększyła głośność.

- Niełatwo przychodzi mi pani mówić, ale myślę, że powinna pani wiedzieć.

Wydaje mi się, że moja siostra i jej mąż planują ucieczkę z Joeyem.

Jak pani wie, za tydzień wyjeżdżamy na Haiti.

Podejrzewam, że Campbellowie zamierzają wziąć naten wyjazd fałszywe paszporty.

Mają także dostęp do ogromnej sumy pieniędzy.

323.

Allyson poczuła, że ziemia usuwa się jej spod stóp.
Przecież sprawa Campbellów została już zamknięta.
Przekonała sędziego, choć sama miała pewne wątpliwości, ani przez moment jednak nie przypuszczała, że Campbellowie uciekną!
Spojrzała na kalendarz ścienny.

Teraz są już w połowie drogi na Haiti.

Wysłuchała się wciąż dalszy wiadomości nagranej na automatycznej sekretarce.

Kobieta zakaszłała, jakby się zakrztusiła albo płakała.

- Bardzo proszę, jeśli to pani zajmuje się tą sprawą, proszę do mnie zadzwonić, gdy tylko odsłucha pani tę wiadomość.

- Kobieta podała swój numer i na tym nagranie się zakończyło.

Allyson zatrzymała automat, mocno chwyciła się poręczy krzesła i zwiesiła głowę.

Czy coś przeoczyła?

I jak to możliwe, że ta Beth Petty zadzwoniła akurat do niej i już nikim innym się nie kontaktowała, skoro wiedziała, że czas nagli?

Jeżeli ta kobieta się nie myliła a więc jeśli Campbellowie rzeczywiście planowali ucieczkę - cała winna spadnie na Allyson Bower.

Sąd będzie chciał wiedzieć, z jakiego powodu poparł pomysł wyjazdu na Haiti, a Porterowie będą mieli wszelkie podstawy, by pozwać ośrodek.

Zwłaszcza że sam nie zostali powiadomieni.

Jeżeli więc siostra Molly Campbell się nie myli, to praca Allyson, jej środki do życia i - co za tym idzie - cała jej przyszłość mogły runąć w gruzy.

Zresztą, nieo to nawet chodzi.

Nie obwiniała Campbellów.

Jej zadaniem było dopilnować przestrzegania prawa i realizacji orzeczeń sądowych.

Potarła kciukami brwi.

Do kogo powinna zadzwonić w pierwszej kolejności?

Chyba do sędziego?

Tak, zdecydowanie do niego!

On będzie w stanie najszybciej nadać tok sprawom, skontaktować się z władzami na Haiti oraz dopilnować, by Campbellowie

zostali zatrzymani i sprowadzeni z powrotem do kraju.

I to jeszcze zanim zdążą popełnić przestępstwo.

Już miała podnieść słuchawkę, ale w tej samej

chwili telefon zadzwonił.

Aż podskoczyła, ale zaraz się opanowała!

chwyciła słuchawkę.

Kimkolwiek był jej rozmówca, będzie musiał się pośpieszyć Allyson nie miała teraz czasu na żadne inne sprawy.

Szybko nacisnęła guzik przymigającym czerwonym światelkiem i podniosła słuchawkę do ucha.

- Słucham?

- Allyson Bower?

- w słuchawce odezwała się głos zapłakanej kobiety.

- Tak, przy telefonie.

- Allyson spojrzała na zegar ścienny; liczyła się każdą minutę.

Wciągnęła szybko powietrze.

- W czym mogę pomóc?

- Mówi Wendy Porter.

- Allyson nie miała już żadnych wątpliwości, że kobieta szłocha.

Poczuła, że cała krew odpywa jej z twarzy.

- Co się stało, Wendy?

Przez dłuższą chwilę w słuchawce dało się słyszeć jedynie szloch.

Po pewnym czasie Wendy odezwała się drżącym głosem:

- Muszę pani coś powiedzieć.

Rozdział XXV

Główna droga wiodąca z lotniska przez Port-auPrince była wyboista i usłana zepsutymi samochodami.

Molly i Jack jechali starym, zdezelowanym wanem; Joey siedział bezpiecznie wciśnięty pomiędzy nich.

W głowie Molly kołatała się jedna jedyna myśl:

naprawdę tutaj są!

Wyjechali ze Stanów, już zakilka dni będą w Europie udawać turystów, a parę tygodni później osiedlą na Kajmanach.

Plan się udał!

Perspektywa ta w równym stopniu przepelniała ją radością co smutkiem.

Kierowca wana, Jesper, wskazał na budynek po prawej stronie, zbudowany z białych, kruszejących cegieł, sprawiający wrażenie kompletnie zrujnowanego.

- Szpital.

- Uśmiechnął się.

- Szpital był otwarty nawet po huraganie.

Na pierwszym siedzeniu jechali Bili, Beth i Jonah, z tyłu zaś - śpiąc smacznie - reszta dzieci Pettych.

W wanie z nimi jechała trójka studentów oraz opiekunka szkolnej grupy studenckiej, który miał nadzorować ich prace wsielocu.

Molly starała się skupiać na słowach Jespera.

Tylko w ten sposób mogła nie myśleć o pozostałych szczegółach planu, które trzeba było jeszcze dograć przedopuszczeniem Haiti.

Jesper był uroczym człowiekiem o ciemnej karnacji i błyszczących oczach.

Cechował go głęboki wiar - rzuciło się to w oczy już od pierwszych słów zamienionych zaraz po poznaniu.

- Bóg dać wam dobrą podróż, czy tak?

- Uśmiech rozjaśnił jego twarz.

- Tak - odpowiedział w imieniu wszystkich Bili.

Bóg dał nam wspaniałą podróż, dziękujemy.

Zbierając ich bagaże i prowadząc ich do wana, Jesper mówił wciąż o łasce, miłosierdziu i opatrności Bożej.

Odkąd odebrali ich z lotniska, usta musiały zamykać.

Teraz opowiadał o Haitińczykach i ich wierze.

- Dla ludzi w moim kraju Bóg jest wszystkim.

Toludzie niepograżeni wciemności.

- Wskazał gestem zatłoczoną autostradę.

-Widzicie?

Widzicie, jak ludzie żyją?

Bóg jest wszystkim.

Molly nie mogła uwierzyć, że ludzie mogą tak żyć.

Na autostradzie pełno było zdezelowanych lub popsutych samochodów i rowerzystów ciągnących przyczepione do rowerów wózki, a od czasu do czasu napotykali pasterzy pędzących stada, co znacznie spowalniało jazdę. Dzięki temu mogli jednak dobrze się przyjrzeć okolicy.

Joey spał smacznie, a Jack i Molly jak zahipnotyzowani patrzyli narozciągający się za szybą krajobraz.

Mijali szeregi domów, a właściwie ledwie trzymających się kupy, były jak skleconych bud, chałup o brudnych drzwiach, z których niejedna pozbawiona była dachu.

Najwyraźniej w większości z nich brakowało prądu i bieżącej wody.

Ludzie idący chodnikiem o wystających, połama-

327.

nych płytach nieśli na głowach wielkie pojemniki i lawirowali w tłumie przechodniów i samochodów, co stwarzało wrażenie jednego wielkiego pchłego targu.

Jesper zahamował zezgrzytem i gwałtownie nacisnął klakson. Wszystkie znajdujące się nieopodal samochody odpowiedziały tym samym.

Tuż przednimi jakaś półciężarówka zatrzymała się na środku jezdni, żeby wypuścić sześcioro czy siedmioro ludzi, którzy zaraz zaczęli się przeciskać pomiędzy samochodami w kierunku pobocza.

Kiedy już dotarli tam bezpiecznie, pomachali przyjaźnie, ale zanim ruch został wznowiony, dał się słyszeć głuchy odgłos i waniem mocno szarpnęło.

- Co się.

- Bili i Beth odwrócili się gwałtownie.

Molly i Jack zrobili to samo i spostrzegli dwóch młodych mężczyzn uczepionych tyłu wana.

Jesper roześmiał się głośno:

- Amerykanie zawsze się dziwią, że ludzie podwożą jedni drugich.

- Opuścił szybę i pomachał do mężczyzn ręką wystawioną w górę kciukiem.

Bondye reme ou!

Molly знаła ten zwrot: "Bóg was kocha!

". Uśmiechnęła się pomimo całej dziwaczności tej sytuacji.

Jesper dodał gazu, a faceci uczepli tyłu samochodu jakoś nie spadli.

Kiedy przytrafił się im kolejny przymusowy postój, zeskoczyli, pomachali i poszli w swoją stronę.

Molly zauważyła wiejską kobietę siedzącą przy brudnym kamiennym stole.

Wyglądała na wymizerowaną i zmęczoną; miała na sobie byle jaką spódnicę i tandetną bluzkę, a włosy upięte w kok.

Zanim Jesper ruszył, Molly zobaczyła, jak z klatki stojącej obok niej naziemi, pełnej gdaczących ptaków, kobiety wyciąga kurczaka.

Położyła go na brudnym stole, mocno przyciskając mu szyję, i sięgnęła po nóż rzeźnicki.

W mgnieniu oka odcięła kurczakowi łeb, zręcznie go skubała i wy328 patroszyła, po czym wrzuciła mięso do stojącego tuż za nią kosza.

Znad kosza zerwała się chmara much.

Molly poczuła, że robi się jej niedobrze, i spojrzała na Jacka.

Siedział z bladą twarzą.

Skinął głową - też to widział.

Bili odwrócił się do nich i wyszeptał:

- Dobrze, że wzięliśmy tuńczyka w puszcze.

-O, tak!

Molly zdobyła się na śmiech.

Poklepała Beth po ramieniu.

- Widziałaś?

- Jesper mówił tak głośno, że ledwie było ją słyszeć.

- Co?

Beth popatrzyła na nią niezbyt uważnie.

Odkąd siedli do samolotu w West Palm Beach, jej myśli wyraźnie zaprzętało coś innego.

- Kurczaka.

Widziałaś tę kobietę z kurczakiem?

- Nie.

- Przez chwilę patrzyła siostrze w oczy.

- Muszę się nad czymś zastanowić.

Molly chciała zapytać, nad czym, ale bała się tego, co mogła usłyszeć w odpowiedzi.

Kłóciły się od dnia, kiedy Beth zapytała, czy ona i Jack mają zamiar uciec.

Molly domyślała się, że Beth nadal to gryzie, ale przecież musi w końcu zrozumieć, że nic na to nie poradzi.

Gdy Beth odwróciła się od niej, Molly poczuła ukłucie bólu.

Moja kochana siostrzyczko.

Gdybym tylko mogła ci wszystko powiedzieć i pożegnać się tak, jakbym tego pragnęła.

Proszę.

nie bądź namnie zła już na zawsze.

Jej westchnienie zwróciło uwagę Jacka.

Objął ją ramieniem i pogłaskał.

Spojrzeniem dodawał jej otuchy.

Wszystko się łoży - zdawał się mówić.

Uśmiechnęła się doń smutno.

Tak, będzie się musiała jakoś łożyć.

Teraz nie było już innej możliwości.

Jesper mówił teraz o oddawaniu czci Bogu:

- Godzinami śpiewamy, bo ludzie tutaj wiedzą, że Bóg jest wszystkim.

Wszystkim, co mamy, i wszystkim, czego nam trzeba.

329.

Molly miała przeczucie, że pewnego dnia, już wkrótce- jeśli tylko ona, Jack i Joey zdołają odnaleźć się w nowym życiu - może się okazać, że powiedzą dokładnie to samo.

Bethusiłowała skupić się na podróży i wszystkim, co widziała, zwłaszcza gdy już dojechali do sierocińca.

Ale; co rusz przyłapywała się na patrzeniu na siostrę i usilnych próbach właściwego odczytania jej reakcji, jej spojrzenia i tonu głosu.

A może się myli?

Może jest właśnie tak, jak Molly jej wyjaśniła?

Może padła ofiarą własnej, nadmiernej wyobraźni, jak sugerował Bili?

Jesper skierował ich uwagę na budynki po lewej stronie.

- Ten pierwszy to sierociniec, a ten obok to dom misyjny.

Obydwa budynki znajdowały się za grubym murem z cegły, wysokim na co najmniej dwa i pół metra.

Na szczycie muru umocowano drut kolczasty.

Okna wana były otwarte, więc słyszeli dziecięcy szczebiot po drugiej stronie muru.

- Sierociniec i dom misyjny trzeba dobrze chronić wyjaśnił Jesper.

Beth odniosła wrażenie, że całe Port-au-Prince potrzebuje podobnej ochrony, gdyż wszystkie budynki na tej ulicy otoczone były podobnym murem zwieńczonym drutem kolczastym.

Uzbrojony strażnik otworzył im ciężką, żelazną bramę.

Uśmiechnął się do Jespera i zartobliwie zaskłamał czapkę bejsbolową.

Samochód wtoczył się do środka i zaparkował na wąskim podjeździe.

- Oto dom misyjny.

Przejdziemy teraz do sierocińca.

330

Dzieciaki Pettych oraz Joey już dawno się obudzili i teraz sypiali Jespera lawiną pytań, tak że ledwo nadążał z odpowiedziami.

Wyciągnąwszy swoje bagaże spod siedzeń, wysypali się całą gromadką bocznymi drzwiami, próbując się zorientować, co się dzieje.

Nadjechał wan wiozący studentów i młodego pastora i zaparkował w pobliżu.

- Kto mieszka w domu misyjnym?

- zapytała Cammie.

Wolontariusze i goście z Ameryki - uśmiechnął się Jesper.

Od dziś wy i wasza rodzina!

- Aco się tutaj je?

- Braden tarł powieki.

- Jestem głodny.

- Faun zaraz przygotowuje prawdziwą ucztę z ryżu w głosie

Jesper abrzała duma.

- Dobrze dbamy o naszych gości z Ameryki.

Ciągnąc do domu walizki, dzieci zadawały Jesperowi kolejne pytania.

- Może trzeba było wziąć poduszki?

- zapytał cicho Bili, gdy zbliżali się do domu.

- Chyba nie - Jack spojrzał na niego przez ramię i się uśmiechnął - ale i tak wziąłem.

Wiesz, nigdy nic niewiadomo.

Beth przysłuchiwała się im, niepewna, co o tym wszystkim sądzić.

Ich przyjazne stosunki i swobodne pogawędki były czymś całkowicie nowym.

Czy był to autentyczny skutek ich wspólnych spotkań modlitewnych?

Czy też było ze strony Jacka jedynie wybieg pozwalający uciszyć ewentualne podejrzenia do czasu ucieczki?

Młodzi ludzie podróżujący drugim wanem podążyli za nimi.

Pastor powiedział, że by zostawili walizki i poszli do sierocińca przywitać się z dziećmi.

Dobrze - pomyślała Beth - niech idą.

Nieco dłużej będzie można rozpakowywać swoje rzeczy, a to dawało Beth sposobność wnikliw331.

szej obserwacji siostry.

Niechciała, by pastor jej w tym przeszkadzał.

Widziała, jak Molly uśmiechała się do Jacka i Joeya, gdy za wskazaniem jednego z wolontariuszy skierowała się do pokoju po lewej stronie.

Nawet jeśli zaplanowali wielką ucieczkę, nijak nie dawali tego po sobie poznać.

Beth zdumiewał ich spokój i swoboda zachowania.

Nagle dopadły ją wątpliwości.

A jeśli się pomyliła?

Czy będzie mogła oczekiwać, że Molly kiedykolwiek przebaczy jej te wszystkie podejrzliwe pytania i dziwne zachowanie?

Nie znalazła jednak żadnej odpowiedzi na swoje wątpliwości.

Zaprowadzono ich do pokoi.

Bili z uznaniem skinęli głową:

- Bieżąca woda i prąd.

Rzeczywiście, bardzo dobrze traktują tu gości.

Mam nadzieję, że sieroty też tak dobrze traktują.

- Cammie chwyciła swoją walizkę i celnym rzutem umieściła ją napiętrowym łóżku.

Już się nie mogę doczekać, kiedy je poznam.

Beth znów została wyrwana z rozmyślań.

Przecież przyjechali tutaj, żeby zrobić coś pożytecznego; czas już przestać się zamartwiać Molly, Jackiem i Joeyem.

Dla jej własnych dzieci było to jedyne w swoim rodzaju doświadczenie życiowe.

Wsunęła swoją torbę podróżną podłóżko i usiadła na brzeg materaca.

Nagle do oczu napłynęły jej łzy, przesłaniając widok.

Odtąd miesiące pouczała Molly i Jacka, że odpowiedzi zawsze należy poszukiwać w modlitwie - prosząco objawieniu woli Bożej.

Mówiłam, by ufali Bogu.

On jeden wie, co jest najlepsze dla Joeya, nawet jeśli ludziom nie wydaje się najlepszym rozwiązaniem.

A co sama robiła?

332

Przeżyła ten czas, kiedy próbowała nauczyć Molly i Jacka wiary, polegała wyłącznie na własnych siłach.

Aż nie wyrażała swoich wątpliwości dotyczących Molly i Jacka w

modlitwie.

Oczywiście, modliła się za Joeya żeby Molly pozwolono zatrzymać synka. Ale kiedy tylko nadchodziły ją podejrzenia co do planów Molly i Jacka, zamieniała się w detektywa, zasypującego siostrę pytaniami i węszonego w poszukiwaniu dowodów.

Nawet kiedy zadzwoniła do Allyson Bower i Wendy Porter, jej poczynaniom nie towarzyszyła szczerą rozmową z Bogiem. Nic więc dziwnego, że została ukarana wątpliwościami i obawami. Niemogła znaleźć pokoju, gdyż kierowała się wyłącznie własnym rozumem.

Siedziała teraz pochyloną głową i twarzą ukrytą w dłoniach. Dzieci się rozbiegły, Bili wyszedł z pokoju.

Tylko Jonah został przyniej - musiał usłyszeć jej płacz.

- Co robisz, mamusiu?

- Chłopiec skoczył na łóżko obok Beth.

- Jest ci smutno?

- Nie, właściwie nie.

- Pociągnęła nosem i objęła syna ramieniem.

- Muszę się przez chwilę pomodlić.

A ja mogę iść się pobawić z Blainem i Bradenem?

Tak, kochanie.

Idź.

Jonah wybiegł, a Beth ponownie zakryła twarz dłońmi, a potem zrobiła to, zaczęła jej dusza tęskniła od samego rana.

Boże.

wybacz mi moje wątpliwości i podejrzenia.

Tak bardzo próbowałam stać się strażnikiem mojej siostry, a przecież Ty wiesz, co się stanie.

Pomóż mi pamiętać o radości zbawienia oraz pomóż, bym była pewna

Twojej prawdy, Ojcze.

Otarła łzy.

Zaraz mieli się wszyscy spotkać przy posiłku.

Boże.

Błagam, niech się dzieje wola Twoja w przypadku Molly, Jacka i Joeya.

Od tej chwili będę Ci już ufać cokolwiek się wydarzy.

333.

Otworzyła oczy i wstała.

Tym razem beznajmniejszych wątpliwości wiedziała, jak ma postąpić, gdy tylko zobaczy Molly.

Usiadła przy niej podczas posiłku i bezchwili wahania zrobiła to, co powinna była uczynić już dawno temu: przeprosiła ją.

Rozdział XXV

Jack czuł, że zachodzi w nim jakaś zmiana.

W głębi duszy zawsze był pewny siebie i ufny w swoje możliwości, ale teraz coś się nim działo.

Miał wrażenie, że staje się jakby miękki - że do jego serca zakrada się świadomość, że być może przez całe życie się mylił.

Niespodziewała się takiej zmiany, i to na tym etapie realizacji ich planu: przecież wyjazd na Haiti, praca w sierocińcu - wszystko to miało być jedynie grą pozorów, niezbędną w celu umożliwienia im opuszczenia Stanów.

Ale po dniu pracy z Haitańczykami i wolontariuszami z sierocińca Jack widział, że Jesper ma rację: Bóg naprawdę był dla nich wszystkim.

Drugiego dnia pobytu w Port-au-Prince Jesper zaproponował wycieczkę do centrum miasta.

Tego typu jednodniowe wypadki były częścią akcji charytatywnej - umożliwiały dostarczenie żywności i rozmaitych potrzebnych środków ludziom żyjącym na ulicach miasta.

Jack widział w nich gwarancję, że jego plan się powiedzie.

Wszak wszystko może się przydarzyć, gdy znajdziesz się na ulicy - już on tego dopilnuje.

335.

Poranek minął im na pracy z dziećmi i wolontariuszami w sierocińcu. Jack obserwował, jak Joey i dzieci Pettych zaprzyjaźniają się z sierotami. W domu był tylko jeden pokój przeznaczony do zabawy: niewielkie, pozbawione mebli kwadratowe pomieszczenie z podłogą wyłożoną kafelkami.

Na mniej więcej czterdzieścioro dzieci byłoby tu zaledwie kilka zabawek.

Myślałem, że nasz kościół posyła tutaj także zabawki dla dzieci - powiedział do Jespera.

Jesper uśmiechnął się.

Te dzieci dostają mnóstwo zabawek i ubrań.

O wiele więcej niż dzieci na ulicy.

- Wykonał gest w kierunku bramy wjazdowej.

- Wolontariusze pakują przysyłane rzeczy do pudeł, wychodzą z nimi na ulicę i rozdają tym, którzy nie mają nic.

W tej odpowiedzi było coś upokarzającego.

Zajęli się naprawą muru od południowej strony.

W czasie przerwy Jack znalazł Joeya.

Chłopiec bawił się z sześcioma kolegami.

Jack miał batoniki i muesli dla synka oraz dwa inne dla dzieci z sierocińca.

Nie da się poczęstować wszystkich.

Odwołał więc Joeya na bok.

- Słuchaj, stary, mam dla ciebie batonik.

Myślisz, że mógłbyś się nim podzielić z kolegami?

Błękitne oczy Joeya rozbliły się radośnie.

- Pewnie, tatusiu!

- Wziął batoniki i pobiegł do kolegów.

Następnie połamał każdy z nich i rozdał wszystkim.

Dzieciaki szalały z radości.

Dziwiły się i oglądały swoje kawałki batoników, szczebiocząc coś po kreolsku, najwyraźniej bardzo przejęte.

To, co nastąpiło później, tylko zmocniło dziwne uczucia budzące się w sercu Jacka.

Każde z dzieci z sierocińca wzięło swój kawałek słodkiej przekąskii i pobiegło do grupki innych dzieci.

Ciągle

336

szczebiocząc i gestykulując z radości, dzieliły swoje batoniki najszczęśliwszym dzieciom, aż w końcu wszystkie dzieci w sierocińcu

zostały poczęstowane.

Tak zastał Jacka Jesper.

Objął go ramieniem i stwierdził:

- One rozumieją nauczanie Chrystusa.

Lepiej dawać niż dostawać.

Jack nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

Niemógł się doczekać, kiedy opowie o wszystkim Molly.

Które z amerykańskich dzieci postąpiłoby w ten sposób, które pomyślałoby o innych?

Tutejsze dzieci nie miały nic, ale obdarowaneczymkolwiek, natychmiast pragnęły się tym podzielić.

Jack wrócił na swojestanowisko przymurze sierocińca; wziął młotek i paczkę gwoździ.

Obok niegopracował wolontariusz z sierocińca, Franz.

Mówił łamaną angielszczyzną podobnie jak Jesper był bardzo gadatliwy.

- Bóg oszczędził moją rodzinę.

- Franz przyłożył gwoździ i jednym ruchem młotka wbił go w nową deskę. Był zbudowany jak Mike Tyson, ale jednocześnie cechował go dzięcięcą wrażliwość.

- Nie mamy jedzenia, umieramy na ulicy.

Ja i żona błagać Boga o litość, o pomoc.

Pokazał na Jespera.

- Następnego dnia Jesper przyjdzie do nas i zaprosi nas do pracy w sierocińcu za jedzenie i mieszkanie.

- Wskazał na błękitne niebo nad ich głowami.

- Dobry Bóg, nasz Bóg.

Bardzo dobry.

- Tak.

Zaprzeczanie i tak nie miałyby sensu.

Wypad do miasta zaplanowany był na trzecią po południu, w czasie popołudniej drzemki podopiecznych sierocińca.

Studenci wraz ze swoim opiekunem mieli udać się do najbardziej niebezpiecznej dzielnicy, rodzina Pettych została skierowana jedną z ruchliwych ulic, a Campbellowie

337.

- na inną.

Mieli rozdawać ludziom torby z żywnością i różnorakimi zapasami oraz broszurki objaśniające w języku kreolskim przesłanie w Chrystusa i drogę do zbawienia.

Pastor w Bethel Bible Church tłumaczył im jeszcze przed wyjazdem, że wystarczy, jeśli będą uśmiechać się do ludzi i traktować ich w miły sposób:

- Każdy to potrafi, niepotrzebna tu żadna wiedza teologiczna.

Pamiętajcie - to wyjazd wolontaryjny.

Wszystko zostało wyjaśnione w broszurach.

Gdy wyruszyli, Molly odwróciła się do Jacka:

- Będę się wszystkim uważnie przyglądać.

Skiną głowę.

Rozmawiali o tym poprzedniego wieczoru.

Wyjazd do miasta da im jedyną okazję szczegółowego dopracowania planu.

Następnego dnia poproszą, by posłano ich w to samo miejsce, a tam już znajdą jakiś sposób ucieczki.

Zapakowali tylko niezbędne rzeczy niemożliwe wszak było zabierać walizki na jednodniowy wyjazd do Port-au-Prince.

Mogli wziąć tylko tyle, ile zmieściło się w plecaku oraz w niewielkiej torbie podręcznej Molly.

Żeby nazajutrz nie budzić żadnych podejrzeń, już dziś wzięli ze sobą dokładnie te same bagaże.

- Po co walizka?

- zapytał Franz, siadając za kierownicą.

Uśmiechnął się zabawnie do Molly.

Wy, Amerykanie, zawsze wożicie ze sobą bagaże.

- Mam alergię.

- Molly poklepała torbę.

Kłamstwo miało obrzydliwy posmak.

- Tutaj mam jedzenie i lekarstwa na wypadek, gdyby zeszło nam dłużej, niż planowaliśmy.

Franz demonstracyjnie wzruszył ramionami, a lenie przestał się uśmiechać.

- Mnie nie przeszkadza.

Wrzucił do tyłu.

338

W drodze na miejsce Molly za plecami Joeya nachyliła się do Jacka i

przyciszonym głosem szepnęła:

- Zapomniałam ci powiedzieć.

Beth mnie wczoraj przeprosiła.

- Naprawdę?

- zdziwił się Jack.

- Tak mi się właśnie wydawało, że ona nadal nam nie dowierza.

Jakby pierwszamiąła stanąć nam na drodze, gdyby doszło do ucieczki.

- I takby było - Molly przekrzywiła głowę - ale mam wrażenie, że przestała się tym zamartwiać.

Zupełnie jakby postanowiła zlekceważyć wszystkie swoje obawy.

Jack pozwolił słowom Molly zapaść mu w serce.

Stanowiły one kolejny dowód na to, że wiara Beth i Billa była na tyle silna, by zmieniać ludzi.

Popatrzył przez okno narozwalające się ubogie domostwa i prowizoryczne stragany, na których sprzedawano różnorakie wyroby.

Na ulicy kręciło się mnóstwo ludzi, którym życie nie dawało żadnych powodów do nadziei.

Ich oczy w większości przypadków były puste; niektórzy z nich siedzieli na ławach i trzymając głowy w dłoniach, czekali, aż minie kolejny dzień, inni pochylali się nad stołami z zakurzonymi słodyczami lub wodą mineralną, żywiąc nadzieję, że przed wieczorem uda się im zarobić kilka dolarów.

Tylko w sierocińcu lub w domu misyjnym spotkał Haitańczyków pełnych radości życia i miłości.

Bez względu na to, co Jack myślał przedtem o nauce chrześcijańskiej, nie mógł zaprzeczyć, że miała ona pozytywny wpływ na ich gospodarzy.

Jechali jeszcze przez dziesięć minut, po czym Franz skręcił w wąską alejkę.

U jej końca znajdował się niewielki plac, na którym zgromadziło się sporo ludzi.

- Tutaj pracujemy, tak?

Franz aż pojaśniał na samą myśl.

339.

- Tak.

-Jack rozejrzał się uważnie.

Wszystkie spojrzenia zwrócone były w ich stronę.

Już wcześniej przyszłomu do głowy, że część wypadu do miasta może być dla nich niebezpieczna, zwłaszcza dla Joeya.

Spojrzał na Molly.

- Nie wypuszczaj jego ręki.

- Nie puszczę.

- Dostrzegł strach w jej oczach i zrozumiał: to nie ci ludzie byli wyłączną przyczyną jej strachu.

Ubiegłej nocy, kiedy już wszyscy zasnęli, Molly przyszła do łóżka Jacka i przytuliła się mocno.

- Tak się boję, Jack.

A jeśli nas złapią?

- Nie złapią.

- Gładził jej włosy i całował ją.

-Mówiłem ci ostatnio, jaka jesteś piękna?

Wtulila głowę w jego ramię.

- Mówię poważnie, Jack.

Co będzie, jeżeli nam się nie uda?

- Uda się.

- Szeptano rozmawiała prawie godzinę, wreszcie Molly zasnęła z głową na piersi męża.

Teraz patrzyła nań rozszerzonymi oczyma, przerażona ogromem czekającego ich zadania.

Mieli przywitać się z tymi ludźmi, rozdać żywność i inne produkty oraz kościelne broszurki, po czym znaleźć sposób, by nawiązać kontakt z kimś, kto mógłby im pomóc.

Albo wymyślić, jak niepostrzeżenie się zgubić, a następnie złapać jakikolwiek transportna lotnisko, zanim ktoś ich znajdzie.

Franz wysiadł pierwszy.

Z uśmiechem na twarzy donośnym głosem obwieścił coś po kreolsku.

Potem zaczął zdejmować pudła z jedzeniem z samochodu i ustawiać je na ziemi.

Powiedział coś jeszcze i ludzie podeszli bliżej.

- Mam nadzieję, że powiedział im, że jesteśmy przyjaźnie nastawieni - odezwał się po cichu Jack.

-Ja też.

- Molly kurczowotrzymała Joeya.

340

- Czy teraz będziemy opowiadać im o Bogu?

- Joey był bardzo przejęty, nie bał się jednak ani trochę.

Nie miał pojęcia, co ich czeka.

- Tak, kolego.

- Molly ucałowała jego jasną główkę.

- Zaraz.

Siedzieli w samochodzie, czekając na znak od Franza, który właśnie w tej chwili otworzył drzwi i skinął na nich, pokazując, by wysiedli.

- Ludzie czekają na podarunki.

Jack zdawał sobie sprawę z tego, że wszystko spoczywa na nim.

Molly byłaby przerażona i zajęta pilnowaniem Joeya.

Zależało im na zrobieniu wrażenia na tyle przyjaznych, żeby zwrócić uwagę właściwych osób.

Od jego zachowania zależał więc los ich trojga.

Miał zamiar wmieszać się w tłum, podczas gdy Molly i Joey zostaną z Franzem.

Przez pierwsze pół godziny byli tak zajęci pracą, że nie mieli czasu myśleć o czymkolwiek innym.

Ale później tłum począł rzednąć.

Wiść o ich przyjeździe musiała rozejść się szeroko, gdyż wciąż przybywali nowi ludzie oczekujący darów.

Pogoda przypominała klimat południowej Florydy:

było wilgotno i bardzo gorąco.

W oddali gromadziły się chmury.

Jack spojrzął na zegarek czwarta.

Nie mieli zbyt wiele czasu.

Od czasu do czasu spoglądał ponad głowami zgromadzonych na Molly, Joeya i Franza.

Niekiedy Franz dostrzegał w tłumie znajomego i gdzieś z nim siedział, znikając w czasie natrzy, cztery minuty, a raz nie było go nawet przez kwadrans.

Już wcześniej mówił im, że zna tu sporo osób, że będą musieli niektóre z nich odwiedzić w domu.

- Potrzeba im odwiedzin i modlitwy - tłumaczył Campbellom.

Dacie sobie radę.

341.

Sytuacja rozwijała się więc doskonale.

Jeśli Franz będzie kontynuował odwiedziny znajomych, jutro wykorzystają okoliczność, by się oddalić.

Ale na nic się to nie zda, jeżeli dzisiaj nie nawiąże kontaktu.

Musi znaleźć kogoś, kto ich zawiezie na lotnisko.

- Bondye remeou - pozdrawiał każdego.

- Mówisz po angielsku?

Większość tylko potrząsała przecząco głowami; zabierali paczki z żywnością i broszurki i się oddalali.

Jack zaczął przesuwac się w kierunku obrzeży placu.

W oddali dostrzegł kilka samochodów; w każdym siedział kierowca.

Jack podszedł do Franza i Molly.

- Co oni robią?

Wskazał na kierowców.

Im też można zanieść paczki?

- Czemu nie?

- Uśmiechnął się Franz.

- To kierowcy.

Jak..

taksówkarze w Ameryce.

Jego uśmiech przygasł.

- Większość nie ma wcale pracy, po prostu siedzą.

Niektórzy przewożą narkotyki dla baronów narkotykowych.

Jack domyślał się tego.

W dali odezwał się ciężki pomruk - pierwszy zwiastun nadciągającej burzy.

- Długo jeszcze, Franz?

- Dopóki nie rozdamy wszystkiego - skrzywił się, spoglądając na niebo albo dopóki się nie rozpada.

Zobaczymy, co będzie pierwsze.

Molly rzuciła mu nerwowe spojrzenie, po czym odwróciła się na powrót do ludzi.

Wokół niej tłoczyły się kobiety z licznymi gromadkami dzieci.

Jack jeszcze raz przyjrzał się samochodom.

Wziął kilkatoreb z darjami broszurek i ruszył w kierunku kierowców.

Dwóchnie wydawało się w ogóle zainteresowanych, trzeci właśnie rozmawiał z jakimś obdartym starszym

342

jego gościem, ale czwarty uśmiechnął się do niego i wyciągnął rękę.

- Cześć, Amerykaninie!

Angielski!

Facet zna angielski!

Jack wyciągnął kuniemu torby z darami i podszedł bliżej.

- Cześć!

Bondye reme ou!

- Tak, Bóg kocha wszystkich - zachichotał mężczyzna.

- Mówię po angielsku, przyjacielu.

- Wychylił się samochodu.

- Co mi dziś przynosisz?

Jack wręczył mu kilka toreb.

- Książeczkę z trzymaj.

- Mężczyzna wskazał na niebo i puścił oko.

- Ja już znam Boga.

Dobry, dobry Bóg.

- No, tak.

- Jack poczuł dreszcz na plecach.

No właśnie.

Spojrzał przez ramię.

Franz pogrążony był w rozmowie, Molly i Joey zaś nieustannie sięgali po nowe zapasy i wręczali je ludziom.

Oparł łokieć o samochód.

- Jesteś kierowcą?

- Tak.

Mężczyzna chwycił kierownicę.

Bóg daje Tancredowi pracę.

- Wskazał pozostałych kierowców.

- Inni to źli ludzie.

- Zniżył głos.

- Narkotyki.

bardzo źle.

Uśmiech powrócił na jego twarz; zwinęta pięścią uderzył się w klatkę piersiową.

- Tancredo jeździć dla Boga.

Jack doszedł już do tego, że skłonny był uwierzyć we wszystko.

Wziął głęboki oddech i uspokoił się.

- Szukam kogoś, kto by jutro podwiózł mnie, żonę i syna na lotnisko.

O tej porze.

Tancredo klasnął w ręce.

- Zrobięto!

Jutro.

Ta sama pora.

Jack cofnął się o kilka kroków; nie chciał zbyt przyciągać uwagi.

- Zapłacę ci sto dolarów, dobrze?

343.

Mężczyzna szeroko otworzył usta ze zdumienia.

- Sto dolarów?

-Tak.

Ale nic nikomu nie mów.

Bóg nam powiedział, że jutro musimy uciec.

Dla bezpieczeństwa naszego synka.

- Wskazał na ulicę.

- Spotkamy się na końcu tej ulicy, okej?

Tancredo wydawał się nieco zagubiony, ale potakująco skinął głową.

- Bóg wam mówi, to ja nie mówię nic.

- Położył dłoń na ustach.

- Tancredo jechać, i tyle.

Spotkam was w sekretnym miejscu; koniec ulicy, druga przecznica w lewo.

- Koniec ulicy, druga przecznica w lewo powtórzył Jack, nie wierząc
własnemu szczęściu: kierowca mówiący po angielsku i rozumiejący
potrzebę dyskrecji!

Kątem oka dostrzegł mierzającego w ich stronę Franza.

Cofnął się jeszcze o kilkakroki i pomachał do Tancredo.

- Bondye reme ou!

- Oui, Bondye reme ou!

- Kierowca uniósł głowę otrzymaną torbę z żywnością, po czym oparł
głowę o zagłówek, powracając do oczekiwania na kolejnego klienta.

- Dobrze ci poszło, Jack.

- Dogonił go Franz.

- Zaprzyjżniasz się z Haitańczykami.

Bóg się do ciebie uśmiecha.

Jack sam niewiedział, co ma czuć.

Jak Bóg mógłby się do niego uśmiechać?

Niezaprzyjżniał się wcale, raczej knuł plan, jak złamać prawo i uciec z
własnego kraju.

Przepędził zaraztę myśl i wskazał gestem pudłoz zapasami.

- Wszystkie torby rozdane?

- Wszystkie!

Franz uniósł dłonie ku niebu.

Bóg pobłogosławił ten dzień i to miejsce!

Wracali w milczeniu, tylko Franz od czasu do czasu wznosił okrzyki
lub cytował Biblię.

Jack niemógł się doczekać, kiedy opowie Molly o swoich dokonaniach, ale

nie

344

śmiałego uczynić, dopóki nie zostaną sami.

Gdy ruszali do domu, zwrócił się do Franza:

- Czy jutro też możemy tutaj przyjechać?

W to samomiejsce?

Powiedziałem jednemu z mężczyzn, żeby przyprowadził jutro znajomych, bo tam wrócimy.

- Tak, to dobry plan - uśmiechnął się Franz i zapatrzył na niebo.

Będzie dziś wielka burza.

W połowie drogi zatrzymali się, żeby zatankować.

Właśnie zaczęło padać.

Stacja benzynowa stanowiła istny targowisko chaosu: piętnaście, może dwadzieścia osób tłoczyło się tu, sprzedając setki zużytych, zmiętych rzeczy, na obrzeżach zaś piętrzyły się hałdy śmieci, w których ryły wychudzone świnie.

Gdy tylko Franz wysiadł, by znaleźć jakiegoś pracownika stacji benzynowej, Jack obrócił się do Molly.

- Wszystko układa się doskonale.

Znalazłem kierowcę.

- Widziałam.

- Rozmawiali szeptem, pośpiesznie.

Joey spał pomiędzy nimi, nie było więc obawy, że usłyszy.

- Co robimy?

- Facet ma na imię Tancredo.

Spotkamy się jutro w tym samym miejscu.

Nie będziemy zdejmować plecaków, zatrzymasz też przy sobie przez cały czas swoją torbę.

Kiedy Franz pójdzie odwiedzić jakiegoś swojego znajomego, spokojnie przejdziemy przez ulicę, a potem dobiegniemy do samochodu.

Kierowca będzie czekał.

Delikatnie pogłaskał żonę po ramieniu.

- Wszystko przemyślałem, Molly.

Możesz odetchnąć.

- Aż minie dobrze.

- Przytuliła śpiącego Joeya i wtuliła twarz w jego jasne włoski.

Jack nie był pewien, ale wydawało mu się, że Molly płacze.

On także czuł łzy pod powiekami, ale miał absolutną pewność, że muszą to

345.

zrobić dla swojego syna, gdyż jest to jedyny sposób, by gochronić.

Jack wolałby wylecieć zaraz pierwszego lub drugiego dnia, ale musieli trzymać się ustalonego planu - potrzebowali czasu do nawiązania kontaktów.

Teraz od całkowitej realizacji zamierzeń dzieliło ich kilkanaście godzin.

Po powrocie do sierocińca pozwolili Joeyowi odpocząć;

postanowili przed kolacją zagrać z Beth i Billem w karty w świetlicy.

Zanim do nich wyszli, Jack pociągnął Molly w najdalszy kąt ich pokoju.

- Posłuchaj, mam pewien pomysł.

- Spojrzał przez ramię, jakby chciał się upewnić, czy nikt nie podsłuchuje.

Pochwili przeniósł wzrok na Molly i szybko wyszeptał.

- Jutro wezmę jeden z moich podkoszulków, podrę i ubrudzę go, a potem poplamie swoją krwią.

- Jack!

- Molly zbladła jak ściana.

- To brzmi jak jakiś horror!

- Nie, po prostu nakłuję lekko palec; krwi nie musi być wiele, tylko żeby wyglądało, że spotkał nas coś złego.

Zostawie ten podkoszulek na ulicy, gdy już ruszymy na lotnisko.

Molly patrzyła na niego zszokowana.

Ale powoli zaczynała rozumieć cały ten pomysł i wreszcie skinęła głową.

- Chcesz ich zmylić?

- Tak, choćby na krótko - myślą wyprzedzać wydarzenia.

- Nie zajmie im zbyt wiele czasu, żeby domyślić się, że podrzuciliśmy im podkoszulek specjalnie i że to tylko fikcja.

Ale nam się przyda każda dodatkowa godzina.

- Słusznie.

Rozumiem.

- W każdym razie zanim się zorientują, o co chodzi, my będziemy już w drodze do Sztokholmu.

- Bilety na

346

samolot lecący do Europy mieli kupić na lotnisku.

Jack znał cały plan na pamięć: jeśli będą jeszcze miejsca w samolocie, kupią bilety do Szwecji - krajuna tyle odległego, że międzynarodowa policja nie zdąży jeszcze przekazać tam wiadomości o zniknięciu małżeństwa z dzieckiem, i gdzie wśród miejscowej ludności o blond włosach Jack, Molly i Joey będą mogli wmieszać się w tłum.

- Molly?

- usłyszeli głos Beth.

Stała w drzwiach, trzymając talię kart.

Jesteście gotowi?

Jasne.

Molly ledwie trzymała się na nogach.

Chwyła Jacka za rękę.

- Chodź, porozmawiamy o tym z Bethi Billem.

Jack był pod wrażeniem jej refleksu.

Godzinę później siedzieli wciąż wokół stołu, grając w karty wymieniając się opowieściami z wyjazdu na ulicami miasta.

Kolacja - ryż z fasolą - była już prawie gotowa, a gospodarze jak zwykle pozwolili sobie pomóc w przygotowaniach.

Jack doświadczał mieszanych uczuć: z jednej strony euforii, z drugiej zaś smutku.

To ich ostatni wieczór z Bethi Billem, awłaśnie zaczynał ich lubić.

Dziecinie spały;

siedziały teraz na podłodze i też grały w karty w jakąś swoją grę.

Molly kilkakrotnie wspominała, że być może kiedyś - gdy już najgorsza burza wokół nich ucichnie - będą mogli wrócić do Stanów i spotkać się z Beth i Billem.

Jack wątpił, by było to możliwe, ale nie chciał rozwiewać nadziei.

Napotkał wzrok Molly i domyślił się, że czuje to samo - nostalgię i nieodwracalność tej chwili.

Ostatni normalny wieczór; nie wiadomo, kiedy nadarzy się następny.

Molly wyłożyła na stół ostatnią kartę.

347.

- Beth.

jak mogłam zapomnieć?

- jęknęła - Powinam była zagrać pikiem.

Popukałam się w czoło.

A już wygrywałyśmy.

- Nic nie szkodzi.

- Beth odchyliła się nieco i uśmiechnęła.

I tak wykańczamy chłopaków!

Nie mogę się.

Nie dokończyła zdania, gdyż drzwi do domu misyjnego otworzyły się z hukiem i do środka wpadło pięciu uzbrojonych policjantów.

- Policja!

- Ich angielszczyzna była lepsza niż większości tutejszych mieszkańców.

- Nie ruszać się!

Jack poczuł, że kręci mu się w głowie.

Co jest?

Dlaczego strażnik pilnujący bramy nie ostrzegł mieszkańców domu misyjnego, że nadchodzi policja?

I po co się tutaj zjawili?

Wszyscy dziewięcioro zamarliw bez ruchu;

z kuchni wybiegła trójka wolontariuszy, krzycząc po kreolsku do policjantów.

Dzieci siedzące na podłodze nie wiedziały, co robić.

Cammie Blain powoli unieśli ręce, jakby byli aresztowani, natomiast Braden, Jonah i Joeyczmychnęli dorodzców.

Jonah zaczął płakać.

Jeden z pracowników misji przejął inicjatywę.

Podbiegł do policjantów, gestykulując gwałtownie i wykrzykując coś po kreolsku.

Z tonu jego głosu wywnioskowali, że jest burzony i wściekły.

Jeden z policjantów - najwyraźniej dowódca także zaczął gestykulować w odpowiedzi krótko warknął kilka zdań.

Molly wbiła wzrok w męża.

Była blada.

Jack popatrzył nią surowo: "Nie trać głowy!

". Przełknęła ślinę i ledwo dostrzegalnie skinęła głową.

Nie zdradzi się.

- O co u licha.

- wyszeptał Bili do Beth, która w odpowiedzi potrząsnęła tylko głową.

348

I wtedy Jackdostrzegł wyraz jej oczu.

Nie było w nich strachu i szoku, jak u pozostałych; raczej coś, co do czego trudno się było pomylić, choć Jack nigdy tego u Beth niewidział
poczucie winy.

ozdział XXVII

'olly nie była w stanie oddychać, mówić, ani nawet się ruszyć.
Nikt nie musiał jej tłumaczyć,
dlaczego policjant wrzaskiem wpadł do domu misyjnego.
Zdawała sobie z tego sprawę równie dobrze, jak z tego, że za chwilę serce
wyrwie się jej z piersi.

Spojrzała na Beth.

Na twarzy siostry całkiem wyraźnie malowało się poczucie winy.
Nagle Molly zrozumiała, że ich misterny plan właśnie runął - zostali
złapani!

Zaraz ich aresztują, przesłuchają i odeślą do Stanów.

Tam będą ich oczekiwali stróż prawa, a Joey natychmiast zostanie im
odebrany na zawsze!

Przed oczyma tańczyły jej mroczki; czuła, że zaraz zemdleje.

Wtedy właśnie Jack cisnął kolejne gniewne spojrzenie w jej kierunku.

Nie może się rozklejać, nie teraz!

Nieprzyjoeju, który kurczowo trzymał jej rękę, ani przy pozostałych
dzieciach przyglądających się całej scenie.

Molly odwróciła się od Beth i spostrzegła, że pracownik domowy
podchodzi do nich.

Był wyraźnie zmieszany.

- Policja ma nakaz.

Wykrzywił twarz.

Nigdy wcześniej nic takiego się tu nie działo.

- Podeszedł do nich

350

powoli i spojrzał Jackowi w oczy.

- Policja chce zabrać was, waszą żonę i syna.

Mają rozkaz z ambasady.

Molly kurczowo ścisnęła rączkę Joeya.

A więc jednak!

Miała rację - zostali złapani.

Mogła im to zrobić tylko jedna osoba.

Odwróciła się i spojrzała na Beth.

W jednej chwili stanęły jej przed oczyma wszystkie sytuacje, kiedy tak patrzyła
swojej siostrze w oczy.

.Beth szarpie ją za ramię; ma trzy lata, Molly pięć.

Pobawisz się ze mną?

Molly bierze siostrę za rękę i znajduje dla niej miejsce obok siebie na podłodze.

Potem kolejne spojrzenie Beth - były wtedy troszkę starsze, a Beth spoglądała na nią z siodełka swojego roweru, wdzięczna Molly, że znalazła czas, by z nią poćwiczyć jazdę, kiedy tata zajęty był czymś w domu.

i kiedy były w liceum, a Beth trzymała ją za rękę i mówiła, że Connor Aiken to palant.

.albo rok później, gdy występowały w zespole czirliderek przed meczem koszykówki i uśmiechały się do siebie, gdyż nie było dwóch lepiej zgranych dziewczyn niż

one..

.byłoteż pewne zimowe popołudnie, w czasie przerwy świątecznej, kiedy zadzwoniła do niej matka Arta Goldberga:

- Mam złewieści, Molly.

- a Molly osunęła się na podłogę i przez łzy płynące nieprzerwanie z zapuchniętych oczu widziała Beth obiecującą jej, że wszystko będzie dobrze kiedyś.

icałkiem niedawno, kilka miesięcy temu, kiedy siedziały obok siebie w parku i Molly mówiła, jak bardzo się cieszy, że są teraz sąsiadkami, a Beth uścisnęła ją i odpowiedziała:

351.

- Zawsze będziesz moją najlepszą przyjaciółką.

Wszystkie te sceny przemknęły Molly przez myśl, gdy spojrzała na swoją siostrę i zadała jedyne pytanie, jakie przychodziło jej do głowy.

Pytanie, które miało prześladować ją aż do śmierci:

- Jak mogłaś?

- Słowa były ledwie słyszalne.

Jack rozmawiał z pracownikiem z misji, próbując zrozumieć, jakierozkazy dostała policja.

Ale policjant szczechnął tylko, wydając kolejne polecenie i najwyraźniej nakazując pośpiech.

Beth potrząsnęła głową, jakby chciała zaprzeczyć, że w tym jakikolwiek udział.

Stała z otwartymi ustami, a lenie wydobyło się z nich ani jedno słowo.

Teraz już wszystkie dzieci płakały.

Starsze tuliły się do siebie, wciąż siedząc po turecku na podłodze.

Młodsich łopcy uczeplieni byli rodziców.

Joey wdrapał się na kolana Molly

- Czy policja nas zabierze?

Molly była wściekła na siebie i na Beth.

I na Jacka.

Cóż oni sobie wyobrażali?

To jasne, że ich szalony plan nie mógł się powieść.

Teraz Joeya czeka jeszcze większa trauma, a co więcej, ich szansę na zachowanie prawa do opieki nad nimi zostały zaprzepaszczone.

Na zawsze!

Wpatrywała się uporczywie w Beth i nie miała ochoty odwrócić spojrzenia.

- Doniosłaś nanas.

Beth.

Jak mogłaś?

Beth ponownie otworzyła usta, a lenym razem przeszkodził jej Jack.

Wstał i wyciągnął dłoń do Molly.

- Chodźmy.

Musimy się dowiedzieć, czego od nas chcą.

Mają nakaz z ambasady.

Molly miała wrażenie, że unosi się gdzieś poza swoim ciałem.

Rzuciła ostatnie spojrzenie na Beth, Billa i ich

dzieci, potem wzięła Joeya za rękę i poszła z Jackiem.
W połowie drogi do drzwi zatrzymała się jednak.

Nasze rzeczy.

Jack powiedział coś do wolontariusza, a ten - w języku kreolskim - do policjanta.

Po krótkiej wymianie zdań potrząsnął głową, zwracając się do Jacka:

Policja mówi, że nie potrzebujecie niczego.

- M-m-mamo.

do kąd j-j-jedziemy?

- Joey kurczowo chwycił Molly.

Patrzył na nią rozszerzonymi oczyma chociaż przestał już płakać, wyglądał na mocno wystraszonego.

- Trzymaj się mnie, kochanie.

Wszystko będzie dobrze.

Ostatni rzut oka na Beth wystarczył, by wzbudzić w Molly wściekłość: stała z pochyloną głową, jakby się modliła.

Tego jeszcze brakowało!

Molly miała ochotę wrzeszczeć na nią i płakać jednocześnie.

Za późno już namodlitwy!

Stało się wyrządzone im krzywdę, w dodatku spotkało ich to ze strony osoby, którą kochała najbardziej na świecie.

Policjanci wyprowadzili ich do radiowozu, pomogli się szybko ruszyli przez ulice miasta.

Było jeszcze jasno - szósta wieczorem.

Molly, Jack i Joey siedzieli w części radiowozu przeznaczonej do przewozu przestępców; od policjantów oddzielała ich plastikowa przegroda.

Molly wyciągnęła rękę do Jacka i chwyciła go za ramię.

Nie.

nie mogę.

oddychać.

Mamo!

Joey podskoczył, przyklęknął na siedzeniu i zajął jej w oczy.

- Dlaczego nie możesz oddychać?

Molly.

ani mi się waży!

Jack posłał jej groźne spojrzenie.

Niezrobiliśmy nic złego!

Zamknęła oczy.

Dalej, Molly, weź się w garść!

Niepanikuj!

Wstrzymała oddech, a pochwili głośno wypuść353.

ciła powietrze, starając się uspokoić - raz, drugi, trzeci.

Wreszcie udało jej się zaczerpnąć głęboki oddech, powietrze zdołało dotrzeć do płuc.

Otworzyła oczy i uśmiechnęła się blado dosynka.

- Nic mi nie jest- Słowa przerywało nierówne dyszenie, przecząc temu, co mówiła.

- Nie martw się.

- Posłuchaj.

- Jack chwycił jej nadgarstek i potrząsnął lekko jej ręką.

-Złapano nas, owszem, ale jak dotęj pory nie zrobiliśmynic złego.

- Zamienili się z Joeyem miejscami, żeby mógł szeptać Molly do ucha tak,by mały nie słyszał.

Molly potwornie bolała głowa.

O czym on mówi?

Przecież złamali przepisy - uknułi plan nielegalnej ucieczki z kraju pod fałszywymi nazwiskami.

-Jack.

pomysł: nasz plan, fałszywe paszporty, pieniądze.

.. Oczywiście, że zrobiliśmynic coś złego.

- Nie, jeszcze nie.

Kupno paszportu nie jest przestępstwem, podobnie jak przelanie pieniędzy na zagraniczne konto czy wyjazd z pomocą humanitarną.

Złamali byśmynic prawo, używając tych paszportów lub wyjeżdżając z

Haiti pod fałszywym nazwiskiem - mówił szeptem, lecz ostro, dobitnie.

To, że tutaj jesteśmy, jeszcze nie oznacza, że jesteśmy jakimiś przestępcami.

Przecież sąd nam pozwolił, pamiętasz?

Stopniowo, jak słońce przebijające się przez ciężkie chmury, słowa Jacka zaczęły docierać do Molly, nabierało sensu.

Tak, miała rację.

Jak dotąd wcale nie złamali prawa.

- Too co w takim razie chodzi?

- wyszeptała Molly, wciąż jeszcze przerażona.

W życiu nie pomyślałaby, że znajdzie się w policyjnym radiowozie, który powiezie ją do ambasady amerykańskiej.

Wpadliw niezłe tarapaty.

Jack myślał intensywnie.

354

- Sam się nad tym zastanawiam; zadaję sobie to pytanie od chwili,

gdy policja wpadła do domumisyjnego.

Możetoten kierowca, Tancredo?

Może rozmawiał z Franzem.

- Niewidziałam, żeby zamienili choć jedno słówko.

-A może to Franz?

Może coś usłyszał?

- Jack oparł głowę o jej czoło.

-Kochanie, tak mi przykro.

Niewierzę, że to wszystko dzieje się naprawdę.

- Więc mówisz.

- Molly zmuszała się do wolniejszego oddychania - mówisz, że nie złamaliśmy prawa, ale

ale ktoś.

dowiedział się o naszych planach.

W oczach Jacka zabłyśły łzy.

-Na to wygląda.

- To musiała być Beth.

- Molly uniosła ramiona.

- Tylko ona coś podejrzewała.

-Beth?

-Jack zacisnął szczęki.

- Lepiej, żeby to nie była jej sprawa.

-Uderzył pięścią w kolano.

- Co z niej za chrześcijanka, jeżeli doniosła na nas, wiedząc, że chcemy tylko ochronić nasze dziecko?

Możesz mi to wytłumaczyć?

- Jack.

proszę cię.

- Molly czuła zawroty głowy, nie była w stanie nadążyć za tym, co się działo.

To przecieżich wina, nie Beth.

Ona zrobiła jedynie to, co uważała za najszuszniesze; może nawet była przekonana, że w jakiś sposób im pomaga?

Ale to ich należy winić - ją i Jacka.

;Zadrwili z Boga, używając ości, żeby złamać prawo.

Być może właśnie spotyka ich za tokara.

- Tu nie chodzi o Beth, tylko o nas.

Nie powinniśmy byli próbować ucieczki.

Złapali nas, za późno na złość.

- Wiem.

- Jack się zgarbił.

-Za późno na cokolwiek.

Ale musieliśmy spróbować, Molly.

- Myślisz, że zabiorą nam Joeeya?

- Poczulał przyływ paniki.

Nie była gotowa na pożegnanie.

- Jack, czy to chciałeś powiedzieć?

355.

- Molly, kochanie.

tak mi przykro.

- Jack objął Molly jednym ramieniem, a synka drugim.

Joey przyglądał się im, zdziwiony.

Ale o nic nie pytał, wtulił tylko swoją jasną główkę w bok Jacka i siedzieli tak we trójkę, aż dojechali na miejsce.

Podjechali pod dwupiętrowy budynek z czerwonej cegły, oznaczony tablicą z napisem "Ambasada USA".

No to koniec - pomyślała Molly.

- Zabiorą nam Joeya i już nigdy więcej go nie zobaczymy.

Coś jej podpowiadało, żeby chwycić Jacka i Joeya za ręce, odwrócić się na pięcie i zacząć uciekać ile sił w nogach, aż poczuje w plecach ból od postrzału.

Dla niej życie przecież i tak się skończy - jeśli zabiorą im Joeya, jak którekolwiek z nich będzie mogło to przeżyć?

- Tędy, jeden z policjantów otworzył drzwi.

Jego głos był równie pozbawiony wyrazu, co twarz.

O, Boże.

Nie!

Czy to miała na myśli Beth, mówiąco Bożej woli?

Czy Bóg chciał, aby Joey zamieszkał u Porterów, u tej miłej kobiety, jak chłopiec ją nazywał?

Przeszli na drugą stronę wyboistej ulicy, po czym policjanci poprowadzili ich po schodach wąskiej zewnętrznej klatki schodowej na górę.

Jeden z nich - najwyraźniej ich przełożony - otworzył drzwi i wprowadził ich do środka.

Znaleźli się w obszernej poczekalni; policjanci ustawili się pod ścianą, blokując dostęp do drzwi.

Jeden z nich, słabo mówiący po angielsku, wskazał im kanapę.

- Usiąść tutaj.

Jack ujął Molly za rękę i wszyscy troje zrobili, co im kazano.

Joey usiadł pomiędzy nimi; Molly czuła, jak mały drzy.

Nie wiedziała, co robić.

Jeśli miały to być ich ostatnie wspólne chwile, chciała mu tyle powiedzieć, ale dawała sobie sprawę z tego, że zajęłoby to co najmniej rok.

Teraz

356

mieli jedynie kilka minut, a ona nie wiedziała, od czego zacząć.

Wzięła dziecko na kolana i przytuliła go do jego głowy.

- Joey, mama bardzo cię kocha.

- Do oczu napłynęły jej łzy, ledwie była w stanie mówić.

Jednak jeśli rzeczywiście jest to ostatnia szansa, by się z nim pożegnała, nic jej nie powstrzyma.

- Chcę, żebyś zawsze o tym pamiętał, cokolwiek się stanie, dobrze?

Synek wtulił się w nią mocno.

- Ja też cię kocham.

Jack czuł samo co Molly.

Popatrzyli na siebie, serca impłowały.

Objął Joeya ramieniami, pochylił się nad nim.

- Wiesz co?

Jesteś dla mnie wszystkim, kolego.

Bardzo cię kocham.

- Głos mu się załamał.

- Rozmawiaj z Panem Bogiem, dobrze?

- dokończył szeptem.

Molly miała wrażenie, że wszystko ją boli.

Kiedy już skończy się ten koszmar, a ona i Jack będą musieli pozbierać się jakoś zacząć wszystko od nowa, być może jeszcze raz spróbują żyć tak jak Beth i Bili - z Bogiem na pierwszym miejscu.

Chciała jeszcze powiedzieć Joeyowi, że gdyby kiedykolwiek oddzielono ją od niego, ona i tak zawsze będzie go kochać i modlić się, by Bóg pozwolił mu do niej wrócić, ale nie zdążyła.

Drzwi się otworzyły i do sali weszło dwóch mundurowanych mężczyzn.

Jeden z nich zatrzymał się w pobliżu policjantów, drugi - najwyraźniej

Amerikanin - podszedł do Jacka i Molly.

W rękach trzymał jakieś papiery.

Spojrzała na Jacka.

- Jack Campbell?

- Zgadza się.

- Jack się wyprostował.

W jego głosie nie było strachu, jedynie rezygnacja.

357.

Molly zwiesiła głowę.

Złapano ich; nie ma co się dziwić.

- Molly Campbell?

Spojrzała na mężczyznę i skinęła głową.

- Tak.

- Urzędnik ambasady zaraz im wyjaśni, że władze odkryły ich plan, i powiadomi ich, że mają natychmiast zostać deportowani, a Joey zostanie eskortowany do Ohio, gdzie oczekują go już jego biologiczni rodzice, którym przyznano prawo do opieki.

Molly wstrzymała oddech i czekała.

Mężczyzna podszedł bliżej.

- Proszę państwa, jestem pracownikiem ambasady amerykańskiej na Haiti.

Otrzymałem pilną wiadomość z kraju.

Nakazem sądu z Ohio zostałem zobligowany, by odnaleźć państwu i przekazać informację od

spojrzała na kartkę - .

.pracownicy opieki społecznej, pani Allyson Bower.

Informację?

O czym ten facet mówi?

Molly znów czuła zawroty głowy; przytrzymała się mocno Joeya, żeby nie upaść na podłogę.

Jack pochylił się do przodu.

- Proszę pana.

- Wyglądał na kompletnie dezorientowanego.

- Nie całkiem rozumiem.

Mężczyzna potrząsnął kartką.

- Może przeczytam tę wiadomość: "Niniejszym zawiadamiamy państwa Molly i Jacka Campbellów, że postanowieniem sędziego Randalla Grove'a z Sądu Rejonowego w Cleveland sprawa o przyznanie prawa do opieki nad Joeyem Campbellem została umorzona.

Od tej chwili prawo do całkowitej i stałej opieki nad dzieckiem przyznaje się Molly i Jackowi Campbellom".

358

- Co?

- Jack zerwał się na równe nogi.

Popatrzył na Molly, a potem na stojącego przed nimi mężczyznę.

Sprawę umorzono?

Molly poczuła, że ogromny kamień spada jej z serca;
zaczęła szlochać, osunęła się na oparcie kanapy, tuląc Joeyai kołysząc
gow ramionach.

To niemożliwe.

Przecież przywieziono ich tutaj, żeby się rozstali z synkiem; żeby odstawić
ich do Stanów i ukarać za to, że zmyśleli, że udaim się przechytryć system.

Ale Bóg działał w końcu cud, chociaż oni zadrwilizwiary i
modlitwy, z chodzenia do kościoła i z tego wyjazdu charytatywnego.
Wszechmogący mógł ich zniszczyć za to, co próbowali zrobić, ale zamiast
tego okazał im swą miłość w sposób tak wyraźny, że Molly ledwie
mogła wto uwierzyć.

Jack przysiadł na skraju sofy.

Łzy płynęły mupo policzkach, nie był w stanie wydusić ani słowa.

Gestem pokazał pracownikowi ambasady, by mówił dalej.

Wtedy po raz pierwszy mężczyzna w mundurze się uśmiechnął.

- Rozumiem, że to dobra wiadomość.

- O, tak.

- Jack zdołał się odezwać; otarł oczy.

- Bardzo dobra.

Nawet nie ma pan pojęcia, jak dobra!

Mężczyzna odchrząknął.

Przeniósł wzrok na trzymany w ręku list i czytał dalej:

- "Nowe dokumenty dotyczące adopcji zostały podpisane przez oboje
rodziców biologicznych i uwierzytelnione.

Na mocy jednego z warunków adopcji zobowiązujesz się państwa do
przywiezienia Joeya Campbella na jeszcze jedno spotkanie w Dziale Opieki
nad Dziećmi Opieki Społecznej w Cleveland w stanie Ohio za dwa tygodnie,

359.

po którym to okresie niniejszy Wydział nie będzie zgłaszał żadnych więcej zastrzeżeń do sprawowanej przez państwa opieki".

Gratuluję -mężczyzna uśmiechnął się do nich.

- Oczywiście mam kopię tych dokumentów dla państwa.

Ale Molly i Jack już gonie słuchali.

Zajęci byli tuleniem Joeya i ściskaniem siebie nawzajem, szlochaniem i śmianiem się; usiłowali uwierzyć w to, co się stało.

Mamo, tato.

o co chodzi?

Czy nas aresztują?

Nie, kochanie.

- Molly całowała chłopca raz po raz w policzki, czoło i rękę.

- Musimy dokończyć nasz pobyt na Haiti i wrócić do domu z ciocią Beth, wujkiem Billemi twoimi kuzynami.

I już nigdy nie będziesz musiał jeździć na żadne wycieczki bez mamy i taty.

- Jack wstał, wziął chłopca na ręce i okręcił się z nim wkoło.

Potem usadził go sobie na biodrze.

Co ty na to?

Joey wyrzucił w górę zaciśniętą pięść.

Super!

Policja eskortowała ich z powrotem do domu rodzinnego, ale potem nic z tej jazdy nie pamiętali.

Tak niewiele brakowało, by na zawsze stracili swoje dziecko.

Joey mógł w tej chwili być odwożony do Stanów i nigdy więcej by go nie zobaczyli.

Molly czuła się kompletnie wyczerpana;

zbyt jej się kręciło w głowie, by mogła zająć się czymkolwiek.

Próbowała tylko poukładać jakoś zdarzenia tego dnia i zrozumieć je.

Najwyraźniej Porterowie zmienili zdanie co do Joeya.

Ale dlaczego?

Cobyło tego przyczyną?

I po co mieli się stawić w biurze opieki społecznej w Cleveland za dwa tygodnie?

Zresztą, Molly było wszystko jedno.

Pojechała by nawet na koniec świata, byle sprostać warunkom adopcji.

360

A co z Beth?

Jaksię okazuje, Molly pomyliła się co dosiostry.

Beth nie doniosła na nich, jakwidać.

Gdyby taksię stało, spotkanie w ambasadzie miałoby całkiem innyprzebieg.

Beth-jej najlepsza przyjaciółka, najlepszysprzymierzeniec.

Jak mogła źle o niej myśleć?

Dojechali do domu misyjnego, zanim Molly zdołałauporządkować swoje uczucia.

Nie miała pojęcia, jaki kiedy znaleźli się w domu.

Beth, Bili i ich dziecisiedzieliw świetlicy;na ich twarzachwidać było ślady łez.

- Molly!

- Beth wstała naich widok.

Spojrzała naJacka, potem na Joeya, wreszcie przeniosła wzrok z powrotem na Molly.

- Co się stało?

Mollypuściła dłoń Joeya iszybko podeszła do siostry.

- Jest nasz,Beth!

Joey jest nasz!

Porterowie się rozmyślili!

Beth wybuchła płaczem i objęła Molly.

Obie narazzaczęły się przeproszać, a potemspojrzały nasiebiei jednocześnieparsknęły śmiechem.

- Beth, przepraszam.

Myślałam, że na nas doniosłaś - powiedziała cicho Molly.

W pobliżuJack wyjaśniałBillowi,co zaszło w ambasadzie, a dzieciaki Pettych zasypywały pytaniami Joeya.

-Pomyślałam, że zadzwoniłaś

do opieki społecznej.

- Poczekaj.

- uśmiech Beth przygaśł.

Wydawałomisię, że macie zamiar uciec.

Naprawdę tak misięwydawało.

..

- Bo mieliśmy!

Niemogłam ci tego powiedzieć, ale

miałaś rację.

Oczywiście, ciebie, Beth, nigdy nie uda misięoszukać.

- Molly odchyliła głowę do tyłu.

Nigdy w życiu nie czuła się tak dobrze.

Koszmar, który zaturował im życie w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy, wreszcie się skończył.

Odzyskali Joeya i własne życie - z trudem ogarniała tak wspaniałą rzeczywistość.

Ponownie spojrzała na siostrę.

361.

Naprawdę myślałam, że na nas doniosłaś.

Bardzo cięprzepraszam, Beth.

- Ale.

- Bethzmieniła się na twarzy, zarazem zmieszana i wystraszona.

Wjej spojrzeniu znów zagościłowyrażnepoczucie winy.

- Jato zrobiłam, Molly - mówiłatak cicho, że ledwo dało się ją słyszeć.

- Naprawdę?

Molly poczuła, że jej uśmiech gaśnie.

Zadzwoiłaś doopieki społecznej?

- Tak.

- Beth zwiesiła głowę.

Po chwili podniosła spojrzenie i Molly zobaczyła wjej oczach łzy.

- I do WendyPorter.

Powiedziałam jej, że Joey jestwasz, że go tak bardzokochacie.

Ale powiedziałam jej, że chyba macie zamiaruciec.

Molly wstrzymała oddech.

Znówkręciło jejsię w głowie.

Nie wiedziała, co powiedzieć, ani cozrobić.

Bethrzeczywiście doniosła na nich, ale jakie to miało znaczenie?

Nic się nie stało, a Joeybyłteraz ich - już na zawsze.

Uśmiechnęła się do siostry i uściskała ją.

- Kocham cię, Beth.

Nie gniewam się na ciebie.

-Nie?

- Nie.

-Jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak dobrze.

Nie rozumiesz?

Ostatecznie nie zależało to wcale ani odciebie, ani od nas.

- Molly patrzyła na nią roześmianymioczyma, a wgłębi duszy czuła niezwykle blask.

Towszystko byłow rękach Boga.

Mogliśmy zatrzymać Joeya, gdyż taka była Jego wola, sama się o tomodliłaś.

Rzeczywiście, nie było innego wytłumaczenia.

Kiedy tak rozmawiali, cieszyli się i modlili na przemian, w sercach ich wszystkich zagościła głęboka i niezaprzeczalnaprawda: tego wieczoru byli świadkami czegoś niezwykłego.

Z przyczyn, których być może nigdy nie zrozumieją, powtór362

nie, i tym razem ostatecznie, otrzymali dar - swojego syna.
Co więcej, odzyskali swoje dawne życie.

Był to cud.

Zanim położyli się spać, postanowili rankiem następnego dnia zatelefonować do banku w Szwecji.

Jack uśmiechnął się do Molly.

- A ten budynek na cele medyczne?

To naprawdę dobra okazja.

Molly roześmiała się i pociągnęła Joeya do siebie nakolana.

- Wszystko mi jedno!

- Ucałowała czoło synka.

- Możesz kupić całą ulicę, byle tylko ten mały chłopczyk został z nami!

Zanim poszli spać, Jack i Molly uklękli przy łóżku Joeya.

Po raz pierwszy wszyscy razem rozmawiali z Bogiem.

Pierwszy odezwał się Jack:

- Boże - głos mu się załamał - nie wiem, co powiedzieć.

.. Przepraszam.

Tak bardzo Cię przepraszam.

Skłonił głowę i dał znać Molly, by kontynuowała modlitwę.

Molly popatrzyła na niego z miłością; był wdzięczny Bogu, ale najpierw pomyślało o przeproszeniu Go.

Przepraszał za wykorzystywanie religii do swoich celów i zato, że aż do tej pory nie wierzył w moc Bożą.

Molly odchrząknęła i odezwała się:

- Boże.

dziękujemy Ci.

Nie znamy słów, które mogłyby wyrazić naszą wdzięczność.

Kiedy wrócimy do domu, wszystko się zmieni.

Uczyniłeś dla nas cud delikatnie przytuliła Joeya - a teraz my ofiarujemy Ci nasze życie.

- Tak - głos Jacka był silny, pewny.

Przyszła kolej na Joeya.

- Witaj, Panie Boże!

To ja, Joey.

Pamiętasz, jak Cię prosiłem, żebyś mógł zostać z mamą, tatą i Gusem i żebyś

363.

już nie musiał jeździć do tamtego domu w Ohio?

Dwa razy Cię prosiłem, pamiętasz?

- Zaczerpnął powietrza.

- Wiedziałem, że to dla mnie zrobisz.

Dzięki za ten szczęśliwy dzień.

Miej nas w swojej opiece, amen.

Jej wspaniały synek!

Molly ucałowała Joeya, Jack również.

Gdy już wychodzili z pokoju, coś przyszło jej do głowy.

Nie będą musieli daleko szukać, by nauczyć się rozmawiać z Bogiem i nawiązać z Nim więź.

Ich syn już im pokazał, jak to zrobić.

Rozdział XXVII

Był środek września.

Allyson Bower nie mogła uwierzyć, że wszystko potoczyło się w taki właśnie sposób.

Już miała skontaktować się z policją, kiedy zadzwoniła Wendy Porter.

A teraz, za kilka minut, Wendy miała spotkać się z Joeyem w obecności Molly Campbell.

Allyson wyprostowała się na krześle i postukała ołówkiem w leżącą przed nią otwartą teczkę.

Jak można było przypuszczać, ostatecznym powodem decyzji Wendy Porter okazał się jej mąż, Rip.

W czwartek, dzień przed wyjazdem Campbellów na Haiti, upił się ponownie.

Wściekał się na Wendy, że rozmawia przez telefon, a gdy odłożyła słuchawkę, kazał sobie wszystko opowiedzieć.

Nie spodobało mu się to, co usłyszał, więc stracił panowanie nad sobą.

Allyson spotkała się z Wendy nazajutrz - gdy Rip siedział już w areszcie, a kobieta wyszła ze szpitala.

Miała złamanie ramienia, szwy wokolicy ucha, posiniaczoną twarz i podbite oczy.

Ale znalazła dość siły, by do niej zadzwonić.

Wnieś oskarżenie, Wendy.

Musisz to zrobić.

365.

Zadzwoiłam na policję - płakała Wendy.

Ostrożnie otarła łzy z oczu, ale i tak skrzywiła się przy tym z bólu.

Rip wraca do więzienia.

A co z Joeyem?

Powiedziałam Ripowi, że zeznam, że zrobił to niechcący, że to wszystko wina wypitego alkoholu - kilka razy wciągnęła pospiesznie powietrze pod warunkiem, że podpisze zgodę na adopcję.

Allyson nie wiedziała, co na to powiedzieć.

Zawsze chciała, żeby Joey został w rodzinie Campbellów.

Ale Wendy musiała zostać dokładnie poinformowana o przysługującym jej prawie i zrozumieć jedobrze.

Wiesz, że możesz zatrzymać Joeya, jeśli chcesz.

Wendy skinęła głową.

Chodzi o to, że jego adopcja nie była ważna, tak?

Bo Rip nie podpisał wtedy dokumentów?

Tak.

Allyson wstrzymała oddech.

Sprawa była delikatna.

- Rip może iść do więzienia, ale tobie przysługuje prawo do wyłącznej opieki nad synem.

Musisz zdecydować; to zależy tylko od ciebie.

Wiem.

Po policzkach Wendy płynęły łzy; ciche łzy biorące się z głębokiego smutku i żalu.

- Ale pewnego dnia Rip wyjdzie na wolności znów mnie odnajdzie, jak zawsze.

- Ponownie otarła powieki.

- A kiedy tak się stanie, ja znów go przyjmę.

Bezradnie uniosła w górę ręce.

Zawsze tak jest.

- Zmieszana spuściła wzrok.

- Już raz oddałam Joeya, bo nie mogłam znieść myśli, że Rip go skrzywdzi.

Dziś powód jest ten sam.

W ciągu następnych dwóch dni dokumenty zostały podpisane i uwierzytelnione, a Allyson natychmiast zajęła się przekazaniem wiadomości Campbellom.

Istniałoryzyko, że zechcą podjąć ucieczkę; Allyson chciała uprze366 dzić taki krok.

Przez dwa ciągnę się w nieskończoność dni wraz z sędzią Grove'em zmagali się z wymogami biurokracji.

Wreszcie udało się wszystko pomyślnie załatwić, także z ambasadą amerykańską na Haiti.

Policja otrzymała zadanie doprowadzenia Molly, Jacka i Joeya do ambasady, gdzie mieli zostać poinformowani o zmianie decyzji dotyczącej prawa do opieki nad Joeyem.

Jakimś niezwykłym zbiegiem okoliczności udało się powiadomić Campbellów, zanim zdążyli wprowadzić w życie swój plan - jeśli taki w ogóle mieli.

Allyson uśmiechnęła się do siebie.

Wiele by dała, żeby zobaczyć ich miny, gdy dowiedzieli się, że sprawa o prawo do opieki nad dzieckiem została umorzona, a Joey jest ich już na zawsze.

Molly Campbell powiedziała, że to cud.

Być może.

Allyson - po raz pierwszy od wielu lat

- od dwóch tygodni chodziła z dziećmi do kościoła, choćby po to, by podziękować Bogu za to, że zdziałał to, czego ona, ani Campbellowie nie potrafili uczynić.

W ciągu ostatnich tygodni Campbellowie wypełnili wszelkie niezbędne dokumenty i teraz Joey był już oficjalnie ich synem, bez żadnych wątpliwości.

Wendy Porter nie prosiła o możliwość odwiedzania syna, więc w ogólnej kwestii nie brano pod uwagę.

Allyson spojrzała na zegar ścienny.

Spotkanie miało się zacząć za dwie minuty.

Molly Campbell i Joey czekali już w pomieszczeniu przeznaczonym na tego typu okazje, wyposażonym w kanapy, wyściełane krzesła i kosz zabawek.

Zadzwonił telefon na biurku Allyson.

Nacisnęła migający guziczek i podniosła słuchawkę do ucha.

- Halo?

- Przyszła do pani Wendy Porter.

- Dziękuję.

Spotkam się z nią w świetlicy.

367.

Allyson westchnęła ciężko, wstała i ruszyła ku drzwiom.

Wendy Porter miała tylko jedną prośbę: żeby Campbellowie przywieźli Joeya do Ohio na ostatnie spotkanie z nią w Dziale Opieki nad Dziećmi.

Żeby mogła pożegnać się synem.

Wendy Porter miała wrażenie, że jest to najdłuższą podróż w całym jej życiu.

Przez całą drogę do siedziby opieki społecznej odtwarzała w pamięci wszystkie wydarzenia, które doprowadziły do tej chwili.

Przypominała sobie ostatnie odwiedziny Joeya i po jej twarzy płynęły strumienie łez.

Spojrzała w lusterko wsteczne.

Musisz przestać, Wendy.

Natychmiast!

Joey nie będzie wiedział, co o tym myśleć, gdy zobaczy, że płaczesz.

Głośno wypuściła powietrze i palcami przeczesła włosy.

Godziny spędzone z Joeyem były najlepszymi chwilami w jej życiu.

Czasem zastanawiała się, dlaczego odrzuciła propozycję Allyson Bower: mogła zatrzymać Joeya.

Musiałyby tylko znaleźć jakiś sposób, by nigdy więcej nie wypuścić do swojego życia Ripa Portera.

Na tym właśnie polegał problem.

Nawet teraz, cała obolała, kochała go.

Rip potrzebował pomocy; obydwójce jej potrzebowali.

Alenie było w tym procesie miejsca dla Joeya.

Rip byłby małego - Wendy dawała sobie z tego sprawę.

Pewnie powyrzuciłby go zdecydowanie, by tego żałował.

Ale ona zbyt kochała Joeya, by pozwolić, aby zdarzyło się to choć jeden raz.

Joey był takim miłym chłopcem, takim ładnym i dobrym.

Nawet śmiertelnie przerażony, nawet kiedy tęsknił za swoimi przybranymi rodzicami, psem i swoim pokojem

368

w domu w Florydzie - nawet wtedy był dla Wendy miły.

Smakowały mu jej czekoladowe ciasteczka.

Wendy wysiadła z samochodu i z ciężkim sercem weszła na schody prowadzące do siedziby opieki społecznej, gdzie skierowała swoje kroki do poczekalni.

Po kilku minutach podeszła do niej Allyson Bower.

- Dzień dobry, Wendy.

Wyglądasz.

lepiej.

-Wyciągnęła do niej rękę.

Wendy przywitała się Allyson.

Dziśrano staranniezrobiła makijaż i teraz tylko gipsna ręcezdradzał, przezco przeszła dwatygodnie wcześniej.

- Czy jest Joey?

-Tak.

- Allysonprzyglądała się jej uważnie.

-Przyjechał z panią Campbell.

Smutny uśmiechzagościł na ustach Wendy.

- Ze swoją mamą.

-Tak- Allyson lekko skinęła głową - ze swoją mamą.

- Cofnęła sięo krok.

- Jesteśgotowa na spotkanie z nim?

- Tak.

Chętnie poznampanią Campbell,ale potem.

- Nie mogła mówić dalej.

Nie,nie rozplacze się, nie teraz!

Szybko wciągnęła powietrze i odzyskała panowanie nadsobą.

- Czy potem mogłabym spędzićkilka minut z Joeyem, żeby się pożegnać?
Sam na sam?

- Myślę, że tak.

- Allyson prowadziła Wendy korytarzem,mijając podrodze kilkoro drzwi.
Wreszcie weszłydo jakiejś sali.

W środku siedziaładna ciemnowłosa kobieta; na
widokwchodzącejWendy wstała iuśmiechnęła się.

Joey bawił sięna podłodze klockamilego, alepodniósł wzrok, po czym
nawidokWendy nieco się spłoszył.

Uniósł dłoń i pomachał doniej nieśmiało.

Potem podszedł do paniCampbell i wtuliłsię w nią mocno, jakbypróbował
się ukryć.

369.

Allyson przejęła inicjatywę.

- Pani pozwoli, że przedstawię: Molly Campbell, Wendy Porter.

Molly podeszła bliżej i Wendy wydawało się, że chce jej podać dłoń, ale pani Campbell wyciągnęła do niej rękę i uściśniła ją serdecznie.

Allyson Bower chciała zostawić je same, usiadła więc z Joeyem na kanapie, gdzie zainteresowała go książeczką leżącą na stole.

- Nie wiem.

nie wiem, co powiedzieć.

W oczach Molly lśniły łzy.

Zagryzła wargi, żeby nie drżały.

- Dziękuję, że dała nam pani Joeya.

Wydała dźwięk bardziej przypominający płacz niż śmiech.

- Już po raz drugi.

Wendy patrzyła ponad ramieniem Molly na swojego synka bawiącego się z Allyson.

Po chwili przeniosła spojrzenie na Molly.

- Czy czytała pani historię o królu Salomonie?

W Biblii?

- Nie.

Molly popatrzyła na nią zdziwiona.

- Ale ostatnio często czytamy Pismo Święte.

- Oczy jej rozblęły.

- W zeszłym tygodniu Joey zaprosił Jezusa do swojego serca.

Wendy poczuła, że miotają ją sprzeczne uczucia: radość, ale i goręcość zarazem.

Oto kolejny krok, kolejny kamień milowy w rozwoju Joeya, który ją ominął. Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- No, w każdym razie.

ta historia, o której mówiłam, jest opisana w Pierwszej Księdze Królewskiej, w rozdziale trzecim.

Czytając ją, coś sobie uświadomiłam.

Molly czekała, nie spuszczać z niej oka.

- Zdałam sobie sprawę, że prawdziwa matka prędzej opuści swoje dziecko, niż narazi je na krzywdę.

- W jej oczach znów zebrały się łzy.

- Jakąkolwiek.

Pani Campbell chyba nie całkiem ją rozumiała, ale skinęła potakująco.

- Przeczytam tę historię.

Wendy usiłowała się skupić; nie miała zbyt wiele czasu.

Wszystko, co chciała powiedzieć przybranej matce Joeya, musiała powiedzieć teraz.

- Proszę sięnim dobrze opiekować.

- Łzy popłynęły jej popoliczkach, ale tym razem nawet nie próbowała ich powstrzymać.

- Oczywiście.

Teraz obie płakały.

Rozmawiały jak matka z matką; nie było łatwa chwila.

- A jeśli.

jeśli kiedyś by o mnie pytał, proszę mi powiedzieć, że bardzo go kocham. Tak bardzo, że oddałam go pani.

- Dobrze.

- Molly zasłoniła usta dłonią, żeby nierozplakać się na głos.

- Jeżeli kiedyś zechce panią odnaleźć, pomogę mu.

- Naprawdę?

- Wendy nawetnie śmiała poprosić o tak wspaniałomyślny gest.

- Tak, oczywiście.

- Molly wyjęła z torebki chusteczki higieniczne i podała je Wendy.

Potem sama wzięła jedną i otarła oczy.

Czy coś jeszcze?

Wendy spojrzała na Joeya - na jego jasnoblonde włosy, szczerą buzię i najmiłszy na świecie uśmiech.

Nie, to wszystko.

Zrobiła krok w tył.

Czy mogę zostać z nim sama na kilka minut?

Oczywiście.

Molly dała znak Allyson Bower, a potem pomachała do Joeya.

- Mam wyjść na chwileczkę na zewnątrz, kochanie.

Pani Porter chciała z tobą przez

chwilę porozmawiać, dobrze?

- Dobrze.

- Joey nie wydawał się już tak zdenerwowany jak przed chwilą.

A potem jedziemy do domu, tak?

Do

taty i do Gusa?

- Tak, kolego.

- Molly pomachała do niego jeszcze raz, po czym wyszła wraz z Allyson i zamknęła za sobą drzwi.

371.

Wendy powoli wciągnęła powietrze.

Podeszła do kanapy i usiadła obok Joeya.

Cześć, słoneczko!

- Cześć.

- Joey trzymał w rączkach książkę, którą czytała mu Allyson.

- A gdzie druga?

Rozejrzała się dookoła, w jego oczach nagle pojawił się strach.

Nie ma go tutaj.

Już go nigdy nie zobaczysz.

Wendy zjrzała chłopcu w oczy i nagle przeniosła się myślą pięć lat wstecz:

leżała na szpitalnym łóżku, patrząc w te same oczy, a serce pękało jej z bólu, gdy próbowała się z nim pożegnać.

Robię to dla ciebie, dziecinko.

Tylko dla ciebie.

Uśmiechnęła się do Joeya.

Nie będziesz już przyjeżdżał do Ohio, wiesz o tym?

Pokiwał głową.

Prosiłem o to Boga.

- Och.

- Wendy poczuła głębokie ukłucie w sercu, ale uśmiechnęła się do chłopca.

Cieszę się.

Rozmawiaj dalej z Bogiem, dobrze?

- Dobrze.

Miała wrażenie, że wciąż czuje jego maleńkie ciało w swoich ramionach - tak jak tamtego ranka, kilka godzin po jego narodzinach.

Czuła charakterystyczny zapach noworodka i słyszała cichutkie kwilenie, gdy przytulała go do siebie.

Był jej synem, jej własnym dzieckiem.

Zostaw go teraz tylko dlatego, że go kocha - jak to wyznała

Molly Campbell.

Joey podniósł głowę i przypatrywał się jej uważnie.

- Dlaczego jesteś smutna?

Cóż.

Wzięła głęboki oddech.

Czuła napływające do oczu łzy, ale udało się jej zachować wesoły wyraz twarzy.

- Bo widzisz, dziś musimy się pożegnać.

- Wyciągnęła do niego zdrową rękę.

-Potem już nigdy cię nie zobaczę.

372

- Nie?

- Był jeszcze taki mały, tak bardzo nieświadom burzy, jaka przetoczyła się nad jego głową.

Nie pomyślałotym, że jeśli już nigdy nie przyjedzie do Ohio, to znaczy, że i jej nigdy więcej nie spotka.

Zmarszczył brwi, patrząc jej w oczy.

- Pożegnania są smutne.

- Tak.

Wendy pragnęła przytulić Joeya z całej siły, bypo razostatni zapamiętać jego dotyk.

Ale nie chciała go przestraszyć, zwłaszcza że w pokoju nie było jego mamy.

Zrobiła więc tylko to samo, co kilka tygodni temu, kiedysiedzieli na kanapie i oglądali kreskówki: wyciągnęła rękę i ujęła jego paluszki.

Joey uśmiechnął się i wsunął całą łapkę w jej dłoń tak samo jak wtedy.

- Lubię cię.

-Jego uśmiech przygasł nieco.

- Mówiłem mojej mamie, że jesteś miła.

- Dobrze się razem bawiliśmy, prawda?

- Masowałaś mi plecki.

Cmoknął zabawnie.

I mówiłaś: "Mama cię kocha, Joey".

Wendy otworzyła szerzej oczy.

Tak, kochanie.

Tak właśnie mówiłam.

- A więc słyszał?

Wtedy, nocą, kiedy myślała, że małyśpi, on słyszał jej czułe słowa.

Na długo zachowa to w pamięci - to ostatnie wspomnienie.

Całym sercem pragnęła, by ją zapamiętał; by pamiętał czekoladowe ciasteczka, trzymanie się za ręce i jej głosszepczący: "Mama cię kocha, Joey".

Ale wiedziała, że czasnie obejdzie sięz tymi wspomnieniami łagodnie.

Za rok Joey będzie miał prawie sześć lat i imiła pani z Ohio pozostanie dla niego jedynierozmytym wspomnieniem, a gdy minie kolejny rok, pamięć o niej całkiem zaniknie.

Lekko uścisnęła dłoń chłopca.

Boże, proszę, nie pozwól mu o mnie zapomnieć.

Proszę.

Musiałby stać się cud, ale przecież cuda były wlasniedomeną Boga.
373.

- Czas już na mnie.

Miała wrażenie, że Joey rozumie wagę tej chwili.

Przedłuższy czas patrzył na nią bezsłowa, po czym uklęknął na kanapie i objął ją za szyję.

- Będę za tobą tęsknił.

- Och, kochanie.

- Słowa chłopczyka zapadały w najczulsze miejsca jej duszy.

Nie były to może wyrazy miłości, ale i tak wiele dla niej znaczyły.

Wiedziała też, że ona więcej nie może liczyć.

- Ja też będę za tobą tęskniła.

Wstali oboje, Joey ponownie wsunął rączkę w dłoń Wendy.

Podprowadziła go do drzwi, otworzyła je i dała znać Molly i Allyson czekającym nieopodal.

Molly zawahała się.

- Czy.

już.

Wendy wiedziała, że nigdy nie będzie gotowa na tę chwilę, ale skinęła głową.

- Tak.

- Podeszła i wsunęła rączkę Joeya w dłoń Molly.

Następnie nachyliła się i ucałowała go w policzek.

Chciała wypowiedzieć słowa pożegnania, ale głos ją zawiódł.

Samym ruchem warg wyszeptała więc tylko: "Żegnaj".

Jeszcze raz spojrzała na Allyson Bower i z oczyma przesłoniętymi łzami ruszyła do samochodu.

Tak wiele straciła z powodu Ripa: młodość, wiarę w siebie, zdrowie i przede wszystkim swojego złotowłosego synka.

Nigdy niezapom.

Wadziło do przedszkola, nigdy nie zobaczy, jak jeździ na rowerze ani jak bawi się z psem.

Nigdy nie będzie świadkiem jego sukcesów szkolnych, ukończenia studiów ani ślubu.

Łzy spływały jej obficie po policzkach.

Wsiadła do samochodu i oparła głowę na kierownicy.

Pożegnanie z Joeyem było najtrudniejszą rzeczą, jaką zdarzyło jej się zrobić w całym życiu.

To drugie pożegnanie okazało się jeszcze trudniejsze niż pierwsze, zaraz po urodze374

niuchłopca, gdyż teraz zdążyła go poznać.
Wiedziała, że nigdy, przenigdy go nie zapomni.

Tak.

straciła coś bezcennego.

Ale najważniejsze było dobro Joeya, więc w jakiś smutny, bolesny sposób wyszło to na dobre wszystkim.

Nawet jej.

Molly została jeszcze kwadrans w siedzibie opieki społecznej, by porozmawiać z Allyson o Joeyu.

Ostatnietygodnie stanowiły dla niej prawdziwą huśtawkę emocjonalną: podpisywanie dokumentów związanych z adopcją;

świadomość, że już na zawsze Joey będzie z nimi, ale zaraz potem poświęcenie Wendy Porter i jej rozdzierająco smutne pożegnanie z chłopcem.

Allyson zajęła się wszystkim i teraz wyglądała naszczerze zadowolona.

- Zanim pani wyjdzie, muszę pani powiedzieć coś jeszcze.

Allyson założyła nogę na nogę i spuściła wzrok.

Nie winie panią za to, co chciała pani uczynić.

Był to delikatny kwadrat.

Bez wątpienia Molly i Jack planowali złamać prawo.

Gdyby się tak stało i gdyby zostali złapani, trafiliby do więzienia na wiele lat.

Molly nie chciała się do niczego przyznać, nawet teraz, gdy cały ich plan był już niczym więcej jak tylko złym wspomnieniem.

Nie odpowiedziała więc, tylko skinęła głową, a w kącikach jej ust pojawił się nikły uśmiezek.

- Już miałam powiadomić policję, na tym polegają prace - Allyson ściągnęła usta, poczym położyła rękę na piersiach - ale w głębi serca kibicowałam wam.

- Popatrzyła na Joeya.

Na szczęście wszystko ułożyło się jak należy.

Niezawsze tak się dzieje.

375.

Joey spojrzał na nią poważnie:

- Todłatego, że Bóg tak zrobił!

- Uśmiechnął się.

-JaGo o to prosiłem!

Kobiety spojrzały po sobie i Allyson się roześmiała.

- No, to wszystkojasne!

Po kilkuminutach wizyta dobiegła końca.

Allysonzyczyła im wszystkiego dobrego, a po chwili szli już dowynajętego samochodu, którym mieli dotrzeć na lotnisko.

Udało im się odbyćcałą wizytę w Ohio w jedendzień.

W West Palm Beach czekał na nich Jack.

Molly nie miała wątpliwości, że gdzieś tam, w drodzez Cleveland do swojego domu, Wendy Porter wciąż pewniepłacze.

PoznanieJoeya i czas spędzony z nim czyniły jejofiara nieomal niemożliwą.

Molly codziennie dziękowałaBogu, że dał Wendy potrzebną siłę iodwagę.

Złamane ramię Wendy odkryło przedMolly niedopowiedziane fragmenty historii życia tamtejkobiety.

Najwyraźniejjej mąż znów stracił panowanie nad sobą i to ostatecznie jąprzekonało.

Nie mogła narażać Joeya na przemoc.

Nigdy bytego nie uczyniła,ponieważ naprawdę gokochała.

Molly i Joey szli, trzymając się zaręce, i byli już prawieprzy samochodzie, gdy chłopiec westchnął z zachwytem, wskazując na coś po drugiej stronie ulicy.

Byłatam łąka, a naniej coś, czego Molly w pierwszejchwili nie spostrzegła.

- Mamusiu, dmuchawce!

Zatrzymała się i spojrzała.

Na łące rosło chyba miliondmuchawców, zupełnie jak w Parku Fullera.

Jakże bliskobyli podjęcia szalonej decyzji, złamaniaprawa i przekroczenia granic wyznaczonych przezwłasne sumienia, a conajważniejsze - działaniawbrew woli Boga Wszechmogącego!

Mollyzadrzała i mocniej ujęła rączkę dziecka.

Tak, kolego.

Całemnóstwo dmuchawców.

376

Wsiedli do samochodu i kiedy Molly zapinała Joeyaw dziecięcym foteliku, potarła nosem o jego nosek.

- Noski-eskimoski.

Joey powtórzył jej gest i zachichotał, a potem zamrugał powiekami tuż przy jej oczach:

- Motylkowe całuski.

- Kocham cię, Joeyu Campbell!

Joey zachichotał jeszcze głośniej.

- Jateż cię kocham, mammo Campbell!

Zanim ruszyli, Molly uważnie spojrzała na synka.

- Wiesz co, kolego?

Mam wrażenie, jakby Bóg nam towarzyszył - teraz, tutaj - i pomagał wyprostować wszystkie sprawy.

- Bóg jest, mamusiu.

- Małyśmiechnął się z zaskoczeniem, jakby uważał, że przecież powinna to wiedzieć.

- On zawsze jest z nami.

Kiedy jeździłem na wycieczki do Ohio, zawsze Go prosiłem, żeby jechał ze mną, bo się bałem.

A teraz proszę Go, żeby zawsze nam towarzyszył.

-Aha!

- Molly pokiwała głową.

-To dlatego.

Zamknęła drzwi i usiadła na miejscu kierowcy.

Niezdążyła jeszcze uruchomić silnika, gdy Joey zapytał:

- Mamusiu, możemy porozmawiać z Bogiem?

Zanim pojedziemy?

- Jasne, kolego.

Pochyliła głowę, zastanawiając się, o co mu chodzi.

- Witaj, Panie Boże, to ja, Joey.

Cieszę się, że jedziemy do domu.

Ale trochę mi smutno z powodu tej miłej pani.

Jonah mówi, że ponieważ jesteś Bogiem, możesz być z wieloma osobami naraz.

- Umilkł na moment.

- Myślę, że to prawda.

Więc czy mógłbyś być z tą miłą panią?

Proszę.

Bo ona płakała, a mi się wydaje, że Ty będziesz umiał ją pocieszyć.

Molly nie wierzyła własnym uszom.

Oto jej synek, który nigdy się nie poddawał i wytrwale się modlił, nawet wtedy, gdy dorośli usiłowali załatwić sprawy po swojemu!

A teraz

- chociaż sam jest szczęśliwy- martwi się o Wendy Porter.

Bo ona płakała.

Dziękuję Ci, Boże, za to dziecko.

Naucz Jacka i mnie słuchać go, abyśmy od niego nauczyli się wiary.

Na tylnym siedzeniu Joey kończył właśnie modlitwę
tak jak zawsze:

- Miej nas w swojej opiece, Boże.

Amen.

Koniec.